

JULIANA GARNETT

Miraze

1

Anglia, 1192

Słyszałeś? - Rycerz ściągnął nerwowo uzdę i rzucił w mrok szybkie, ukradkowe spojrzenie. Przy ziemi snuły się mgielne opary, w ponurym lesie panowała przeraźliwa cisza. Wysoko, ponad głowami jeźdźców, konary starych dębów spletały się niczym żebrowane sklepienie mrocznej katedry. Wątle promyki słońca, z rzadka i z trudem przedzierające się przez gęstwę młodych liści, ledwie rozświetlały ciemności.

Przypominający dzwoneczki dźwięk był tak słaby, że Rhys ap Griffyn nie wiedział, czy się nie przesłyszał: zdjął ciężki hełm i nastawił uszu. Przypadkowy promień zagrał refleksami na jasnych włosach, spadających na ramiona gęstymi puklami. Szare oczy zwęziły się, jakby rycerz chciał przesyć wzrokiem gęstwinę i zamgloną drogę. Nic. Żadnego innego odgłosu poza chrzęstem upręży i miękkim stukiem kopyt.

Rycerz, rozglądając się niespokojnie, podjechał do Rhysa.

- Słyszałeś ten dźwięk?

- Niczego nie słyszałem, Brianie. To tylko wiatr.

- To nie wiatr, to było coś innego. Dziwny odgłos. Jakby... dzwonki wróżki. - Brian wydawał się sparaliżowany strachem. Sztywno wyprostowany, kurczowo ściągał uzdę. Jego wierzchowiec zatańczył nerwowo w miejscu.

Rhys nie mógł pozwolić, by ludzie przejęli się myślą o leśnej wróżce.

- Podkova uderzyła o kamień - oznajmił spokojnie.

Brian pobladł.

- Lepiej nie oglądajmy się za siebie, to mogły być kroki umrzyka.

Rhys podjechał bliżej i cicho, tak że tylko Brian mógł go słyszeć, powiedział:

- Wiatr cię mami. Nie słysząc żadnych kroków.

- Święta Mario, trzeba nam było zostać na noc w wiosce, w gospodzie. - Na jego pobladłej twarzy pokazały się ciemne, nieregularne plamy. - Dzisiaj Beltane Eve, stare celtyckie święto majowe. Nie powinniśmy byli wyprawiać się w drogę. Przełom pór roku, kiedy wiosna się kończy, a lato jeszcze nie zaczęło. O tej porze po puszczy błąkają się duchy. - Przerwał, by nabrać powietrza. - Zła pora, ani dzień, ani noc, ulubiony czas czarownic i różnych zjaw.

Kilku wojów zaczęło niespokojnie szeptać. Rhys przeklął po cichu, słysząc przesądne słowa Briana, oparł się na kabłąku siodła i popatrzył na druha z kąpiącym rozbawieniem.

- Ty, taki potężny, naprawdę myślisz, że Tylwyth Teg miałaby tyle siły, żeby cię porwać, sir Brianie?

Jeden z Walijczyków zaśmiał się, ale zabrzmiało to wymuszenie. Kiedy zaś wymówił pełnym napięcia szeptem „Vsbrydnos”, walijskie imię „ducha nocy”, pozostali zaniepokoiili się jeszcze bardziej. Wśród jeźdźców przeszedł pomruk.

Rhys wyprostował się i pokręcił głową.

- Duch nocy nie uczyni nam nic złego. Ani Tylwyth Teg.

- W Irlandii - zaczął ponuro Brian - nazywamy ich Daoine Sidhe. Powiadają u nas, że strzygi porwały już niejednego męża.

- Ba, ja zaś mniemam, że niejeden mąż cudzołożnik taką to sobie obiera wymówkę przed żoną, kiedy ta zaczyna powątpiewać w jego wierność małżeńską - rzucił Rhys, szczerząc zęby w uśmiechu. - Będzie obstawał przy tym, że strzygi go porwały, aż przekona łatwowierną niewiastę, iż został uprowadzony, choć naprawdę noc przepędził na swawolach.

- Kpisz sobie ze mnie - zirytował się Brian, a kiedy kilku wojów zaśmiało się rubasznie, potoczył wokół gniewnym okiem i zerwał z głowy hełm. Rude, mokre od potu włosy lepiły się do czoła. Promienie przedzierające się przez liście oświeślały wąską drogę wątlm światłem, ale w głębi lasu panowała ciemność. -

Mówię ci - narzekał- że powinniśmy byli przeczekać w wiosce, gdzie wszyscy wesoło świętują na łące wokół majowego pala.

- I uganiać się za pięknymi dziewczkami, co to niby gubią się w lesie przy zrywaniu kwiecica? - Rhys wyszczerzył się, widząc, że Brian spiekł raka. - Znam twoją słabość do kobiet. Gdybyśmy zostali, nie dotarlibyśmy do Coventry i na Świętego Jana, o Dniu Majowym nie wspominając.

Brian posłał Rhysowi wściekłe spojrzenie. Zanim zdążył odpowiedzieć, jego wierzchowiec zarżał przeraźliwie, stanął dęba i zaczął cofać się zadem w gęste, cierniste zarośla. Brian zaklął głośno.

Naraz wszystkie konie, jakby zarażone lękiem Brianowego wierzchowca, poczęły się płoszyć, tańczyć w miejscu i parskać, podrzucając łbami. Zrobiło się zamieszanie. Kiedy i koń Rhysa zarżał i szarpnął się gwałtownie, ten dobył miecza i podniósł tarczę. Zbyt długo był rycerzem, by nie ufać instynktowi swojego rumaka.

W mroku błysnęła broń Briana, a za nim miecze reszty wojów. Niektórzy miotali przekleństwa, inni modlili się. Wszyscy starali się uspokoić oszalałe konie. Naraz jeden z drużyny zakrzyknął.

Rhys obejrzał się i włos zjeżył mu się na karku. Powściągnął cugle, osadził rumaka w miejscu i dopiero teraz mógł dojrzeć, co wywołało taką panikę. Krew w nim stężała. Zdusił przekleństwo.

Pośrodku drogi, przed nimi, stała drobna postać, owiana lekką mgiełką. Okryta cienką purpurową opończą zjawa wydawała się, jakby wyrosła spod ziemi. Rhys bezwiednie uczynił znak krzyża. Postać odpowiedziała dźwięcznym, kpiącym śmiechem. Naraz strach odszedł rycerza, a w jego miejsce pojawił się gniew.

Rhys podjechał kilka kroków do przodu.

- Z drogi - rozkazał. Postać nie ustąpiła, w zamian dało się słyszeć dzwonienie malutkich dzwoneczków i wesoły śmiech.

- *In nomine Patris* - jęknął Brian, czyniąc znak krzyża, powtórzony z chrzęstem kolczug przez resztę. - *Confiteor Deo omnipotenti, beatae Mariae semper Virgini...* - Jego głos zamarł w ciszy.

Rhys uniósł miecz; mordercze ostrze zamigotało światłem odbitym od kolczugi i tarczy.

- Nie słyszysz?

I znowu postać odpowiedziała śmiechem. Rhys zacisnął szczęki.

- Nie słyszysz? - powtórzył ostro.

I znowu za całą odpowiedź zabrzmiał w leśnej głuszy beztrioski śmiech spod głęboko nasuniętego na twarz kaptura. Już zamierzał rozprawić się z tajemniczą istotą, lecz coś go powstrzymało.

- ...*beato Michaeli Archangelo, beato Joani Baptiste* - sapnął Brian.

Wystarczy. Jeżeli to się nie skończy, jego ludzie rozpierchną się po puszczy niczym stado spłoszonych kruków. Spiął konia, ale Turek, miast ruszyć, nerwowo zatańczył, rzucając łbem i parskając. Rhys zaklął, równie zirytowany, co zdziwiony nieposłuszeństwem zawsze mu powolnego zwierzęcia. W końcu postać poruszyła się. Powoli uniosła rękę ledwie widoczną spod zwiewnej szaty. Rhys dostrzegł tylko głęboką zieleń podszewki, ale żadnej broni.

Konie uspokoiły się. Na leśnym dukcie zapadła martwa cisza, rozlegał się tylko nikły dźwięk dzwoneczków. Zakapturzona postać powiedziała coś w egzotycznym języku: dziwne słowa, jakich Rhys nigdy dotąd nie słyszał; głos zabrzmiał cicho i tajemniczo.

Wierzchowiec znowu szarpnął, pod czarną, jedwabistą skórą gniadosza zadrgały mięśnie. Rhys próbował opanować spłoszone zwierzę, lecz koń wierzgał na wszystkie strony tak, że grzywa zdawała się sięgać kolczastych krzewów. Zwierzę uspokoiło się dopiero wtedy, kiedy postać ponownie przemówiła, lecz jej głos niemal zagłuszyła modlitwa Briana.

- ...*sanctis Apostolis Petro et Paulo, omnibus sanctis, et tibi pater...*

Wznoszone do nieba apele Briana zwiększyły tylko złość Rhysa. Była tajemnicza postać diabłem, czarownicą czy człekiem o wrogich zamiarach, Rhys nie mógł pozwolić, by drwiła sobie z niego tak jawnie.

- Zejdź z drogi, albo cię stratuję. Nie mam czasu na głupstwa - rzucił przez zaciśnięte zęby.

Jego rozkaz spotkał się z lekceważącym chichotem. Powiew wiatru zakołysał łagodnie koronami drzew.

- ...*quia peccavi nimis cogitatione, verbo et opere...*

- Wystarczy, sir Brianie. - Rhys rzucił mu przez ramię rozeźlone spojrzenie. Gdy odwrócił głowę, odziana w purpurę zjawa ruszyła wprost na niego. Mocniej ścisnął rękojeść miecza. Dopiero teraz dostrzegł, że to nie męczyzna zagradza im drogę, lecz niewiasta, tak wdzięczna i krucha, w niczym niepodobna męskiej postaci. Stapała tak wdzięcznie, iż wydawała się unosić lekko nad ziemią.

Zacisnął usta. Kłął Briana za jego opowieści o elfach i duchach. Nie chciał, by zawładnęły nim przesady.

Gdy konie się uspokoiły, wojowie znieruchomieli. Rhys czuł na plecach ich spojrzenia. Czekali, co zrobi. Wiatr poruszył konarami drzew, które tajemniczo zatrzeszczały, po czym zapadła martwa cisza. Nie dało się słyszeć ni ptaków, ni żadnych innych, zwyczajnych dla puszczy odgłosów. Mgła szła wolno nad ziemię, otaczając zjawę.

Rhys zimno spoglądał na spowitą w opończę figurę, która zagradzała mu drogę.

- Dlaczego nie dasz nam przejścia? - zapytał władcym głosem, na przemian po angielsku i po francusku. - Chcemy jechać.

Nagle zawirowanie powietrza wzniosło w górę spiralę zeschniętych liści, postać zrobiła krok do przodu. Ruchem pełnym gracji odrzuciła do tyłu kaptur. Rhys zamarł, wpatrzony w kobietę.

Była piękna. Krucha jak elf, a tak urodziwa, jak lśniąca na ciemnej wodzie najpiękniejsza poświata księżycy. Proste, błyszczące kruczoczarne włosy opadały wokół twarzy, a oczy - Jezu, czarne i głębokie jak noc - patrzyły prosto na niego, czarując go spojrzeniem pełnym tajemnych obietnic.

Przez długą chwilę, która zdawała się trwać wieczność, nie mógł oderwać wzroku od cudownych oczu. Dopiero dziewczyna przerwała działanie czaru.

- Witaj, dzielny rycerzu - powiedziała cicho, doskonałą francuszczyzną. - Zagroziłam ci drogę, żeby cię ostrzec. Most przed wami jest podmyty przez wodę, ale wy nie zdołalibyście tego dostrzec. Pomyślałam, że powinienesz wiedzieć o niebezpieczeństwie.

- Bóg zapłać za ostrzeżenie - odrzekł i zasalutował, unosząc miecz. - Ledwie cię dojrzałem we mgle. - Nie przestraszyliśmy cię?

Rozległo się parsknięcie śmiechu, a gdy potrząsnęła głową, zadźwięczały leciutko dzwoneczki, zafalowały spływające do pasa czarne włosy.

- Nie, dzielny rycerzu, ja się nie przestraszyłam, a ty?

- Przestraszyć się? Takiej jak ty dziewczeczki? Myślisz, że masz do czynienia z dzieciuchami?

- Możesz, jak wielu innych, bać się Beltane Eve.

Widział to kto? Chryste w niebiesiech, ta mała kotka ma czelność przemawiać uragliwie, a jak chytrze słowa dobiera, jak łącno powątpiewa w jego męstwo rycerskie.

- Nic mi niestraszne - rzucił chełpliwie, podrażniony w swej ambicji i dobrym o się mniemaniu.

- W istocie? W tych strasznych czasach odwaga jest w cenie. - Ustąpiła na bok. W kącikach jej warg nadal drgał kpiący uśmiezek.

- Czasy byłyby straszne zaiste, gdyby królewscy woje mieli obawiać się dziewczki na drodze - odrzekł sprowokowany.

Patrzyła na niego z wymownym lekceważeniem.

- Rycerze Anglii są zaiste dzielni i odważni, jak na zbrojnych mężów przystało. Wiadomo mi atoli, iż Ryszard potrafi mordować niewinne dzieci, które chyba nie są dlań zagrożeniem.

Rhys ponownie uniósł tarczę. Promień słońca odbił się od metalu i na chwilę go oślepił. Patrzył na dziewczynę, mrużąc powieki. Nie mógł zaprzeczyć, że mówiła prawdę, ale ostry przytyk wcale nie nastroił go łagodniej.

- Jesteś nieprzyjaciółką Ryszarda?

Na ścieżce pojaśniało. Zabłąkany promyk przeszył mrok i padł prosto na twarz tajemniczej pani. Wzniosła władczo dłoń i słońce, jakby na rozkaz, zagrało jasnymi refleksami w jej oczach.

- *Mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa* - mruzczał nabożnie Brian, uderzając się w pierś żelazną rękawicą.

Rhys rzucił mu miazdzące spojrzenie. Gdy znów zerknął na ścieżkę, dziewczyna przepadła w zaroślach starego głogu; kwiaty o różowych płatkach drgały jeszcze lekko. Cienie pogłębiły się, zaciemniając wszystko, tylko z oczeretów głos niósł się czysty, wyraźny.

- Nie życzę złego żadnemu człowiekowi i żadnego człowieka się nie boję.

Rhys zamrugał, oszołomiony przedziwnym spotkaniem. Jakby ktoś zdmuchnął płomień lampki oliwnej: szybko przygasły rozpraszające mrok mdłe promienie słońca. Wpatrując się w ciemne ostępy leśne, zawołał:

- Wracaj, moja panno, kimkolwiek jesteś. Nie powinnaś chodzić w nocy sama.

Z nagłym podmuchem wiatru doszedł go jeszcze ledwie słyszalny z oddali śmiech. Ze słodkim zapachem głogu mieszała się intrygująca, tajemna woń, jakby z innego świata. Błyskawicznie zsiadł z konia i ruszył w kierunku zarośli, dźwięcząc ostrogami.

Pomimo lęku, Brian także zsunął się na ziemię, dogonił druha i szarpnął go za opończę.

- Rhys, nie rób tego! Jeżeli za nią pójdziesz, ona porwie cię do swojego świata i nigdy się stamtąd nie wydostaniesz.

Rhys niecierpliwie wzruszył ramionami.

- Nie bądź głupcem, Brian.

Gdy podszedł bliżej do zarośli, wśród których znikła dziewczyna, nie zobaczył po niej najmniejszego śladu, ani jednej złamanej gałązki. Pozostawiła po sobie ledwie wyczuwalny, słodki zapach. Zagarnął garść kwiatów głogu i zaklął pod nosem; jakiś kolec przebił metalowe kółka rękawicy i ukłuł go w palec. Nikt nie może zniknąć tak po prostu, rozpułnąć się we mgle.

Brian przysunął się blisko Rhysa i powiedział chrapliwym szeptem:

- Elfem była czy wróżką, ta dziewczyna musi mieć prze-rażającą moc.

- Chcesz mi powiedzieć, że to ona sprowadziła na nas te ciemności? - zakpił, by pokryć ironią własne złe przeczucia. - Toć to prosta dziewczka. Ostrzegła nas jeno przed niebezpieczeństwem, po to zagroziła drogę. Jeżeli ma trochę rozsądku, nie w głowie jej poufalić się z podróżnymi rycerzami.

- Gadaj zdrow, mnie się to nie podoba - mruknął Brian.

Rhys zamilkł. Nie było sensu dyskutować z przesadami, tłumaczyć, że zjaw nie ma. Daremno wyjaśniać Brianowi, że w puszczy, bywa, mrok potrafi zapaść z sekundy na sekundę, a dzień obraca się w noc głęboką. Brian uparł się wierzyć, że dziewczka sprowadziła na nich ciemność. Szkoda słów.

Z pewnością nie była elfem. Kim zatem? Jeżeli mieszkała w wiosce, zawędrowała daleko od domu i bezpiecznego schronienia. Żadna dziewczyna nie powinna sama chodzić po lesie, czy to w dzień, czy po nocy. Zupełnie sama wyprawiła się do puszczy? Może to rusałka? Może pokazała się drużynie jeno dla odwrócenia uwagi, gdy jej kamraci czaili się na drzewach, chcący napaść z góry? Na drogach prowadzących do Walii roiło się od łotrzyków, łazików i zbrojów.

Ludzie Rhysa nie obawiali się wszak żadnego śmiertelnika...

Wystarczyło jednak spojrzeć w ich napięte twarze i rozszerzone oczy, by pojąć, że nie może liczyć na ich męstwo. Trzeba by prawdziwego cudu, żeby na powrót tchnąć odwagę w ich serca... albo lepiej, magii, silniejszej od strachu, jakiego napędziło im leśne spotkanie.

Przywołał na twarz wąty uśmiech.

- Niedaleko jest polana. Zatrzymamy się tam na noc i zapalimy *coelcerth* dla Beltane Eve.

Część wojów odetchnęła z ulgą. Rhys miał nadzieję, że wpadł na dobry pomysł. Rytualny ogień dla odegnania demonów tchnie w serca rycerzy na powrót odwagę, do rana zapomną o zjawie. Dotarliśmy na polanę, zaczęli rozbijać obozowisko.

Rhys opuścił głowę. Nadal trzymał w dłoni nagi miecz. Powoli wsunął go do pochwy. Służył mu w bitwie pod Acre. Wykuty z najprzedniejszej stali, miał rękojeść z miedzi i brązu. Zdobyczna broń z krucjaty z Ryszardem, wierna, zawsze służąca w potrzebie.

Rhys zamyślił się, przywołując na pamięć odległe, spalone przez słońce ziemie, gdzie na nagich wzgórzach wznosiły się pęsepnne warownie wzniesione przez krzyżowców. Dopiero teraz uderzyło go, że intrygujący zapach był zapachem tureckiego jaśminu.

X o głupie - stwierdziła Elspeth kwaśno.

Sasha pokraśniała, oburzona. Instynktownie uniosła głowę, chwytając słowa, których Elspeth nie wypowiedziała na *głos*: *Lekkomyślna i dumna jak córka Lucyfera...*

Zignorowała tę myśl i odpowiedziała na wypowiedzianą uwagę:

- Że ostrzegłam rycerzy przez niebezpiecznym mostem? Chciałam wyświadczyć im przysługę.

- Mogli cię zabić. Podróżni nie mają szczególnych względów dla samotnych panien. - Elspeth pokręciła głową. Długi cień na ścianie jaskini zakołysał się. - Twój Dar nie ochroni cię przed błędami. Nierozważnie postąpiłaś.

Sasha nie chciała przyznać, że leśne spotkanie wytrąciło ją z równowagi. Wzruszywszy beztrzesko ramionami, usadowiła się przy ogniu i wyciągnęła dłonie, żeby się ogrzać. Nadal cała drżała w wrażenia. Dziwiła ją własna śmiałość: nie spodziewała się, że ona, samotna dziewczyna w puszczy, wywrze na rycerzach aż takie wrażenie. Nie było jej przykro, iż wystraszyła wojów, ale też musiała użyć całej swojej mocy, próbując przeniknąć serce wysokiego rycerza, który im przewodził. Nie udało się. Zamiast jego myśli, słyszała tylko niewyczerpaną, krystaliczną ciszę.

Niczego nie potrafiła dojść, ułoić żadnych niewypowiedzianych słów czy obrazów. Tylko ta jasna smuga ciszy. Zaniepokojona, zwróciła swoją moc w stronę pozostałych czterdziestu wojów, jadących za jasnówłosym olbrzymem. Od zbrojnych szła mieszanina wrażeń, chaos, nieskładne myśli w kilku językach. A więc nie straciła Daru, tyle że nie działał wobec tego jednego mężczyzny. U innych wyczuła wyraźnie pomieszanie i przestach, tylko ten na przedzie pozostał oporny, nieprzystępny, czyniąc ją bezradną.

Dlaczego nie potrafiła odczytać jego myśli? Nigdy wcześniej nie przytrafiło się jej nic podobnego. Stała naprzeciw niego i wpatrywała się weń owiewana mgielnymi oparami, które przenikały delikatną materię oponczy, okrywając hełm rycerza miriadami kropelek. I wtedy pojęła jak w olśnieniu: to on, ten, który ma spełnić przepowiednię.

Elspeth cmoknęła z naganą i Sasha podniosła głowę. Na załomach ścian jaskini tańczyły refleksy ognia. Z wejściem ukrytym pod skalnym nawisem, strzeżona gęstwą zarośli, położona wygodnie nieopodal duktu, jaskinia dawała bezpieczną przystań, wymarzone przytulisko dla podróżnych szukających na noc schronienia. W wysoko sklepionej skalnej komnacie panował przejmujący chłód, który lodowate uwagi Elspeth zdawały się jeszcze wzmacniać. Zbesztana Sasha próbowała rezonować.

- Nie takie to nierozważne, jak uważasz. Mój Dar pozwala mi wglądać w ludzką naturę. Jasnowłosy rycerz nie jest złym człowiekiem. Spozstrzegłam to od razu, nie musiałam się nawet uciekać do moich zdolności.

- Bzdury. Jest arogancki i dumny - fuknęła Elspeth. - Trzeba ci było brać nogi za pas, jak zrobił to Biagio i ja.

- Biagio uciekł razem z tobą? - mruknęła. - Pierwszy raz słyszę, żeby dzielny młodzieniec czmychał przed niebezpieczeństwem.

Elspeth wzruszyła ramionami.

- Nie mówię, że czmychnął z własnej woli, ale w końcu przemówiły do niego moje przestrogi. Gdyby ci ludzie cię pojмали...

Zawiesiła głos, ale Sashy nie trzeba było słów, by wiedzieć, co ktoś myśli. Rycerstwo stało ponad prawem, dla ludzi ich stanu gwałt, a nawet mord na kobiecie był rzeczą zwykłą i uchodził bezkarnie. Ryszard pociągnął ze swymi zastępami na krucjatę do Ziemi Świętej, a pod jego nieobecność władzę w Anglii sprawował jego brat, książę Jan. Zbójcy panoszyli się bez przeszkód, podobnie jak rycerze żyjący z łupiestwa.

- Gdzie podział się Biagio? - zapytała, chcąc uniknąć dalszych wymówek ze strony Elspeth. - Musimy przepakować na rano nasz wóz.

- Wrócił tam, żeby cię poszukać.

Elspeth odwróciła głowę, ale Sasha przechwyciła krótką wizję twarzy Biagia; wykrzywiony z gniewu, wyrzucał z siebie urywane słowa: *Dio -wracam... znajdę ją... nie powinienem był zostawić...* Elspeth zapatrzyła się w ogień i wizje Biagia zniknęły w płomieniach.

Sasha wydeła policzki i prychnęła. Martwili się o nią za bardzo i nic na to nie mogła poradzić, tym bardziej że, prawdę mówiąc, powody do niepokoju pojawiały się często.

- Mam nadzieję, że będzie ostrożny - powiedziała na koniec.

Biagio był ostrożny. Młody Italczyk zdawał się posiadać niezliczone talenty. Nie wszystkie rozwinięte w stopniu dostatecznym, niektóre irytujące, ale wszystkie razem wzięte sprawiały, że jak nikt umiał się zatroszczyć o własne bezpieczeństwo. Był wręcz bezmyślnie odważny i zadufany w sobie. I chociaż nigdy by mu

tego nie powiedziała z obawy, że chłopakowi do cna przewróciłoby się w głowie, błogosławiła dzień, w którym się do nich przyłączył, zamiast pójść własną drogą i przepaść w puszczach.

Znowu pomyślała o rycerzu i jego zimnej urazie, kiedy przekazała mu swoje ostrzeżenie. Właśnie dotarli we trójkę do podmytego mostu i ledwie zdążyli skryć się pośród drzew, słysząc zbliżających się jezdnych. Po chwili dojrzeli przez cierniste gałęzie zbrojny zastęp. Mężczyźni głośno rozmawiali i Sasha zdumiała się niepomiernie, że ten, zwany Rhysem, tak lekko prawi o leśnych duchach, jakby to były jeno wymysły i czcze bajania. Pomyślała, że zadrwi sobie z jego arogancji i dufnej pewności siebie. Spłoszyć konie to dla niej fraszka. Warto było widzieć, jak zbrojni Ryszarda spoceni ze strachu miotają się na znarowionych wierzchowcach, na przemian klnąc i zanosząc modły do Najświętszej Pani. Doprawdy ucieszna scena, a dzielnym wojom należała się mała nauczka. Wiadomo, że nie masz na świecie człowieka tak zuchwałego, żeby całkiem już nie wierzył w elfy i wróżki, nawet jeśli wołałby nigdy nie spotkać ich na swej drodze.

A przecież musieli nosić w sobie ziarno legend. Gdy jadący na czele oddziału olbrzym uniósł tarczę, dojrzała na jej metalowej powierzchni relief przedstawiający bestię ze świata mitów: znak gryfa.

Spod wpróżymkniętych powiek wpatrywała się w płomienie. Nie przypuszczała, że ten, którego jej przepowiedziano, okaże się taki młody. Wcześniej w jej wizjach pojawiał się wojownik naznaczony bliznami, budzący postrach i respekt zbójca, co nie ulęknie się nawet niebios. Ale ten był zupełnie inny; bardziej przypominał dwornego księcia z pieśni minstreli, niż siejącego postrach rycerza-rozbójnika. A ona nie szukała przecież bohatera z *roman de geste*, jeno twardego męża zaprawionego do każdej walki. Tylko z takim zdoła dopiąć swego celu.

Elsbeth miała rację. Postąpiła nierozważnie, stając pośrodku leśnego traktu, naprzeciw zagniewanego rycerza. Wpatrywała się w niego z tępym wyrazem twarzy. Tak była poruszona, kiedy Dar ją zawiódł, że nie wiedziała, co czynić. Zamarła na widok gryfa, a sam rycerz poraził ją swoją urodą. Był olśniewająco piękny,

niczym grecki bóg. Jakby Apollo zstąpił z Olimpu w leśną angielską głąszę. Złote pukle wymykające się spod hełmu, gładko wygolone lico. Stała tak oniemiała, zapatrzona w niego jak w jakieś niezziemskie zjawisko i w myślach pytała samą siebie po raz setny, czy to możliwe, żeby był tym, którego tak długo szukała.

A jednak, kto wie...

W jego szlachetnym wyglądzie było coś szczególnego, nie specjiła go nawet blizna biegnąca od skroni przez policzek. Zimne, szare oczy pod ciemnymi brwiami i mocno zarysowana szczeka świadczyły o nieugiętym charakterze. Był silny. Powietrze wokół niego zdawało się naładowane energią, jak to bywa w czas letniej burzy, kiedy niebo rozświetlają błyskawice... Tak, być może to jednak on, obiecany wybawiciel, który spełni przepowiednię...

Sasha.

Nie wypowiedziane słowa popłynęły ku niej poprzez tańczące płomienie ogniska z siłą krzyku. Niechętnie uniosła wzrok. Jak zwykle wiedziała, co myśli stara Elspeth. Powoli pokręciła głową i malutkie dzwoneczki, przyszyte do podszewki opończy, zadźwięczały delikatnie.

- Muszę ci się zwierzyć, Elspeth. Jego umysł jest przede mną zamknięty. To on. Jestem pewna, że to o nim mówiła przepowiednia.

Elspeth gwałtownym gestem uniosła do gardła drżącą, kruchą dłoń.

- Przepowiednia... dziecko, miałaś ledwie osiem lat, kiedy Rina ci wieszczyła. Kto może wiedzieć, czy ta szalona rosyjska Cyganka mówiła prawdę?

- Ja jej uwierzyłam. Inaczej nic nie miałoby sensu. - Wciągnęła głęboko powietrze. - Przepowiednia musi być prawdziwa. Tak długo szukałam mojego wybawiciela, aż go znalazłam.

Elspeth jęknęła.

- Ależ Sasho, to zwykły rozbójnik. Jakże miałby być twoim wybawicielem? Powiadasz, że jego umysł jest przed tobą zamknięty. Musisz się mylić. Znajdziemy tego, kto został ci przepowiedziany. Może, gdy dotrzemy do mojej wioski...

- To on. Jestem pewna. Nie pytaj, skąd wiem. Mam przecucie... przepowiednia mówiła, że spotkam groźnego rycerza, pół lwa, pół orła.

- Skąd ta pewność? - Żyłaste dłonie Elspeth drżały, gdy wyciągnęła je przed siebie. - Twój Dar nie dotyczy przepowiadania przyszłości...

- Nie widziałas jego herbu, boś uciekła. - Oczy Sashy gorzały dziwnym blaskiem. Zamknęła je przed gryzącym dymem, tak jak zamknęła uszy na wszelkie wątpliwości. - Ma na tarczy i opończy znak gryfa, pół orła, pół lwa, legendarne zwierzę, które nawiedzało mnie w snach *od* wczesnego dzieciństwa. Wiem, że to on. Nie mogę się mylić...

- Tylko przez wzgląd na ten znak? Pewnikiem nosi barwy swego pana, nie własne.

- I tak być może, ale to bez znaczenia. Nosi znak. To on. Ja to czuję.

- Święta Mario, dziecko - powiedziała Elspeth drżącym głosem. - A jeżeli się mylisz? Twój Dar jest bardzo pożyteczny, ale nie potrafi uchronić cię przed nieszczęściem.

- Dobrze o tym wiem. Aż za dobrze. Bywało, że Dar był przekleństwem, chociaż pozwalał mi poznać prawdy skryte przed innymi. On musi być tym, Elspeth, musi... w przeciwnym razie potrafiłabym przejrzeć jego myśli, jak czytam myśli innych. Ale on jest za silny, nie potrafię przebić otaczającego go światła. Jest silniejszy niż mój Dar. - Otworzyła oczy. - Mam zamiar poprosić go, by nam pomógł.

- Zlituj się, dziecko! Przerażasz mnie. Za nic masz własne bezpieczeństwo? - Elspeth kiwała się w przód i w tył, załamując ręce w rozpacz. - Boję się o ciebie, jeżeli zamierzasz układać się z rycerzami rozbójnikami. To źli ludzie, chodzą własnymi drogami, sami dla siebie stanowią prawa, kto im jest zawadą, musi dać życie. Co ma być, to będzie. Nie proś go, błagam cię.

- Ten rycerz jest inny. - Desperacko szukała słów, które przekonałyby Elspeth. - Kiedy na niego patrzyłam, zobaczyłam gryfa. Potrzebna nam legendarna bestia, potrzebny mężczyzna silny jak lew i odważny jak orzeł. Nie lękaj się. To nasz obiecany rycerz i on nam pomoże. Ja o tym wiem.

Elspeth skapitulowała, lecz spór się nie zakończył. Sasha doskonale o tym wiedziała. Po prawdzie, sama miała złe przeczucia. A jeżeli Elspeth ma rację, a ona sama się myli? A choćby nawet,

to i tak wszystko zda się lepsze od życia, jakie wymarzyła dla niej Elspeth. Miałaby tracić lata w maleńkiej angielskiej wiosce, z dala od wszystkiego, co niesie świat? W chwili słabości i rozpaczliwej uległa namowom niani. Po latach dotarły wreszcie w pobliże rodzinnej wioski Elspeth, długa wędrówka przez pół Europy i całą Anglię dobiegała kresu. Kończyły się lata tułaczki po pysznych pałacach, przez piaski pustyni, skaliste góry i doliny tak piękne, że ich uroda oślepiła. Bywało też straszno, gdy już się wydawało, że zginą, że przepadną bez śladu, a ich ciała rozdziobią kruki, wrony. A jednak przetrwali. Robiła, co los zdarzył - zmieniała przebrania, przepowiadała przyszłość na jarmarkach podczas występów wędrownych komediantów, raz nawet tańczyła z niedźwiedziem w mroźnej tundrze. Dosiadając na oklep ręczego konia, zdobyła podziw francuskiego hrabiego, uznanie niebezpieczne dla młodej panny. Czmychnęli wówczas z zamku w środku nocy w wielkim popłochu. Tak, ostatnie trzynaście lat obfitowało w wydarzenia.

Po co to wszystko? Po to, żeby przeżyć. Nikomu z jej najbliższych nie było to dane, została tylko ona i cel, który sobie postawiła i który musiała zrealizować.

- Pamiętaj - zaczęła łagodnie Elspeth, stając przy ogniu - jesteś księżniczką. Ludzie często są chciwi, zżera ich żądza władzy. Nie bądź nigdy zbyt ufna, dziecko.

Sasha skrzywiła się.

- Księżniczka bez tronu i kraju, ścigana przez tych, którzy chcą mnie zabić, tylko dlatego, że urodziłam się, kim się urodziłam. Mam majątek, ale nie wystarczy tego, by kupić armię. Płynię we mnie królewska krew, ale tytuł straciłam. Nawet imię, które noszę, nie jest moim własnym. Niczego nie musisz mi przypominać. Nigdy nie zapomnę, kim jestem. Albo... kim byłam kiedyś...

Tamte dni minęły, skończyły się, kiedy okrutny nieprzyjaciel wdarł się na ziemię jej ojca, zawładnął białymi wieżami i minaretami, mordując wszystkich, którzy stanęli im na drodze. Jej matka, piękna angielska róża, podziwiana za urodę i szanowana za mądrość, także oddała życie. Czarna przeszłość, mroczne wspomnienia... Odziedziczony, przechodzący z matki na córkę Dar nie uchronił Elfredy przed śmiercią. Zdołała jeszcze bezpiecz-

nie odesłać z kraju ukochaną córkę pod opieką zaufanej niani, ale uratowanie dziecka przypłaciła życiem. To był największy dar, najwyższe poświęcenie złożone ukochanej córce. Sasha nie mogła pozwolić, by owo poświęcenie poszło na marne, nie mogła pozwolić, by mordercy jej rodziców uszli bezkarnie. Pomści zbrodnię i odbierze to, co jej należy.

Al-Hamin nie zatrzyma tego, co zagrabił, ani też nie zdoła przejąć całego dziedzictwa Ben-Al-Farouka, ponieważ ona nadal żyje. Gdyby jej wrogowie o tym wiedzieli, i ją czekałby ten sam okrutny los, co resztę jej najbliższych. Sasha wstała, zdjęła z siebie użyteczną opończę, położyła obok. Wierzchnia materia w kolorze królewskiej purpury podbita była zielenią. Została w wygodnym stroju, który mogła dowolnie zmieniać. Sięgnęła po swój tobołek i przeglądała zawartość tak długo, aż znalazła to, czego szukała. Wróciła do ognia i uklękła. Po starannym wypisaniu kilku słów na kawałku drewna sandałowego, włożyła go do kociołka z brązu.

- Jakie wyrazisz życzenie? - zapytała Elspeth.

Sasha spojrzała na nianię.

- Żeby przepowiednia się spełniła. Co ma być, niech się stanie. Proszę o jeszcze jeden znak, abym miała pewność, że się nie mylę.

Podpaliła sandałową szczapkę za pomocą gałązki. Rozszedł się pachnący dym i zmieszał z wonią z dębowych polan. Zamknęła oczy. Radość i spokój, wszystko, czego pragnęła, zawierzyła sandałowemu drewnu. Przepowiednia powinna się ziścić. Otworzywszy oczy, jęła wpatrywać się usilnie w kociołek, intensywnie myśląc o życzeniach płynących pod sklepienie jaskini wraz z dymem, powtarzając je znowu i znowu, dopóki drewno nie zamieniło się w popiół.

Znad wółprzymkniętymi oczami wpatrywała się teraz w ogień. Pomiędzy niespokojnymi płomykami i wijącym się dymem ujrzała ziemię słoneczną i gorącą, spokojną i piękną... i rycerza, który pomoże jej tam wrócić.

2

Nad leśnym oczkiem wodnym snuły się miękkie, szare mgły. Płynęły leniwie w bezwietrznym chłodzie świtu. Rhys, nagi do pasa, pokryty gęsią skórką, klęknął na brzegu, wbijając jedno kolano w butwiejące liście. Omijając wodne robactwo, nabrał wody w dłonie. Przepłukał wysuszone gardło; woda spłynęła na pierś, zmoczyła rzemienie nagolenników. Mokrymi palcami przecesał włosy i wstał. W niewielkim, gęstym zagajniku panowała cisza. Był tu sam. Jego ludzie ani nie okazali się wystarczająco śmiali, by nie ulęknąć się leśnych wrózek, ani wystarczająco mądrzy, by się do tego przyznać. I pomyśleć, że ci sami bohaterowie, nie mrugnawszy okiem, uzbrojeni po zęby, wyrzynali pośród krzyków o zmiłowanie niewiernych bisurmanów, bombardując ich miasta i fortece okrutnym greckim ogniem. Wierni, karni, okrutni, atoli w obliczu nieznanego - bezmyślni. Skrzywił się. Gdy chodziło o wiarę w bajki o leśnych duchach i elfach, Brian był do tego pierwszy.

Rhys wyzbył się podobnych lęków wraz z mlecznymi zębami. W świecie brutalnej rzeczywistości nie było miejsca na rzeczy nieuchwytnie. Pojął wystarczająco wcześniej tę prostą prawdę. Mając dwadzieścia lat, został pasowany na rycerza. Mając dwadzieścia dziewięć, był już naznaczonym bliznami, doświadczonym weteranem wypraw krzyżowych, gdzie ogniem i mieczem nawracał niewiernych, którzy nie chcieli porzucić swych pogańskich wierzeń, a nawet gdyby chcieli, nie miałyby to większego znaczenia dla

ich losu. Król Ryszard z niewiernymi nie pertraktował, posłów nie przyjmował, nad pokropienie wodą święconą przedkładając prawo przelanej krwi. Lecz taki był Ryszard - potężny, zuchwały a przy tym najbezwzględniejszy z ludzi, jakich Rhys kiedykolwiek spotkał w swym życiu.

Nie znaczyło to jednak, że Ryszardowi całkiem obce było miłosierdzie. Kiedy do Rhysa, a bawił wówczas w Jeruzalem, dotarła wieść o śmierci Griffyna ap Griffyda, Ryszard nastawał, by Rhys odłączył się od krucjaty i wrócił do Walii. Ów akt czułej żałoby był lekko tylko przyćmiony nadzieją króla, że Rhys zdoła zatrzymać dla Anglii ziemie Marcheru, które ojciec Rhysa pozostawił mu w spadku. A jeśli już nie ziemie, kalkulował władca wiecznie potrzebujący pieniędzy na swe zamorskie kampanie, to niech Rhys płynie pierwszym żaglowcem do kraju i stara się zabezpieczyć bodaj skrzynie z kosztownościami, również przypisane do ojcowskiej schedy. Krucjaty były kosztowne. Zawsze brakowało pieniędzy. Ostatecznie Rhys pod presją monarszą został wyekspediowany do domu. W uszach jeszcze mu dźwięczały życzenia wszelkiej pomyślności wypowiedane przez Ryszarda przy pożegnaniu. Nie trzeba chyba dodawać, że dla łaskawego władcy zaiste byłoby miłą okolicznością, gdyby u bram rodowego Glenlyonu młody dziedzic wpadł prosto w ramiona królewskiego poborcy podatkowego.

Rzecz całkiem możliwa, ponieważ Rhys bawił już w Anglii ponad miesiąc i mógłby prostą drogą zmierzać do Walii, ale... zaraz po zawinięciu do Dover otrzymał wezwanie od brata Ryszarda, Jana, a takich rozkazów nikt bezkarnie nie śmiał lekceważyć. Po dwutygodniowym, męczącym oczekiwaniu w Janowych antyszambrach i ciskaniu w zamknięte drzwi Jana cichych przekleństw stanął w końcu przed obliczem władcy.

Zamiast przychylić się do próśb nowego lorda na Glenlyon, któremu ze zrozumiałych powodów spieszno było w rodzinne strony, Jan uspokoił go wiadomością, że na razie zarządca administruje twierdzą z wielką dbałością i że to człowiek bez wątplenia ze wszech miar godny zaufania, zaczym wysłał Rhysa na zwiad w kierunku całkiem przeciwnym. W drodze powrotnej z wojskowej wycieczki do Rhysa dotarł goniec z pismem pieczętowanym znajomym sygnetem Glenlyonu. W liście zarządca jego

ojca, Owain, kulawymi zdaniem kierował Rhysa do Coventry, by oczekiwał tam na posłańca. Spotkanie wyznaczono w dzień po May Day. Chociaż zwięzły, list Owaina był jasny: Rhys miał wrogów, którzy zagrażali Glenlyonowi.

Ironiczne niedopowiedzenie. Rebelianci, którzy zamordowali mu ojca, wzięli też głowy dwu jego starszych braci, czyniąc go tym samym dziedzicem. Nie przypuszczali widać, że kiedykolwiek wróci do Walii. Teraz zmieniło się wszystko. Po spędzeniu wielu ciężkich lat poza domem, powracał jako lord Glenlyon.

Glenlyon... Stracony przez zdradę. Odzyskany przez śmierć. Żart, przywidzenie, kuglarstwo. Po wszystkich tych czarnych latach, odzyskany... jakby za sprawą magii.

Rhys przypomniał sobie pannę, która ostrzegła ich przed niebezpieczeństwem, po czym znikła w ciemnościach niby cień. Nie była Angielką. Nie była Francuzką, choć bardzo dobrze władała tym językiem. Aż za dobrze. Była bezczelna i kpiąca. Gdyby znowu ją ujrzął...

Zawiał chłodny wiatr. Rhys sięgnął po lnianą tunikę, którą nosił pod skórzanym kubrakiem. Na jego ciele, w miejscach, o które ocierał się metal, pojawiły się czerwone pręgi, pomimo zabezpieczeń ze skóry i lnu. Tak długo nie zdejmował kolczugi, że gdy zrzucił ją z siebie, żeby się umyć, zdawało się, iż przyrosła do skóry. Nawet teraz skaleczenia i otarcia przeszkadzały mu bardziej niż chłód.

Wstał i zawałał się - nie miał ochoty nakładać ciężkiej tuniki z metalowych kółek. Krótka chwila wytchnienia sprawiała mu przyjemność. Poczul spokój. Podmuch wiatru unosił nad wodą strzępy mgły. Usłyszał daleki, niewyraźny dźwięk, przypominający echo kościelnych dzwonów w dolinie. Uniósł głowę i nasłuchiwał. Włosy na karku zjeżyły mu się ostrzegawczo; nie był sam.

- Kto tu? - spytał krótko po francusku i po angielsku.

Bez odpowiedzi. Tylko cichy szum gałęzi nad głową.

Rozejrzył się, sięgając po miecz.

Po drugiej stronie wody, wpółukryta w gęstwinie głogu i otoczona potężnymi dębami, widoczna była wysoka skała. W dawnych czasach ludzie wysławiali boskość dębów, wierzyli, że drzewa mają duszę. Niegdyś Rhys uważał, że to prawda. Przysięgłby, że

tajemnicze twarze spoglądają na niego zza pni i poskręcanych konarów.

Błyskawicznie narzucił lnianą tunikę, złorzecząc na zdrętwiałe z zimna palce. Jego miecz zadźwięczał lekko o pniak. Znowu wróciło nieodparte wrażenie, że nie jest sam. Gestem mającym oznaczać ostrzeżenie, dobył miecz i zadał nim kilka ciosów w kierunku wymagowanego wroga. Zabłyśło ostrze.

- Brawo, rycerzu - dotarli do niego ciche, kpiące słowa w płynnej francuszczyźnie. - Walczysz z wiatrem?

Rhys natychmiast poznał po głosie ową pannę, która ich ostrzegła na leśnej drodze. Wyprostował się szybko, szukając jej wzrokiem między zamglonymi drzewami.

- Pokaż się, dobra pani, bym mógł podziękować ci za przestrożę.

Krzaki i liście poruszyły się lekko, ale nie dojrzał śladu dziewczyny. Dochodził go jedynie młody głos, cichy i kpiący.

- Zaufałeś moim ostrzeżeniom, czy sam zamierzasz obejrzeć podmyty most?

- Ani jedno, ani drugie. Wysłałem ludzi, by sprawdzili, w jakim jest stanie. - Przerwał. - W tych ciemnościach, gdyby nie twoje ostrzeżenie, niechybnie spotkałby nas jakiś wypadek.

Gdyby nie szelest liści na wietrze, byłoby całkiem cicho. Rhys patrzył w mroczne listowie i czekał. Gdy odezwała się ponownie, była już znacznie bliżej. Powoli odwrócił się w stronę, z której dochodził głos.

- Wyjdź, abym mógł cię ujrzeć w świetle dnia, chyba że chcesz zgasić słońce. - Teatralnym gestem przysłonił oczy i spojrzał na przenikające przez liście promienie wschodzącego słońca. - Nie? Nadal świeci. Pokaż się.

- Jak mi się spodoba. Wczoraj miałam ochotę gasić słońce. Dzisiaj nie musi to być aż tak zabawne.

- Łatwe wytłumaczenie, co może zwieść głupca. Czyżbyś się bała?

- Jeśli dobrze pamiętam, nie ja klepałam pacierze, dygocąc ze strachu. Dlaczego myślisz, że się boję?

- Skoro nie, wyjdź, zamiast chować się za drzewami, jak dzieciuch albo leśny duszek.

Rozległ się cichy śmiech. Ponownie poczuł drażniący zapach

jaśminu, który dotarł do niego wraz z powiewem wiatru i zdawał się otaczać go zewsząd.

- Nie boję się ludzi - padła odpowiedź. Przypomniawszy sobie, że to samo powiedziała poprzedniego dnia.

- Nie? Wszak trzęsiesz się w krzakach niczym zajac. Czy wyglądam aż tak groźnie, że boisz się podejść bliżej? - Mając nadzieję, że tym ją uspokoi, wbił ostrze miecza w mokry grunt między rozstawionymi stopami z takim impetem, że rękojeść zadrżała.

Znowu zapadła cisza. Z początku nie dostrzegł jej, tak dobrze wtopiła się w zieleń liści i gałęzi. Zobaczył ją dopiero po chwili, sunącą z gracją po suchym leśnym poszyciu. Piękna, pachnąca jaśminem i tajemnicza, przybliżyła się z uśmiechem na ustach.

Nie zapomniał, jak bardzo była urodziwa.

Kości policzkowe podkreślały piękno dużych czarnych oczu okolonych jeszcze ciemniejszymi rzęsami, a jej śniada skóra miała delikatność róży. Usta o linii kpiąco-zalotnej, ledwie widoczny dołek z jednej strony, mały nos, nadający jej figlarny wygląd. Tym razem zauważył trywialne szczegóły prostego odzienia: długa suknia, luźny płaszcz z samodziałowej wełny, bez wykwin-tych, futrzanych lamowań, zdobień, haftu i złotej broszy, która zwykle spinała luźne poły płaszcza zamożniejszych dam.

Chociaż jej odzienie było podniszczone i postrzępione, postawę zachowywała iście królewska, gdy podchodziła do niego z władc-ym dostojenstwem. Może nie była wysoko urodzoną damą, ale nie była też prostą dziewczką w plebsu.

Gdy przystanęła pod kłującymi gałęziami głogu, przez liście przebił się słoneczny promyk, przeniknął mgłę i oświetlił jej twarz. Rhys postąpił do przodu. Wyciągnął dłoń z dworną galanterią, otwierając jej wnętrze, by panna mogła złożyć na niej swoją. Długie, smukłe palce lekko drżały... miękkie, drobne i delikatne. Czyżby to córka zamożnego mieszczanina spacerowała po lesie, uwodząc zbłąkanych rycerzy? Rhys spojrzał na nią z uśmiechem.

Odpowiedziała mu tym samym. Jej ciemne oczy błyszczały niby księżyc spoza chmur, zacienione i obiecujące. Lekki powiew poruszył ciemne włosy, niosąc ze sobą uderzający do głowy zapach jaśminu.

Przyglądała się bacznie nieznanemu rozumnym spojrzeniem.

- Czyżbyś chciał zatańczyć, rycerzu?

Rozbawiony rozejrzał się dookoła.

- Tańczyć? Tutaj?

- Aha. Wszak to May Day, pora świętowania. Jest i dekoracja z białego kwiecica, wiatr gra w konarach drzew, zastępując piszczałki, plusk fal brzmi niczym harfy. Wymarzone miejsce, żeby ruszyć w tany.

- Uczyłem się tańczyć jeszcze giermkim, choć w wielkich salach, a nie w lesie - odparł stropiony.

- Jesteś zatem dobrym partnerem. - Wyciągnęła drugą rękę. Patrzyła wyzywająco, uśmiechała się kusząco.

Brian zwykł mawiać, że jego druh jest niespełna rozumu. I rzeczywiście, Rhys nie był pewien, czy z powodu panny nie traci zdrowego rozsądku. Świeciło słońce, szumiały drzewa poruszane lekkim wiatrem, świat zdawał się najzupełniej normalny, a jednak w owej pannie było coś nieuchwytnego, przejmującego i oszałamiającego. Poczuli się nagle beztroski i młodsi, niż byli w istocie. Ujął jej dłonie i zaczął płaszać, a jego stopy same znalazły rytm bezgłośnego tańca. Zaśmiała się cicho. Delikatne dzwoneczki zadzwieczyły na wietrze.

Rosa moczyła stopy, połyskiwała na butach srebrnymi kropelkami. Brzeg opończy Sashy namókł także, zamiatając trawę, pozostawił ciemniejsze ślady tam, gdzie słońce nie zdążyło wysuszyć źdźbeł. W radosnym tańcu obydwójce stracili poczucie czasu. Igrali jak dzieci, nie troszcząc się o nic, rozbawieni, roześmiani.

Gdy słońce zaczęło mocniej przygrzewać, w powietrzu rozszedł się intensywny zapach głogu. W Anglii nastały błogie dni, mężczyźni zapominali o wojaczce, a ich myśli zwracały się ku innym niż zbrojne czyny zajęciom. Jezu, miesiące minęły od dnia, gdy ostatni raz przepędzał czas z kobietą, a żadna nie była tak cudowna jak ta. Była upajająca. Drażniła się z nim, wabiła go, przysuwała się blisko, bliźniutko, a kiedy chciał ją objąć, umykała wstydliwie. Szczwana lisiczka. Słodka uwodzicielka. Diana łowczyni, a także Wenus, bogini miłości i piękna, w jednej drobnej postaci.

Rhys przyciągnął ją do siebie, otoczył ramieniem kibić, przytulił mocno. Była szczupła, ale mocna, żywa i realna, wbrew ponurym przestrogom przesądneho Briana. Kobieta z krwi i kości, ciepła,

o miękkich ustach, i tylko to chłodne, kpiące spojrzenie nie licowało z postacią, oddalało od świata. Gdyby nie ono, Rhys czuł, że strawiłby go ogień, który wzniciła w nim tajemnicza panna.

Bez tchu, znużeni, ale rozradowani, zatrzymali się pod drzewem. Dziewczyna oparła głowę o pień, rozchyliła w śmiechu wargi. Rhys pochylił się. Zatopił palce w jej włosach, nachylił się i czekał z ustami tuż przy jej ustach. Jej piersi zaczęły unosić się i opadać w przyspieszonym oddechu. Powoli wodził palcami po jedwabnych pasmach. Kiedy nie odsunęła się, jego ręka sięgnęła niżej, na biodro okryte ciężką opończą.

Zniecierpliwiony przeszkoda, odrzucił poły płaszcza i wsunął dłoń pod wełniane fałdy. Dotknął gładkiej skóry na brzuchu, po czym przesunął dłoń na plecy. Z ustami ciągle otwartymi tuż przy jej rozchyłonych wargach, spragniony, przygarnął ją mocno. Teraz miał jej uda między swoimi udami. Wcześniej zrzuciwszy kolczugę, pozbawiwszy dziewczynę opończy, czuł podniecające gorąco bijące od jej ud.

Wtem odkręciła się zreźnie, gotowa do odwrotu, odstąpił zatem, ale w dłoni ciągle ścisnął poję purpurowej opończy. Stał tak, z lekkim uśmiechem na twarzy. Dziewczyna zawahała się. Korzystając z jej niezdecydowania, ponownie wzięła ją w ramiona.

- Słodki kwiatuśzku - szepnął i zanurzył twarz w zagłębieniu szyi, wdychając zapach jej włosów. Zadrżała. Czuł, jak krew pulsuje mu w skroniach, słyszał w uszach jej gwałtowne i głośne uderzenia. Odrzucił precz wszelkie skrupuły.

Pociągnął ją za sobą na trawę pod drzewem. W kilku ruchach zdjął z niej płaszczy i rozłożył, po czyni delikatnie posadził ją na posłaniu z wełny i trawy. Usiadła z wdziękiem, z ręką nadał uczepioną jego ramienia, z niepewnym uśmiechem na ustach.

Całował ją bardzo łagodnie. Nie protestowała. Przesuwał dłońią wzdłuż jej ciała, muskał opuszkami palców fałdy sukni, docierając ostatecznie do zakola bioder. Teraz całował ją mocniej, tak długo, aż się położyła. Wtedy uniósł głowę i przez dłuższą chwilę uważnie się jej przyglądał. Odpowiedziała spojrzeniem pełnym obietnicy. Owinął wokół palca długie pasmo jej włosów, potem je rozpuścił i łaskotał końcami jej zroszone policzki.

Żadne z nich nie odezwało się ani słowem, jakby w obawie, że

z pierwszym wypowiedzianym zdaniem pryśnie urok chwili, a wzajemne oczarowanie ulotni się raz na zawsze i cudowny świat zapadnie się w nicość. Znowu ją całował, pieścił ustami jej wargi, rozsuwał je językiem, by pozwoliła mu wnikać do środka.

Sięgnął jedną ręką do rzemieni nagolenników i butów, zrzucił je i zadrzał, czując, jak dziewczyna przeciąga się zmysłowo. Całując ją, położył dłoń na wypukłości piersi. Zacerpnęła haust powietrza, ale nie próbowała zrzucić jego ręki. Ośmielony, umieścił kciuk na niewielkim, wyczuwalnym pod wełną wzgórkę, który pod wpływem jego dotyku zaczął twardnieć. Nie mogąc się oprzeć, przesunął palcami po nagiej szyi.

Zacerwieniła się, schwyciła jego rękę. Rozchyliła lekko wargi, jej oddech stał się szybszy i nierówny.

- Nie... - szepnęła, burząc czar. - Nie powinniśmy...

Zaschło mu w gardle. Odchrząknął i powiedział chrapliwym głosem:

- Byłoby nam dobrze, cudna panno. Jesteś najbardziej bajecznym kwiatem, jaki kiedykolwiek widziałem.

Uśmiech zadrzał na jej ustach. Nie puściła jego ręki.

- Ty także, piękny panie, jesteś najdzielniejszym wojem i najdwojniejszym pośród mężczyzn - powiedziała cicho. Spojrzał na nią spod oka, więc dodała: - Ty nigdy nie złamiesz rycerskiej przysięgi.

Niezbyt to miłe z jej strony, by w chwili takiej jak ta przypominać mu o rycerskich zasadach, pomyślał kwaśno, acz nieco ochłódł w swych zapałach; prawdę jednak rzekłszy, w niewielkim tylko stopniu. W końcu była to gra podobna do tych, jakimi zabawiały się sprytnie damy dworu. Drażniły zalotników i kusiły, udawały niechęć, dopóki rozpalony nieszczęśnik nie spełnił każdej ich zachcianki, a wtedy mógł liczyć na nagrodę. Nie był nasz Rhys w tej grze nowicjuszem. Nauczony latami doświadczeń, wiedział, że wytrwałość przynosi efekty, otwierając drzwi do niewieściej alkowy.

- Słodka dziewczeczko, nie uczynię nic wbrew twojej woli - mruknął z uśmiechem.

- Jesteś dwornym rycerzem - odrzekła szeptem, lecz Rhys niewiele słyszał, tak mocno biło mu serce, choć starał się oddychać miarowo. Za długo, o wiele za długo to trwało. Była o niebo ponętniej sza niż wszystkie inne i tak pełna czaru, że te, które

spotykał po powrocie do Anglii, w niczym się do niej nie umywały. A do tego miał ją tutaj, na wyciągnięcie ręki, chętną mu, nawet jeśli trochę wahlwią. Powinien zjawić się w Coventry nazajutrz, ale wtedy straci jedyną być może w życiu okazję.

Dziewczyna była naprawdę urocza i słodka, warta zachodu. Powściągnął nieco swoje pożądanie i od niechcenia pogłaskał ją najpierw po policzku, a potem po ustach. Krew zawrzała mu w żyłach. Nie, nie ruszy w drogę, zostanie tutaj, pokona jej opór spokojną, ale stanowczą perswazją. Pieszcząc ją, całował ostrożnie gładkie czoło, szyję, delikatne miejsce za uchem. Poczuli, że zadrżała. Gdy jej oddech znowu stał się przyspieszony, pochylił się i ponownie zagarnął jej usta w pocałunku obiecującym rychłe zwycięstwo.

Ledwie zaczął całować dołeczek w policzku, gdy usłyszał głos wołający jego imię. Daleki i natarczywy. Próbował go zignorować, ale głos szybko się zbliżał. Rhys jęknął, że podbój, co tak rozkosznie się zaczął, już został przerwany, uniósł głowę i rozejrzał się. Nie od razu pojął, gdzie jest. Bo też leżeli w trawie daleko od miejsca nad wodą, gdzie się spotkali. Olcha skrywała ich swymi gałęziami, nieopodal płynęła malutka rzeczulka, tocząc fale z głośnym pluskiem. Od drzew schodziło w dół trawiaste zbocze.

Dziewczyna wyprostowała się i położyła dłoń na policzku rycerza. Jej oczy błyszczały, rozświetlone niedawnymi pocałunkami.

- Muszę iść - wyszeptła. - Robi się późno.

Wziął ją za rękę i przytrzymał dłużej.

- Nie idź. Poczekaj. To tylko Brian. Odeślę go precz, niech sobie wraca, skąd przyszedł.

Łagodnie uwolniła rękę i wstała. I on podniósł się z ociąganiem.

- Ja nie mogę... - Spojrzała za siebie; głos Briana słyszeć było coraz bliżej. Owinęła się płaszczem i cofając się o krok, powiedziała: - Muszę iść.

Znowu chwycił jej dłoń i bezwstydnie, poządliwie pogłaskał jej wewnątrz.

- Zaczekaj. Powiedz, jak masz na imię, powiedz, gdzie mieszkasz. Musimy znowu się spotkać, jak tylko go odeślę.

Uwolniła dłoń i zrobiła krok do tyłu.

- Tak, powinniśmy spotkać się znowu - powiedziała z cudownym uśmiechem.

Nie zamierzał puścić jej tak łatwo, lecz powstrzymał go głos Briana.

- Rhys! - wrzeszczał, utyskując i klnąc gdzieś za kępą głógów.

Przeklęty Brian. Odwrócił się na moment i odkrzyknął mu niecierpliwie, że wyjdzie do niego za chwilę. Trwało to sekundę, ale dziewczyna zdążyła zniknąć. Jezu. Była tu przed chwilą, stała obok gęstych gałęzi kwitnącego głogu, a teraz jej nie ma, jakby rozplynęła się w powietrzu. Rozglądał się ogłupiały i rozeźlony.

- Rhys - dobiegł spokojniejszy już głos Briana, brnącego przez maliniak. - Gdzie się podziewałeś cały dzień?

- Cały dzień? - Rhys oderwał wzrok od miejsca, gdzie przed chwilą widział dziewczynę i rzekł do druha: - Przecież jest wcześniej rano. Co się z tobą dzieje? Nie zauważyłeś, że jestem zajęty?

Warkliwe przekleństwo, które towarzyszyło pytaniu, sprawiło, że Brian z trudem przełknął ślinę.

- Tak, milordzie - odrzekł, parząc w ziemię. - Dobrze widziałem, ale...

- Postanowiłeś to zignorować - zirytowany, przerwał mu w pół słowa. - Spłoszyłeś mi ją i Bóg jeden wie, czy jeszcze kiedyś ją zobaczę.

- Ją? - Brian podniósł głowę, kiedy wreszcie udało mu się wyjąć cierń z palca, i gwałtownie zamrugał. - Byłeś z kobietą, panie?

- Sam przecież powiedziałeś, żeś dobrze widział. Na Wszystkich Świętych, Brian, zaczynam myśleć, że wino pomieszało ci we łbie.

- Nie, lordzie. Szukałem cię wszędzie. Już myśleliśmy, że coś złego ci się przytrafiło, zabłądziłeś albo dzik cię powalił. W lesie nietrudno o nieszczęście, a ty przepadłeś bez śladu, no to...

Rhys zaczął wiązać rzemienie przy butach.

- Poszedłem wykapać się w stawie... - Przerwał raptownie. - Moja kolczuga i hełm. Musiałem je zdjąć, ale nie pamiętam...

Brian popatrzył na niego dziwnie.

- Dlaczego tak mi się przyglądasz? - Rhys zmrużył oczy.

- Kolczugę i hełm znaleźliśmy już dawno. - Brian przełknął

ślinę. - Prawie południe, słońce wysoko, już traciliśmy nadzieję, że cię znajdziemy... Byłeś z nią, tak? Z królową elfów?

- Obiecuję ci, przyjacielu, że kiedy wrócę do obozu, sprawdzę, ile wina ubyło w bukłaku. Przeczuję, że jest znacznie lżejszy niż był, gdy wychodziłem rano. - Chciał wyminąć Briana, ale ten schwycił go za ramię.

- Powiadają, że kiedy spotkasz leśną wróżkę, czas, jak zaczarowany, staje w miejscu. Zdarza się, że człowiek w ogóle nie wraca z takiego Rendez-vous - rzucił chrapliwie.

Rhys wyszarpnął ręką, zły, że czuje dziwną, nieznaną boleść w sercu.

- Leśna wróżka? Zupełnie chyba odjęło ci rozum. To zwykła dziewczka, któżby inny? Pewnie córka jakiegoś mieszczanina, tak myślę. - Na te ostre słowa twarz Briana zrobiła się tak czerwona, jak jego ogniście rude włosy. Udzieliwszy druhowi reprimendy, Rhys dodał już spokojniej: - Może i czas płynął szybciej, niż myślałem, ale to nie znaczy, że mam wysłuchiwać twoich bająn o elfach i ich królowych. My... - przerwał, zatrwożony. O mało nie przyznał, że tańczyli jak dzieci, czcząc majowe święto. Brian gotów pomyśleć, że jego dowódca pęsał po lesie z duchami. Pokręcił głową. - Byłem z panną, aleś ją, huncwocie, wystraszył swoimi wrzaskami i to tak skutecznie, że czmychnęła jak sarna.

Nie śmiać spojrzeć w gniewne oblicze Rhysa, Brian zagapił się na gałęzie głogu, a potem ostrożnie przeniósł wzrok na pobliską kępę drzew.

- Popatrz na te drzewa! Dąb, jesion i krzew ciernisty, toć to wróżebna trójca. Twoja panna to czarownica. Żeby uciec, zmieniała się w głóg - zakrakał zdławionym z przejęcia głosem.

- Diabeł cię opętał, Brianie. Pomyśl chwilę, o czym gadasz, człowieku. Raz wróżka, raz wiedźma, zdecyduj się, kim ona w końcu jest? - Machnął niecierpliwie ręką. - Łeb nabity masz klechdami, co je ludzie po wsiach opowiadają. Dość o tym. Poszła sobie i może nigdy już jej nie zobaczę. A nam pora ruszać. Pora jechać do Coventry, bom dość czasu zmitrężył. Siądziesz na koń, zdrożysz się, to i zapomnisz o tych swoich elfach. Za każdym krzakiem widzisz smoka, pod każdym mostkiem chochliki.

Brian zbył przytyk milczeniem, ale w jego minie i postawie

tylż było potępienia dla Rhysa, co autentycznego przestraczu. Czas rzeczywiście upłynął mu bardzo szybko. Gdy dotarli do obozu, słońce świeciło wysoko. Ludzie dziwnie popatrywali na swojego dowódcę, jakby przybył z innego świata.

Nawet jego walijski giermek, Morgan, który towarzyszył mu od najwcześniejszych czasów, kiedy opuścił Walię i ruszył w świat, spoglądał na niego podejrzliwie, kiedy podawał mu kolczugę i miecz. Na jego nagany sobie zasłużył. Już igraszki z wrózkami były rzeczą niebezpieczną, bo człek z nieczystymi siłami się bratał, ale żeby doświadczony rycerz porzucał kolczugę i miecz, za nic mając własne bezpieczeństwo? Czysty idiotyzm.

- Przyrowadź mojego konia - rzucił Rhys, odbierając od Morgana uzbrojenie. - Ruszamy do Coventry.

Morgan zerknął na słońce, ale roztropnie powstrzymał się od komentarza.

- Tak, panie - mruknął posłusznie.

Rhys wykrzywił usta w ponurym uśmiechu. Brian asystował przy wkładaniu zbroi, milcząc wymownie i bez wątpienia oskarżycielsko. Powoli rosło napięcie. Morgan przyprowadził konia, Rhys przypasał miecz. Musiał pokazać im, że w tej chwili nie interesuje go nic poza podróżą. W Coventry miał ważne spotkanie z posłańcem Owaina, tymczasem zwlekał z wyjazdem zbyt długo.

Dosiadł niespokojnego rumaka, obrócił w miejscu i pognął przed siebie. Spod kopyt trysnęły grudy ziemi. Słyszał za plecami, jak jego ludzie ze wszystkich sił starają się utrzymać narzucone tempo. Owszem, udało mu się sprawić, że wojowie zapomnieli o niefortunnym poranku, ale w nim samym cały czas gorzało pragnienie rozbudzone przez dziewczynę.

Zatem tańczyłaś z nim. Czy to już wszystko? - dopytywała się Elspeth, upychając odzienie do skórzanego saka.

Sasha zaczerwieniła się pod uważnym spojrzeniem starej pias-tunki, która, jak jej się nieraz zdawało, także posiadała Dar. Zbyt często odgadywała jej myśli i pragnienia.

- Nie - odrzekła Sasha. - To nie wszystko. - Napotkała zacie-kawione oczy Biagia. - Jeszcze się... całowaliśmy.

- No nie, jeszcze jeden „francuski trubadur”. - Jęknął boleśnie. - Mam od razu poderżnąć gardło temu galantowi, czy będziemy skazani na wysłuchiwanie jego westchnień i innych smętnych odgłosów, co to mają świadczyć o dozgonnej miłości?

Sasha uśmiechnęła się słodko.

- Biagio, jeżeli myślisz, że możesz... - zaczęła surowo.

Puściła mimo uszu jego ciche przekleństwo. Nad paleniskiem unosiła się smużka dymu. Tobołki zostały spakowane. W ciszy, która nagle zapadła, dało się słyszeć ciche porykiwanie osiołka. Zerknęła na Elspeth.

Niania mocno zacisnęła usta.

- Całowałaś się, tak? Ty, niewinna panna...

- Owszem, i to był mój własny wybór. Gdybym chciała stracić wianek, już dawno bym to zrobiła. Okazji nie brakło, chętnych do amorów wszędzie pod dostatkiem. - Kiedy Biagio parsknął, rzuciła mu srogie spojrzenie. - Nie widzę nic przyjemnego w tarzaniu się na sianie. Nie rozumiem, co kobietę ciągnie do tego, żeby chędożyć się w ciemnościach, wszystko jedno, z księciem, czy z wieśniakiem. To jakieś zberezeństwa, choć jeno i nic więcej.

Elspeth westchnęła.

- Nie w tym rzecz. Zgadzam się z Biagiem. Twój urodziwy zalotnik to pewnie jakiś maruder, a już na pewno cudotwórca z niego nie zrobisz.

- Kilka pocałunków nie znaczy, że mam go za Tristana - odpowiedziała cierpko. - Chociaż... Gdybym знаła jakąś miłosną miksturę, która rzuciłaby go do mych stóp, pewnie bym mu ją podała, ale wcale nie z tego powodu, o którym myślisz.

Cud prawdziwy, że ziemia nie rozstąpiła się jej pod stopami i nie pochłonęła za wypowiedane kłamstwa.

Właściwie wcale nie chciała, by się w niej rozkochał, ale o ileż łatwiej byłoby prosić go o pomoc, gdyby pragnął od niej czegoś więcej, aniżeli zlec z nią gdzieś w stogu siana.

Elspeth nadal minę miała srogą, nieustępliwą.

- Chyba nie wyobrażasz sobie, że kilkoma niewinnymi pocałunkami nakłonisz go do wojny.

- Uważasz, że zmierzam do czegoś więcej? - Sasha uśmiechnęła się, słysząc te zrzędzenia. - Och, Elspeth, możesz być pewna, że

będę ostrożna. Nie chcę od niego nic, jeno uczynić użytek z jego miecza i jego armii.

- Też mi armia - zadrwił Biagio. - Jeżeli myślisz, że owe dwie dwudziestki zbrojnych, com je widział, a co trzęsą się na najmniejsze wspomnienie o duchach, może odbić twoje ziemie i pokonać twoich wrogów, to chyba śnisz.

- Nie powiedziałam, jak ma tego dokonać, ale wiem, że dokona, orężem bądź sposobem. Jest moim obiecany zuchwałym rycerzem z...

- Z przepowiedni - dokończył za nią Biagio mocno zirytowany, z błyskiem w oczach. - Znam cię raptem pięć lat i samo słowo „przepowiednia” już mnie męczy. Nie chcę nawet myśleć, co na to Elspeth.

- I mnie kończy się cierpliwość - przyświadczyła Elspeth. - Brak mi już słów. Człowiek tylko strzepi sobie język po próżnicy. Próbuje odwieść Saszę od jej zamiarów, to jakbyś Nil kijem zawracał. Jedyna nadzieja, że tym razem nie sprowadzi na nas nieszczęścia.

Poprawiając się na skalnej ławie, Biagio skinał głową.

- Ciarki mnie przechodzą, kiedy przypominam sobie jej pomysły. Do tej pory myślałam, że nie zdoła już wymyślić nic gorszego niż tamta maskarada dla austriackiego księcia, kiedy kazała nam tańczyć na linie, ale teraz...

- To był dobry pomysł - stwierdziła Sasha tonem urażonej godności. - Naprawdę wyśmienity. Byliby nas suto wynagrodzili, gdybyś posłuchał kilku najprostszych instrukcji.

Wyprostował się, jakby coś go ubodło.

- Najprostszych, powiadasz? Uważasz, że łatwo jest skoczyć z galerii dla muzykantów ponad głowami obiadujących wielmożów?

- Byłoby się udało. Zabezpieczałam cię. Były tam różne bloczki i liny, ale ty nie słuchałeś, kiedy ci tłumaczyłam, jak działa mechanizm. Wszystko popsułeś.

- Powiedz to komuś, kto nie spadł na sam środek stołu z pasztetami, pieczonym ptactwem i czerniną. Czernina to był już mój wkład kulinarny - wyjaśnił z przekąsem. - Nigdy tak nisko nie upadłem.

Na widok ponurego wyrazu jego twarzy, Sasha uśmiechnęła się.

- To był gwóźdź programu. Najbardziej ubawił się sam książę.

Przyznał, że dawno się tak serdecznie nie uśmieał. Zapłata była stosowna do twojego partactwa.

Jak mogła się spodziewać, burknął pod nosem kilka słów nie do powtórzenia, ale nawet go nie ofuknęła. Nie chciała ciągnąć sprzeczki.

Elspeth nie brała udziału w wymianie zdań, zajęta pakowaniem skromnego dobytku. Napięcie i tak już było wystarczająco silne, nieznośne dla całej trójki. Biagio też miał dosyć. Skwaszony wyszedł z jaskini, by załadować swoje rzeczy na mały drewniany wózek. Sasha czekała.

W końcu Elspeth podniosła głowę.

- Skąd wiesz, że to właśnie on? Skąd wiesz, że można mu zaufać? Boję się go i lękam się o ciebie.

Znowu to samo.

- I ja nie mam pewności, też się lękam, Elspeth - przyznała zgodnie z prawdą. - Wiem tylko, że muszę jechać za nim do Coventry. Wiesz może, gdzie to jest?

Elspeth ogarnęła strach.

- Coventry. Dwadzieścia mil stąd... - Zmrużyła oczy. *Ale bliżej do...*

Sasha patrzyła na nianię podejrzliwie. Elspeth zaczęła nagle myśleć o wiosennych kwiatach i o cudownym wynalazku, jaki widziała niegdyś w Bizancjum. Znała tę sztuczkę. Nie mogła pozwolić, by rozprasało ją wspomnienie zadziwiającego mechanicznego anioła, grającego na trąbce.

- Przyznaj się, co ty knujesz, Elspeth? Wiesz przecież, że i tak cię przejrzę, kiedy nie będziesz się pilnować.

- Jesteś czasami nieznośna. Tyle razy mówiłam ci, że nieładnie czytać w ludzkich myślach. - Uśmiechnęła się nieznacznie. *Skoro jesteś tak zuchwała, że podłuchujesz moje myśli, oto i one: Jeżeli rycerz odmówi spełnienia twojej prośby, będziesz musiała iść ze mną do mojej wioski i zapomnieć raz na zawsze o przepowiedniach... Przysięgnij, Sasha, bo ja jestem już stara i chcę, żebyś była bezpieczna... Przysięgnij, przysięgnij przez wzgląd na mnie...*

Bała się, że Elspeth kiedyś ją o to poprosi. A wtedy koniec, przepowiednia nigdy się nie spełni. Elspeth starzeje się, spod chusty wymykają się pasma siwych włosów, twarz porały brudzy. Krok ma coraz wolniejszy, porusza się z trudem. Byłoby okrucień-

stwem dalej wlec ją z miejsca na miejsce, ale jeszcze większym jest opuścić staruszkę po tylu latach wspólnej tułaczki, nawet gdyby się ją zostawiło w rodzinnej wiosce.

- Jeżeli nie zdołam nakłonić rycerza - zaczęła powoli, a każde wypowiedane słowo zdawało się torturą - nigdy więcej nie wspomnę o przepowiedni.

- I zostaniesz ze mną w mojej wiosce? Przysięgnij, przysięgnij, dziecko, proszę...

Sasha zamknęła oczy i skinęła głową.

- Przysięgam...

Jak myślisz, zgodzić się na cenę pana Beakinsa? - szepnęła Elspeth na stronie.

Sasha naciągnęła kaptur, chroniąc twarz przed gorącymi promieniami słońca. Popatrzyła na handlarza, który zażądał przed chwilą znacznie więcej, niż proponowały. Pewny siebie, czekał cierpliwie, szczerząc zęby.

Wsiowe prostaczki. Niech no tylko Walter Pinchbeck usłyszy, żem im puścił to narwane zwierzę za dwie korony... oczy mu wyjdą z głowy. Jedna korona to i tak byłoby za wiele za tą przeklętnicą.

Sasha z uśmiechem położyła dłoń na szyi gniadej klaczy, przywiązanej do płotu.

- Nie, Beakins weźmie, ile dajemy, i będzie szczęśliwy, że dostał tak dużo. Wspomnij, że Walter Pinchbeck ma konia znacznie lepszego od tego, i to za jedną koronę.

Elspeth odeszła, by płynną angielszczyzną dobić targu z Beakinssem. Tymczasem obok Sashy pojawił się Biagio.

Oparty o płot, w zamyśleniu przyglądał się klaczy.

- Powiadają, że Beakins to taki człek, co potrafi sprzedać kanarka za słońca. Mówią też, że to niebezpieczny koń.

- Nie jest niebezpieczny. Ci, co tak gadają, nie znają się na rzeczy.

Biagio zachmurzył się.

- Po co ci właściwie koń, skoro mamy naszego Sokratesa?

- Sokrates nie jest wierzchowcem, serdeńko, tylko poczciwym osiołkiem, który ciągnie wózek. A ja nigdy jeszcze nie widziałam takiego konia.

Biagio zaklął pod nosem po włosku. Sasha, odgadując, co mu chodzi po głowie, parsknęła śmiechem. Tym razem nie mogła go winić. Miał jej za złe nową fanaberię, ale kiedy ujrzała klacz, uparła się, że musi ją kupić. Do Coventry jeszcze szmat drogi, a starym wozem posuwali się bardzo powoli. Mając konia, mogła ruszyć przodem na poszukiwanie Rhysa. Pozostawało tylko przekonąć Elspeth, by wypuściła ją spod swoich opiekuńczych skrzydeł.

Mruczała cicho do drżącej klaczy, drapała ją za uszami, głaszcząc różowe, delikatne chrapy. Kasztanowata, naoliwiona sierść błyszczała w słońcu. Sasha umiała obchodzić się z końmi, lubiła je, bezbłędnie wyczuwała ich nastroje i potrafiła je bez trudu okiełznać, gdy się narowiły.

Elspeth wróciła z triumfującą miną. Dobiła targu. Sasha patrzyła na nią rozbawiona. Wysoka, koścista, odziana w tunikę z szorstkiej wełny z kapturem, skórzany kaftan, grube pończochy, ciężkie ciżmy, przepasana szerokim pasem skórzany, dla całego świata wyglądała jak wolny człowiek, i tak właśnie miała wyglądać. Często uprawiali podobną maskaradę podczas podróży. Dzięki temu mieli gwarancję, że żaden kupiec ich nie oszuka, jakby to uczynił, mając do czynienia z egzotyczną dziewczyną i młodzikiem mówiącym łamaną angielszczyzną. A Elspeth sprawiało wielką przyjemność, że może przechytryć jarmarcznych straganiarzy.

- *Dieu merci* - stwierdziła z satysfakcją, gdy stanęła przy płocie. - Ledwie napomknęła o Walterze Pinchbecku, Beakins natychmiast spuścił cenę o połowę i zaprzestał targów. No i teraz oprócz Sokratesa mamy do wykarmienia jeszcze tę bestię.

Sasha zaśmiała się.

- Beakins od dawna po waśniony jest z panem Pinchbeckiem i koniecznie chce być od niego lepszy we wszystkim. Wolał opuścić cenę, niż dać zarobić swojemu wrogowi. Wiedziałam, że to poskutkuje. - Pogłaskała piękną głowę zwierzęcia. - Beakins myśli, że klacz nas wykończy, zanim ujedziemy milę. Ale ja wiem swoje.

Do konia zaś szepnęła w sekretnym języku:

- Nazwiemy cię Bayosha. Będiesz szybka jak wiatr.

Odwiązała klacz i wyprowadziła ją poza ogrodzenie. Elspeth przezornie skryła się za wozem zaprzężonym w osła, przerażona płasami klaczki - widziała wcześniej, jak Bayosha jednym kop-

nięciem rozbiła bramkę z drewnianych pali; jej narowy dobrze były znane wieśniakom z Wytham, którzy odsunawszy się na bezpieczną odległość zaśmiewali się teraz, jak to Beakins pozbył się w końcu narowistego zwierzęcia.

Nie zważając na otaczającą ją gmatwaninę myśli, wyrażanych w nieudolnym francuskim przeplatanim z angielskim, Sasha cały swój Dar skupiła na nerwowej klaczy. Tu musiała postępować zupełnie inaczej niż wobec ludzi. Zwierzęta kierują się niejasnymi odczuciami, a obrazy tych odczuć są zwykle bardzo mgliste. Klacz nie bała się śmierci, ponieważ śmierć dla prostego zwierzęcego umysłu jest pojęciem zbyt abstrakcyjnym, za to bardzo realnie bała się bólu, ponieważ go doświadczyła.

Sasha chłoneła całą duszą strach konia i próbowała zapanować nad nim sposobem, jakiego nauczyła się dawno temu. Pozwalała, by przechodził na nią, jej samej nie czyniąc żadnej szkody.

- Beakins ją katował - powiedziała do Elspeth, gdy dotarli na dziedziniec karczmy Pod Dzikim, na północnych obrzeżach Wytham. - Dlatego jest taka płochliwa.

Elspeth skinęła głową ze zrozumieniem.

- Nietrudno w to uwierzyć.

Pozostawwszy konia pod opieką Biagia, który pierwiej dostał ścisłe wskazówki, jak się obchodzić ze zwierzęciem, Sasha poklepała Bayoszę po aksamitnych chrapach i weszła z Elspeth do gospody. Wspólna izba była mroczna i zadymiona, a tak przepełniona kłębowiskiem sprzecznych ludzkich emocji, że Sasha musiała przywołać całą siłę woli, by się od nich odgradzić. Znalazłszy stół w kącie, z dala od gwaru rozmów i dymu z paleniska, usiadły na twardych, drewnianych ławach.

Elspeth z posępną miną przyglądała się swojej wychowance. Sasha schowała ręce w szerokie rękawy opończy i wzruszyła ramionami. Niech sobie Elspeth myśli i mówi, co chce, ale ona i tak nie zaprzestanie poszukiwań. Siedem dni morderczo powolnej podróży zmęczyło ich wszystkich. Szczególnie ją. A jeśli Rhys opuścił już Coventry? Jak wtedy zdoła go odnaleźć? Rzecz wydawała się trudna, ale nie niemożliwa. Nie mógł być zwykłym rycerzem, jak sądziła Elspeth, skoro człowiek o imieniu Brian nazywał go lordem. Sama przecież słyszała tamtego dnia na

leśnym trakcie. Lord nie może być prostym rycerzem. To jakiś znaczny pan, a że podróżował bez świty, z niewielkim tylko zastępem? Widać chciał zachować swoją tożsamość w tajemnicy. Gdyby nie podsłuchała jego rozmowy ze śmiertelnie wystraszonym Brianem, którego głowa pełna była wyobrażeń o leśnych duchach, w ogóle nie wiedziałyby, że są w drodze do Coventry. Drużyna Rhysa posuwała się szybko. Teraz mogli być wszędzie.

Pograżona w myślach, uniosła głowę, gdy podeszła do nich córka karczmarza. Ledwie spojrzała w oczy dziewczyny, już wiedziała, co też młódka porabiała przed chwilą w sąsiedniej izbie. Szybko spuściła głowę i pozwoliła, aby Elspeth zamówiła jadło i piwo. Gdy dziewczka odeszła, Sasha pochyliła się w stronę Elspeth z figlarnym uśmieszkiem drgającym w kącikach ust.

- Chcesz wiedzieć, co ta niechlujna pannica robiła nie tak dawno temu?

- Sądząc po rozsznurowanych tasiemkach stanika, nie trzeba mieć specjalnych zdolności, żeby poznać, że swawoliła z jakimś parobkiem. - Elspeth skrzywiła się z niesmakiem.

Sasha zaśmiała się.

- Z synem młynarza. Cała kiecka w mące.

- Sasha. - Elspeth ściągnęła usta niby to z naganą, ale lekkie drżenie w ich kącikach zdradzało, że jest rozbawiona. Sasha uniosła brwi, a Elspeth ukryła twarz w dłoniach. Żadna nie mogła patrzeć spokojnie na dziewczynę, kiedy ta wróciła z półmiskiem gotowanej wołowiny i koszykiem chleba.

Mięso okazało się zylaste, a chleb tak twardy, że można by łupać nim kamienie. Sasha rychło straciła zainteresowanie posiłkiem. Czy angielscy wieśniacy nie znają innych sposobów przyrządzania jada, niż obgotowywanie lub opiekanie na otwartym ogniu, przez co mięso jest spieczone z zewnątrz, a surowe w środku? Jeżeli nawet znają, dotąd nie znalazła gospody, gdzie panowałyby inne obyczaje kulinarne.

- Masz zamiar jeść tę podeszwę? - spytała Elspeth, wskazując nożem półmisek.

Sasha pokręciła przecząco głową i popchnęła półmisek w stronę Elspeth.

- Smacznego, nie jestem głodna.

- Jeżeli zamierzasz odszukać tego twojego rycerza, powinnaś nabrać sił - stwierdziła krótko Elspeth.

- Nazywa się Rhys. - Sasha błędziła gdzieś myślami. - I jestem pewna, że nie jest zwyczajnym rycerzem.

- Rhys. - Elspeth prychnęła lekceważąco. - Jeżeli jest kimś ważnym, nie liczy, że będzie się palił spełnić twoje zachcianki, moja droga. Lepiej szukaj swojego chwata gdzie indziej.

Sasha zachmurzyła się. Istotnie, dlaczego dostojny lord, pan na rozległych włościach, miałby opuszczać dla niej Anglię? Chyba że przekona go, iż sprawa jest równie doniosła i godna podjęcia, jak godnym celem były krucjaty. To mogło poskutkować.

Rhys... Już samo jego imię wyczarowywało urzekające obrazy: słoneczna dolina, szare, zadymione oczy, wpatrujące się w nią z pożądaniem. Widziała to wszystko jak na dłoni, nawet bez swojego Daru. Wiedziała, że pragnął znacznie więcej niż kilka pocałunków pod olchą.

Rada, że Elspeth nie potrafi czytać w myślach, rozmyślała o nich z rozrzewnieniem, aż nagle zdjęła ją złość okrutna: cóż to za sentymenty, po co przywołuje przed oczy jego lśniące włosy, marsowe czoło, mocno zarysowaną linię szczęki? Po co wspomina bladą bliznę, która biegła od lewej skroni przez policzek, i te oczy z gęstymi, długimi rzęsami, niemal jak u kobiety. I uśmiech, wykrzywiający w ironicznym grymasie jego twarde usta...

Skończyły już prawie posiłek, gdy Sasha usłyszała w myślach znajome imię, które podziałało na jej rozmarzony umysł jak smagnięcie bicia. *Rhys*... Poderwała głowę, a kiedy otworzyły się drzwi, nie zdziwiła się, ujrawszy ogniste włosy Briana.

Rycerz w ciężkiej kolczudze, ten sam, który pierwszy dojrzał ją w puszczy, wkroczył właśnie do karczmy. Naraz zatrzymał się, zdjął hełm i powoli się rozejrzał. Sasha pochyliła głowę, nie chcąc, żeby ją zobaczył. Ten człowiek bał się jej, a taki strach może być niebezpieczny, bardziej nawet niż jawna nienawiść.

Elspeth dech zaparło na widok przybyłego; poznała go i czujnie zerknęła na Saszę. Rycerze zbrojcy, pomyślała. Nie możemy pozwolić, żeby nas zobaczyli.

Nie zważając na obawy niani, Sasha skupiła na Brianie swój Dar. Jeżeli Rhys jest w pobliżu, Brian wyjawi jego obecność,

nawet o tym nie wiedząc. Usłyszała jakieś słowa w nieznanym jej języku, przed oczami przemknął obraz mrocznego, pełnego cieni lasu, i sylwetka w płaszczu, w której rozpoznała samą siebie. A potem obłądny przestach, szaleńczy galop, tętent kopyt, ponaglenia, po czym czujny, nieufny, ale już w pełni świadom miejsca, w którym się znajduje, Brian na powrót był w karczmie. Czyżby przeczuł jej obecność? Musiał mieć pewien rodzaj wrażliwości, w przeciwnym razie nie rozglądałby się teraz za nią.

Sasha z rozmysłem odwróciła się tak, by dojrzał jej profil. Brian, gnany strachem, runął ku drzewom. Do Sashy docierały jego myśli w obcym języku, pomieszane, pełne zabobonnego lęku, wciąż jednak powtarzało się w nich imię Rhysa. Drzwi trzasnęły. Podniosła głowę i stwierdziła, że wyszedł.

- Czy to jeden z tych rycerzy zbójców z puszczy? - Dłoń Elspeth zacisnęła się mocno na rękojeści noża, którym kroiliła jedzenie.

Sasha skinęła głową.

Tak, Rhys był niedaleko, a jego rycerz poszedł go ostrzec. Przestraszyła się. Czy rudy Brian powstrzyma go przed wejściem go gospody? Zerwała się z ławy i podeszła do okna z przymkniętą okiennicą, otworzyła ją i wyjrzała na zewnątrz. Jest tam? Zgraja zdrożonych rycerzy, jeszcze na koniach i już spieszonych, kłębiła się na dziedzińcu. Zobaczyła, jak Brian podchodzi do Rhysa, który pochylił się właśnie, by obejrzeć podkowsy swojego wierzchowca. Zamienili kilka słów. Po chwili Rhys wyprostował się i popatrzył w stronę gospody. Szybko zamknęła okiennicę, zanim mógł ją zobaczyć. Czy zamierzał wejść do środka?

Święci niebiescy, a jeśli wejdzie? Włosy miała w nieładzie, cuchnęła jak koń. Och, dlaczego nie założyła lepszej sukni?

- Sasha, dziecko, co ty wyprawiasz? Gdzie ci tak spieszo?

Gdy drzwi do karczmy otworzyły się, Sasha uniosła kraj spódnicy i uciekła.

3

Mówię ci, ona tu jest. - Brian gorączkowo szarpał Rhysa za ramię. - Królowa elfów jest gdzieś tutaj. Siadajmy na koń i ruszajmy precz.

Rhys skrył palącą go ciekawość. Zapytał żartem:

- Widziałeś ją, mój Brianie, czyś może znowu słyszał dzwonki?

Gdy Brian zawahał się, Rhys uniósł kpiąco brew: ileż to sprzecznych emocji malowało się na wyrazistej twarzy jego drogiego, przesadnego druha.

- Nie, nie odpowiadaj, boś taki zastrachany, że nijak nie dasz świadectwa prawdzie. Sam sprawdzę, czy groźna królowa elfów nie czyha na nas w karczmie. Może chce nasypać do piwa czarodziejskiego ziela? Trzeba ją powstrzymać, zanim pozamienia nas wszystkich w ropuchy.

Rzucił wodze Brianowi i ruszył na spotkanie dziewczyny. Chmury zasnuły niebo, przyćmiły słońce, zerwał się wiatr. Rhys słyszał jeszcze, jak Brian mamrocze pacierze, ale machnął tylko ręką. Pochylając się w niskich progach gospody, zatrzymał się na moment. Po wielkiej izbie snuł się gęsty dym. Goście podnieśli głowy, jeden coś mruknął, że drzwi trzeba zamykać, bo w przeciagu łatwo o chorobę. Rhys zatrzaskał drzwi i wysilając oczy próbował przeniknąć mrok zadymionego pomieszczenia.

Nie dostrzegł jej. Ani w mrocznych kątach, ani bliżej ognia nie było żadnej czarnowłosej panny. Tylko kilku podróżnych i wędrownych handlarzy wieczerzało przy drugich, dębowych stołach,

albo popijało piwo, zasiadłszy wokół paleniska. Z zakopconej ściany spoglądała na niego rzeźbiona w drewnie głowa dzika, firmowy znak zajazdu. Zapach pieczystego i gorącego chleba skręcał mu żołądek, przypominając, że nic nie miał w ustach od chwili, kiedy o wschodzie słońca opuścili Coventry.

Dziewczyny nie było. Ani śladu śmiejących się oczu, kpiącego śmiechu, egzotycznych perfum, chociaż mógłby niemal przysiąc, że w woni pieczonego mięsa kryje się nuta jaśminu, co mogło oznaczać tylko tyle, że umysł płata mu figle.

Brian się pomylił. Normalna rzecz. Od tamtego dnia w puszczy ciągle słyszał dzwoneczki. Od starej wiedźmy tak szpetnej, że na jej widok psy umykały, podkuliwszy ogony, kupił amulet i nieustannie mamrotał wypisane na nim magiczne zaklęcie. Pomiędzy ociążałymi od jadła i napitku gośćmi gospody nie płaśała księżniczka elfów, pełna wdzięku panna o czarnych, tajemniczych oczach, rozmiłowana w tańcach na kwietnym błoniu. Może to i lepiej. Chryste miłosierny, miał wystarczająco dużo spraw do przemyślenia, żeby jeszcze zaprzętać sobie umysł dziwacznymi marzeniami, co tylko rozpraszają uwagę. Ani jednej nocy minionego tygodnia nie przespał spokojnie. Obraz dziewczyny powracał nieustannie przed oczy, nie dając wytchnienia, nie pozwalając zmrużyć oka.

Wyszedłszy z gospody, zobaczył Briana stojącego nieopodal drzwi i dzierżącego Turka za uzdę. Czy kiedykolwiek był tak naiwny, jak jego wierny druh? Jeżeli nawet tak było, nie pamiętał tych czasów. Życie wymogło na nim, by twardo stąpał po ziemi, nie miał czasu ani okazji, by folgować czczym fantazjom, nie wierzył w rzeczy, których nie można dotknąć ani rozumnie wytłumaczyć.

Żył nawet niejaką sympatię dla przesądów Briana, ale nigdy ich nie podzielał. Podeszedł do przyjaciela i położył mu dłoń na plecach. Brian wzdrygnął się i zrobił wielkie oczy.

- Wypuściła cię, milordzie?

- A miała mnie pojmać i uprowadzić? Jezu, Brian, z dnia na dzień coraz więcej bredzisz. Nie, ani mnie pojmała, ani wypuściła. Twoje zaklęcia podziały. To ja ją porwałem i zamknąłem w tej sakwie przytroczonej do pasa. Chcesz zobaczyć?

Gdy Rhys potrząsnął skórzanym sącziem, Brian cofnął się odruchowo, czyniąc znak krzyża. Rhys szeroko wyszczerzył zęby, a Brian poczerwieniał jak piwonia: dopiero teraz zrozumiał żart.

- Nie chcę tylko, żeby stała ci się krzywda - burknął.

- Tak, Brianie. Dobry z ciebie człowiek, nie raz się o tym przekonałem, ale są rzeczy, przed którymi nikt nikogo nie może uchronić. - Podał wodze Turka giermkowi. - Zadaż mu jeszcze owsa, Morganie - polecił. - Dobrze się dzisiaj spisał i zasłużył na nagrodę, jak my wszyscy. - Tu znowu zwrócił się do Briana. - Chodź, mój ty znawco wrózek. Zobaczmy, jakie mają tu wino, każemy też podać półmisek pieczonej wołowiny. Popas dobrze nam zrobi.

Niby to pochłonięty jedzeniem, Rhys od czasu do czasu rozglądał się bezwiednie po izbie. Kiedy przyłapał się na tym, zgniewało go własne nierozumne zachowanie. Bezimienna, tajemnicza dziewczyna z puszczy ani na moment nie opuszczała jego myśli. Obraz zmysłowej postaci nurtował go nieustannie, wprawiając w ponury nastrój. Gdyby nie znał siebie, gotów byłby przysiąc, że rzeczywistość rzuciła na niego magiczny urok, by nie przestawał o niej myśleć.

- Milordzie? Nie słyszysz, co mówimy? Obudź się, panie. - Słowa sir Roberta dotarły do Rhysa dopiero po dłuższej chwili.

Gdy podniósł wzrok, zobaczył, że wszyscy mu się przyglądają. Wzruszył ramionami.

- Nie uważałem, sir Robercie. Wybaczcie.

Robert wymienił z Brianem znaczące spojrzenie, a po chwili znowu przemówił.

- Pytamy, czy wasza miłość życzy sobie zostać tu na nocleg. Jeżeli wyruszymy stąd o wschodzie słońca, za dwa dni powinniśmy dotrzeć do Glenlyon.

Rhys myślał już o tym. Mieli za sobą długi, męczący dzień. Na drodze z Coventry zostali napadnięci przez bandę najemników, czających się za ostrym zakrętem. Walka była krótka i brutalna, kosztowała życie dwu dzielnych ludzi, ale odparli atak. Kiedy było po wszystkim, zawieźli ciała swoich do wiejskiego kościółka, pochowali na przykościelnym cmentarzyku, po czym ruszyli w dalszą drogę. Martwi zbóje pozostali na drodze krukom na pożarcie.

Trwające wiele tygodni przemierzanie Anglii mocno już utrudziło ludzi. Prawdziwie zasługiwali na to, by spędzić noc w godziwych warunkach, zwłaszcza że do Glenlyon mieli jeszcze dwa dni ostrej jazdy. Rhys także potrzebował wypoczynku, chociaż nic go nie zatrzymywało w tej nędznej, sennej wsi. Powoli skinął głową.

- Tak, spędzimy noc tutaj. Wystarczy, że ruszymy do Glenlyon jutro, chociaż Bóg jeden wie, co tam zastaniemy. - Zmarszczył brwi i zapatrzył się w swój cynowy kubek. Na jego powierzchni odbijały się zdziwione spojrzenia wojów. Nie podnosząc głowy, powiedział: - Posłaniec Owaina spóźnił się na spotkanie, bo na Glenlyon znowu przypuszczono atak. Chłopak krył się przez trzy dni w lasach. Omal go nie schwytano. Dopiero kiedy uznał, że niebezpieczeństwo minęło, ruszył w drogę do Coventry. - Przerwał i dodał z przygnębieniem w głosie: - Mówią, że to sir Niclas najechał kasztel, i że z jego ręki zginęli mój ojciec i bracia. Niclas i jego ludzie myślą, że jestem w Jerozolimie i najpewniej nie wrócę stamtąd żywy. - Podniósł głowę i uśmiechnął się zimno. - Zdziwią się na nasz widok.

Jego słowa przyjęto gniewnymi okrzykami. Rycerze walili pięściami w stoły i rzucali gromkie przekleństwa, po czym jeden przez drugiego poczęli się przechwalać, który położy kres życiu niegodziwego Niclasa. Na koniec Rhys uniósł dłoń, by uciszyć kompanię, na wyraźne żądanie karczmarza.

- Widzę w tym rękę Jana - mruknął Brian, krzywiąc się. - Znany jest z tego, że zagarnia ziemie baronów walczących w Ziemi Świętej i przekazuje chętnym Walijczykom, waśniąc ich tym sposobem między sobą.

Rhys pokręcił przecząco głową.

- Nawet człowiek tak zuchwały jak on nie narażałby się na gniew Ryszarda. Bałby się tykać włości należących do lojalnych rycerzy brata. Choć ograniczony i pazerny, musi wiedzieć, że Ryszard nie puściłby mu tego płazem.

- A czy wcześniej miał jakie skrupuły? - zapytał ochryple sir Robert. - Nie zauważyłem. Bez wahania brał siłą dobra, które nie należały do niego. Nie zawahał się nawet zagarnąć posiadłości Williama...

- Dość. - Rzuciwszy okiem na zatłoczone pomieszczenie, Rhys dał mu znak, by umilkł. - Lepiej, żeby nasza rozmowa nie doszła do niepowołanych uszu.

Sir Robert rozejrzał się niespokojnie i skłonił pokornie głowę.

- Tak, lordzie.

Rhys pochylił się do niego i zniżając głos, zaczął tłumaczyć, że rozmówią się w drodze do Walii, gdy wtem przykuło jego uwagę jakieś nieznaczące poruszenie, niby lekki podmuch wiatru. Mignęła purpura, zieleń opończy - ledwie powidok barw - znikającej w alkowie odgradzonej od wspólnej izby kotarą.

Zerwał się z ławy, nie bacząc na zdziwione miny swoich ludzi, i pospieszył w ślad za znikającą postacią. Kiedy odchylił ciężką zasłonę, nie zdziwił się specjalnie, że alkowa jest pusta. Pozostał tylko wyraźny zapach jaśminu. Była tutaj. Rhys rozejrzał się. Oczywiście, żadnego innego śladu. Słabo oświetlony korytarz za wspólną izbą przesycony był wonią ryb i czosnku. Wyłożony kamienną posadzką, wiódł do kuchni. Rhys ruszył szybko w tamtą stronę, wtargnął do wnętrza z takim impetem, że wystraszył posługaczkę, która z głośnym wrzaskiem upuściła koszyk napełniony kromkami chleba. Inna podkuchenna spojrzała nań zuchwale, wsparła dłonie na biodrach i uśmiechnęła się szeroko.

- Cóżes taki popędliwy, piękny rycerzyku? Szukasz jakiej hożej dziewczki? - Przysunęła się do niego i uśmiechnęła prowokująco.

Zatrzymał się, świadom zdziwionych i lękliwych spojrzeń kuchennej czeladzi. Garstka służby otoczyła go i spoglądała nań z rozdziawionymi ustami. Po chwili dopiero pojął, że jest w pełnym rynsztunku. Popatrzył na dziewczkę. Pochyliła się ku niemu, pokazując małe, krągłe piersi.

Pokręcił głową.

- Przechodziła tędy panienka. Widziałas ją?

Sługa uniosła brew i postąpiła do przodu, kołyszając biodrami. Jasnobrązowe włosy zwisały w niechlujnych strąkach, jakby od dawna nie widziały grzebienia. Suknię miała nędzną i lepką od brudu. Jej ładną zapewne kiedyś twarz szpeciły ślady po ospie. Rhys odsunął się na bok.

- Nie, dzielny rycerzu, nie uciekaj. Żadna młódka tędy nie

przechodziła, ale jeżeli szukasz dziewczki, toś ją właśnie znalazł - szepnęła.

Rhys zdjął jej dłoń ze swego ramienia.

- Wiem, że tędy przechodziła. Został jej zapach.

Dziewucha zaśmiała się i rzuciła mu figlarne spojrzenie.

- Rzeknij tylko, jaki zapach lubisz, dzielny rycerzu, a zapachnę ci wedle twego życzenia. - Wymownym gestem sięgnęła do stanika.

- Do garów, Lynn - odezwał się surowy męski głos. Rhys obejrzał się i zobaczył w drzwiach karczmarza. Jego rumiana twarz wyrażała zakłopotanie. Podszedł szybko do dziewczyny i ujął ją pod rękę. - Proszę pokornie o wybaczenie, mój panie - powiedział, kłaniając się nisko. - Moja córka nie chciała uczynić ci nijakiego despektu.

- Nic się nie stało. - Rhys czuł śmieszność sytuacji. Musiał wydać się tym wieśniakom żalonym głupcem, który ugania się za cieniami i zapachami. Ruszył jak niepyszny w kierunku drzwi.

- Mogę coś uczynić dla waszej lordowskiej mości? - zapytał przymilnie karczmarz. - Nie chciałbym, żebyście wzięli sobie do serca nieokrzeseane słowa mojej córki.

Rhys zatrzymał się w progu i odwrócił do karczmarza.

- Widziałem kogoś w cieniu alkowy, za zasłoną. Zniknął, zanim zdążyłem go dogonić.

- Tak? To mi się nie zdaje, milordzie. Żaden rabuś nie miałby śmiałości napaść na moją gospodę...

Widząc, że karczmarz zamierza rozwodzić się nad zaletami swojego zajazdu, Rhys przerwał zniecierpliwiony:

- To była panna. - Zaciśnął zęby, gdy karczmarz uśmiechnął się chytrze.

- Ach tak, panna, powiadacie. Widziałem młodkę spieszącą ku stajniom, milordzie. Tyle, że ona nie była...

- Na litość boską- Rhys obrócił się na pięcie i wybiegł z kuchni, zanim karczmarz zdążył powiedzieć słowo. Jego miecz dźwięczał, uderzając o kamienie muru za karczmą. Kilka długich, niskich budynków z kamieni i gliny otaczało dziedziniec i warzywnik; tam znajdowały się stajnie dla koni podróżnych. Zapadał zmrok.

Rhys sadył wielkimi krokami w stronę stajen. Pomimo błota i łajna na podwórku, stajnie były suche i czyste. Powitał go znajomy, miły zapach koni, siana i skóry. Ale nie jaśminu. Wydawało się, że nie ma tu nikogo, poza stajennymi, drzemiącymi na sianie, tuż za szerokimi wierzejami. Promyki światła przeciskały się przez niewielkie okienka i szpary w ścianach. Kilkanaście zwierząt cicho parsknęło.

Rhys przeszedł przez mroczną stajnię w stronę znajomej czarnej sylwetki na samym końcu przejścia między boksami.

Kiedy dotarł do Turka, ogier trącił go lekko łbem, tak masywnym i silnym, że Rhys, chcąc nie chcąc, musiał się cofnąć. Pieszczotliwie poklepał konia po pięknie sklepionym karku, mrucząc do niego czule.

- Trzeba mu więcej niż dobrego słowa, szlachetny rycerzu.

Odwrocił się, jedną ręką chwytając za rękojeść miecza.

- Pokaż się - rozkazał, chociaż rozpoznał ten głos. Czy ona zawsze musi ukrywać się w cieniu?

Nikły promyk światła przedostawał się przez szparę w ścianie, oświetlając unoszące się drobiny kurzu. Naraz Rhys poczuł znajomy, drażniący zapach jaśminu.

Miał wrażenie, że zjawiała się w nikłym promyku światła za sprawą magii, niczym wyczarowana z powietrza. Rhys skrzywił się. Do diabła, znowu się ośmieszył. Zdjął dłoń z rękojeści miecza. Dobrze, że Brian go teraz nie widzi. Wszak zachowuje się niczym narwany żreback, co dopiero rozpoznaje dookolny świat i wszystko napawa go przestachem. Na twarzy dziewczyny pojawił się lekki uśmiech, w jej czarnych oczach załśnił refleks światła. Rhys skrzyżował ręce na piersi, kolczuga zachrząściła. Lekko wzruszył ramionami.

- Dostał owsa i wiadro wody, mój giermek wie, jak się z nim obchodzić. Czego więcej potrzeba koniowi, jeśli nie dobrego słowa?

Wysunęła się z cienia, odrzucając kaptur. Czarne włosy połyskiwały w bladym świetle.

- Okuleje, jeżeli nie opatrzysz jego prawej przedniej nogi.

- Okuleje? - Popatrzył na nią zdziwiony. Odpowiedziała spokojnym spojrzeniem. Oderwał wzrok od jej ciemnych oczu i przez chwilę obserwował ogiera. Zwierzę spokojnie przeżuwało siano,

potrząsając od czasu do czasu grzywą. Nic nie wskazywało na to, by Turkowi coś dolegało. Rhys uniósł pytająco brwi.

- Banialuki. Dlaczego miałby okuleć? W drodze nie utykał, a w stajni nie mogła mu się stać żadna krzywda.

- Nie? - Obeszła go dookoła, wdzięcznie zamiatając krajem sukni zasłaną słomianą sieczką podłogę stajni. - Ma ranę... tutaj, nad podkową.

Jeszcze nie dowierając, Rhys ukląkł i uniósł przednią nogę Turka. Pomacał kciukiem kolano, goleń i pęcinę - nic nie wyczuł, koń też nie zareagował. Przesunął ręką po gładkich mięśniach i kościach, potem znowu nad pęcina. Turek stał spokojnie. Rhys rzucił dziewczynie krótkie, ironiczne spojrzenie i pokręcił głową.

- Niżej.

- Gdzie, niżej? Koń stanie mi na palcach - zauważył.

- Nie. Tutaj. - Zanim zdążył ją powstrzymać, uklękła i ujęła nogę, a jej smukłe palce przesunęły się szybko do pęciny. Turek zarżał i wierzgnął. Rhys chwycił Sashę i szarpnął do tyłu, zanim potężne kopyta zdołały uczynić jej krzywdę.

Uwolniła się z uścisku, trochę zła.

- On mnie nie kopnie.

- To nie jest kucyk, tylko koń bojowy, nauczony tratować ludzi kopytami. Nikt obcy nie może się do niego zbliżyć, a ciebie nie zna.

- Jeżeli to prawda, to dlaczego pozwolił mi podejść tak blisko?

Ani mu w głowie było przyznać, że nie zna odpowiedzi na to pytanie.

- Gdybym cię w porę nie odciągnął, zrobiłby z ciebie krwawą miazgę. Odsuń się, jeśli łaska. Może znowu wierzgnąć.

Na jej ustach pojawił się nieznaczny uśmiech. Oparła się o ogrodzenie oddzielające boksy dla koni.

- To jest krwiak pod skórą. Jeżeli nie zacznie się go leczyć, stan się pogorszy. Jutro, zamiast dosiąść swojego pupila, będziesz musiał wędrować pieszo.

Turek drgnął, kiedy Rhys położył dłoń na jego boku. Dziewczyna mogła mieć rację; poranna potyczka była dość gwałtowna, koń widać odniósł jakieś obrażenia. Rhys dobrze o tym wiedział, ale ona? Skąd?

- Pomyśleć, że z mgieł utkana panna tak świetnie zna się na koniach - próbował kpić.

- Może tylko zgaduję, a może faktycznie trochę się znam na koniach.

- A może znalazłaś się w stajni z jeszcze innego powodu. - Z uśmiechem uniósł brwi. - Czy nie widziałem cię przed chwilą w oberży, śliczny kwiatuszku? Nie śledziłaś mnie przypadkiem, ukryta w alkwie?

- Jesteś zarozumiała ponad wszelkie wyobrażenie. Kiedy widzisz słońce, myślisz, że świeci wyłącznie dla ciebie? - Odeszła kilka kroków, on zaś obserwował ją, wsparłszy się ramieniem o ścianę. Nachmurzyła się. - W karczmie popasa wielu podróżnych, ale tobie nie przyszło do głowy, że czekam na kogoś, z kim się umówiłam. Nie, ty od razu uznałeś, że śledzę właśnie ciebie.

Na jego ustach pojawił się ironiczny uśmieszek. Bawiło go, że tak ją zirytował. Ręce drżały jej nieznacznie, zerkała na drzwi wejściowe, daleko, na końcu szerokiego przejścia. A jednak założyłyby się o ostatniego szylinga, że to jego obserwowała przed kilkoma minutami, ukryta w alkwie.

Zapadła cisza. Kiedy napięcie stało się prawie nie do zniesienia, Rhys łaskawie przerwał milczenie:

- Czekałaś na mnie?

Otworzyła usta, zamknęła je, otworzyła znowu.

- Być może.

- Dajże pokój, jestem pewien, że czekałaś na mnie. Dlatego tu jestem, słodki kwiatuszku.

Cofnęła się o krok i zatrzymała. Jej nozdrza rozszerzyły się nieznacznie. Końcem języka zwilżyła górną wargę.

- Twoje... zadufanie i próżność, sir, są doprawdy ogromne. Prawdopodobieństwo, że masz rację, wprost przy nich niknie.

Uśmiechnął się nieśmiało. Patrzył przez chwilę na jej rozchylone usta, po czym powoli podniósł wzrok. W jej oczach tlił się subtelny blask, który szybko ukryła pod rzęsami. Była bardzo napięta, gotowa w każdej chwili odwrócić się i uciec. Podszedł do niej i delikatnie, ale stanowczo chwycił za przegub.

- Kwiatuszku, nie opuszczaj mnie tak szybko. Czułbym się bardzo zawiedziony. Tyle dni czekałem na ciebie. Tyle rozkoszy

sobie obiecywałem. Usidliłaś mnie. - Przynął się bliżej. Sasha wstrząsnął dreszcz. Rhys uśmiechnął się. Uniósł jej dłoń, przyłożył do swej piersi i lekko przycisnął.

- Czujesz, jak mocno i szybko bije mi serce? Bije tak dla ciebie.

- Daruj sobie, sir - powiedziała cicho, nie patrząc na niego. - Przemawiasz tak słodko, jakbyś znał setki niewiast.

Odsunął za ucho niesforny kosmyk włosów z jej policzka i opuszkami palca pogłaskał ją po twarzy. Odchyliła się, napięta, spłoszona, ale on nadal trzymał jej dłoń przy swojej piersi.

- A ty, jakbyś nie znała żadnego mężczyzny.

- Czy to źle?

Pocałował koniec jej małego noska, następnie owo niewielkie wgłębienie w kąciku warg i dopiero wtedy puścił jej dłoń.

- Ani źle, ani dobrze.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- To dość proste. Jeżeli jesteś dziewicą, kwiatuśku mój, pozostaniesz nią. Nie zwykłem odbierać wianka niewinnym młódkom, nawet takim, które nie wiedzieć czemu mnie ścigają. - Uśmiechnął się ironicznie. - I zapraszają do majowych tańców na łąkach.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi, ciemnymi oczami, zimnymi niby kawałki lodu.

- A jeżeli nie jestem dziewicą?

- Ach, jeżeli nie jesteś dziewicą, to zmienia postać rzeczy. Wówczas możemy się układać, dobijemy targu, ustalimy czas, miejsce i cenę... - wypowiadał słowa powoli, tak, by nie miała wątpliwości co do ich znaczenia. Umizgi do pięknej panny to rzecz przyjemna. Lubił od czasu do czasu grę miłosnych pozorów, ale teraz było inaczej. Czuł wewnętrzny ból, któremu musiał ulżyć, rozpalony przez tę drobną młódkę, która przyglądała mu się z takim napięciem. Tydzień w Coventry przepędził, czekając w pustym kościele na posłańca Owaina - nie było to najlepsze miejsce do rozważań o pokusach ciała. Wiadomość, kiedy w końcu do niego dotarła, okazała się zbyt doniosła, by mógł nawet myśleć o kobiecie. Tak było do tej pory. Dopóki nie stanął na nocleg w tej sennej wiosce i ponownie nie ujrzął egzotycznej istoty, która na nowo rozpałała w nim żądze.

- Ustalimy...? - Zamrugła zakłopotana.

Westchnął z żalem i cofnął się.

- Warunki, układy, coś w rodzaju dwunastu prac Herkulesa - rzekł niefrasobliwie, pewien, że dziewczyna nie ma pojęcia, o czym mowa. - Czyny heroiczne, albo zdobycz cenna niezwykle, jak złote jabłka z ogrodu Hesperyd.

- O ile wiem, w owym micie, kiedy Herkules wykonał już wszystkie prace, Eurysteus odesłał go precz. Czy o to ci chodzi?

Rozbawiony i zarazem zdziwiony jej znajomością greckiej mitologii, ujął ją pod brodę, przesunął kciukiem po ustach.

- Nie będę tak okrutny, by odesłać cię precz, inny jest nasz świat, inne rządzą nim przypadki. Ale, jak w legendzie, nic nie przychodzi łatwo.

Niezdolny się powstrzymać, pochylił się i pocałował ją: ostatnia pożegnalna pieszczota, jak zetlały żar zduszonego pożądania, które w nim gorzało. Jej usta zdrzały pod jego wargami, miękkie i słodkie, i tak ponętne, że musiał się wycofać, dopóki miał jeszcze w sobie dość woli i dobrych intencji. A wiadomo, jak bywa z dobrymi intencjami: szlachetne w zamyśle, rzadko sprawdzają się w rzeczywistości. Chwila słabości z niewinną młódką i człowiek ma niepotrzebne komplikacje w życiu. Widział już oczami wyobraźni, jak rozsierzdzony kmieć goni za nim z widłami, żądając zadośćuczynienia za stracony wianek córki.

Kiedy odsunął się od niej, uniosła powieki - długie rzęsy rzucały na policzki drgający cień. Tyle jego satysfakcji, że i panna zdawała się poruszona. Zanim zdążył cofnąć dłoń, schwyciła ją i zamknęła w zadziwiająco mocnym uścisku.

- Nie powiedziałam, że jestem dziewicą- tchnęła ledwie słyszalnym szeptem.

- Nie, tego nie powiedziałaś. - Przyglądał jej się badawczo. Byłaby to wszystko gra jeno? Maskarada? Panna bawi się z nim i drażni? Jeżeli tak, to musi być biegła w amorach. Rolę dziewicy odgrywała doskonale. Gdyby tamtego dnia, na błoni, tak go nie zauroczyła, z pewnością byłby to zauważył. Ale wtedy zdała mu się istotą bez wieku, mądrą jak madonna. Teraz przeciwnie, wyglądała bardzo młodo, była zdenerwowana i napięta.

Zamknęła palce wokół jego nadgarstka i mocno zacisnęła. Uśmiechnęła się.

- Omówmy zatem warunki, sir.

Serce biło jej tak mocno, że musiał chyba słyszeć jego łomotanie. Śmiała myśl zaświtała jej w głowie, gdy odsunął się od niej z widocznym żalem. Jeśli straci nadzieję na spełnienie przepowiedni, czekają ją długie lata nudnej egzystencji w wiosce Elspeth, gorsze niż samo piekło. Choć myśl nie była aż tak zuchwała, jak dwanaście prac obmyślonych dla Herkulesa przez szczwanego króla, niewiele ustępowała pomysłom Eurysteusa. Tylko czy Rhys się zgodzi? Czy nie uzna, że być jej rycerzem to zbyt wiele w zamian za to, co mogła mu przyobiecać?

Wszak w romansach rycerskich bohaterowie dokonywali heroicznych czynów dla dam swego serca, mogła zatem wierzyć, że nie ma zadania ponad siły tam, gdzie chodzi o miłość. Cóż, kiedy upatrzony przez nią kandydat nie wydawał się być zainteresowany romansami. Co mogłaby zaofiarować w zamian? W najśmielszych myślach nie spodziewała się, że noc miłosnych rozkoszy może być dla niego adekwatną nagrodą za zdobywanie twierdz, zauważyła jednak jego całkowite oddanie regułom rycerskości. Wiedziała, że jest rycerzem, który dotrzymuje złożonych ślubów. Nie złamię raz danego słowa.

I tu tkwiło rozwiązanie.

- Podaj swoje warunki, pani - powiedział, mocno ściskając jej dłoń.

Przywołała na usta kusicielski uśmiech, a po to, by dłoń jej nie drżały, mocniej ścisnęła jego rękę. Nie wolno jej powiedzieć za dużo ani zataić zbyt wiele, bo jej plan spełni wówczas na niczym.

- Nie żądam od ciebie dwunastu prac herkulesowych, to byłoby zbyt wiele - powiedziała. Rozbawiony parsknął śmiechem, przyznając jej tym samym rację. Zignorowała tę wesołość i kontynuowała niewymuszonym z pozoru tonem, rzucając na boki niepewne spojrzenia. - Być może kilka lżejszych zadań wystarczy, byś choć przez jeden wieczór mógł się cieszyć moimi względami, zacny rycerzu.

- Kilka? - Skrzywił się, a w szarych jak dym oczach ponownie zabłysło rozbawienie. - Jak wielką liczbę owo „kilkę” oznacza, piękny kwiecie?

- Może... trzy,

- Trzy. Za jeden, jedyny wieczór? Interesujące, ale nie wiem, czy będę miał siłę odebrać zapłatę, wykonawszy tyle ciężkich prac, mój ty piękny kwiecie.

Położyła dłoń na jego piersi, przesuwając palcami po metalowych kółkach kolczugi, dotknęła lekko jego brody. Zarost zachrząścił pod opuszkami palców. Badała mocny zarys ust i bladą bliznę na policzku. Jego mocne ciało napięło się, a szare jak dym oczy zwięziły się pod ciemną firaną rzęs. Wspięła się na palce i objęła go drugą ręką za szyję. Był za wysoki, dłoń nie sięgnęła karku, pozostała na szerokim barku. Tak upozowana Sasha spojrzała w oczy swojemu rycerzowi.

- Niech będzie, *beau sire*. Zgadzam się na kompromis. Jedna noc za jedną pracę.

- A co się stanie, jeśli wykonam swoje zadanie, ale ty nagle, zdjęta wstydem, zaczniesz się wzbraniać przed spłaceniem długu, słodka pani? Ostrzegam, że ja zawsze dotrzymuję słowa i okrutnie rozprawiam się z tymi, którzy mnie zwodzą.

Uśmiechał się co prawda, ale przestroga zawarta w jego słowach zabrzmiała złowieszczo. Odpowiedziała uśmiechem, choć czuła, że wypadł sła biutko. Musi wymóc na nim przyrzeczenie, że jej pomoże, acz gierki i wybiegi, do których musiała się uciekać, coraz bardziej szarpały nerwy.

- Ha, sir, czyżbyś myślał, że mam zamiar wywieść cię w pole? Zatem, najpierw noc rozkoszy, a następnie praca. Zgoda? Nic nie ryzykujesz. Jeżeli coś stracisz, to na swoje życzenie, a jeśli zyskasz - jej palce musnęły jasne jak pszenica pukle wysuwające się spod misiurki - zyskasz, czego pragniesz - zakończyła cichym głosem.

W oczach Rhysa pojawił się przełomy błysk. Otoczył dziewczynę ramieniem i przyciągnął ku sobie.

- To intrygujące, słodka kwiecie. Powiedz, czego sobie życzysz. Jeśli zgodzę się na warunki, to umowa zawarta.

Sasha, po prawdzie, nie myślała, że byłby na tyle głupi, by

godzić się na ślepo. Miała przygotowaną historyjkę, która powinna zamydlić mu oczy, nie pozwalając odgadnąć prawdziwego celu przedsięwzięcia.

Przytuliła się do jego piersi, miękko i powoli przesunęła dłonią po jego ustach. On w odpowiedzi chwycił delikatnie zębami opuszki jej palców, zamknął wokół nich wargi. Ocierając się o jego muskularne uda, naśladowała wszystkie kusicielki świata, od wiejskiej dziewczki po wielką kurtyzanę, od siebie dodając to, co jej podpowiadał instynkt.

I dopięła swego. Oddech rycerza stał się płytki i szybki, kurczowo przygarniał ją do siebie. Dłoń zatopił w rozpuszczonych włosach Sashy, odciągnął do tyłu jej głowę, przywarł ustami do jej warg. Pocałunek był twardy i bezwzględny, prawie bolesny, ale wywoływał najbardziej odurzające odczucia, niby ogień z wolna ogarniający całe ciało. Przygarnął ją do siebie z taką siłą, że w oczach stanęły jej łzy. Nie mogła oddychać, nie była w stanie trzeźwo myśleć, mogła już tylko trwać w jego ramionach i prosić Boga, by nie pozwolił jej rozplątać się w bezimiennej przestrzeni, zatracić ze szczerem w miłosnym uścisku.

Gdy Rhys podniósł wreszcie głowę, oboje dyszeli w podnieceniu i doprawdy trudno by orzec dokładnie, które było bardziej oszłomione. Sasha powiedziałaaby, że ona, przeżyła bowiem całkowicie nowe dla niej doznanie.

Na tyle miała jeszcze zimnej krwi, że zaśmiała się cicho, rzuciła mu filuterne spojrzenie i powiedziała:

- Zwycięstwa, sir. Chcę, byś stanął w szranki i zwyciężył dla mnie, jak rycerze, którzy walczą w turniejach, nosząc barwy swych dam. Proszę, żebyś ofiarował mi zwycięstwo.

- Mam ci ofiarować zwycięstwo - powtórzył. - Szczególny kaprys, ale i nagroda godna, mój kwiecie. Rozumiem, że masz na myśli jakiś konkretny turniej, na którym miałbym się dla ciebie potykać.

Uśmiechnęła się.

- Tak, *beau sire*, w pewnym sensie. Przysięgniesz? Przysięgniesz stanąć do walki w moich barwach?

- Nie mogę odmówić, kiedy tak słodko prosisz. Tym więcej, że mojemu sercu równie są miłe igrce w szrankach i w alkwie.

Ale, luby kwiecie... jutro wczesnym rankiem muszę ruszać w dalszą drogę. - Schwycił jej dłoń, ucałował opuszki palców, uśmiechnął się, a w oczach zapłonął ogień pożądania. - Czy mogę przysiąc, że stoczę zwycięską walkę dopiero za czas jakiś, pani?

- Tak, dzielny i groźny rycerzu. Jeśli dotrzymasz obietnicy, ja dotrzymam swojej: zwyciężysz dla mnie, a ja wpuszczę cię do swojej alkowy. Poczekam, byłeś spełnił złożoną tu przysięgę. - Delikatnie, z drażniącym uśmiechem, trzepocąc rzęsami, ujęła jego dłoń i położyła na rękojeści miecza. - Przysięgnij na swój miecz, *beau sire*. Przysięgnij, że staniesz w moich barwach do walki...

Wstrzymała oddech. Wreszcie usłyszała z jego ust krótkie, stanowcze:

- Przysięgam, pani. Na mój rycerski honor, przysięgam walczyć i zwyciężyć w twoim imieniu.

Z ulgą i satysfakcją przytknęła oczy,

Stało się, pomyślała oszołomiona nadmiarem doznań i wysiłkiem włożonym w zawiązanie intrygi. Poszło lepiej, niż oczekiwała.

4

Płomyki lampek pryskały i syczały, a dym zasnuwał wielką izbę karczmy. Za oknami nasycone wilgocią powietrze zapowiadało deszcz. Z ciemnego kąta dobiegał śmiech. Rhys spojrzął jeszcze raz na drzwi i położył nogi na ławie naprzeciw. Przyglądał się czubkom swoich butów. W wiejskim kościele dzwony dzwoniły na nieszpory, wyznaczona godzina wybiła i minęła, a ona nie pojawiła się. Zaczął się niecierpliwic.

Śmieszne to, pozwalać wodzić się za nos niewieście, zamiast zlec z wiejską dziewczką gdzieś na sianie w stajni i pofolgować żądom. Czegóż więcej trzeba? Zadaj się z którąś z kobiet, a już musisz znosić ich próżne pozory. Toż to istoty, które wymyślają tysiące sztuczek, żeby bronić się przed rzeczywistością. Te tajemnicze żądania, które miał spełnić po to, by mu uległa w nagrodę za czyny waleczne, podczas gdy jasne było, że ulec mu pragnęła, że pożądała go tak samo, jak on jej. Ale nie, trzeba rytuałów, układów, warunków, żeby wniknąć w końcu do alkowy. Musiała przecież wiedzieć, że w Wytham nie szykuje się żaden turniej. Ba, co tam turniej, nawet zwykły jarmark. Inaczej gadałoby się już o tym w całej okolicy. To tylko sztuczki, gra i maska, byle nie powiedzieć wprost, jak człowiek: pójdz do mojej łóżnicy. Skoro jednak tylko w ten sposób miała przemóc swoje skrupuły, niech będzie, jak sobie umyśliła, on w końcu dopnie swego, nie będzie pozbawiał jej złudzeń. Znowu spojrzął na drzwi. Nikt nie wchodził, ani śladu tajemniczej, ciemnookiej panny.

Z mrocznego kąta dobiegł kolejny wybuch śmiechu, głośniejszy niż poprzednio, widać osuszono kolejny dzban napitku. Zaciśniętą dłoń wokół cynowego kubka z winem, podawanego z rozmachem przez córkę gospodarza. Jeżeli panna nie pojawi się wkrótce, to znajdzie sobie inną, choćby tę krzepką dziewczkę, co pochyła się właśnie nad sąsiednim stołem, stawiając kufel piwa przed jednym z jego ludzi. Sir Peter uniósł głowę; lubieżnym, zuchwałym gestem wsunął łapsko za stanik dziewczyny. Rhys odwrócił głowę, zde gustowany i zniecierpliwiony. Gdzie, do diabła, podziewa się ciemnooka panna? Może się jej odwiedziało, jak to często z pannami bywa?

Gniewnie pociągnął łyk wina. Czas jest tak względny. Kapłan odlicza godziny podle spalania się świec, znaczących przemianę dnia w noc, a reszta? Płynność, w której toną zdarzenia. Z pewnością kolejna świeca musiała się dopalić, ponieważ z kościoła dobiegł znowu głos dzwonów. A jej jak nie było, tak nie ma.

Cienie ognia tańczyły na okopconych ścianach, jasne i ciemne kształty migotały na deskach niby ulotne, tajemnicze elfy z bająn Briana. Gorączkowe majaki, na wpół uformowane myśli i bełkotliwa mowa, historie o zaczarowanych królewnach, wrózkach i miłosne zaklęcia Irlandczyka, tym bardziej fantastyczne, im więcej wypił wina. Rhys został na swoje nieszczęście potraktowany długą opowieścią o Rudowłosym Conle'u, który został uwiedziony przez wrózkę i zaproszony na Wzgórze Wrózek, gdzie nie ma smutków, nie ma śmierci i trwa wieczne święto. Irlandczyk snuł i snuł swoją klechdę, i zakończył ją złowieszczym finałem: Conle dał się zwieść namowom pięknej wróżki, odpłynął w dal kryształową łodzią i nikt go już więcej nie widział. Nawet głuchy usłyszałby w opowieści Briana przesadne ostrzeżenie, podkreślone nadto wyrazistą gestykulacją i chodzeniem wokół stołu. Dla pewności, że Rhys zrozumiał przesłanie, Irlandczyk podarował mu swoją najcenniejszą relikwię: ząb świętego.

- Wszystko dla ciebie... żebyś tylko był... bezpieczny od... jej zaklęć, mój panie - bełkotał, kończąc swój występ długim, głębokim beknięciem.

Wstrząśnięty tym, że bogobojny przyjaciel gotów jest się rozstać z rzeczą mającą tak wielką wartość dla człowieka głęboko religij-

nego, zbrzydzonego naturą samego przedmiotu, Rhys uprzejmie odmówił. Dopiero teraz się zaczęło. Otumaniony winem Brian zaczął desperować, jakie nieszczęścia czekają ich wszystkich, gdy Rhys zostanie porwany przez królową elfów. Na szczęście wino działało nadal, tym razem kojąc niepokoje Briana, który wypowiedziawszy wszystko, co nurtowało jego przesadną duszę, zasnął wreszcie i Rhys zostawił go pochrapującego łagodnie.

Teraz tkwi w karczmie, czekając na królową elfów, by raczyła zaszczyścić go swoją obecnością. Przekleństwo z nią. Posłuszny podszeptom instynktu, powinien był zlec z nią na kupie siana w stodole. Wtedy nie siedziałyby w zadymionej izbie, patrząc, jak jego towarzysze opróżniają dzban za dzbanem, tylko oddawałyby się znacznie bardziej rozkosznym zajęciom. Rzadko folgował sobie w picciu, zbyt był na to przezorny, dobrze wiedział, jak nieobliczalny staje się człowiek, kiedy dymi mu ze łba. Problemów miał dość i wołał ich sobie nie przysparzać pijackimi breweriami.

Sir Peter wstał od stołu, zataczając się mocno, objął ramieniem szyję dziewczki kuchennej i głośno począł jej zachwalać swe cielesne przymioty i talenty. Rhys chwilę rozważał, czy nie odprowadzić swojego pijanego towarzysza do stajni i nie ułożyć do snu na posłaniu z siana, ale szybko zmienił zamiar. Wyglądało na to, że dziewczka chętnie sprawdzi w jakimś ustronnym miejscu, czy przechwałki adoratora mają pokrycie w rzeczywistości.

Gdy dotarli do drzwi, powiew wiatru otworzył je i wysiłki spitego jak bela sir Petera, by je schwycić, były tyleż daremne, co śmieszne. Jego niezdarne zmagania wywołały salwy śmiechu kompanów; posypały się porady, jak najlepiej schwycić oporny dębowy skobel. Rhys obserwował całą scenę z nikłym uśmiechem. Koło wejścia było sporo zamieszania, pijani rycerze udawali, że fechtują się z mocno już posiekanymi dębowymi drzwiami, które najwidoczniej przeszły niejedną podobną potyczkę. Wtem rozległ się nagły krzyk.

Natychmiast śmiechy zmieniły się w okrzyki gniewu. Rhys zerwał się na równe nogi i ruszył do drzwi, by sprawdzić, co się stało. Usłyszał czyjś gniewny, podniesiony głos o wyraźnie obcym akcencie. Któryś z jego ludzi, widząc, że nadchodzi, cofnął się, dając mu przejście.

W progu stał chudy, śniady młodzieniec, ściskając w rękę groźny sztylet, jakiego Rhys nigdy jeszcze nie widział. Dzierżył go w górze, gotów w każdej chwili uczynić użytek ze swej broni. Ledwie spojrział na Rhysa, reszta kompanii, wyraźnie skonfundowana, odsunęła się na boki, mamrocąc pod nosem. Młodzian przyjął postawę obronną, jakby tylko czekał na atak.

Rhys obserwował go w milczeniu, a kiedy chłopak ośmielił się spojrzeć na niego, zmierzył go zimnym wzrokiem. Zrobiło się cicho, tylko z głębi izby dobiegały jakieś odgłosy, gdzie pochłonięci sobą goście nie zauważyli nawet zajścia. Młodzieniec ciężko dyszał. Jego pierś unosiła się gwałtownie pod nędzną tuniką i skórzanym kubrakiem. Z rany na policzku kapała krew.

- Dlaczego wdajesz się w burdy z moimi ludźmi, gołowąsie? - Na to ostre pytanie chłopiec gwałtownie poderwał głowę, ciemne oczy błysnęły zaczeplnie.

- Mam taki niemiły obyczaj, że nie lubię, jak mnie kto mieczem tnie w twarz - warknął. - Przychodzę z dobrym zamiarem, a ci od razu na mnie hurmem.

Rhys zmierzył go lekceważącym spojrzeniem, od szopy niesfornych czarnych włosów po sznurowane buty, po czym spojrział na czerwoną ze złości twarz.

- Cóż, trafiłeś na czujnych, doświadczonych rycerzy, którzy dopiero co wrócili z krucjaty.

- Doświadczonych we wlewaniu w siebie piwa, to pewne. - Wskazał towarzyszy Rhysa ostrzem sztyletu. - Jeżeli to są najlepsi rycerze Ryszarda, wkrótce cała Anglia będzie mówiła po włosku.

Rhys podniósł ramię, by powstrzymać wściekłe poruszenie dwu spośród jego ludzi, nie spuszczać oczu z czujnego młodzika.

- Jesteś śmiały, jak na kogoś, kto staje samopas przeciw wielu. Masz zbrojnych popleczników?

- Gdybym miał, czy tkwiłbym tutaj, niby lis zagnany w pułapkę? - Pokręcił głową. - Nie, panie. Wysłano mnie z wiadomością do waszmości i chciałyby ją dostarczyć, zanim twoi pijani rycerze dla zabawy nadzieją mnie na lancę.

Rhys skrzyżował ręce na piersi i skinął głową.

- Przekazuj, gołowąsie, co masz do przekazania i zmykaj, zanim moi ludzie zapomną o dobrych manierach.

Młodzian zerknął mrocznie na szemrzących rycerzy, popatrzył ponownie na Rhysa i powiedział:

- Moja pani cię oczekuje.

Rhys wpatrywał się w niego. Zatem nie zmieniła zamiaru, lecz, jak to kobieta, zmieniła plany. Rozumiało się samo przez się, że mieli się spotkać tutaj. Nie było mowy o schadzce w innym miejscu. Takie nagłe zmiany zawsze budziły w nim nieufność, gdyż nazbyt często kryły się za nimi przykre niespodzianki.

Gdy zwlekał z odpowiedzią, chłopiec lekceważąco uniósł brwi.

- Powiem jej, signor, że już nie życzysz sobie spotkania.

- Czekaj - powstrzymał go Rhys, gdy młodzieniec uczynił ostrożny ruch w stronę drzwi. Przekłeta sprawa. Jak ta panna ma na imię? Czuł się głupio, nie znajdując odpowiedzi. -. Powiedz swojej pani, że moim życzeniem jest, aby nasze spotkanie odbyło się tak, jak to ustaliliśmy.

Młodzieniec skrzywił się. Wzruszył ramionami.

- Jak sobie życzysz, signor. Miałem zaprowadzić cię do niej.

- Twoja pani powinna przyjść tutaj. Przygotowałem spotkanie w gospodzie. Idź i przyprawdź ją.

- Nie, signor. Ona inaczej rzecz ułożyła i zaprasza was do siebie. - Wyraz jego twarzy zmienił się, gdy rzucił butnie: - Chyba, że się boisz, że obezwładnię cię po drodze, panie...

W izbie zapadła cisza jak makiem zasiał. Nawet najbardziej pijani nie śmieli poruszyć się ani odezwać. Rhys wpatrywał się jeno w młodzieńca, dopóki ten nie zrobił niepewnego kroku do tyłu. Wtedy powoli, cedząc słowa, powiedział:

- Nie będę tracił czasu, słuchając twoich dziecinnych przechwałek. Każdy tutaj widział twoją twarz, fanfaronie. Jeżeli coś mi się stanie, nie ma takiego miejsca na świecie, gdzie mógłbyś się przed nimi ukryć. Wykopią cię choćby spod ziemi i uczynią sprawiedliwość.

Gniew przemknął po twarzy chłopca, ale skinął głową na potwierdzenie, że przyjął do wiadomości, co tamten rzekł, po czym odsunął się na bok, robiąc przejście dla Rhysa. Płomień łączywa oświetlał nisko zadaszony, kamienny ganek, lampki z rogu umocowane były na niskim murku, oświetlając drogę

podróżnym. W pobliskich chatkach błyskały punkciki światła. Dalej rozciągał się już tylko głęboki, mroczny las.

Chłopak zatrzymał się, by zapalić pochodnię od jednej z lampek na murze, po czym w milczeniu dał znak Rhysowi, by podążył za nim. Rhys zachmurzył się, widząc, w jakim kierunku zmierzają. Światło księżyca kładło się srebrnym blaskiem na drodze, rysując niejasne, zdradliwe cienie, jakby podkreślając niebezpieczeństwa czające się za obejściem gospody. Jedna zasadzka dziennie to dosyć. Powinien mieć się na baczności. Nie mógł pozwolić, żeby pożądanie zmaćło mu rozum.

Metaliczny błysk miecza Rhysa sprawił, że młodzieniec obrócił się gwałtownie, a pochodnia rzuciła światło na jego wystraszoną twarz..

- Nie chcę, żeby ktoś mnie zaskoczył - wyjaśnił Rhys z uśmiechem.

- Mówisz o mnie, panie? Myślisz, że tak głupi, by rzucać się na ciebie ze sztyletem, kiedy masz miecz? - padło pytanie. - Może jestem jeszcze młody, signor, ale mam swój rozum.

- To nie twoje wątpliwe talenty w posługiwaniu się sztyletem mnie zajmują, kurczaku. - Wskazał końcem miecza pogrążony w ciemnościach zagajnik. - Pośród tych drzew może kryć się cały zastęp zbrojnych, i wolałbym siec zbójów, zanim będzie za późno.

- Pochlebiasz sobie, skoro uważasz, że trzeba całego zastępu dla pokonania ciebie jednego - przyciął mu chłopak.

Rhys nie odpowiedział. Rzuciwszy mu zjadliwe spojrzenie, młodzieniec odwrócił się i ruszył przodem. Rozkołysany blask pochodni dobywał z mroku na przemian to srebrne, to złote cienie. Poza kręgiem światła panowała głęboka ciemność. Powietrze przesycone było ostrym zapachem ziół. Gdzieś nieopodal, w lesie, cicho pohukiwała sowa. Ich kroki chrzęściły na kamieniach, ucichły, kiedy znaleźli się na leśnej ścieżce. Powietrze wypełnił zapach głogu. Mocny i słodki.

Rhys zatrzymał się.

- Czy twoja pani, gołowaśie, nocuje w lesie?

- Nie, signor - mruknął chłopak w odpowiedzi. - Ale wolimy bardziej cywilizowany popas niż nędzny wiejski zajazd, jeżeli to możliwe. Nie masz w Anglii zbyt wielu przyzwoitych kwater dla

utrudzonych podróży, a moja pani woli coś więcej niż przyca ze starym siennikiem.

Odwrocił się, żeby spojrzeć na Rhysa. Chwiejne światło pochodni na przemian to oświetlało jego twarz, to pozostawiało ją w cieniu. Rysował się na niej wąty, kpiący uśmiezek.

- Jeżeli lękaś się zdrady, możesz łaćno wróć do gospody. Przeprzę w twoim imieniu moją panią.

- Twoja propozycja jest nęcąca, ale twoja pani jeszcze bardziej ponęćna. - Rhys uśmiechnął się, widząc, jak twarz chłopca na moment spochmurniała. - Prowadź dalej, kurczaku, i pamięćaj: jeżeli dziewczyna szykuje zdradę, pierwszy dasz gardło.

Młodzian ruszył naprzód, stąpając głośno. Między drzewami, gdzie nie dochodziło blade światło księżyca, robiło się coraz mroćniej. Pod stopami chrzęściły liście. Z dała dobiegało wycie wilka; dźwięk niósł się w nocnej ciszy niczym ostrzeżenie. Gęste ciemności rozproszył daleki migotliwy blask: to mienił się różnymi kolorami, to nikł nagle. Rhys nie był pewien, czy w ogóle go widzi. Gdy przybliżyli się kilka kroków, blask stał się dobrze widoczny. Podejrzenia Rhysa potwierdziły się - namiot Saracenów.

Jedwabny, zakończony spiczastym dachem, rozświetlony przytłumionym światłem, jarzył się niby rzadki, drogi klejnot na samym środku angielskiej bukowej polany. Tęcza czerwieni, błękitu, zieleni i żółci, drgająca przy lada powiewie wiatru. W powietrzu niósł się zniewalający zapach przypraw i trociczek. Brakowało tylko, żeby pośród drzew odezwał się słodki śpiew słowika.

Tymczasem zamiast ptasich treli powitał go głos panny z mgły, która stanęła w wejściu, cała w połyskliwych jedwabiach. Dziecko elfów. Ani śladu wełnianej opończy, tuniki z szorstkiej wełny, wiejskich sukien, tylko intensywna, ogniasta purpura delikatnych, lśniących materii. Piękno w całym swym oślepiającym przepychu. Rhys poczuł się tak, jakby wielbłąd kopnął go w brzuch.

- Dobry wieczór, *beau sire*. - Uśmiechnęła się do niego ciepło i spjrzała na obnażony miecz. - Coś złego przytrafiło się po drodze? - Zerknęła na słuźącego i zawołała strwożona: - Biagio, tyś ranny. Napadnięto was?

- Tak, signorina. Napotkaliśmy zbójców. Dziesięćiu. - Biagio łgał jak z nut, wzruszając lekceważąco ramionami. - Dałem im

odpór, siekąc bez litości, ale jeden z tych zbirów drasnął mnie mieczem.

Rozbawiony beczelnym kłamstwem, Rhys nie próbował prostować wersji chłopca. Skoro młody Włoch przedkładała fantazje nad prawdę, jego sprawa. Tego wieczoru głowę miał zajęta innymi, ważniejszymi sprawami. Schował miecz do pochwy i czekał.

Po chwili panna szepnęła coś po włosku do młodzieńca, ten rzucił na Rhysa szybkie spojrzenie i w odpowiedzi wzruszył ramionami. Rhys obserwował ich spokojnie: dwie ciemne głowy nachylone ku sobie.

Sasha wyprostowała się i z promiennym uśmiechem na twarzy podeszła do gościa. Stąpała tak lekko, jak tamtego dnia w lesie, niby prawdziwy elf, co unosi się nad ziemią. Ale nie była już panną z mgły, wróżką uwożącą kochanków do swojej krainy w kryształowej łodzi. Stała przed nim kobieta z krwi i kości, aż nazbyt realna. Zwiewny jedwab okrywał sylwetkę od ramion do stóp, pod fałdami rysowało się szczupłe ciało. Szata przepasana na biodrach złotym sznurem, na stopach haftowane ciżemki z malutkimi dzwoneczkami, które dźwięczały przy każdym kroku. Jedwab był egzotycznym, rzadko widywanym na Zachodzie luksusem, tymczasem ona spała pod jedwabnym baldachimem.

Mieniący się w oczach jedwab i uderzający do głowy zapach jaśminu - wschodnia wersja wyimaginowanej kryształowej łodzi Briana, subtelna pokusa wabiąca mężczyzn do mlekiem i miodem płynącej krainy wiecznej szczęśliwości. Jemu dana była tylko jedna noc z tą kobietą. Jakże jej pożałował, kiedy była tak blisko, czarnooka, pachnąca jaśminem, tajemnicza. Niecierpliwie czekał, by zostać z nią sam na sam.

- Pozwól ze mną, sir Rhys - zaprosiła. - Zdziwił się, słysząc w jej ustach swoje imię, zarazem czuł się zakłopotany. Nie wiedział przecież, jak się do niej zwracać.

- Z największą przyjemnością, piękna pani - powiedział, biorąc ją za rękę.

Zauważył, że Biagio obserwuje go spod przymkniętych powiek twardym spojrzeniem brązowych oczu. Rhys wytrzymał jego wzrok i młodzik poddał się wreszcie, odwrócił głowę i mrucząc coś pod nosem, wszedł do namiotu.

Miękki szelest jedwabiu zagłuszył nagle brzęk metalu. Rhys poczuł, że dziewczyna sztywnieje. Rzuciła mu szybkie spojrzenie, uwolniła dłoń i wskazała na namiot.

- Będę zaszczycona, goszcząc cię, *beau sire*.

Rhys przekroczył próg namiotu, pochylając się pod karmazynowa klapę wejścia, podwiązaną ozdobnymi sznurami. Znieruchomiał, ogarnięty zdumieniem. Jedwabną podłogę pokrywały grube dywany. Lampy z brązu i kadzielniczki wypełniały wnętrze światłem i zapachem piżma. Miękkie pufy zachęcały do odpoczynku.

Biagio podnosił pozostawione na dywanie kubki i ustawiał na tacy. Z ukradkowych, ostrych jak sztylety spojrzeń rzucanych na Rhysa, biła niechęć.

Ten zaś uśmiechał się. Biagio upuścił tacę i kubek potoczył się po dywanie aż do stóp Rhysa. Rycerz spojrzął pod nogi.

- Masz szczęście, że nie jesteś moim giermkim, gołowaśie, bo nauczyłbym cię sztuki posługiwania - ostrzegł.

Twarz Biagia zapłonęła gniewem. Zrobił krok do przodu, dłoń zacisnął na rękojeści sztyletu.

- Nigdy nie służyłbym u ciebie, bo...

- Biagio - przerwała mu panna. Stała przed nim, położyła dłoń na jego piersi i popatrzyła prosto w jego rozwścieczoną twarz. - Gdy pobierasz te rzeczy, pomóż Elspeth, proszę, podać kolację. Przynieś też swoją lutnię. Będziesz nam przygrywał podczas jedzenia.

Rhys miał już na końcu języka, że nie jest głodny, ale nie chciał okazywać zbytnej popędliwości. Kobieta potrafi obrócić przeciw mężczyźnie jego własne pożądanie, a wówczas jest to broń potężna. Czekał więc w milczeniu, zawiadując głową o jedwabny sufit i tłumiąc podniecenie. Wstępny, powolny rytuał dodaje tylko smaku oczekiwanemu spełnieniu.

- Proszę, *beau sire* - mówiła, uśmiechając się dwornie - zechciej usiąść, skosztujemy wina.

Rozejrzał się. Nie było tu krzesel, tylko wzorzyste, jaskrawe pufy. Naraz wyobraził sobie, że siedzi u jej stóp niczym zadurzony zalotnik. Pokręcił głową.

- Nie, będę stał.

Wyglądała na skonsternowaną.

- Przez całą noc?

Popatrzył na jej odmienioną nagle twarz, uśmiechnął się i powiedział cicho:

- Ależ nie przez całą noc.

Spłoniła się i parsknęła dziewczęcym śmiechem.

- Oczywiście, że nie, ale... żeby zjeść, musisz usiąść. Każę, by Biagio przyniósł krzesło.

Krzesło zostało przyniesione. Przedziwny mebel z mocnego materiału i ciemnego drewna; niewielkie metalowe zawiasiki pozwalały je składać i rozkładać. Widząc pełne powątpiewania spojrzenie rycerza, roześmiała się.

- Wytrzyma twój ciężar, *beau sire*, zapewniam. Wygląda krucho, ale to mocny sprzęt, możesz mi wierzyć. Dostałam je od pewnego człowieka w Konstantynopolu, znacznie od ciebie cięższego. Uwielbiał na nim siadywać.

- Skoro tak je lubił, dlaczego się z nim rozstał?

Popatrzyła, mrugając, i wzruszyła ramionami.

- Założył się, że wygra ze mną konną gonitwę i przegrał. Ja wygrałam krzesło, a on musiał tłumaczyć się przed żoną. Odniosłam podwójne zwycięstwo, jako że ten konstantynopolczyk był godnym pożałowania samochwałą, a jego żona straszną sekutnicą. Dziwię się, że tak potulnie znosił jej fochy.

Rozbawiony, pierwiej sprawdził ręką wytrzymałość krzesła, potem usiadł. Ku jego zdziwieniu, było mocniejsze, niż się wydawało. Już pewniejszy, próbował się umościć, jeno miecz okrutnie mu przeszkadzał, odstając pod dziwnym kątem. Przez chwilę walczył z nim bezskutecznie. Panna przysiadła na pufie u jego stóp i obserwowała przez chwilę w milczeniu próżne wysiłki, po czym podpowiedziała, by odpasał broń.

Pokręcił głową.

- Nie odpaszę - oznajmił z determinacją.

- Przez całą noc? - zażartowała, a on spojrzał na nią, unosząc brwi.

- Są miecze i miecze, mój kwiecie. Przyjdzie pora, to ten zastąpię innym.

Spłoniła się, bo też i uwaga była mało dworna. Nie pojał własnego grubiaństwa, zdziwiła go tylko dziwna skromność u pan-

ny, która najwyraźniej przewędrowała szmat świata. Odchylił się do tyłu i obserwował swoją tajemniczą gospodynię. Wtem zza namiotu dobiegł jakiś hałas. Rhys wyprostował się w napięciu i rozejrzał czujnie.

- Jeżeli nie czujesz się tu bezpiecznie, *beau sire*, wystarczy powiedzieć - poprosiła. - Zapewniam, że nie rozstawiłam w lesie swoich ludzi, nikt na ciebie nie czyha, nikt cię nie napadnie.

- W rycerskim rzemiośle ostrożność rzecz pierwsza. - Oznajmił z solenną powagą i wzruszył ramionami. - Wybrałaś na naszą schadzkę dość odludne miejsce. Gdzie znajduje się twój dom?

Powiodła dłonią wokół.

- To jest mój dom. Wożę go ze sobą wszędzie. Wszędzie, gdzie zagna mnie wiatr. Albo przeznaczenie.

Patrzył w jej ciemne oczy. Migotliwy blask lampki oliwnej odbijał się w ich głębi, złocił jej twarz i kładł refleksami na kruczoczarnych włosach.

- Nie mieszkasz w tej okolicy?

- Nie, *beau sire*. A ty?

- Dobrze wiesz, że nie. - Patrzył na nią niepewnie. Wydawało mu się, że jest panną z tej wsi, że napotkał ją przypadkiem, kiedy wracała właśnie do domu. I podobnie tylko zbiegiem okoliczności ich drogi znowu się zeszyły. Los. Czy aby na pewno? Las, łąka, wioska... zbyt dużo tych zbiegów okoliczności. Przypomniał sobie bełkotliwe ostrzeżenia Briana, jego strach przed wrózkami i elfami. Nauczony doświadczeniem wiedział wszak, że łatwiej można oczekiwać zdrady ze strony człowieka, niż istot ze świata magii.

- Zatem los znowu zetknął nas ze sobą. - Jej cichy szept wtórował przedziwnym echem jego własnym myślom. - Nie spodziewałam się, że znowu cię ujrzę, tymczasem jesteś. - Pełnym gracji ruchem postawiła między nimi tacę z brązu, na niej kubki, a z rzeźbionego stolika z indyjskiego drewna wzięła dzban. - Mam tu znakomite wino, sir. Kupiłam je we francuskiej winnicy przed ostatnią kłęską głodu. Odtąd wożę je ze sobą. Nie pogardzisz chyba poczęstunkiem?

- Jesteś kobietą pełną niespodzianek, piękny kwiecie. Jakie jeszcze skarby skrywasz pod jedwabiami?

Chociaż zewsząd otaczał ich jedwab, odgadła jego myśli i zaczerwieniła się.

Zasłona uchyliła się i w progu stanął Biagio z lutnią w rękę. Nie patrząc na swoją panią i jej gościa, usiadł pod ścianą. Instrument umieścił na kolanach i zanim zaczął grać melodię, kilka razy uderzył w struny, szukając właściwego tonu.

Rhys z uśmiechem nachylił się do panny.

- Ma się rozumieć, że nie odmówię wina. - Rozsiadł się wygodnie, obserwując jej nerwowe ruchy, gdy nalewała trunek.

- Jak sobie radzisz w razie deszczu? - zapytał, a gdy uniosła głowę, dodał: - Twój piękny namiot dobry jest w suchym klimacie, ale nie wygląda, by dawał schronienie przed angielskimi ulewami.

Uśmiechnęła się.

- Wtedy zostajemy w wozie albo zatrzymujemy się w gospodzie. Przyznaję, chciałam się pochwalić przed tobą tymi nielicznymi dobrami, które posiadam... - Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale uniosła dłoń ze śmiechem. - Nie, nic nie mów. Wiem, że podoba ci się mój strój, nie musisz mówić na głos tego, co wcześniej powiedziały twoje oczy.

- Piękna i mądra. Czuję się dzisiaj naprawdę szczęśliwym człowiekiem, *cherie*.

Na jej ustach zaigrał lekki uśmiech.

- Tak, *beau sire*, jesteś nim z pewnością. Zanim noc minie, zgodzisz się zapewne...

Czując, jak ogarnia go gwałtowna fala gorąca, pochylił się do przodu, ujął dziewczynę pod brodę, spojrzął jej prosto w oczy. Kciukiem pieścił powoli kącik jej warg. Żar narastał, palił, rozpalał płomień w oczach. Ze ściśniętym gardłem, odstawił kubek.

Głośny dysonans przerwał słodką scenę. Rhys podniósł głowę.

- *Mi scusi* - mruknął Biagio, majstrując przy gryfie lutni. - Muszę nastroić instrument.

Sasha poderwała głowę, podrażniona zgrzytliwymi dźwiękami, i surowo popatrzyła na służącego. Rhys wyprostował się na krześle. Jeszcze chwila, a nie zważając na względy grzeczności, zażąda, by odprawiła zuchwalca.

Zanim zdążył podjąć decyzję, mówiła już beztrąsko:

- Ach, oto za chwilę poznasz jeszcze jeden z powodów twojego

szczęścia, *beau sire*. Biagio, zanim wyjdiesz, pomóż Elspeth. Taca wydaje się być ciężka.

Wraz z pojawieniem się służącej, w namiocie rozszedł się wspaniały zapach. Rhys dopiero teraz poczuł, jaki jest głodny. Naprawdę głodny. Zjadł tego dnia niewiele. Ostatnie wydarzenia i związane z nimi napięcie sprawiły, że z trudem przełknął kawałek żylastej wołowiny i odrobinę gotowanej rzepy, stałe menu wiejskiej karczmy. A tutaj, na niewielkim stoliku z indyjskiego drewna, pojawiła się taca, na niej zaś rzeźbiona misa nakryta przykrywką w kształcie głowy koguta. Kobieta zwana Elspeth uniosła ją i w nozdrza uderzyły go zapachy, od których zaburczało mu w brzuchu.

Egzotyczna panna, pochylając się, wskazała na miskę.

- *Blanc de Syrie*. Zazwyczaj gotuje Elspeth. Ja przyrządzam tylko tę potrawę. Mam nadzieję, że będzie ci smakować.

- Co to jest? - Przemknęły mu przez głowę obrazy osobliwych dań, których kosztował podczas uczyty wydanej przez Ryszarda po zdobyciu Cypru. Kucharz, Syryjczyk, przygotował egzotyczne specjały. W jednej z mis angielscy rycerze ujrzeli z przerażeniem pływające w tłuszczu baranie oczy. Jagnina, owszem, smaczne mięsisko, ale raczyć gości baranim okiem?

Odetchnął z ulgą, gdy usłyszał:

- Jagnię w sosie migdałowym, na białym winie, na słodko, z imbirem, przyprawione pestkami granatu. Spróbuj. Chyba że jesteś jednym z tych angielskich prowincjuszy, którzy nie tkną niczego poza wołowiną, wołowiną i jeszcze raz wołowiną.

- Gdy doskwierał mi głód, jadłem korzenie i żołądź - wspominał chude czasy w Walii. - Nigdy nie odmawiam skosztowania dobrze przyrządzonych potraw.

- Świetnie. Ja także.

Gdy się posilali, mówiła o potrawach, które lubi, a za jakimi nie przepada. Ku swojemu zdziwieniu, Rhys dobrze się bawił. Początkowo myślał, że spóźnienie i nagła zmiana planów wprawia go w zły nastrój, ale dziewczyna go intrygowała. Pewny rozkosznego finału miłego wieczoru, usadowił się wygodnie i obserwował jej zachowanie. Aktorka w każdym geście, trzepeco rzęsami, rzuca nieśmiałe uśmiechy, wdzięcznie gestykułuje, troszcząc się o gościa.

- Jeszcze wina, *beau sire*?

Spostrzegł, że jego kubek jest pusty i podał go jej. Służąca natychmiast napełniła naczynie. Usztynwiona, cicha, skrycie nieprzychylna. Najwidoczniej służbie panny gość nie przypadł do gustu. Nie wiedział dlaczego. Przez szacunek dla damy i wzgląd na okazję, miał na sobie najlepszy skórzany kubrak i lnianą tunikę. Jego buty, chociaż znoszone, były przedniej jakości, podobnie jak szeroki, skórzany pas, nabity guzami z brązu w kształcie gryfów. Odział się, jak mógł najlepiej, bardziej paradnych strojów nie miał, wszak trudno oczekiwać, by rzucany po świecie rycerz woził się z kufkami szat. Część swoich rzeczy przechowywał w jednej z licznych oficyn Windsoru, skąd ruszał z Ryszardem na krucjatę - wtedy je tam zostawił na przechowanie.

- Dobre wino - powiedział, by podtrzymać niespieszny tok konwersacji. - Chociaż nie lubię, kiedy jest zbyt korzenne.

- To mój własny przepis. Mam skrzyneczkę z ziołami i korzeniami, przydają się w angielskich karczmach, gdzie serwują zaiste podłe wino.

Roześmiał się. Jego ciało przenikało ciepło, czuł się przyjemnie rozluźniony.

- Wiele podróżujesz. Co sprowadza cię do kraju, gdzie jada się zbyt dużo wołowiny i pija podłe wino?

Najpierw wahanie, potem ulotny uśmiech, trzepotanie rzęs i pochylenie głowy na bok tak, że włosy opadły na pierś pokrytą cienkim jedwabiem. Rozproszył go ten ponętny obraz tak, że ledwie słyszał pierwsze słowa jej odpowiedzi. To niemożliwe, ale miał wrażenie, że materiał stał się cieńszy, a dekolt sukni głębszy. Z trudem przybrał skupioną minę.

- Rodzina mojej matki pochodzi z Anglii, ale nigdy nie poznałam swych krewnych. Myślę, że odbywam swego rodzaju pielgrzymkę.

- Pielgrzymkę... - Ponownie utkwiał wzrok w jej twarzy, zauroczony ciemnym blaskiem jej oczu, zafascynowany dołeczkiem w kąciку ust. W namiocie robiło się ciepło. Bardzo ciepło. Chrząknął. - Pielgrzymka oznacza zwykle duchową wyprawę, jak wyprawy rycerzy, którzy poszukiwali Świętego Graala, może być też doznaniem religijnym. A ty, czego szukasz w Anglii?

Dreszcz przebiegł po plecach dziewczyny.

- Cel pielgrzymki obiera sam pielgrzym, *beau sire*. Może być ona poszukiwaniem, może być doświadczeniem religijnym. Jest wiele motywów podobnych przedsięwzięć i nie wszystkie szlachetne.

- A twoje? Czy są szlachetne?

Rozchyliła wargi, wilgotne i zapraszające, różowy koniuszek języka przesunął się powoli po dolnej wardze, po chwili przygryzła go lekko zębami. Obserwowała go. Wypił łyk wina. Spojrzała na swoje dłonie, oparte o stolik, na talerz z niedokończonym jedzeniem, odsunięty na bok.

- Myślę, że szlachetne, *beau sire*.

Pochyliła głowę, włosy woalem przysłoniły jej twarz i pierś. *Chciał zanurzyć dłoń w pachnących puklach, jak wtedy na łące, otoczyć ramieniem jej kibić, przyciągnąć do siebie, posmakować słodczy, całować jej usta... Jezu, na myśl o tym war okrutny uderzył mu do głowy.*

- Jeszcze wina? - usłyszał za plecami szept i zaskoczony ujrzał Elspeth z dzbanem w rękę, gotową na każde jego skinienie.

Kubek był prawie pusty. Światło lampek odbijało się w mętym osadzie na jego dnie. Pokręcił przecząco głową, ale Elspeth już nalewała trunek. Podniósł głowę i ujrzał, że młoda panna obserwuje go z lekkim niepokojem.

- Dobrze się czujesz, *beau sire*?

Na dnie kubka majaczyły niewyraźne, zdeformowane obrazy o przedziwnych kształtach. Rhys zamrugnął, światło zamigotało. Poczuł, że ręce i nogi ma jak z ołowiu, jakby dźwigał na sobie ciężką zbroję, a wkrótce i powieki zaczęły mu ciążyć.

- *Beau sire?* - usłyszał głos dobiegający jakby gdzieś z oddali. Potem doszły go nie wiedzieć skąd dźwięki dzwonów, szum wiatru, poczuł silny, słodki zapach jaśminu, a potem wydało mu się, że jedwabny namiot opadł na niego, mieniać się wszystkimi barwami tęczy.

Z zamkniętymi oczami, głęboko oddychając, Rhys powoli rozprostował dłoń. Kubek z winem przechylił się. Sasha złapała go, ale wino wylało się jej na rękę. Rozszedł się silny zapach, inny od korzennego. Podniosła kubek do nosa.

Mak, dotarła do niej nie wypowiedziana na głos odpowiedź zza pleców siedzącego bez ruchu rycerza. Poderwała głowę. Elspeth uśmiechała się triumfalnie. Z satysfakcją spoglądała na bezwładną sylwetkę potężnego mężczyzny spoczywającego na krześle.

- Coś ty najlepszego uczyniła? Trudno, stało się, przynieś moją skrzynkę z ziołami. Mam nadzieję, że znajdę coś, co mu pomoże.

- Nie przesadzaj. To rosły chłop, a ja dałam mu niewiele, tyle, żeby sobie przysnął. - Elspeth wzięła głęboki oddech, głos drżał jej nieznacznie. - Chociaż po prawdzie wolałabym go całkiem otruć, byłeś nie wdawała się z nim w diabelskie konszachty.

Sasha zerwała się i zagniewana cisnęła kubkiem o ziemię. Odbił się i potoczył po dywanie pod stopy Biagia. Ten spuścił głowę, nie śmiać spojrzeć jej w oczy.

- Tyś ją namówił - zawołała.

Wzruszył nieznacznie ramionami, w końcu jednak podniósł głowę hardo, wyzywająco.

- Tak. Namówiłbym i samego króla, byle cię ustrzec przed głupim krokiem.

- Teraz nareszcie wiem, komu mogę ufać... A ty - powiedziała, odwracając się do Elspeth - wygłaszasz kazania, że nie powinnam kłamać, zawsze mówić prawdę, strzec się podstępów i fałszu... Jak nazwiesz takie postępowanie?

- Ratowaniem cię.

- Ach, tak. Chciałaś mnie ratować. Przed czym? Przed nim? - Wskazała na Rhysa. - Jak myślisz, co on zrobi, kiedy się obudzi? Podziękuj mi za smaczny poczęstunek i zatrute wino? Podziękuj mi za miłe towarzystwo, a potem udusi. O nie, nie wydaje mi się, żebyś była aż tak przewidującą.

Uderzyła się dłonią w czoło, biadając:

- Wszystko na nic, wszystko na nic...

- Sasha. - Elspeth podeszła do niej i położyła dłoń na jej ramieniu. Głos staruszki drżał. Łzy nabiegły do oczu. - Miałam stać beczynnin z boku i przyglądać się, jak szykujesz sobie zgubę?

Sasha westchnęła. Nie mogła znieść łez. Gniew tak. Zdążyła już przywyknąć, że niania wiecznie zrządzi, że potępia jej postęпки, ale kiedy zirytowana wygarniała jej prawdę w oczy, czuła się potem jak najgorsza łajdaczka.

- Wiem - odpowiedziała skruszonym głosem. - Chcę tylko, żebyś mi zaufała. Myślisz, że jestem taka głupia, żeby się niepotrzebnie narażać? Miałam swój plan. - Uniosła gwałtownie głowę, pochwyliła zawstydzony wzrok Biagia i dodała: - Ty dolałeś jeszcze kilka kropel, tak? Ładny paszтет zgotowaliście mi oboje. Dzisiaj nieprzytomny niby kłoda, jutro obudzi się wściekły, z głową jak bania. Będzie radosny jak zraniony niedźwiedź.

- Znaczy, miłszy niż dotąd - mruknął Biagio z przekąsem. - Nie patrz tak na mnie. Wiedziałem, że będziesz wściekła, ale zabrnęłaś za daleko. To nie jakiś delikacik, trubadur francuski, który nie wie, czy więcej gustuje we własnej płci, czy w przeciwnej, jeno rycerz, co właśnie powrócił z krucjaty Ryszarda. Wiesz chyba, co to znaczy.

- Ryszard też nie gustuje w niewiastach. - Zauważyła, że Biagio wzruszył tylko ramionami.

- Nie o to idzie. Mówimy o człowieku, który nie nawykł do tego, żeby mu odmawiać. Będiesz go zwodzić, przewracać oczami, obiecywać rajskie rozkosze, a potem co? Powiesz, że cię głowa boli, albo że musisz wyjechać, bo matuś ci zaniemogła i spieszysz do jej łóża? Jeśli nie dostanie, coś mu obiecała, furia go ogarnie. Miłe złego początki, a koniec żałosny. Uwierz mi.

- Już nigdy - oznajmiła oschle. - Powtarzam, nigdy więcej ci nie uwierzę. Zdradziłeś mnie.

- Ho, ho, widzieli ludzie obrażalską, fochy będzie teraz panna stroić - obruszył się. - A pamiętasz Kadyks? Kto kogo zostawił z pijanym huncwotem, co właśnie po roku wrócił z morza? Kto mu nakładł do głowy opowieści o włoskiej miłości pod pełnymi żaglami? Mało mi ręki nie złamał, ażem go palnął flaszką przez łeb. To miał być żart?

Uśmiechnęła się pod nosem.

- Powiedziałam mu tylko, żeś się w nim okrutnie rozmiłowała, od pierwszego wejrzenia. Pewnie dotąd wspomina z rozrzewnieniem, jakie gorące uczucia potrafił obudzić w twoim serduszk.

Z krzesła rozległo się ciche pochrapywanie. Sasha popatrzyła na Rhysa i westchnęła ciężko.

- Dajmy pokój. Musimy pomyśleć, co z nim zrobić.
- Mam duży worek. Wpakujemy go do niego, dołożymy ciężki kamień i...

Rzuciła tak straszliwe spojrzenie, że Biagio natychmiast umilkł.

Odezwała się Elspeth:

- Trzeba go jakimś sposobem zatargać do jego izby w karczmie i położyć do łóżka. Kiedy się rano przebudzi, będzie myślał, że za dużo wypił. Jeszcze nie widziałam angielskiego rycerza, który umiałby pić.

- Nie, nie - zirytowała się Sasha. - To na nic. Miałam o wiele lepszy plan.

Gdy Elspeth zaczęła mruczeć coś pod nosem, popatrzyła na nią z nikłym uśmiechem... i skłamała:

- Nie, moja droga, to nie to, o czym myślisz.
- Mów zatem, jaki to przemyślny plan ułożyłaś - łaskawie zainteresowała się Elspeth.

Sasha popatrzyła na nią, przygryzając wargi. Bała się, że zaraz parsknie śmiechem.

- Chciałam tak go upić, by myślał, że go wzięła do swojej łóżnicy - powiedziała, tylko trochę mijając się z prawdą.

Biagio aż krzyknął z wrażenia:

- Jest gorzej, niż myślałam. To oczywiste, że ty nigdy... no, nigdy... - Pokręcił głową. - Tego, *bella*, nie da się nikomu wmówić. Nie zwiedzisz go tym sposobem. Będzie wściekły.

Wszyscy jednocześnie spojrzeli na śpiącego rycerza.

- Co więc mamy z nim począć?

5

Gdybym wiedział, że zamierzasz to uczynić - mruczał Biagio - rzuciłbym go rybkom, czy by ci się to podobało, czy nie. - Dowłókł Rhysa do łóżka, sapiąc i dysząc.

- Przestań narzekać. - Sasha szybko i cicho zamknęła drzwi, po czym oparła się o nie. Izba cuchnęła poprzednimi lokatorami i posiłkiem przygotowywanym w kuchni na następny dzień.

Rzucając jej pełne niesmaku spojrzenie, Biagio wydawał z siebie jakieś włoskie, nie w pełni dla niej zrozumiałe dźwięki, mozoląc się z ułożeniem nieprzytomnego rycerza na sienniku. Kiedy już się z tym uporał, usiadł pod ścianą, dysząc z wysiłku, a nie lada było sztuką wtaszczyć potężnego woja po wąskich i stromych schodach na zapleczu karczmy.

- Nie mogłaś upatrzeć sobie węższego zalotnika? Ten waży chyba ze dwieście funtów.

Jego skargi odpływały w mrok. Przez małe okienko wpadał promień księżycowej poświaty. Biagio podszedł do paleniska i zapalił świeczkę od tłącego się polana. Zaklął cicho, gdy gorący łój skapnął mu na palce, i powoli rozejrzał się po małym pomieszczeniu.

- Widzę, że dworny adorator nie wykosztował się zbyt, by uwić miłosne gniazdko.

- Też to widzę. - Sasha spostrzegła gliniany dzban z winem i bochenek chleba na tacy obok paleniska. Podeszła do łóżka i pociągnęła za jeden z wysokich botów rycerza. Zzuła go bez

trudu, rzuciła na podłogę i sięgnęła po drugi. Gdy poradziła sobie z butami, popatrzyła na jego ubranie i zawahała się. Miał na sobie kubrak, tunikę i obcisłe rajtuzy. Jak też rozebrać mężczyznę, nie dotykając go, pomyślała z niesmakiem.

Uniosła głowę i spostrzegła, że Biagio, ubawiony, uśmiecha się lekko.

- Zamiast się gapić, mógłbyś mnie wyręczyć. - Skrzywiła się.

- *Si*, ale kiedy zapyta, kto go rozebrał, nie będziesz mogła powiedzieć mu prawdy, że to nie ty. Kłamstwo to ciężki grzech, *bella*.

- Miło, że tak się troszczysz o moją duszę - syknęła - ale byłoby jeszcze milej, gdybyś jednak mi pomógł. - Szarpnęła za sprzączkę szerokiego skórzanego pasa i rozpięła ją. Miecz zachybotał się, gdy uniosła pas w górę. Biagio wziął go od niej i pomrukując przyglądał się z uznaniem doskonałej, snycerskiej robocie.

- Mogę wypróbować tę piękną broń, *bella*? Wygląda na wystarczająco ostrą, by uczynić z twojego koguta kapłona.

Rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie, które tylko go rozśmieszyło, i na powrót zajęła się Rhysem. Pod sznurowanym na piersi kaftanem była jeszcze długa lniana tunika, zaplątana wokół bioder. Sasha musiała mocno pociągnąć, żeby ją wydostać.

Biagio zwłóczył i marudził, ale podszedł wreszcie do łóżka, żeby pomóc swojej pani. Nie próbował nawet ukrywać, co o tym wszystkim myśli, ale Sasha, nawykła do humorów Włocha, nie zwracała na niego uwagi. Mimo uszu puszczała soczyste, bezczelne komentarze. Biagio i tak bawił się wybornie, diabeł przewrotny. Gdyby nie była w takiej kontuzji, jak nic oberwałaby po głowie.

Szybko rozbierała śpiącego rycerza. Nie wiedziała, co gorsze: podstępne knowania Biagia, czy otwarte potępienia ze strony Elspeth. A może chaos w jej własnej głowie?

Rhys, w samej tylko bieliźnie, leżał na sienniku z rozrzuconymi rękami i nogami, pogrążony w narkotycznym śnie. W migotliwym blasku świecy widać było mocne mięśnie brzucha i klatki piersiowej. Sasha czyniła wszystko, co w jej mocy, by stłumić w sobie narastający podziw dla jego męskiej urody. Bardzo ją to rozpraszało.

Kiedy się cofnęła, Biagio rzekł cicho:

- Jeśli ma być przekonany, że zbliżył się do cię tej nocy, łatwiej uwierzy, kiedy obudzi się bez bielizny. *Capite?*

- Oczywiście, że rozumiem, ty półgłówku - fuknęła zirytowana. - Trzeba go rozebrać do naga.

Biagio przezornie zmilczał, co miał już na końcu języka, i patrzył w milczeniu. Sasha wzięła głęboki oddech.

- Biagio, poczekaj za drzwiami. Rozbiorę go i zaraz do ciebie przyjdę.

- Nawet śpiący nie zasłużył sobie na to. - Biagio rzucił na rycerza krótkie, mroczne spojrzenie.

Gdy wyszedł, stanęła nieruchomo pośrodku małej izby. Co robić, co robić? Całe życie unikała podobnych sytuacji, nie była z nimi obeznana. Podeszła powoli do łóżka. Tak, być może tak będzie najlepiej. Nigdy nie przyznałaby racji Elspeth i Biagowi, ale skoro nie zdoła związać rycerza ze sobą innym sposobem, była gotowa uczynić ostatni krok, by osiągnąć cel. W końcu kobiety w jej wieku dawno powychodziły za mąż, niejedna dochowała się gromadki dzieci. Owa cienka błona, która odróżniała pannę od matrony, nie przynosiła jej szczególnych zaszczytów, poza tym, że wiecznie otaczała ją chmara zalotników, którzy wychodzili ze skóry, na wyprzódki konkurując między sobą o jej wianek. I po co? Żeby sapać, jęczeć i stękać? Toż nie raz widziała podobne ćwiczenia fizyczne w mrocznych zakamarkach zamkowych, na krytych jedwabiem otomanach, i w miejskich rynsztokach. Doprawdy, odstręczający widok. Pługastwo, niewarte wysiłku i potu. Pojąć nie mogła, czemu ludzie chędożą się z takim zapamiętaniem. Nie, Elspeth nie musiała przypominać jej nieustannie, że jest księżniczką, nie potrzebowała jej częstych napomnień, na jaki despekt wystawia się panna, kiedy ulegnie słodkim naszeptowaniom franta, któremu tylko amory i miłosne podboje w głowie.

A jednak... gdy przypominała sobie tamten dzień na łące, kiedy zlegli oboje pod słodko pachnącymi krzewami głogu i rozłożystymi gałęziami olchy, pod sklepieniem błękitnego nieba, owiewani lekkim wietrzykiem, a usta i dłonie rycerza wzbudzały w niej najbardziej niezwykle doznania, zaczynała trochę rozumieć, co powoduje mężczyznami i kobietami, że tak się nawzajem szukają. Trochę.

Chrapliwy pomruk rycerza obudził ją z rozmyślań. Spojrzała na niego z mimowolnym podziwem. Nawet w skąpym świetle świecy i wątłym blasku księżyca nie mogła oprzeć się urodzie silnego, muskularnego ciała. Oto leżał przed nią piękny, zaprawiony w swym rzemiośle rycerz, nawykły do noszenia ciężkiego oręża, wytrzymały na wszelkie trudy i znoje. Wielki lord, wybawiciel, człowiek wybrany do zrealizowania tego jedyne, najważniejszego celu. Musi go podejść, związać ze sobą choćby i podstępem... Każdy sposób był dobry, jeśli mógł jej pomóc odzyskać prawowite dziedzictwo.

Rozebrała się bezszelestnie, zdjęła z siebie wszystko z wyjątkiem koszuli. Świecę postawiła bliżej łóżka, tak że jej blask oświetlał teraz tylko twarz. Nie mogła popełnić żadnego błędu, nie mogła narazić się na oskarżenie, że nie dotrzymała słowa. Obiecała mu gorącą, szaloną noc, zatem jej rycerz otrzyma noc szaloną i gorącą. Przynajmniej taką powinna pozostać mu w pamięci.

Błyskawicznie pochyliła się i z woreczka przytroczonego do pasa wydobyła mały słoiczek. Przerzuciła włosy do przodu, aby ukryły krótką jedwabną koszulę, stwarzając pozór, że przesłaniają nagość. Kiedy była gotowa, przysiadła na krawędzi łóżka i pochyliła się nad śpiącym; zatrzeszczały deski. Pachniał winem i korzeniami. Jego pierś wznosiła się i opadała w miarowym rytmie. Sasha położyła dłoń na owłosionej piersi, między brązowymi brodawkami. Skóra pod palcami wydawała się niemal gorąca, serce biło mocno i równo. Jego tors był prawie tak ciemny, jak ogorzała od słońca twarz. Wyczuła dłońią niewielkie blizny, ot, lekkie stwardnienie skóry pod opuszkami. Znaki jego profesji. Oznaki odwagi. Albo ślady nieustępliwości.

Jej palce przesunęły się po wypukłości żeber do twardych mięśni brzucha. Ciemne spiralki włosów poniżej pępka. Powodowana ciekawością, przełamała resztki oporów, jakie mogą powstrzymywać człowieka, który wdziera się w czyjąś intymność. Powiodła powoli oczami po jego rycerskich atrybutach. Iście mocarny rycerz, zdatny i do podbojów miłosnych, i do stawania w polu.

Ale do rzeczy, zanim nie straci głowy i nie zapomni o swoich bezwstydnym planach. Znalazła się w jego łożu, tak jak obiecała.

Kiedy już będzie gotowa, obudzi go, niech się przecknie na tyle, by zachować mgliste wspomnienie jej obecności. Śmiały, niebezpieczny plan.

Uniosła się nad nim i ostrożnie usiadła na nim okrakiem. Odkorkowanie słoiczka z maścią chwilę trwało. Gdy to zrobiła, izdebkę wypełnił ostry, kwaśny zapach. Zmarszczyła nos. Nowy sposób zamykania szyjek butelek i słoików za pomocą kory śródziemnomorskiego drzewa, bardzo skuteczny. Arabowie od wieków używali zatyczek z korka, ale sposób ten bardzo wolno zadamawiał się na Zachodzie.

Trzymając korek w zębach, nabrała maści ze słoiczka, po czym łagodnymi, kolistymi ruchami zaczęła wcierać ją w skórę Rhysa. Był to balsam z liści eukaliptusa i mięty ucieranych z gęsim tłuszczem. Zaczęły piec ją palce. Maść jako dowód jej obecności. Jeżeli szczęście jej dopisze, balsam powinien rozgrzać ciało rycerza i przeniknąć do jego narkotycznych majaków na tyle, żeby pozostawić mu wspomnienia gorących uścisków.

Poruszył się niespokojnie pod dotykiem jej dłoni. Nogi i ramiona rozchylił tak szeroko, że omal nie spadła z łoża. Przypominało to jazdę na nieokiełznanym ogierze, z tą różnicą, że konie były jej zawsze powolne. Kompletnie odurzony Rhys trwał w innym świecie i łagodne słowa nie mogłyby do niego dotrzeć. Kiedy się uspokoił, poczuła, że nie opiera się już o jego biodra. Nie wiedząc kiedy, zsunęła się niżej. Przez cienką koszulkę czuła jego potężny wzwód.

Znieruchomiła, wpatrywała się w jego twarz. Przygryzła zębami korek, który nadal trzymała w ustach. Rhys miał zamknięte oczy, lekko rozchylił wargi. Spał. Przynajmniej po części. Ta część, która nie spała, napierała na nią, wilgotna, gorąca i twarda, trąc o jej ciało z rozpaloną determinacją. Poruszyła się. Tarcie wzmogło się, wzbudzając w niej jedyne w swoim rodzaju, rozkoszne, przenikające jak błyskawica drżenia całego ciała.

Nie mogła oddychać. Nie mogła się poruszyć. Przywarła do niego z kolanami wgniecionymi w siennik, z udami rozstawionymi szeroko nad jego ciałem, w agonii niepewności. Jakikolwiek ruch mógł spowodować ponowny kontakt, a wtedy mogłaby się nie oprzeć i przyzwoliłaby, żeby w nią wszedł. Wolała nie myśleć

o tym, co by się stało, gdyby się obudził. Już i tak stało się dość złego.

Naraz wydał z siebie chrapliwy, niski pomruk. Uniósł biodra do góry, trąc raz jeszcze zmysłowo. Saszę przeszył dreszcz. Wtedy pchnął na oślep, mocno i pewnie. Poczwała między udami ostry ból. W ostatniej chwili zasłoniła się ręką, w pośpiechu puszczając słoiczek, który upadł z łoskotem na podłogę. Korek wysnął się jej z ust. Przygryzła koniec języka tak mocno, że krzyknęła z bólu.

Hałas sprawił, że rycerz uniósł powieki. Patrzyła na niego w niemym przerażeniu. Zapomniała o dotkliwym bólu. W szarych oczach Rhysa migotały refleksy płomyka świecy. Wpółprzutomny, uśmiechnął się z satysfakcją.

- *Cherie...*

Niski, gardłowy, senny głos, ale zdecydowanie przytomny. Znalazła się w strasznych opałach.

Za mało maku, za mało dekoktu w winie, jak na tak potężnego draba... Elspeth nigdy nie potrafiła dobrać odpowiednich proporcji. Czemuż zdała się na ślepy los? Gdyby sama przyrządziła miksturę, jej ofiara nadal trwałaby wpółprzutomna, między jawą a snem, a ona nie tkwiłaby teraz w idiotycznej pozie, oczekując nieszczęścia.

Nie była to dobra chwila na rozmyślania. Poruszyła się w końcu, ale za późno, on zaś był szybki. Szybki, podstępny, niebezpieczny. Jedną ręką schwycił ją mocno za nadgarstek, drugą zanurzył w jej włosach.

Mysł, myśł, myśł...

Szepnęła drżącym głosem:

- *Beau sire, znowu... tak szybko?*

Gardłowy śmiech. Oplótł jej włosy wokół dłoni i pociągnął ją ku sobie. Prawie leżała na nim, rozłożyła ręce i próbowała oprzeć się o materac. Teraz jej twarz była tuż przy jego twarzy, tak blisko, że widziała każdą rzęsę, każdą zmarszczkę wokół oczu. Błądą bliźnię biegnącą przez policzek. Za każdym oddechem jego pierś dotykała jej piersi. Sasha cała drżała.

Był silny, zdecydowany, pełen żaru, niebezpieczny i kuszący. Zrozumiała nagle, ponad wszelką wątpliwość, że nie jest gotowa. To było coś więcej niż zbliżenie fizyczne. Niosło za sobą gwał-

towne, nieoczekiwane i niemożliwe do opanowania doznania, od euforii po rozpacz. Euforia łączyła się z nadzieją, że to on jest mężczyzną z przepowiedni, rozpacz rodziły brzmiące ciągle w uszach przestrogi Elspeth, że to człek, którego obchodzi jeno robienie mieczem i chędożenie.

- *Cherie* - powtórzył cichym, zdławionym głosem. W tym westchnieniu zabrzmiała czułość. Słowo, które ludzie wypowiadają tak beztrzesko, tu, teraz, w tej izbie, w ustach rycerza nabrało szczególnego znaczenia. Niezdolna dłużej się opierać, położyła dłonie na jego piersi, poddając się jego pocałunkom i pieścizdom.

Uniosła głowę.

Znowu to samo ostre, groźne pulsowanie między udami, równie rozkoszne co oszołamiające. Gwałtowne, gorące pocałunki rozpały w niej płomień, który zlewał się w jedno z bolesnym pulsowaniem między udami. Kurczowo zgarniała dłońmi szorstkie prześcieradło. Wygięła się. Wszystko wokół niej zawirowało, zamgliło się, odpływało. Wiła się, jęczała, pożądanie narastało, coraz silniejsze i coraz bardziej nieosiągalne, jakby gdzieś poza zasięgiem wszelkich możliwości i wszelkich doznań coś jeszcze miało się dokonać; gdyby tylko wiedziała, co to takiego i jak tego dosięgnąć...

Krzyknęła cicho. Rozległo się pukanie do drzwi i przytłumiony głos. Biagio. Czekał w ciemnym korytarzu...

- *Beau sire...* już późno... Muszę iść. - Próbowała wysunąć się z łóżka, ale trzymała ją mocno w objęciach. Zmrużył oczy i nie odrywał spojrzenia od jej twarzy.

Myśli jak szalone przelatywały przez głowę Sashy, kłębiły się pod czaszką, sprzeczne, chaotyczne, domagające się uporządkowania. Uwolniła się z uścisku kochanka, zostawiając go z jedwabną koszulką w zaciśniętej dłoni. Wskoczyła z łóżka, a on ciągle nie odrywał od niej oczu zamglonych narkotykiem i pożądaniem. Zamrugał, a po chwili powieki zamknęły się same. Głowa powoli opadła na materac. Westchnął głęboko.

Stała naga i drżąca, gotowa umknąć. Spał. Mikstura znowu zadziałała. Sasha podeszła do łóżka, żeby zabrać koszulkę, ale trzymał ją mocno w zaciśniętej pięści. Biagio jeszcze raz zapukał, tym razem głośniejszym i mocniej.

- *Bella...*

- Idę. - Zostawiła koszulkę, podniosła tunikę i wdziała pośpiesznie. Pięknie haftowane ciżemki z dzwoneczkami wsunęła pod ramię i pobiegła do drzwi. Szczęśliwa, że na korytarzu panował mrok, wymknęła się z izby.

- Śpi? - zapytał Biagio cichym, dziwnie zagniewanym głosem. Jego sylwetka rysowała się w mroku niby cień.

Skinęła, nie patrząc na niego.

- Tak i obudzi się ze straszliwym bólem głowy.

- To dobrze.

Z izby na dole, gdzie biesiadowali jeszcze podróżni, dobiegły ich głośne śmiechy.

- Idziemy, mamy jeszcze dużo do zrobienia - powiedziała i ruszyła przed siebie.

Było mu duszno. Męczył go mdło-słodki zapach korzennych przypraw. Głowa mu pękała. Podniósł rękę do oczu i poczuł muśnięcie pachnącej, śliskiej materii. Otworzył powieki; w szarym świetle sączącym się przez otwarte okno zobaczył, że ściska w dłoni delikatny szkarłatny jedwab. Zachmurzył się.

Wokół nie było jedwabnych ścian ani poduszek ze złotymi chwostami. Dzbanów z brązu i kubków... Nie było kobiety. Otworzył dłoń i przyjrzał się zwiewnej, jedwabnej koszulce. Zaklął i usiadł gwałtownie na łóżku, złorzecząc z bólu.

Kiedy jego oczy przywykły do półmroku, rozpoznał pomieszczenie: izba w zajeździe. Cuchnąca zjełczałym tłuszczem i piwem. Dopiero co przebywał w jedwabnym, okadzionym wonnościami namiocie. Przypominał sobie, że rozparty na wygodnym krześle spoglądał na siedzącą u jego stóp pannę. Pił wino. Wypił tak dużo, że nie wie teraz, jak znalazł się z powrotem w gospodzie. Jezus miłościwy, dawno już nie zrobił z siebie takiego durnia.

Pozostały mu jeszcze inne wspomnienia, bardzo przyjemne: gdyby nie ten makabryczny ból głowy, mógłby się im oddać. Czarne, jedwabiste włosy, miękka skóra, drobne piersi... Zaklął pod nosem.

Gdzie ona się podziała? Niejasno świtało mu, że siedziała na

nim... okrakiem, jędrne uda obejmowały jego biodra, czuł na ustach jej smak... To wystarczyło. Miał ochotę wyskoczyć z szorstkiego łóżka i zacząć jej szukać.

Nierozważny ruch sprawił, że izba zawirowała mu przed oczami. Opadł z powrotem na pościele, z jękiem łapiąc się za głowę. Kawałek jedwabiu sfrułał na jego nagie uda. Jest nagi. Jak przez mgłę przypomniał sobie, że został rozebrany. W skroniach mu dudniło. Dopiero po dobrej chwili zorientował się, że ktoś łomocze do drzwi.

Podniósł ostrożnie wzrok, zerknął w kierunku, skąd szedł łoskot i warknął, żeby wejść. Nie zdziwił się, widząc najpierw rudą głowę, a zaraz potem już całą postać Briana.

- Milordzie... dobrze się czujesz?

Rhys rzucił mu kwaśne spojrzenie. Brian był jakiś taki porannie rozchełstany, odzienie niechlujne, włos zmierzwiony, ale oko miało jasne, niewskazujące na wieczorne biesiadowanie.

- Niedobrze. Język mam niby kołek i łeb mi za chwilę pęknie. Dawaj tu wina.

Brian zamrugał.

- Wina? Myślisz, że to mądrze, żebyś...

Grube walijskie przekleństwo osiągnęło zamierzony efekt. Brian natychmiast przyskoczył do stołu, gdzie obok bochna czerstwego chleba stał dzban z winem. Rozległ się miły gulgot i Brian już stał przed swym lordem z napełnionym kubkiem w dłoni.

Rhys wypił zawartość jednym haustem, po czym otarł usta wierzchem dłoni. Spojrzał na Briana, zerknął w stronę małego okienka, przez które sączyło się jasne światło dnia.

- Wy, Irlandczycy, musicie mieć żołądki z żelaza.

- Tak, panie. - Brian rozejrzał się po izbie z odrazą. W milczeniu popatrywał to na czubek jednego swojego buta, to na drugi. Przeniósł wzrok na przystrojone jedwabiem uda Rhysa. Uniósł brew.

- Jest mi lżej, gdy widzę cię tutaj.

- A gdzie miałbym być? Aha, poczekaj. Wiem. Na tańcach w królestwie elfów, czy gdzie tam te czarodziejki porywają swoje ofiary. - Głowa znowu przypomniała o sobie. Rhys zażądał kolejnej porcji wina.

- Żartujesz sobie ze spraw, które rozumny człowiek winien traktować poważnie - burknął Brian z głęboką urazą. - Skoro ona nie jest królową elfów, to wytłumacz mi, dlaczego nosi purpurową opończę.

Rhys przeszył dociekliwego druha wściekłym wzrokiem.

- Ponieważ to bardzo ładny kolor. Chryste, Brian, za dużo mówisz...

- Purpura to kolor monarchów, dobrze o tym wiesz. Tylko ci, w których żyłach płynie królewska krew, mają prawo go nosić, a ta... panna... nosiła go z taką dumą wtedy w lesie, zanim przepadła we mgle.

Zasepił się. Tak było. Jednakże panna albo nie dbała o stosowne decorum, albo była na tyle dyskretna, że przywdziewała królewski kolor tylko w puszczy, we wsi się z nim nie obnosiła.

- Jest różnica między zuchwałością a magią. Jej magia, jak zdażyłem zauważyć, mieści się w pojęciach tego świata.

Brian nie odpowiedział. Spuścił głowę, wzrok wbił w podłogę. Naraz pochylił się i podniósł niewielki przedmiot. Trzymał go w wyciągniętej ręce i zerkał na niego nieufnie.

- A to? Do czego to służy na tym świecie, mój lordzie?

Powoli unosząc głowę, tak, by ustrzec się łupiącego bólu, Rhys badawczo wpatrywał się w mały słoik. Wykonany z grubego, błękitnego szkła, nacinanego w dziwne znaki, słoiczek odbijał delikatne błyski światła. Brian potrząsnął nim i nagle pokój wypełnił się ostrym zapachem. Odrzucił szkło jak oparzony, uczynił w powietrzu znak krzyża i cofnął się w kierunku okna, mrużąc: - *Acre arcre arnem nona aernem...*

Zniecierpliwiony Rhys podniósł naczynie. Od tego wysiłku w głowie mu się zakręciło; popatrzył na Briana.

- To tylko leczniczy balsam. Sądząc po zapachu, przypomina maść dla koni.

- Ale użyła go na tobie - zauważył Brian. - Cierpisz jakie bóle, że miast kobiecej ręki potrzebna ci końska maść?

Rhys zmarszczył brwi. Jak przez mgłę przypominał sobie silną woń, ogarniające go ciepło i pannę, która go masuje, i dziwne słowa szeptane w dziwnym języku. Brian prawi o czarach, ale prawda była taka, że nawet cała noc miłosnych igraszek nie

poniejszyła jego pożądaną. Nadal dręczyła go okrutna żądza. Nie znajdując dla niej ujęcia, rzucił z wściekłością, taką bodaj dając sobie ulgę:

- Jeśli na coś miałbym się w tej chwili uskarżać, to na twoją dokuczliwą obecność. Uprykrzonyś niby giez. Błagam, idź precz i każ ludziom gotować się do drogi. Za godzinę ruszamy.

- Sir Robert już się tym zajął - odrzekł krótko Brian. - Będziemy czekać na ciebie na dziedzińcu.

Rhys, ciągle trzymając w rękę słoiczek, podniósł wzrok.

- Wybacz, żem taki porywczy, Brianie. Za dużo wina wypięłem, to i humor mam kwaśny.

- Oby te kwasy brały się tylko z wina. - Brian cofnął się o krok i dodał cicho: - Zmieniłeś się od tamtego dnia w puszczy.

Był tak bliski prawdy, że Rhys znowu się zirytował. Tak go zgniewała trafna uwaga druha, że przezornie wolał ją zmilczeć. Podejmując heroiczne wysiłki, zaczął się ubierać, przynajmniej próbował, ale czuł się tak niepewnie, że nie mógł nawet zapiąć pasa. Upokorzony, ścierpiał pomoc Briana. Odkąd przestał być gołowąsem, zawsze rankiem po nocnej hulance żwawo wstawał z łoża, a pić potrafił tego i głowę miał mocną. Tymczasem z minionej nocy niewiele co pamiętał, jeno mgliste, niezborne obrazy.

Gdy był już *gotowy*, zwrócił się *do* Briana:

- Niech Morgan przyprowadzi Turka przed ganek gospody, muszę jeszcze gdzieś jechać, zanim ruszymy.

Brian podał mu rękawice.

- Mogę ci towarzyszyć? - zapytał.

- Nie. Obawiam się, że moja misja nie byłaby ci w smak. - Widząc grymas niechęci na twarzy przyjaciela, dodał: - Chcę się z nią pożegnać.

- Myślisz, że ona też tego chce?

- Co masz na myśli?

Brian nerwowo zaciskał i otwierał dłonie; na jego twarzy malowało się zatroskanie. Odwrócił się i wybuchnął:

- Rhys, ona cię zatrzyma. Wiem o tym. Nie pytaj skąd, bo tego powiedzieć ci nie mogę. Ale klnę się na wszystkich świętych, że wiem.

- Naprawdę uważasz, że rzuciła na mnie czar?

- Nie tak jak myślisz, że ja myślę. Jednak, milordzie, choćbyś zżywał się i zaprzeczał, pewne jest, że ta panna przywiązała cię do siebie i zniewoliła.

W głowie mu dudniło, żołądek ciążył. Nie miał siły wystąpić nedorzecznymi bajdurzeniami. Jednak Brian był mu szczerze oddanym przyjacielem i lojalnym druhem, żywił do niego serdeczne uczucia. Uderzając od niechcienia rękawicami o dłoń, odpowiedział spokojnie:

- Nie praw mi tu o zniewoleniu. Jeśliś podatny na uroki, to chyba kobiecych kragłości, kiedy mam w nocy niewiastę koło siebie w łożu. Trzeba mieć nie po kolei w głowie, żeby się w tym dopatrywać magii. Powiedz mi, przyjacielu, czy ta dzierlatka, co ją wczoraj sir Peter chędożył na sianie, też go zaczarowała?

- Widziałem tę dziewczę i jeśli go zaczarowała, to chyba tym, że rozchyliła nogi. Z twoją panną sprawa ma się zgoła odmiennie. - Jego szeroka pierś uniosła się w ciężkim westchnieniu, ale w oczach pojawiły się wesołe iskierki. - Skoro nie magia cię zmogła, to pewnikiem moc wina tak cię powaliła, że bez mej posługi nie zdołałbyś się odziać.

Rhys jęknął. Od prawdy nie masz ucieczki, ale niełatwo ją przełknąć, kiedy ktoś wyklada człowiekowi prosto w oczy, jak się sprawy mają. Bez słowa wyminął Briana i opuścił izbę. Jego kroki zadudniły na wąskich, przegniłych schodach. Wyszedł przez wspólną izbę z karczmy. Świeże powietrze trochę go ocuciło. Zmrużył oczy podrażnione ostrym światłem słońca, w nozdrza uderzył go zapach koni, kóz i kur - swojska wiejska woń.

Gdy schodził z ganku, w jego stronę zmierzał właśnie od stajni sir Robert. Na szerokiej, poczciwej twarzy malowało się czytelne z daleka zatroskanie.

- Złe wieści, milordzie.

Rhys zatrzymał się. Sir Robert przystąpił do niego, kręcąc głową.

- Większość ludzi leży złożona niemocą, mój panie.

- Chorzy? Co im dolega?

- Nie wiem, milordzie. - Sir Robert ciągle kręcił głową. - Z początku tom myślał, że biegunka ich męczy po nocnym pijaństwie, ale nawet ci, co pili mało wiele, także cierpią. Leżą po rowach i jęczą.

- Ilu zległo?

Sir Robert skrzywił się.

- Łatwiej policzyć, ilu nie zległo: ja, sir Brian, sir Peter, twój giermek...

Rhys zaklął pod nosem. Kolejna zwłoka. Najpierw Jan ze swoim poselstwem, a teraz nawet natura obróciła się przeciwko niemu. Jakby wszystko sprzysięgło się, żeby nie dotarł do Walii. W poczuciu bezradności mógł tylko uskarżać się na przewrotność losu. Poleciał sir Robertowi, aby zadbał o chorych.

Odwrocił się i ruszył ku stajniom, chcąc zobaczyć swoich ludzi, ale zatrzymał go Morgan, czymś wyraźnie przejęty.

- Przyłożyłem do nogi Turka kataplazm, jak kazałeś, panie, ale okład nie pomógł. Ciągłe kuleje.

Rhys zaklął. Coś zaświtało mu w pamięci: uśmiech na delikatnej buzi, wpatrzone w niego ciemne oczy i ostrzeżenie, że koń zacznie kuleć.

- Jesteś pewien? - zapytał gniewnie i dojrzał zdziwienie oraz urazę w oczach Morgana. - Żłem się wyraził. Wiem, że się nie mylisz. Czy to tylko stłuczenie, czy coś gorszego?

- Trudno rzec, ale dzisiaj nie będzie mógł ruszyć w drogę, milordzie. Nie wiadomo, czy w ogóle będziemy mogli wyjechać. Nawet jutro.

- Wygląda na to - powiedział przygnębiony - że trzeba nam będzie dłużej zabawić w Wythman.

6

Wszyscy? - Sasha zacisnęła usta, żeby nie parsknąć śmiechem. Udała zmartwioną.

Biagio bez najmniejszej żenady szeroko się uśmiechnął.

- Tak powiedziała mi córka karczmarza. Zupełnie jakby jakaś tajemna niemoc owładnęła rycerzami, którzy wczorajszej nocy biesiadowali wesoło w gospodzie. Zmogło nawet tych, co prawie nie pili. Wszyscy postękują teraz w rowach za stajniami.

- Wątpliwe, czy ruszą dzisiaj w drogę. - Skinęła głową i z zadowoleniem usiadła na pufie, pod jedwabnym dachem namiotu. Ból brzucha, błaha doprawdy przypadłość. Ci, co wypili najwięcej, najbardziej będą się męczyć. Cóż, tak działała właśnie niegroźna skądinąd mikstura, którą zaprawiła wino.

- Czego im dołałaś? - Biagio opadł na jedną z poduszek i skrzyżował nogi po turecku. Oparł się na łokciach i słuchał z uniesionymi brwiami.

- Jagody jemioly i kropla olejku z wrotycza. Mocny wywar, ale nieszkodliwy, jeśli stosowany z umiarem. Sam wrotycz byłby nazbyt silny i okropnie gorzki. Niektórzy piją napar z niego, żeby oczyścić wąpia z pasożytów. Bywa, że kobiety używają go do spędzenia płodu. - Zachmurzyła się. - Nie zadaję się z tymi, którzy praktykują czarną magię. To niebezpieczni ludzie.

- Ale sama posługujesz się magią. - *Choćby... wiesz, o czym myślę... słyszysz mnie, jakbym mówił na głos...*

- Zapewne, ale nie używam jej, żeby krzywdzić ludzi.

Kiedy roześmiał się, spojrzała na niego z groźnym błyskiem w oku.

- Czy kiedykolwiek skrzywdziłam kogoś swoim Darem?

Położył się na boku i oparł głowę na dłoni.

- Od czego mam zacząć? Może Madryt, gdy wyjawiaś temu tłustemu hiszpańskiemu zakonnikowi, że jego kochanka sypia z biskupem...

- Trzymał rękę na moim udzie. Musiałam poradzić mu, żeby lepiej pilnował swojej pani.

- Tak? A w Reims, kiedy powiedziałaś tej tłustej, leniwej babie, że jej mąż Jacques wie o jej amorach z pięknym frankońskim rycerzem, co ma na imię Conrad. Kumoszka czas spędzała w al-kowie, zamiast pracować...

- Owa tłusta kumoszka za bardzo umizgała się do ciebie. Byłbyś przepadł z kretelem, gdyby cię babsko ucapiło. Musiałam cię przed nią chronić. To była zwykła ladacznica.

- A karczmareczka? Taka sama dobra jaka tamta, aleś mnie do niej posyłała, żebym szeptał jej czułe słówka i wywiedział się tego, co chciałaś wiedzieć. - Mrużył oczy, bawiąc się rękojeścią swojego sztyletu. - On jest lordem, a nie zwykłym rycerzem. Wiedziałaś o tym?

Westchnęła.

- Tak, słyszałam. Jego ludzie tak się do niego zwracali. Nieważne, lord to jeszcze nic nie znaczy, może mieć włości wielkie jak cała Walia, albo nędzną pięćdziesiąt ziem, jeśli w ogóle coś ma. Znam lordów, co nie posiadają nic poza dumnym tytułem i długami. Jak jest z nim, nie wiem.

Biagio uśmiechnął się znacząco.

- Ale ja wiem.

Znała te gierki, przekomarzania się, które aż nazbyt często kończyły się kłótnią. Wzruszyła ramionami.

- Gdy zajdzie potrzeba, sama dowiem się wszystkiego. Zapewne ma jakiś powód, by nie obnosić się ze swoimi godnościami.

- Być może jego tytuł jest wątpliwy? Raz na wozie, raz pod wozem, zależy, skąd wieje wiatr. - Biagio wyraził kilka sentencji naraz.

- Zawieruchy wojenne i spory o ziemię wiele zmieniają, ale

człowiek nie traci raz zdobytego tytułu. - Wzruszyła ramionami. Biagio zamknął się przed nią, sprytnie kierując swe myśli ku ponętnej kuchareczce. Nie chciał, by poznała prawdę. Skoro tak, zmieniła taktykę. - Nie obchodzi mnie, czy on jest księciem, czy kmięciem. To mój rycerz z przepowiedni, który...

Biagio wydał z siebie mało uprzejmy, acz nieartykułowany odgłos, usiadł, pochylił się do przodu, ręce położył na kolanach.

- Skąd wiesz, że dobrze zrozumiałas przepowiednię? Po pierwsze, byłaś wtedy dzieckiem, po drugie, ten tutaj przecież nie spłynął z nieba na promieniu słońca tuż pod twoje stopy, nie jest skrzydlatym gryfem o zakrzywionych szponach. - Zacisnął pięść; w jego oczach malowało się zniechęcenie. - To tylko człowiek, istota ludzka, jak każdy z nas. Nie przekonałaś się o tym w nocy?

Spojrzała na niego bacznie. Czyżby wiedział, co wydarzyło się w nocy w karczmie? Nie mógł wiedzieć, ponieważ obrazy, które czytała w jego myślach, przedstawiały rycerza pogrążonego w głębokim narkotycznym śnie. Nie było w nich najmniejszego śladu scen, które rzeczywiście zaszły, gdy została z Rhysem sam na sam. Uspokojona wzruszyła ramionami.

- Masz rację. Nie chodzi o przepowiednię. - Uniósł brwi zdziwiony, że przyznaje mu rację, ale zaraz dodała chytrze: - Chodzi o intuicję.

Biagio jęknął.

- O tę samą intuicję, przez którą o mały figiel nie uwięzili nas w Antiochii?

Wzruszyła ramionami.

- To co innego. Wtedy czułam, że mogę mu zaufać. Skąd mogłam wiedzieć? Saladyn ani razu nie pomyślał o tym, co zaplanował. Ani razu. Byłam tak samo jak ty zdumiona, gdy ci ludzie wpadli do sali z dzirytami w garściach. - Wzdrygnęła się na samo wspomnienie. - Dobrze, że przyjmowali nas tam jako kuglarzy. Gdybyśmy byli prawdziwymi gośćmi księcia Bohemonda, jak nic dalibyśmy głowy. Błaznów oszczędzili.

- Mało brakowało. Ledwie uszliśmy z życiem.

Podniosła głowę.

- To prawda.

Bella, bella, to nie on... Szukaj prawdy w swoim sercu i we własnej głowie...

Rozgniewana, zerwała się na równe nogi.

- Mówię ci, że to on. Wyobrażasz sobie, że robiłabym to wszystko, gdybym naprawdę w to nie wierzyła?

Biagio poderwał się także i stał na wprost niej z pochyloną głową, prawie dotykając jej nosem.

- Nie, ale myślę, że nie powinnaś zaprzętać sobie myśli bzdurną przepowiednią sprzed lat i wierzyć w nią święcie. Ja nie jestem Elspeth. Jeżeli chcesz zlec z tym nędznym głupcem, wolna droga, ale nie próbuj usprawiedliwiać swoich zachcianek rzekomo szlachetnymi powodami.

- Jeżeli zechcę z nim spać, to będę. Nie zamierzam kierować się niczym poza własnym sądem, a już na pewno nie pozwolę, żebyś ty decydował, jak mam postępować.

- Zaiste świetnie sobie radzisz - odciął się.

Słowa śmigały w powietrzu jak strzały, napięcie rosło.

- Dzieci, dzieci - dobiegła ich od wejścia do namiotu łagodna reprimenda.

Sasha i Biagio wzdrygnęli się, słysząc głęboki, kpiący głos. W wejściu stał Rhys, pochylony, by nie obalić głową namiotu. Na jego ustach błąkał się nikły uśmiech.

Pierwsza oprzytomniała Sasha.

- *Beau sire...* nie słyszeliśmy, kiedy wszedłeś.

- Oczywiście. Cóż to, rodzinna kłótnia? - Spoglądał badawczym wzrokiem to na nią, to na Biagia.

- Skądże, *beau sire*. Nie jesteśmy krewnymi, łączą nas tylko więzy wieloletniej przyjaźni. Ale rzeczywiście Biagio bardziej jest mi bratem niż służącym.

- Rozumiem - odpowiedział, lecz widać było, że nic nie zrozumiał. W każdym razie nie pojmował, gdzie leży prawda. Ile słyszał?

Przeklinając niemoc swojego Daru względem Rhysa, uśmiechnęła się najczarowniejszym ze swoich uśmiechów.

- Wcześniej dziś wstałeś, *beau sire*.

- I w samą porę, by nie dopuścić do bratobójstwa. - Patrzył w zamyśleniu to na nią, to na Biagia. Poła wejścia do namiotu opadła mu na ramiona niby saraceńska peleryna.

Stojący za Sashą Biagio cały trząsał się z wściekłości. *Prawdziwa ta twoja przepowiednia czy nie, on nie jest dla ciebie, bella.*

- Kłócimy się czasami, ale nigdy poważnie - powiedziała do Rhysa, nie zwracając uwagi na to, że Biagio gotuje się ze złości. - Potem Biagio zawsze mnie przeprasza...

Kłamczucha, kłamczucha...

- ... a wtedy ja mu wybaczam - kontynuowała, przysuwając się do Biagia, by dać mu niepostrzeżenie szybkiego kopniaka w kostkę - i znowu jesteśmy przyjaciółmi.

Au! Posuwasz się za daleko.

- Dosyć już o naszych drobnych waśniach. Właśnie mieliśmy zjeść śniadanie. Czy przyłączysz się do nas?

Poczęstuj go czarnym lulkiem i wrotyczem.

Sasha uśmiechnęła się do Rhysa.

- Powiem Elspeth, żeby przygotowała tacę, a Biagio nam ją przyniesie.

Nie rób tego, bella... Głupia, jaka ty jesteś czasem głupia...

Oстрыm kuksańcem pod żebro popchnęła go do wyjścia. Odskoczył, wyminął Rhysa i skłonił się przed nim dwornie, ale tak był rozeźlony, tak stracił panowanie nad sobą, że wychodząc zawadził o wejście.

Rhys odprowadził go wzrokiem, po czym zwrócił się do Sashy:

- Musiałaś wyjść bardzo wcześnie, słodki kwiecie. Obudziłem się, a ciebie już nie było; zostawiłaś mi tylko wspomnienia i to oto... - co mówiąc, teatralnym gestem wyciągnął jej szkarłatną koszulkę.

Bogu niech będą dzięki, że nie zrobił tego w obecności Biagia. Ten zaraz wyciągnąłby właściwe wnioski.

- Twoje barwy - dodał ciszej. - Ale nie w bitwie je nosiłem, jeno mi w garści zostały po miłosnych podbojach...

Złapała... i aluzję, i jedwab, który spłynął w jej dłoń. Rhys musnął ją lekko palcami. Podniosła wzrok, zaskoczona i zaniepokojona biciem własnego serca. Patrzył na nią z góry, jasne włosy opadały mu na czoło, oczy szare jak dym i pełne mądrości, na ustach dobrze jej znany uśmiech, który napełniał głowę myślami, jakich panna mieć nie powinna.

Odpowiedziała niepewnym uśmiechem, łagodnie uwalniając dłoni z uścisku.

- Bardzo to miło z twojej strony, że przynosisz mą zgubę, *beau sire*.

- Nie zrobiłem tego przez wzgląd na grzeczne obyczaje. - Ujął zwisający z jej dłoni kraj materiału, oplótł go wolno o palec i przyciągnął ją bliżej do siebie. Musiała oprzeć rękę na jego kaftanie, zaczepiając niechcący o klamrę szerokiego pasa. Ujął ją pod brodę, delikatnie gładząc kciukiem.

- Przyszedłem, żeby cię zobaczyć.

Znowu niepokojące uderzenie serca. To śmieszne, że tak na nią działał.

- Pochlebiasz mi, *beau sire*.

Cofnęła się na bezpieczną odległość, szukając w głowie jakiejś zgrabnej riposty, chciała go rozśmieszyć i uniknąć za wszelką cenę rozmowy o minionej nocy. Wolała nie wkraczać na śliski i niebezpieczny grunt. Po powrocie do namiotu nie zmrzyła oka przez resztę nocy, powracała myślami do każdego szczegółu miłosnej sceny w izbie: ponownie odczuwała owo szczególnie kłucie w dołku i dziwne mdłości, jakby zjadła za dużo zielonych jabłek.

Rhys stał oto przed nią, patrzył na nią tymi swoimi wszytkowidzącymi oczami i nieznanie się uśmiechał. Wypełniał swoją obecnością całe niewielkie wnętrze namiotu. Po co poprosiła, by został na śniadanie? Z drugiej strony, gdyby tego nie uczyniła, jak miała wyegzekwować zawartą wcześniej umowę? Musi dobrze rozważyć, co powinna powiedzieć, żeby przypomnieć mu o jego ślubowaniu, ale zjawił się tak nieoczekiwanie, że nie dał jej czasu do namysłu.

Może to i lepiej. Są sam na sam i minie kilka dobrych chwil, zanim Biagio znajdzie Elspeth i każe jej przygotować śniadanie.

- Spocznijże, *beau sire* - powiedziała, podsuwając krzesło, na którym siedział poprzedniego wieczoru. Ponieważ było akurat złożone, próbowała je rozłożyć: bez skutku.

- Pozwól. - Rhys schylił się, wziął je za przeciwniegi poprzeczki, pociągnął i nogi krzesła rozsunały się, lekko skrzypnęły zawiasy z brązu. - Właśnie tak to jest pomyślane.

- Widzę. - Zabrzmiało to niezbyt uprzejmie, więc szybko dodała z uśmiechem: - Nie mam głowy do takich rzeczy.

- Posiadasz inne talenty - powiedział cicho.

Widząc błysk w jego oczach, odwróciła wzrok. Obszedł krzesło i znalazł się tak blisko niej, że cofnęła się. Przytrzymał ją za rękaw prostej sukni, którą nosiła tego ranka.

- Czy miałaś jakieś przykrości z tego powodu, że spędziłaś ze mną noc? - mruknął niemal bezgłośnie tuż przy jej uchu.

- Przykrości?

- Słyszałem koniec twojej sprzeczki z Biagiem. Robił wrażenie okrutnie rozzłoszczonego.

- Może trochę. - Popatrzyła na niego. - Ale to moja sprawa i moja decyzja. Nic nikomu do tego. - Wzięła głęboki oddech. Teraz albo nigdy, dopóki jeszcze żywe są w jego sercu wspomnienia miłosnej nocy. - Ja dotrzymałam słowa, czy nie tak, *beau sire*?

- Tak. - Dotknął palcem jej lewego ucha i pieścił je czule, aż poczuła miły dreszczyk podniecenia. - Dotrzymałaś, mój kwiecie. Tak jak obiecałaś, zległaś ze mną, spędziliśmy rozkoszne chwile.

Oddechnęła z ulgą, po czym położyła dłoń na jego piersi.

- Jesteś usatysfakcjonowany?

Położył swoją dużą, silną i szorstką dłoń na jej dłoni.

- Lepiej być nie mogło, piękny kwiecie. Zapamiętam tę noc na zawsze.

Bawiąc się rzemykami jego kaftana, powiedziała:

- Noc w zamian za zadanie, *beau sire*. Ja dotrzymałam obietnicy, teraz kolej na ciebie.

- Na mnie? - w jego głosie słychać było rozbawienie.

- Na ciebie, *beau sire*. Obiecałeś walczyć w moim imieniu. Jak będzie?

Z uśmiechem dotknął kosmyka jej włosów i zaczął się nim bawić.

- Chodzi o to, bym nosił twoje barwy. Przez jedną noc nie wystarczyło? - zapytał szeptem.

- Nie, *beau sire*. - Pociągnęła za rzemyki. - Chodzi mi o coś więcej niż jedna noc.

Zmienił się, na jego twarzy pojawiło się ledwie widoczne napięcie. Zaczął gładzić nagą skórę w dekolcie jej sukni.

Już otwierała usta, by powiedzieć, o co jej chodzi, zanim

odejdzie ją odwaga, gdy na zewnątrz rozległ się jakiś łoskot i wrzask. Rhys puścił jej włosy, dłoń powędrowała do rękojeści miecza.

Sielską ciszę rozdarły odgłosy kłótni. Biagio i Elspeth z głośnym krzykiem wpadli do namiotu.

- Sasha, wytłumacz temu głupiemu chłopakowi, że chleb i ser to za mało na śniadanie dla głodnego mężczyzny.

- Przecież zawsze to jemy - odparł Biagio. - Dlaczego dzisiaj miałyby być inaczej?

Sasha popatrzyła na nich spod przymkniętych powiek. Nie da się zbić z pantałyku. Ułożyli sobie dokładnie, że wedrą się do namiotu i przerwą im to sam na sam.

- Chleb i ser wystarczą - syknęła przez zęby. - Idźcie po jedzenie.

Nie, moje dziecko, nie zostawię cię samej z tym głodnym lwem...

- Pozwól, bym mogła wam służyć - rzekła Elspeth z uśmiechem i wyrazem zimnej determinacji w oczach. - Wszak to mój obowiązek.

- Twoim obowiązkiem jest stosować się do moich życzeń - ucięła Sasha. - Przynieś jedzenie i weź się do innych zajęć.

- Wszystko już zrobione, jesteśmy obydwoje do twojej dyspozycji, signonna - wtrącił Biagio, po czym teatralnym gestem wydobył schowaną za plecami lutnię. - Łagodne dźwięki muzyki ułatwiają trawienie, niosąc się wdzięcznie w porannym powietrzu - mówiąc to, usiadł pod ścianą po turecku. - Nawet nie będziesz wiedzieć, że tu jestem. Myśl o mnie niby o małej myszce w kącie izby.

- Zdaje się, że mamy przyzwoitki, mój kwiecie. Nie możemy ich zawieść. - Gładził jej kark, unosząc włosy i dotykając nagiej skóry. Przeszył ją dreszcz. Biagio wpatrywał się w nich bacznie. Rhys z uśmiechem przesunął dłonią po plecach Sashy takim gestem, jakby należała do niego. Biagio zaczął się dławić, Elspeth zbladła. Sasha stała nieruchomo, oszołomiona. Zupełnie już zmaćliło się jej w głowie. Rhys odsunął się od niej o krok.

- Chociaż doceniam, żeście tak serdecznie chcieli mnie gościć, z żalem muszę odmówić zaproszenia. Wzywają mnie pilne sprawy - zwrócił się do Sashy, przyciągając wzrokiem jej spojrzenie. -

Pokazuje się, że trzeba mi będzie zostać w Wythman dłużej, niż początkowo zamierzałem, piękny kwiecie. Zapewne będziemy mieli jeszcze okazję się spotkać - zakończył nader oficjalnie.

Przesłanie było wystarczająco jasne. Sasha zdobyła się na skinienie głową i nikły uśmiech, bąknęła coś, że będzie jej miło, po czym Rhys przeszedł obok znieruchomiałej Elspeth, pochylił głowę w niskim przejściu i wyszedł z namiotu, by po chwili zniknąć w lesie.

Przez dłuższą chwilę nikt nie odezwał się słowem. Sasha nie miała zamiaru wysłuchiwać wiszących w powietrzu oskarżeń i wymówek. Szukając ratunku z opresji, dojrzała woreczek, w którym przechowywała zioła, schwyciła go, mruknęła pod nosem, że musi poszukać tamaryszku i szaławii, zanim poranne słońce zacznie przypiekać, i wybiegła czym prędzej z namiotu, nim Elspeth i Biagio zdołali jej w tym przeszkodzić.

Niemal unosiła się ponad zroszonymi trawami, a po lesie niósł się delikatny dźwięk dzwoneczków przy jej ciężemkach. Przez gałęzie drzew przedzierały się pojedyncze promienie słońca. Może dobrze, że Elspeth i Biagio go przepłoszyli, myślała. Nie przypuszczała, że Rhys tak szybko otrząśnie się z makowych majaków, nie była przygotowana do rozmowy. Wyglądało na to, że nie był zbyt skory dotrzymać danego słowa. Gdyby napierała, najpewniej wpadłby w złość. Jednak był rycerzem, wiedział, co to rycerski honor. W końcu na pewno dotrzyma przyrzeczenia.

Nazywał ją kwiatem. Słodkim kwiatem. Pięknym kwiatem. Kwitnącym. Zatrzymała się. Lekko drżącymi dłońmi sięgnęła po pęk kwiatów głogu. Białe kwiecie żółte w środku. Delikatne, kruche płatki o słodkim zapachu, mieniające się w słońcu pastelowymi odcieniami barw pośród ciemnozielonych liści. Dzieci często jedzą młode listki, odnajdując w nich smak podobny do smaku orzechów. *Mój kwiecie...* wróciły echem słowa z przeszłości, wyblakłe, słodko-gorzkie wspomnienie innego mężczyzny, który nazywał ją swoim kwiatem. Jej ojciec, człowiek mądry i władczy, śniady i piękny. Jakże czule się uśmiechał, gdy mówił do niej *zaharat*, mały kwiatuszku.

Zerwała spory pęk kwiatów głogu, ostrożnie, by nie pokaleczyć się o ostre kolce. Dość wspomnień. Z dawnych lat pozostała jej

jedynie Elspeth. I przepowiednia, która obiecywała słodką zemstę i wybawienie. Nosiła w sobie ową nadzieję, hołubiła w sercu obietnicę odmiany. Tak musi się stać. Rycerz, co nosi znak gryfa, będzie jej wybawicielem, jak wieszczyla przepowiednia.

Srogi rycerz wyjdzie na ciebie z puszczy, gryf, co jest w połowie orłem, w połowie lwem. Ten człowiek odzyska dla ciebie to, co zostało ci odebrane.

Tak, to on. Dotrzyma danego przyrzeczenia i stanie się, jak głosi przepowiednia.

Rhys zaklął cicho. Czy los się na niego uwziął? Odkąd wrócił do Anglii, wszystko szło jak po grudzie, na każdym kroku spotykały go same niepowodzenia. Być może powinien był zostać w Palestynie razem z Ryszardem, zasypywać Saracenów gradem greckiego ognia i strzał, beztrudnie przepędzając resztę czasu. Tak, pobyt w Autremere wydawał się o wiele mniej niebezpieczny, niż powrót do Anglii. Pokręcił głową.

- Wybacz, milordzie. - Na twarzy sir Roberta malowała się nieklamana boleść - alem musiał ci to powiedzieć.

- Ilu zabitych i rannych?

- Cała dwudziestka. Posłaniec czeka w gospodzie, w razie gdybyś chciał zadać mu jakieś pytania. Że był utrudzony, zadbałem o posiłek i napitek, zaczem wyszedłem cię szukać, milordzie.

Nadal bolała go głowa, a i żołądek po nocnych przygodach jeszcze nie doszedł do siebie. Nawet skóra go swędziała, a nastrój wahał się między zwykłą złością a wściekłością. Sir Robert nie był wszak winien temu, że Rhys wypił zbyt wiele wina i teraz był kwaśny i obolały. Skinął krótko głową.

- Pójdę do niego, sir Robercie, a ty odpocznij. Marnie mi wyglądasz. Oby tylko niemoc cię nie złożyła, jak innych.

gorzej chyba być nie mogło, nawet gdyby sprzysięgło się przeciwko niemu dziesięciu wrogów. Gdyby był Brianem, wierzył we wróżki i elfy, pewnie nosiłby przy sobie święte relikwie: ząb świętego i goleń papieża, tak na wszelki wypadek, od uroku. Jego niepowodzenia były jednak ziemskiej natury, nie mógł obwiniać o nie losu czy istot, co żyją tylko w klechdach. Rozbój na drogach

był zwykłym zatrudnieniem najemnych żołnierzy, kiedy rozpuszczano drużyny; w biegunce, co dopada kilkudziesięciu ludzi naraz, też trudno się dopatrzeć działania sił nieczystych. A teraz ludzie, których najął w Londynie, by dołączyli doń w Glenlyon, zginęli, napadnięci w drodze.

- Milordzie. - Posłaniec z ustami pełnymi wołowiny i chleba zerwał się na równe nogi, gdy Rhys podszedł do stołu.

- Usiądź. - Rhys skinął ręką. - Miałeś ciężką drogę, posił się w spokoju. Na złe wieści zawsze jest czas. - Nie spieszyło mu się. Z okulałym koniem i chorymi ludźmi niewiele mógł zdziałać.

Posłaniec skończył jeść, wytarł usta rękawem, pociągnął solidny łyk *ale*, po czym ponuro pokiwał głową.

- Rzecz nie w tym, że zginęło kilku ludzi, panie. Idzie o lorda Rhysa, księcia Deheubarth, i prawa Marcheru. Jest pozew, złożony przed księciem Walii, o ziemię Glenlyon. Książę Jan o tym wie.

Posłaniec pobladł, gdy Rhys opartą o stół rękę zacisnął w pięść. Patrzył przez chwilę na Bogu ducha winnego człowieka, z trudem próbując się opanować.

- Opowiedz mi o tym pozwie.

Posłaniec odchrząknął. Miał taką minę, jakby chciał uciec, gdzie pieprz rośnie, jak najdalej od tego groźnego człowieka. Wreszcie zaczął mówić:

- Podważają w nim twoje prawa do ojcowskich dóbr, panie. Przez ostatnich dwadzieścia lat bawiłeś za morzem, powiadają tedy, że nie jesteś prawowitym lordem. - Zamilkł.

Rhys spoglądał na niego w milczeniu, z ponurym wyrazem twarzy. Nie powinien się dziwić. Właściwie nigdy nie myślał, że przejmie dziedzictwo. Gdyby nie śmierć braci, nigdy nie przypadłby mu tytuł i ojcowskie dobra. O sytuacji politycznej w Walii decydowali, jak zawsze, Anglicy. Zdawał sobie z tego doskonale sprawę, ale że nie zamierzał powracać do Walii, nie zaprzętał sobie nigdy głowy sytuacją w kraju. Przez całe lata trwał w przeświadczeniu, że tamten świat raz na zawsze zostawił za sobą.

Tymczasem sprawy wzięły inny obrót. Zaszły zmiany w jego życiu, zmieniła się sytuacja w rodzinnej Walii. Inni ludzie byli teraz u władzy. Dawnych *brenin* królewskiej krwi zastąpili po-
mniejsi *arglwydd*. Tak, był świadom tego, że walijskie poczucie

unii z Brytami pod królem Henrykiem II zmieniło się w izolację plemienną, *cededl y Cymry*. Walijszczyki opowiadali się coraz częściej za separacją. Dzierżawcy skupiali się wokół lordów, ci zaś walczyli między sobą zawzięcie o każdy skrawek ziemi, bydło i posiadłości. Szykowały się dalsze zmiany. Lordowie zaczęli się jednoczyć wokół Gwynedda, księcia Snowdonii w północnej Walii - chcieli mieć władcę Walijszczyka, a nie Anglika. Gdyby nie lord Rhys z Deheubarth na południu, rozpętałaby się okrutna wojna domowa. Równowaga była chwiejna i jej naruszenie mogło pchnąć Anglię i Walię do otwartej wojny.

Po czyjej stronie powinien się opowiedzieć?

Rhys westchnął głęboko.

- Domyślam się, że to Niclas z Raglan rości sobie prawa do moich ziem, ale na jakiej podstawie?

Posłaniec rozejrzył się niespokojnie, jakby szukał drogi ucieczki.

- Nie, panie. To nie sir Niclas.

- Nie? Więc kto? Mówiono mi, że sir Niclas oblegał Glenlyon...

- Gavin, milordzie. Gavin z Glamorgan sięga po tytuł do Glenlyonu, który niby pozbawiony jest pana, jako żeś bywał za morzami.

Gavin. Rhys zagryzł wargę. Kuzyn gotów zagarnąć Glenlyon przed jego powrotem, zanim on zdąży objąć władanie.

- Coś jeszcze? - zapytał po chwili.

Posłaniec pokręcił przecząco głową.

- Nie, panie. Chyba to jeszcze, że wasz kuzyn ma książęce poparcie.

Rhys zerwał się z ławy, szybko opuścił karczmę i ruszył do stajen. Jeśli wkrótce nie pojawi się w Glenlyon, straci tytuł i ojcowskie włości. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo zależy mu na przejęciu dziedzictwa.

- Słyszałem już o najemnikach, milordzie - przywitał go Brian, gdy Rhys wszedł do stajni. Wskazał ręką na polegających po kątach ludzi. - Do jutra wydobreją, będziemy mogli ruszać w drogę.

- Gdzie jest Morgan? Nie chciałbym zostawiać tu Turka, ale dłużej niż do jutra czekać nie możemy. - Pochwycił spojrzenie Briana. - Sprawy mają się gorzej, niż myślisz. Mój kuzyn zabiega u księcia Deheubarth o tytuł do Glenlyonu. Jeżeli będziemy zwłóczyć, wszystko stracę.

W zielonych oczach Briana pojawił się niepokój.

- To znaczy, że Gavin sprzymierzył się z sir Niclasem? Onże by podbechtął Raglana do oblegania zamku? Kto wie, czy nie napadł też najemnych, którzy mieli dołączyć do nas w Glenlyon.

- Bardzo być może - Rhys huknął pięścią w słup między boksami dla koni, a uderzył z taką siłą, że sploszył zwierzęta. Ledwie na nie spojrział. - Na Boga, Brianie, jeżeli Gavin sięgnie po moje dziedzictwo, nie ujdzie mu to płazem. Pamiętam go jeszcze z dzieciństwa. Lisia twarz, wielkie oczyska: łapska, co zawsze sięgały po cudze.

- Dobrze go znasz, Rhysie? - zapytał Brian, opierając się szerokimi barami o gruby, dębowy słup.

Rhys potaknął.

- Tak, w tamtych czasach walijscy *chieftains* przepędzali latem swoje stada z jednego pastwiska na drugie. Mieszkali w szałasach, które opuszczali, przenosząc się dalej. Na zimę wracało się w doliny, gdzie czekały stałe rodowe siedliska, *hendref*. Nasze rodziny wypasały stada na tych samych halach. Wiele czasu przepędzaliśmy razem.

Przerwał, przypominając sobie zalane słońcem łąki, drewniane miecze i zacięte boje toczone z braćmi i kuzynami, rozgrywane z całą chłopięcą powagą. Ile to już lat minęło... Jak inne było tamto życie. Beztroski czas spokoju, który przemknął nie wiedzieć kiedy; tak go w każdym razie zapamiętał. Sielskie bytowanie skończyło się nagle, gdy ojciec wezwał go do siebie i powiedział, że oddaje go Anglikom. Takie było prawo. Korona zabierała najmłodszych synów rodu, czyniąc z nich swoich żołnierzy.

Był synem *chieftaina*. Miał ledwie osiem lat, ale już wtedy rozumiał, że płacze i protesty nie zdadzą się na nic. Stał przed ojcem bez ruchu, nie wierząc własnym uszom. Tamtego dnia przy ognisku, przy którym zebrała się starszyzna klanu, rozpadł się jego dotychczasowy świat. Ledwie słyszał cichy płacz matki, ledwie widział poważne, pełne współczucia spojrzenia braci. Nie było czasu na długie pożegnania, na szczegółowe wyjaśnienia. Następnego dnia rankiem ruszył w drogę pod eskortą królewskich wysłanników. Nigdy już nie zobaczył swoich bliskich. Matka

zmarła rok później, złożona gorączką, ojca i braci zamordowano zaledwie parę miesięcy temu.

Ciężko było mu opuszczać Walię, a przyjazd na dwór Henryka był jeszcze gorszy. Lekceważony z powodu walijskiego ubioru i zwyczajów, nazywany dzikusiem i barbarzyńcą, ciągle zawstydzany, nie znający dwornych manier, w oczach Anglików prostak, odpowiadał nieufnością i nienawiścią. Często zastanawiał się, jak by sobie z tym poradził, gdyby nie pewien człowiek o złotym sercu, który wziął go pod swoje skrzydła. Teraz już wiedział, że stał za tym król Henryk, który z walijskich zakładników chciał uczynić angielskich rycerzy, by tym sposobem silniej związać ojczyznę Rhysa z Koroną.

Co go jeszcze łączyło z krajem? Walijski giermek Morgan, garstka wspomnień, a teraz Glenlyon.

Spojrzał na przyglądającego mu się uważnie Briana; starzy przyjaciele rozumieli się bez słów. Uśmiechnął się.

- Jutro wyjeżdżamy, Brianie. Myślisz, że ludzie podołają?

- Tak, panie. Nie wiem tylko, jak twój koń. Mocno utyka na przednią nogę. - Brian potrząsnął głową. - Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Trzeba by cudu, żeby do jutra ozdrowiał.

- Chyba że panna zaradzi. Twierdzi, że zna się na koniach. - Rhys uśmiechnął się nieznacznie, gdy Brian posłał mu ostre spojrzenie. - Tak, ją mam na myśli. Słyszałem, że ma na imię Sasha. Znajdziesz ją w saraceńskim namiocie, jakieś pół mili za wsią. Powiedz, by wzięła ze sobą zioła i użyła całej swojej wiedzy. Kocham Turka, nie miałem nigdy wspanialszego wierzchowca i chciałbym wracać do Glenlyonu na jego grzbiecie.

Brian skinął głową, ale widać było aż nadto wyraźnie, że nie w smak mu polecenie Rhysa.

- Przywiozę ją, jak każesz. O ile nie zamieni mnie pierwej w ropuchę.

Rhys zaśmiał się.

- Wobec tego nie jedź sam, tylko wyślij sir Roberta. On już jest urodziwy niczym ropucha. Poza tym nie boi się ani duchów, ani elfów.

- I dlatego nie nosi talizmanów od uroku. Nie, pojedę sam. Znam pacierze, litanie i dość mam amuletów, żeby się uchronić przed złym - zdecydował Brian bez entuzjazmu.

- Strzeż się raczej jej służącego niż uroków - przestrzegł go Rhys. - Jest znacznie bardziej niebezpieczny niż ona.

- Sympatyczny duet. - Brian pokręcił głową i poprawił pas miecza. - Wolałbym już zmierzyć się ze śmiertelnym niebezpieczeństwem, niż mieć do czynienia z magią.

- Powiadam, pilnuj się, bo jej służący wygląda na takiego, co potrafi człowiekowi wbić sztylet w plecy.

Brian podniósł wzrok.

- A ty, Rhysie, pilnuj się, żeby nie rzuciła na ciebie uroku. Noś, proszę, ten amulet, który dla ciebie kupiłem.

- Nie potrzebuję żadnych amuletów. Mam wszystko, czego mi trzeba, żeby się bronić: silne ramię, dobry miecz, szlachetnego rumaka i mądrych przyjaciół. Czego człowiekowi więcej trzeba?

- Ziemskie sposoby nie uchronią przed magią.

Rhys patrzył za nim i uśmiechał się niewyraźnie.

Światło słoneczne nasycalo kwiaty dzwonek6w bogatym, g6ę-
bokim b6ękitem. Sasha dotknęła kielicha i kropelka rosy sp6lynęła
jej na d6oń. Lekki dotychczas wiaterek wzm6gł si6 i pochylił
trawy. Zaszleściły delikatne ga6azki leszczyny. Podniosła wzrok.
Chmury na niebie zapowiadały deszcz. Powinna wracać, pomóc
Elspeth i Biagiowi zwinąć namiot.

Najgorsza z6ość pewnie ju6 minęła, chocia6 nadal spodziewała
si6 reprimend Elspeth. Biagio najpewniej b6dzie chodził osowiayły
po porannej k66t6ni. Dlaczego tak nienawidzi Rhysa? Tamtego dnia
w lesie obserwowali jezdnych ukryci za krzakami g66gu w g6stej
d66browie. Ledwie ch66pak ujrzal jad6cego na czele zast6pu dum-
nego jasn6w6osego woja, natychmiast powzi6ł doń niezrozumiały
antypati6.

Mi6dzy innymi z powodu niech6ci Biagia nie powiedziała, 6e
Rhys jest lordem. Niedobrze, 6e si6 o tym dowiedzial sam. Tytuł
Rhysa stanowił dodatkowy argument przeciw niemu. Co za pomysł,
6eby dumny angielski lord miał zostać jej wybawicielem. Ju6 to
wystarczyło, by pow6tpiewać w prawdziwość przepowiedni i uznać
rojenia Sashy za całkiem szalone.

S666nce zasnuły chmury; lada chwila zacznie padać deszcz.
Przyspieszyła kroku. D66ga czerwona suknia zaczepiła o kolce i Sasha
zatrzymała si6, by odczepić materiał. Wtedy w66sni6 wyczuła, 6e
zbliza si6 rycerz. Usłyszala jego chaotyczne myśli na d66gu przedtem
zanim dobiegł do jej uszu t6tent kopyt. Brian. Czekała bez ruchu.

Sasha... to nie jest imię odpowiednie dla królowej elfów... to podstęp, ale on nic nie dostrzega... jest ślepy. Ta czarownica prędzej zabije jego konia, niż go wyleczy, ale czy Rhys chciał słuchać przestroż? Człowiek mówi i mówi... jak grochem o ścianę? Spróbuj takiemu przemówić do rozumu, wytłumacz, że tu chodzi o jego bezpieczeństwo... Jaki on nierozważny, jaki bezmyślny...

Wychwytywała inne jeszcze myśli, niektóre formułował po celtycku, w języku, którego nie znała, ale towarzyszyły im wizje Rhysa odpływającego w dal w kryształowej łodzi, a przy wiosłach siedziała ona. Była w tych wizjach wiedźmą, która rzuca uroki i zanosi się diabelskim chichotem. Ten człowiek musiał być prawdziwie opętany przez własny strach. Nie podobał jej się sposób, w jaki ją postrzegał: widział w niej postać okrutną, mroczną i złą; jednym słowem - czarownicę. Bardzo dobrze. Jeżeli postrzega ją jako demoniczną i wszechwładną, będzie taka, jaką ją widzi.

Kiedy podjechał bliżej, Sasha, kryjąc się w cieniu zagajnika, zaczęła cicho skandować bez słów. Zakręciła się dookoła, zadźwięczały przytwierdzone do ciżemek dzwoneczki. Tańczyła. Pośród dzikich hiacyntów, pierwiosnków, leśnych zawilców i czerwonych wyżpinów, rosnących pod smukłymi leszczynami.

Po chwili schyliła się, zerwała delikatny kwiat hiacyntu i podniosła go tak, by padł na niego promień słońca przebijający przez leśną gęstwę.

- Hiacyncie, hiacyncie, przynieś mi trochę szczęścia, zanim zapadnie jutrzejsza noc - zanuciła wystarczająco głośno, żeby mógł ją usłyszeć, po czym uklękła na jedno kolano i przyczepiła kwiat do ciżemki.

Nadal przycupnięta, wyglądała Briana, który jak wryty osadził konia w miejscu.

- Witaj, dzielny rycerzu. Zapytaj mnie, o co chcesz, a powiadam ci, że poznasz prawdę, ponieważ hiacynty mam u swych stóp.

Był to mit wystarczająco znany, by o nim słyszał. Rzeczywiście go znał. Ruszył w jej kierunku, mając w głowie tylko jedno: wydobyć z niej prawdę.

- Nazywasz się Sasha - zaczął ochryplym głosem, odchrząknął i mówił dalej: - Powiedz mi, czego chcesz od mojego pana.

Uniosła brwi i uśmiechnęła się leciutko.

- On wie, czego od niego chcę. - Sięgnęła ręką po gałązkę leszczyny. - Ale czego on chce ode mnie? - Patrzyła na Briana, pocierając w palcach listek, nadal z uśmiechem na twarzy. - Chcesz, żebym uplotła dla nas obojga leszczynowe wianki, sir Brianie? Założymy je na głowy i staniemy się niewidzialni, tak jest powiedziane. Próboweś tego kiedyś? Tańczyeś kiedyś z wrózkami w noc świętojańska? Alboś kiedy zrywał artemizje przed wschodem słońca, wypowiadając słowa: *Tollam te artemesia, ne lassus sim in via..?*

Brian cofnął się szybko, namacał dłonią sączek przytroczony do pasa i drżące palce zacisnął na talizmanie. Sasha wybuchnęła śmiechem. Nie potrafiła się powstrzymać. Ten wielki, mocarny mężczyzna wyglądał komicznie, gdy tak trząśł się ze strachu przed wrózkami.

Na dźwięk jej śmiechu wciągnął głęboko powietrze, spojrział jej w oczy.

- Nigdy go nie zdobędziesz. Nie pozwolę, byś go zabrała do krainy zapomnienia. On może w to nie wierzy, ale ja znam się na elfach i wrózkach, Daoine Sidh, które myślą, że są strasznie przebiegłe i sprytne... On nigdy nie będzie twój.

Odpowiedź sama cisnęła jej się na usta, ale nic nie rzekła. Dość mu już napędziła strachu. Wzruszyła beztrudnie ramionami.

- Jeżeli chcesz, żebym wyleczyła jego konia, zawieź mnie do gospody, dopóki skora do pomocy. Później może mi się odwiedzić.

Brian wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami. Rozdziawił usta.

- Nie powiedziałem ci, dlaczego przejechałem...

- Nic nie musiałoś mówić. Koń kulał już wczoraj, ale twój lord zlekceważył moje przestrogi. - Wyrzuciła leszczynową bazię i wytarła ręce z żółtego pyłku. - Muszę zabrać swoją skrzynkę z ziołami i maściami. Bez nich nic nie zdziałam.

Gdy Brian nie ruszał się z miejsca, jakby wrósł w ziemię, spytała niecierpliwie:

- Jedziesz, czy mam pójść sama?

Spiął konia ostrogami. Z widoczną w każdym geście niechęcią, ruszył przez zagajnik w stronę piaszczystej polany, gdzie stał saraceński namiot. Ściany mieniające się barwami szlachetnych kamieni wzdymały się na wietrze niczym żagle okrętu. Biagio walczył z linami i kołkami, lecz przerwał na widok towarzysza Rhysa. Zmarszczył czoło.

- Potrzebna mi moja skrzynka z ziołami - powiedziała Sasha, uprzedzając ewentualne komentarze chłopca. - Przynies mi ją z wozu.

Na moment zapadła pełna napięcia cisza. Na śniadej twarzy Biagia i jego kruczoczarnych włosach kładły się przebłyskujące przez chmury i bukowe liście promienie słońca. Wzruszył ramionami i podszedł do przechylnego wozu, który stał zaledwie na dwóch kołach; złamana oś nadal była w naprawie u wiejskiego cieśli. Odrzucił płachtę i wy dostał drewnianą szkatułkę.

- Już prawie nie masz smoczych skrzydeł i serc jednoroźca - powiedział obojętnym tonem, podając jej niewielką skrzyneczkę.

Sasha kątem oka dostrzegła, że biednemu Brianowi dech zaparło z przerażenia.

- Zdobądź, czego brak, gdzie zdobyłeś ostatnio - odparła z powagą. - Gdyby Elspeth mnie potrzebowała, będę w wiosce.

Podczas drogi Brian wymownie milczał, ale Sasha musiała włożyć wiele wysiłku, by odgradzić się od pełnych trwogi myśli i obrazów, które kłębiły się w skołatanej głowie rycerza. Nieufny wobec niej, wystraszony jak zając, spełnił wszak bez szemrania polecenie swojego pana i przyjaciela. Ta twarda lojalność i absolutne oddanie budziły respekt i sympatię. Troszczył się i martwił o Rhysa, kochał go całym sercem i był mu bezgranicznie wierny. Uczucia kobiet są zupełnie inne, rozmyślała w drodze. Była w stanie zrozumieć, dlaczego chciał uczynić wszystko, by Rhys trzymał się od niej z daleka.

Co wcale nie oznaczało, że dla spokoju Briana była gotowa porzucić swoje plany. Przeciwnie. Umocniła się tylko w swojej determinacji. Skoro taki człowiek jak Brian tak bez reszty oddany był Rhysowi, to znaczyło, że Rhys godnym jest rycerzem i potrafi odzyskać to, co utracił.

W stajniach panował półmrok. Po kątach jęczyli złożeni niemocą ludzie Rhysa, okrutny fetor nie pozwalał swobodnie oddychać. Sasha zatrzymała się tuż przed wejściem. Dopadły ją przygnębiające odczucia bólu i cierpienia, więc szybko uzbroiła się przeciwko falom tych doznań. Czuła się okropnie. Nie przypuszczała, że ci ludzie będą czuć się aż tak źle, ani że dawka specyfiku, którą tak beztrzesko zaprawiła ich wino, chcąc zatrzymać Rhysa, odniesie tak piorunujący skutek. Nie miała złych intencji. Chodziło jej tylko o wywołanie lekkich dolegliwości i opóźnienie wyjazdu drużyny z Wytham.

Gnębiaona wyrzutami sumienia, ruszyła w stronę boksu, w którym stał potężny kary rumak. Koń parsknął, co chwila podrzucał ogromnym łbem o spletaną grzywie. Postawiła swoją skrzynkę z ziołami na ziemi i otworzyła ją, kierując całą swoją energię na konia. Tak jak wcześniej z Bayoszą, starała się oczyścić umysł z wszystkich innych myśli, teraz liczyło się tylko chore zwierzę. Odbierała impulsy idące od wierzchowca, znała już źródło bólu. Tak jak powiedziała Rhysowi, w pęcinie był wewnętrzny krwiak. Kataplazm zastosowany przez giermka nie zaszkodził, ale też nie pomógł.

Pojawił się i Morgan: by koń się nie szarpał, okręcił linką jego miękką górną wargę. Był to powszechnie stosowany sposób na opanowanie narowiącego się zwierzęcia.

Sasha pokręciła głową.

- Nie trzeba. To go tylko bardziej spłoszy.
- Jeżeli tego nie zrobię, nie podejdziesz bliżej, żeby zaaplikować swoją miksturę - mruknął giermek.

Uśmiechnęła się.

- Nie martw się, nie zrobi mi krzywdy.

Przez głowę giermka przemknęło powątpiewanie, zaprawione walijskimi frazami, których Sasha nie rozumiała. Żaden z tych ludzi jej nie ufał. Mieli nadzieję, że okaże się zwykłą szarlatanką, niezasługującą na względy ich pana.

Spokojnie pochyliła się nad Turkiem: dowiedzie im, że nie mają racji.

W sekretnym języku koni -którego nauczyła się od Beduinów - legendarnych znawców tych zwierząt - zaczęła szeptać niskim

głosem pieszczotliwe słowa. Wydobyła miseczkę z cuchnącą maścią, kawałek brązowego materiału i zabrała się do dzieła. Pod czarną, lśniącą skórą zwierzęcia grały potężne mięśnie. Parskając, próbował uwolnić się z uchwytu giermka, wywracając oczami i błyskając białkami.

- Odsuń się - powiedziała cicho.

Giermek pokręcił głową.

- Ani myślę. Nie chcę się tłumaczyć przed jego lordowską mością z tego, że kopyta jego rumaka zbryzgane są twoją krwią.

Położyła dłoń na drżącym boku Turka. Koń parsknął, ale nie spłoszył się. Uśmiechnęła się.

- Widzisz? Nie zrobi mi krzywdy, ale ty musisz się odsunąć. Denerwujesz go.

- Ja jego...? Niech to dunder... Odważna z ciebie dziewczka.

- Morgan, odejdz - wtrącił niespodzianie Brian. - Ostrzegłeś ją, jest dorosła.

Sasha uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Jeżeli myśli pozbyć się jej w ten sposób, to bardzo się myli.

Morgan niechętnie puścił konia i cofnął się pod ścianę.

- Wyjdz z boksu - nakazała twardo. - Nie chcę cię tutaj, gdy będę go opatrywać.

Psiocząc po walijsku i angielsku, zagniewany giermek skapitulował wreszcie, ale przechodząc mimo, rzucił jej kąsę spojrzenia. Saszę niewiele obeszły dąsy chłopaka. Zaczęła mówić cicho do ogiera, powoli zbliżając głowę do jego łba. Turek zarżał nerwowo, uskarżając się na swój koński sposób na ostry ból w przedniej pęcinie.

Dotknęła pięknego łba, po czym zaczęła ostrożnie zsuwać dłoń po lśniącej skórze w dół, po łopatce do uda i niżej, aż wreszcie przyklekła przy ogromnych, ciężko podkutych i śmiertelnie niebezpiecznych kopytach; mogły powalić i stratować człowieka lub zadać groźne rany innemu koniowi. Jednak Turek stał nieruchomo, drżał tylko nieznacznie. Czuł, że obca pani chce mu pomóc. Podniosła bolącą nogę i oparła ją na swoim kolanie. Koń balansował na trzech nogach, a Sasha delikatnymi ruchami nacierała mu pęcinę maścią, wypowiadając rytmicznie zaklęcia w języku koni. Chwaliła jego siłę i piękno, jego wielkie serce i godnych przodków,

przyrównywała go do boskiego wiatru. Wydawało się, że koń ją rozumie i pozwalał nieść sobie ulgę. Spuścił potężny łeb i delikatnie skubał jej włosy, wionąc w kark ciepłym, wilgotnym oddechem.

Na koniec przewiązała pęcinę sztuką materiału i wstała. Od klęczenia i dźwigania ciężkiego kopyta zabołały ją plecy. Przyłożyła sobie dłonie do krzyży i odgięła się do tyłu, żeby rozluźnić mięśnie.

- Pozwól, że ja to zrobię - usłyszała głęboki głos. Rhys obserwowił ją z nieznacznym uśmiechem na ustach i błyskiem rozbawienia w oczach. Ruchem głowy wskazał Briana i Morgana. - Wygląda na to, że obaj boją się ruszyć z miejsca.

Wzruszyła ramionami.

- Boją się, że ktoś, kto lepiej zna się na koniach niż oni, może odebrać im zajęcie.

Zaśmiał się i oparł o murek między boksami.

- Nie ma obawy. Jestem lojalny wobec tych, którzy są lojalni wobec mnie.

- Mądra zasada. Ludzie są przeważnie chwiejni.

- Ale nie ja. Acz jeśli trzeba, chętnie przyjmuję pomoc, kiedy ktoś się z nią ofiarowuje. - Wskazał na pustą miseczkę na podłodze. - Czym leczysz mojego konia?

Zerknęła na Briana z żartobliwym uśmiechem.

- Utarte skrzydła wrózek i serce jednorożca. Nienarodzonego jednorożca.

- Nie dodałaś smoczycich zębów?

- Zużyłam wszystkie podczas ostatniej pełni księżyca. - Zaciśnęła usta, żeby nie parsknąć śmiechem na widok miny Briana. Zastanawiał się najwidoczniej, czy nie stroi sobie z niego żartów, zmagając się zarazem z własnymi przesadami. Te ostatnie wzięły górę.

- Posłała służącego, żeby przyniósł smoczycich skrzydeł, milordzie - wymamrotał strwożony. - Sam słyszałem.

Gdy Rhys popatrzył na nią, wzruszyła ramionami.

- To był żart, ale ten nadęty dureń nigdy by na to nie wpadł.

- Nie dręcz go bez potrzeby. Kto wie, czy nie większy dureń ze mnie, że nie wierzę we wróżki i elfy.

Sasha uśmiechnęła się.

- I to być może.

Nie odpowiedział. Wyciągnął do niej dłoń i rzekł:

- Pójdź ze mną, piękna królowo elfów. Chcę ci podziękować, że zaopiekowałaś się moim koniem.

- Nie wolisz zaczekać, aż wyzdrowieje? - droczyła się z nim. - Może wyrosną mu skrzydła albo skurczy się do rozmiarów myszy?

- Zaryzykuję.

Wzruszyła ramionami schyliła się po skrzyneczkę na zioła. Popatrzyła na Rhysa.

- Mam tu napój, który pomoże twoim ludziom, jeżeli zechcesz zaryzykować.

- Ja może bym zaryzykował, ale nie jestem pewien, czy moi ludzie będą tego samego zdania. - Zawahał się i dodał: - Jeżeli zaproponujesz im swoje lekarstwo, może znajdą się tacy, których cierpienia przemogą lęk.

Zaczęła przebierać wśród suszonych liści i kwiatów pomieszczonych w zgrabnych przegródkach. Wreszcie wyjęła dwa rodzaje mięty, rozmaryn i rutę. Podniosła się i podała to wszystko giermkowi.

- Jeżeli wątpisz w moje intencje, sam przygotuj napar. Zapraw zioła miodem i podaj je tym, którzy odważą się wypić.

Morgan zerknął na Rhysa, wziął zioła i skinał głową. Mruknął coś po walijsku. Rhys odpowiedział mu w tym samym języku. Chłopak wzruszył ramionami i odszedł.

Rhys odwrócił się do Sashy i ponownie wyciągnął rękę.

- Choć, mój kwiecie, zobaczymy, jak też ugości nas karczmarz. Może cud się zdarzył i wreszcie strawa będzie zjadliwa albo, jak wolisz, jadło strawne.

Zawahała się. Coś kryło się w uśmiechu Rhysa, coś ponad zwykłą żartobliwość, ale nie potrafiła powiedzieć, co. Nie była pewna, co czynić, odmowa oznaczałaby zwłokę w jej planach, a jeszcze nie wyjawiała Rhysowi sedna sprawy. Musi wyczuć odpowiedni moment, inaczej gniew może wziąć w nim górę nad poczuciem honoru.

Podała mu dłoń, pragnąc w duchu, by odszedł ją fetor stajni i śmierdzącej maści. Weszli do karczmy. Powinna się przebrać. Miała na sobie prostą, wiejską suknię koloru morwy, z długimi rękawami, przewiazaną plecionym sznurem: zaiste nic pięknego.

Powiew wiatru podwinął szeroki dół spódnicy tak, że musiała przytrzymać go ręką. Po niebie pędziły chmury, na dłoń spadła pierwsza kropla deszczu. Rhys zwolnił, więc nie musiała gonić, żeby dotrzymać mu kroku. Cały czas trzymał ją za rękę, uśmiechając się do niej od czasu do czasu.

Znowu to irytujące łomotanie serca i skurcz w żołądku. Okropne sensacje. Jedna wielka okropność. Każdy uśmiech rycerza wytrącał ją z równowagi i olśniewał swym blaskiem. Traciła zupełnie głowę, gdy spoglądał na nią swoimi szarymi oczami, spod długich rzęs. W jakież pomieszenie wprawiało ją to, że sama nie mogła się powstrzymać od uśmiechu, a już przemożna ochota, by dotknąć jego twarzy, przesunąć opuszkami palców po jego ustach, pogłodzić po policzku, wydawały się jej doprawdy godne potępienia... Musi być na to jakieś lekarstwo. Znajdzie je. Gdzieś rosną zapewne zioła, które sprawią, że przestanie uśmiechać się słodko jak bezmyślna dzierlatka. Czuła, że upodabnia się do tych swawolnych kobiet, którymi szczerze pogardzała.

- Schyl się - mruknął. Uprzymiotniła sobie, że zapatrzona w niego jak w obraz, omal nie uderzyła głową o niską belkę nad wejściem.

Cały czas... gapi się na niego niczym dziewczka z oberży, zapewne z podobnie tępym wyrazem twarzy...

Boże miłościwy, jak nisko przyszło jej upaść na drodze do realizacji wyznaczonego celu.

Gdy prowadził ją do stołu, czuła, że twarz ma szkarłatną po korzonki włosów. Spuściła oczy, nie zwracała uwagi na biesiadujących w izbie. Wstyd. Dlaczego jest taka głupia, dlaczego zachowuje się jak ostatnia gęś? Widać w ten sposób musi odpokutować za to, że struła jego ludzi. Że śmiertelnie wystraszyła Briana... kpiła z Biagia. Wiele miała grzechów na sumieniu. Gdyby tak je zliczyć... Strach pomyśleć. Zasłużyła sobie na jeszcze gorsze męki i powinna się cieszyć, że los tylko tak ją karze.

Ale jak tu się cieszyć, kiedy on siedzi obok niej okrakiem na ławie, a jego kolano ociera się o jej udo. Nachylił się ku niej tak blisko, że widziała każdą pojedynczą rzęsę nad szarymi oczami. Siłą woli powstrzymała się, by ich nie dotknąć. Złożyła dłonie na

podołku i mocno zacisnęła. Spuściła wzrok i desperacko wpatrywała się w zniszczony blat stołu.

- Powiedz mi - poprosił cicho, rozbawionym głosem - skąd tyle wiesz o koniach i o ziołach?

To była jedna z tych okazji, kiedy mogła bezpiecznie wyznać prawdę. Podniosła wzrok.

- Na pustyniach Arabii mieszkają ludzie, którzy jak żaden inny lud znają się na koniach. Wszystko, co wiem, wiem od nich,

- Owa maść, coś ją wtarła w pęcinę Turka, to nie były przecież skrzydła wróżki ani serce jednoroźca. Zdradzisz mi skład tego leku?

- Końskie kasztany. - Odważyła się spojrzeć mu w twarz z lekkim uśmiechem. - Utarte z gęsim tłuszczem; bardzo skuteczny medykament. Żadnej magii, zaklęć nad kotłem czarownic w noc świętojańska, ot, zwykły balsam.

- A jednak chcesz udawać tajemniczą wróżkę, czy nie tak?

- Nie bądź taki pewny, że to tylko udawanie. - Wodziła palcem po głębokim wyłobieniu w dębowym stole, po czym powiedziała lekko: - Może jestem księżniczką w przebraniu? A może królową elfów, która zabierze cię kryształową łodzią do krainy wróżek?

Spochmurniał.

- Brian ci o tym powiedział?

- Nie musiał. Jest Irlandczykiem. Oni wszędzie widzą elfy, leśne duszki i wróżki...

Czując, że zbliża się karczmarka, zamilkła i próbowała przeniknąć jej myśli. Jak to bywa z wiejskimi młódkami, tę również zajmowali wyłącznie mężczyźni i nic poza nimi. Sasha uniosła lekko brew. Cóż za bogactwo doświadczeń... Pośród natłoku obrazów kłębiących się w głowie prostaczki, pojawiła się śniada, uśmiechnięta twarz Biagia. Słyszac wyraźnie tęskne westchnienia kopciucha, Sasha zmierzyła dziewczkę ostrym spojrzeniem. Błękitne oczy zasnuwała mgiełka. Dziobata twarz płonęła. Niech go diabli. Co on zrobił? Nie kazała wchodzić z dziewczką w zażyłość, miał tylko kilkoma gładkimi słówkami wydobyć z niej potrzebne informacje. Tymczasem ten bałwan rozkochał ją w sobie, co mogło wpędzić całą ich trójkę w nie lada kłopoty.

Dziewka spojrzała na Rhysa i obraz Biagia został wyparty przez podziw dla jasnowłosego rycerza, który obdarzył ją nieznacznym

uśmiechem. Sasha próbowała ujrzeć go oczami dziewczyny: mocarny, groźny, pociągający; trudno dziwić się karczmarszcze.

- Masz zamiar tak stać i gapić się, czy podasz nam jedzenie i napitek? - napadła na biednego kopciucha.

Kiedy Rhys spojrział na nią zaskoczony, uprzytomniła sobie, że powiedziała to na głos. Speszona, próbowała się usprawiedliwić:

- Jestem bardzo głodna.

- Mam zamówić dla ciebie poćcę wołowiny? - zapytał zdziwiony.

Zarumieniła się.

- Nie. Mały półmisek wystarczy. - Spojrzała na dziewczynę i dodała: - Do tego trochę rzepy. - Niech i tak będzie, w ten sposób odpokutuje za swoją popędliwość.

Ba, gdyby to wystarczyło. Ledwie urażony kopciuch znikł na zapleczu wspólnej izby, do gospody wszedł jeden z rycerzy Rhysa. Rozejrzał się od progu, a kiedy wreszcie dostrzegł swego lorda, podszedł w pośpiechu, zionąc niechęcią i gniewem, wyraźnie przy tym wystraszony.

Rhys zeszytywniał. Sasha wyczuła, że jest zaniepokojony. Trudno się dziwić. Rycerz, który właśnie podszedł, kipiał ze złości i oburzenia, a powodem tych gwałtownych emocji była ona sama.

- Milordzie - zaczął niemal z pianą na ustach. - Chciałem zamienić z tobą słowo na osobności. - Przerwał, zastanawiając się, jak ma powiedzieć mu o zdradzie i czarach, a także o bezrozumnym zauroczeniu ladacznicą o oczach czarownicy. Wstrząśnięta Sasha wyczytała bez trudu w jego myślach, że ową ladacznicą jest nikt inny, jak ona właśnie. *Piękna nad podziw, ale te jej oczy... przenikają człowieka na wskroś... Brian ma rację... mniejsza o wróżki, ale ta wiedźma sprowadź na nas nieszczęście... te zioła... purpurowe kwiaty... maści i napary...*

Wtem przypomniała sobie, że zostawiła swoją skrzyneczkę w stajni. Bliskość Rhysa tak ją otumaniła, że nie pomyślała o tym, by ukryć cenne zioła. Jeżeli ten człowiek ma pojęcie o ziołach, kilka z nich musiał rozpoznać, a skoro rozpoznał, doszedł już przyczyn choroby nękającej jęczących w stajniach ludzi. Jak mogła aż tak stracić głowę, zauroczona zniewalającym uśmiechem rycerza?

Czuła nadciągające nieszczęście. Jej plan sypał się w gruzy, koniec z marzeniami... Musi pomyśleć, przygotować się na najgorsze.

- Powiadam, milordzie - upierał się sir Robert - takie same objawy. Znam to ziele. Kiedyś mój najmłodszy syn najadł się go przez własną głupotę. Że też wcześniej o tym nie pomyślałem.

Rhys nie był przekonany.

- Dlaczego miałyby zatruć moich ludzi, a mnie oszczędzić?

- Takiś pewien, że ci nie wyrządziła żadnej szkody? - Sir Robert zerknął na dziewczynę siedzącą przy stole ze spuszczoną głową. - Wczoraj wcale dużo nie wypiteś, a znam cię jedenaście lat albo dłużej. Dzisiaj rano niedomagałeś, widziałem przecie.

Nie mylił się, chociaż jego zmogła inna słabość niż resztę drużyny. Zacisnął usta.

- Jakim sposobem mogła ich zatruć?

- Jedzenie, wino, sposobów jest wiele. Niemoc zdjęła nawet tych, co przyłączyli się później i wypili mniej.

Prawda. Brianowi nic nie było, ale ten, wcześniej wychyliwszy dzban wina, zdrzemnął się w ogrodzie i nie brał udziału w pospólnym picciu. Podobnie sir Robert, który stronił od kielicha i nie lubił przesiadywać w kompanii podchmielonych druhów, przedkładając nad nią własne towarzystwo. Rhys rozważał różne możliwości, ale jakiej nie brałby pod uwagę, wszystko wskazywało na tajemniczą pannę. Nie miał pojęcia, gdzie się podziała i co robiła, umknąwszy nocą z jego izby.

Spojrzał na nią. Spuszczona skromnie głowa, czarne włosy lśniące w szarym świetle sączącym się przez okno. Zabawna dziewczka. Szybka, żywa, ponętna, z kpiącym uśmiechem na ustach. Przez głowę przemknęło mu mgliste wspomnienie jej szczupłego ciała, uda obejmujące jego biodra...

- Zanim ją oskarżymy, trzeba wypytać karczmarza - powiedział do sir Roberta.

- Już po niego idę - odparł sir Robert ponurym głosem.

Kiedy sir Robert zniknął, Rhys ujął dłoń Sashy.

- Powiedz mi, słodki kwiecie - zaczął łagodnie - gdzieżeś się podziewała, kiedyś wyszła w nocy z mojej izby.

- Podziewała, panie?

Uśmiechnął się.

- Tak. Dokąd poszłaś?

Usiłowała uwolnić dłoń, ale trzymał ją mocno. Wzruszyła nieznacznie ramionami i przez jej twarz przemknął cień uśmiechu.

- Przyszedł po mnie mój służący, wróciliśmy razem do obozu, zabrawszy trochę wina dla Elspeth. Słabowała wczorajszej nocy.

- To doprawdy przykre. - Zamilkł. Ciszą przeciągała się. Sasha zaczęła się wiercić nerwowo na ławie. - Czy już lepiej się czuje?

- Kto? A, Elspeth? Tak, panie. Znacznie lepiej. Musiała coś zjeść i legło jej na żołądku. Widziałeś ją rano, rześka i żwawa jak zwykle.

- Tak, pamiętam. - Pocierał delikatnie kciukiem wnętrze jej dłoni. - Ciągłe jeszcze masz maść na rękach. - Dobrze znasz się na ziołach, prawda?

- Nieźle. - Sasha zmrużyła oczy. - Wiem, co jeść, a czego unikać, znam kilka prostych remediów, umiem robić balsamy. - Uczyniła niecierpliwy gest wolną dłonią. - Nie takam znowu głodna, jak myślałam. Pójdę już, zabiorę swoje rzeczy. Muszę zobaczyć, jak czuje się Elspeth. Puść mnie, jeśli łaska, milordzie.

Uniosła się na ławie, gotowa umknąć jak spłoszona łania, i wpatrywała się w Rhysa wielkimi, czarnymi oczami, brwi lekko unosząc w wyrazie zdziwienia.

Rhys pokręcił głową.

- Jeszcze chwilę, piękna pani. Chciałbym pierwiej usłyszeć odpowiedź na kilka pytań. Nie odmówisz chyba mojej prośbie.

- Z największą chęcią odpowiem na każde twoje pytanie, ale nagły lęk mnie zdjął, żem zaniedbała swoich służących. Mogą mnie potrzebować. Jak wiesz, jesteśmy bardzo ze sobą związani i bywa, że potrafie wyczuć ich...

Zacisnął mocniej dłoń na jej przegubie. Nie za mocno, ot, na tyle, by dać jej odczuć swoje usposobienie.

- Z radością cię puszcze, pierwiej jednak odpowiedz na moje pytania.

Wpatrywała się w niego z lekko rozchylonymi ustami. Oddychała szybko, płytko, z trudem chwytając powietrze; na policzki wystąpił silny rumieniec, w oczach migotały refleksy lampy oliwnej. Wyglądała teraz jak pąsowa róża w pełnym rozkwicie: piękna,

delikatna, ale groźna dla swoich kółców. Cudowny kwiat, który Anglicy zwą Pocałunkiem Śmierci albo *Fair Lady*, zdradziecki w swej urodzie. Jej twarz mówiła wszystko, zadając kłam słowom. Rhys nie musiał wypytywać karczmarza - wiedział już, czego chciał się dowiedzieć. Oczy Sashy nie potrafiły oszukiwać.

Pojawił się wszak sir Robert, jak rzekł, przywłókł karczmarza i jego córkę na dokładkę.

- Powtórzcie tutaj, Howardzie, coście mnie powiedzieli. - Sir Robert pchnął karczmarza do przodu. - Mówże, człowieku.

Biedak przechylił głowę, łypiąc niepewnie to na pannę, to na rycerza.

- Była tu, panie. Późno w noc... wczoraj. Razem ze służącym, taki czarniawy, wilkiem patrzył. Przyuważył zem ich koło dzbanów z winem. Mówili, że chcą kapkę dla starej, co ją jakaś boleść chyčila.

- Widzisz, mówiłam ci, że Espeth źle się wczoraj czuła - oznajmiła Sasha hardo, dumnym gestem odrzucając włosy do tyłu.

Rhys przyglądał się jej przez chwilę z leciutkim uśmiechem na ustach. Sprawiało to takie wrażenie, jakby zapomniał zmienić wyraz twarzy.

- Prawda, mówiłaś - przyświadczył.

Teraz karczmareczka kocmołuch uznała, że pora zabrać głos. Stanęła przed Sashą oburzona, wyzywająca, drobne piersi podała do przodu, dłonie wsparła na biodrach.

- Ja widziałam wszystko, ale nic nie pojęła, aż teraz.

- Cichaj, Lynn. - Karczmarz próbował odciągnąć córkę do tyłu, ale strząsnęła jego dłoń.

- Nie będę cicho. Ona to zrobiła. Włała cosik do dzbana, jenom nie mogła wyrozumieć, co tam szykuje - prychnęła. - To ona... Teraz chce się sianem wykręcić.

Sasha popatrzyła na dziewczynę z politowaniem.

- Jesteś na mnie zła, bo cię przyłapałam, jak robisz maślane oczy do Biagia i kazałam ci zabierać się precz. Cuchnie od ciebie mężczyznami, niedoczekanie, żeby mój niewinny chłopak miał się zadać z takim wyciruchem. - Zwróciła się do Rhysa: - Rzeczywiście zeszłej nocy kazałam jej zostawić Biagia w spokoju.

- Nie wątpię, mój kwiecie, zastanawiam się tylko, dlaczego ją przegoniłaś. - Wstał z ławy, ale nadal nie puszczał jej dłoni. -

Zaciekawiasz mnie. Bardzo chciałbym wiedzieć, kim jesteś, co tutaj robisz i dlaczego ciągle cię spotykam. - Zacisnął mocniej palce, gdy próbowała mu się wyrwać. Spojrzał ponad jej głowę na sir Roberta i karczmarza. - Czeka mnie dług a rozmowa z moim tajemniczym gościem, będę wdzięczny, jeśli zadbacie, by nikt nam nie przeszkadzał. Nie, mój kwiecie, nie tutaj. Pójdziemy do mojej izby, tam będziemy mogli omówić wszystko spokojnie.

Kiedy zaczęła się opierać, wołając, że za nic nie zostanie z nim sam na sam w jego izbie, niewiele myśląc, przerzucił ją sobie przez ramię. Nikt nie próbował go zatrzymać, kiedy ruszył w kierunku wąskich schodów prowadzących na piętro.

8

Odgłos zatraskiwanych drzwi odbił się głuchym echem po ciemnym pomieszczeniu. Rhys podszedł zdecydowanym krokiem do łóżka i rzucił Sashę na materac niby szmacianą lalkę. Kraj sukni podwinął się, odsłaniając kolana. Sasha chwyciła się obiema dłońmi za brzegi łóżka i oniemiała wpatrywała się w Rhysa. Kiedy ośmieliła się zerknąć na drzwi, usłyszała tylko gniewny pomruk:

- Nawet o tym nie myśl.

Raptem uśmiechnął się.

- A teraz, mój kwiecie, powiedz mi, dlaczego strułaś moich ludzi, a być może dam ci reprimendę, trochę zbesztam i puszcze wolno.

Sasha gotowała się z bezsilnej wściekłości. Ogarnęła ją furia.

- Nie jestem idiotką. Jeżeli myślisz, że dodałam czegoś do wina...

- Wiem, że dodałaś i nawet o to nie pytam. Chcę wiedzieć, dlaczego to zrobiłaś. - Podszedł bliżej łóżka, a ona szurnęła niczym spłoszona mysz, aż wparła się plecami w ścianę. Dyszała głośno. Co takiego ujrzała w jego twarzy, żeby aż tak się wystraszyć? Z pewnością gniew, który odczuwał z powodu zdrady. Znowu to samo dobrze mu znane uczucie, ale za każdym razem jednakowo bolesne. Czy kiedykolwiek przywyknie do myśli, że ludzie zdradzają, czy potrafi przyjmować kolejne zawody bez głębokiego, przejmującego poczucia rozczarowania? Mocno w to wątpił. Jeżeli nie przywykł do tej pory, najpewniej nie przywyknie

już nigdy, nigdy nie będzie potrafił w zetknięciu z niegodziwością wzruszyć ramionami i iść dalej swoją drogą.

Pochylił się nad nią. Dłonie oparł na materacu i zbliżył twarz do jej twarzy.

- Powiedz mi, mój kwiecie... dlaczego?

- Ja... - odwróciła wzrok, zwilżyła językiem wargi, błędząc oczami po izbie, jakby w jej zakamarkach szukała odpowiedzi. - Nie wiem. Nie... poczekaj. - Wzięła głęboki oddech, wyciągnęła rękę, żeby powstrzymać jego bezwiedny ruch. - Zrobiłam to, żeby cię tutaj zatrzymać. Naprawdę.

- Aha, żeby mnie zatrzymać. - Skinął głową w zamyśleniu. - Gotów jestem uwierzyć. Rzeczywiście, byłby to powód. Powiedz mi tylko, mój kwiecie, za czym poduszczeniem chciałaś mnie zatrzymać? Kto cię nasłał, żebyś mnie zatrzymała?

- Kto? - Znowu przesunęła językiem po wargach, kręciła bezradnie głową, doskonale udając zmieszanie. - Nikt mnie nie nasłał, panie. Ja... ja chciałam tylko, żebyś został tutaj jeszcze jeden dzień.

Uśmiechnął się.

- Ma się rozumieć, że chciałaś, dziecino. - Powiódł palcami po jej policzku, potem po dolnej wardze, następnie schwycił ją mocno pod brodę i nie puszczał, gdy chciała się uwolnić. - Powiedz mi prawdę. Nie znam panny, która posunęłaby się tak daleko, żeby mnie zatrzymać. Komuś bardzo musiało na tym zależeć. Chcę wiedzieć, kto cię wysłał. Czy to był Anglik? - Kiedy się szarpnęła, zacisnął mocniej palce. - A może Walijczyk?

Jej oczy rozszerzyły się. Pokręciła głową tak gwałtownie, jak mogła, zważywszy na żelazny uścisk.

- Nie wiem, o co ci chodzi...

Klnąc, ukląkł nad nią, przyciskając ją rękami do ściany, z wyrazem twarzy, który najodważniejszego mógł przyprawić o drżenie serca. Chociaż śmiertelnie przerażona, uparcie kręciła głową, powtarzając zdławionym głosem, że nie działała z niczyjego rozkazu.

- To był... mój pomysł... - mówiła, niemal łkając. Drżała ze strachu, trzęsła się ze złości i rzucała mu spojrzenia dżgające niby zatrute strzały, ale jej łzy były prawdziwe - Mój pomysł. Powie-

działałam ci... dlaczego to zrobiłam... Chciałam zatrzymać cię... tutaj...

Zaklął znowu i puścił ją, po czym sam usiadł na piętach i przyglądał się jej w napięciu. Ktokolwiek ją wysłał, dobrze wybrał. Trzymała się uparcie swojej opowieści, zaczynając od śmiesznych wyjaśnień, że chciała, by został i walczył w jej barwach. Nie rozumiał tej bzdurnej historii. Potrząsał nią, ale poza spazmami niewiele z niej wydobył. Mówiła coś o przepowiedni i długotrwałych poszukiwaniach, no i oczywiście o nim. O gryfie. Brian widać powiedział jej, z kim ma do czynienia. Nie przypominał sobie, żeby wymienił przy niej swoje imię, tak jak nie przypominał sobie, by ona wyjawiała mu własne. Usłyszał je dopiero z ust młodego Włocha, kiedy ten zwracał się do swojej pani, ale podejrzewał, że nie było prawdziwe.

Zasepił się. Dziewczyna milczała jak zakłeta. Chyba tylko torturą mógłby skłonić ją do mówienia. Albo...

Uśmiechnął się. Sasha podejrzliwie zmrużyła zapłakane oczy. Znała już ów szczególny uśmiech, a jeszcze kiedy znowu pogładził ją po policzku, zaniepokoiła się nie na żarty.

- Może twoi służący zechcą odpowiedzieć na moje pytania, jak myślisz, mój kwiecie?

Złapał ją, gdy spróbowała zeskoczyć z łóżka, i posadził na powrót na materacu.

- Więcej tego nie próbuj. Moja cierpliwość ma swoje granice. Pytałem grzecznie. Nie odpowiedziałaś na moje pytania, więc będę musiał użyć innych metod. Nie zależy ci na ratowaniu własnej skóry, trudno, być może zaczniesz mówić, żeby nie narażać Elspeth i Biagia.

Gdy podniósł się z łóżka, chwyciła go z całych sił za rękę.

- Nie, milordzie. Poniechaj ich, błagam.

Przycisnęła zapłakaną twarz do jego dłoni. Poczul w tym momencie szczególną odrazę do siebie, ale mówił sobie, że sama do tego doprowadziła. Pogłaskał ją po głowie niczym małe dziecko.

- Odpowiedz na moje pytania, śliczna. Zrozum, że tu nie chodzi tylko o mnie. Ważą się losy wielu ludzi, więc muszę wiedzieć, kto przeciwko mnie staje.

Spojrzała na niego pełnymi łez oczami, pochlipując z cicha.

- Ja... ja nie wiem, jak go zwać. Nie, poczekaj, milordzie, mówię prawdę, nie wyjawiał mi swojego imienia. A ja nie potrafię odróżnić Anglika od Walijszyka. Wszyscy wyglądacie dla mnie tak samo. Jedno wiem na pewno: był śniady. Ostre rysy, pyszczek, jak... jak u łasicy. Oczy duże i czarne, gorejące i straszne... Powiedział, że jeżeli nie zatrzymam cię tutaj, to wszystkich nas pozabija. Ugotuje w oleju. Obedrze ze skóry i zrobi sobie z niej buty. - Oddychała spazmatycznie. - Gdyby mi się nie udało, poszczułyby nas psami i rzucił im na pożarcie. Powiesiłby nas na suchej gałęzi, innym na przestrożę. Szyłyby do nas z łuku niby do tarczy...

- Nie przyszło ci do głowy - przerwał jej sucho - że można umrzeć tylko raz? Nieważne, mój kwiecie. Cokolwiek mówić, musiało rzeczywiście brzmieć przekonująco. Poznałabyś go, zobaczywszy znowu?

Skinęła głową; pasmo jedwabistych włosów opadło jej na oczy.

- Och tak, milordzie, wygląda jak sam diabeł. Myślę, że gdyby zzuć mu buty, pokazałyby się kopytka. Pod kaftan pewnie chowa ogon i rogi ma pod hełmem...

- Dostyc. Pojmuję, co masz na myśli. Oby tylko twoja pamięć była równie doskonała jak wybujała jest imagacja.

Podszedł do niewielkiego stolika pod oknem. Uniósł dzban z winem, powąchał uważnie, po czym nalał nieco do kubka. Posmakował i podał kubek Sashy.

- Spróbuj.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Niczego tam nie dolałem - oznajmił i wzruszył ramionami. Jeżeli ty też nie, wypij, proszę.

Wychyliła zawartość kubka, oddała mu go, wytarła usta dłonią i zerknęła nieufnie.

Rozbawiony pokręcił głową.

- Albo nic w nim nie ma, albo chcesz odejść jak odchodził tchórz, mój kwiecie.

- Czy to już koniec, milordzie? Zadowolonyś z moich odpowiedzi? - Skrzyżowała ręce na piersiach, odzyskując powoli zwykłą sobie hardość.

Napełnił ponownie kubek i uniósł go z uśmiechem.

- Tymczasem. Prawdziwie zadowolony będę wtedy, gdy do-

trzemy do Walii, a ty wskażesz mi tego, kto kazał ci mnie zatrzymać, czy też struć, co na jedno wychodzi

Wyglądała właśnie suknię, rada, że wyszła w opresji. Na słowa Rhysa poderwała głowę i wlepiła w niego duże, ciemne oczy.

- Jak to, Walia? Kogo mam wskazać?

Podszedł do niej i otarł z policzków ślady łez.

- Rankiem ruszamy do Walii, mój kwiecie. Pojedziesz z nami.

Walia. Czy to nie gdzieś na krańcu świata? Nad brzegiem wielkiego oceanu, którego wody wpadają do królestwa smoków? Walia. Mrugając, jakby niedowidziała, Sasha rzuciła Rhysowi pełne nienawiści spojrzenie. Udał, że tego nie widzi. Może rzeczywiście nie zauważył. Jechali w gęstej porannej mgle, tłumiącej leśne odgłosy. Nie słychać było nawet tętentu kopyt na miękkim, błotnistym trakcie. Dochodziło tylko skrzypienie kół wozu, który toczył się gdzieś daleko w tyle.

Elsbeth i Biagio nie zostali w Wytham. Pociągnęli za drużyną, a posuwali się tak wolno, że wkrótce mogli znaleźć się poza zasięgiem wzroku. Z wielkim trudem, w poniżeniu, wybłagała zgodę Rhysa i nadal nie była całkiem pewna, dlaczego przystała, by zabrała nianię i chłopca, ale czuła ulgę, że jej towarzyszą, chociaż nie mogła z nimi rozmawiać; tak daleko łaska rycerza nie sięgała. Gdyby potrafili czytać jej myśli, tak jak ona potrafiła czytać ich. Czuła, jak bardzo się martwią. Słyszeli wystarczająco dużo, by wiedzieć, że jadą do jakiejś Walii.

Ani chybi karczmareczka kocmołuch pobiegła do Biagia przeproszać go za swoje kłamstwa. Zgoda, może nie tyle kłamstwa, co wyjawione nie w porę rewelacje. Widziała ich przy dzbanach z winem, ale to wszystko. Głupi kopciuch. Sasha westchnęła ciężko. Szkoda rozpamiętywać minione chwile. Teraz ważna była przyszłość.

Gdy Rhys był obok, a zanosilo się na to, że przez jakiś czas będzie skazana na jego towarzystwo, nie miała wizji. Nie tylko nie uwierzył w przepowiednię, ale przyjął opowieść o niej jako czysty wymysł. Kto wie, czy w ogóle będzie w stanie go przekonać?

Wykoncypowała na poczekaniu banialukę o śniadym diable z wielkimi, gorejącymi oczami, który straszył ją zgładzeniem na dziesięć rozmaitych sposobów, po to tylko, by rozeźlony rycerz nie zechciał zgładzić całej ich trójki jednym, ale skutecznym sposobem. Zresztą kto wie, może zgładzi, gdy dojadą do Walii, a ona nie będzie potrafiła wskazać tego, który rzekomo straszliwymi groźbami wymusił na niej zatrzymanie Rhysa w Anglii.

Nieważne. Będzie się martwić, gdy przyjdzie co do czego. Miała inne, daleko poważniejsze frasunki. Posłała w stronę Rhysa kolejne spojrzenie. Jechał przed nią na szczęśliwie wyleczonym Turku i ani razu się na nią nie obejrzał. Bo i po co? Z obu stron flankowało ją dwóch zbrojnych o twardych, zaciętych twarzach, z głowami pełnymi sprośnych myśli. Wzdrygnęła się i szczelniej owinęła opończą.

Przez całą noc padał ulewny deszcz. Wiatr szarpał okiennicami, ciężkie krople bębniły o dach, a ona dygotała na twardym sienniku na podłodze. Rhys był najwidoczniej tak zły, że nawet nie chciał jej w łóżku. Nie, żeby się skarżyła. Prawda, że zawiązał sznur wokół przegubu jej dłoni, drugi koniec owiazał wokół własnej ręki i za każdym razem, kiedy się poruszyła, podnosił głowę i spoglądał na nią oczami, w których błyskały refleksy słabego płomienia świecy. Spała niewiele.

Już sama jego bliskość nie dawała jej zmrzyć oka. Wierciła się, przewracała z boku na bok, aż warknął na nią, żeby leżała spokojnie i wtedy owiazał ją sznurem. Potem już leżała spokojnie, jak trusia, tak nieruchomo, że do tej pory bolały ją mięśnie. Jedyna pociecha w tym, że Brian był prawie tak samo wstrząśnięty jak ona.

- Brać ją ze sobą? - wybuchnął przerażony. - Ależ, wasza miłość, tego zrobić nie możemy.

Nastąpiła krótka, ostra wymiana zdań, która skończyła się tym, że Brian wyszedł wściekły, ztrasnawszy z rozmachem drzwiami; tyle jej satysfakcji. Teraz nawet i tej nie czuła. Znowu zaczęło padać. Jednostajny szum deszczu działał przygnębiająco, choć wydawał się nie robić wrażenia na rycerzach, brnących przez błoto sięgające koniom do pęcin. Pomyślała o ich małym, drewnianym wozie. Skryłaby się pod jego płóciennym dachem, a Biagio zatrzymałby się gdzieś pod drzewami i przeczekaliby spokojnie

ulewę. Zgrabny, mocny wóz, mimo że złamana oś zatrzymała ich w Wytham.

Na polecenie Rhysa został wyrychtowany nie wiedzieć kiedy, z czego wyciągnęła naukę, że wieśniacy potrafią być bardzo zręczni, kiedy potrząsnąć sakiewką. Nie umiała wyobrazić sobie stelmacha, który mówi Rhysowi, że naprawa potrwa kilka dni z okładem. Jedno spojrzenie przekonało ją, że rzemieślnik włożył w swoją pracę wiele starania. Wóz wyglądał jak nowy. Biagio opierał się o niego z posępną miną, ręce założył na piersi. Kiedy ją zobaczył, łypnął gniewnie; szybko zamknęła umysł przed jego nie wypowiedzianymi uwagami.

Co innego Elspeth. Pokiwała do niej ręką z niemym zapewnieniem, że mają się dobrze i że jej nie opuszczą. Niewiele brakowało, a rozpłakałaby się jak dziecko, ale nie była w stanie. Jej zapas łez wyczerpał się w trakcie nocnych rozmów z Rhysem, pełnych mętnych zaprzeczeń i upokarzających przeprosin. Na samą myśl o tym nadal gorący rumieniec oblewał jej twarz.

Rhys ją przerażał. Zachowywał się niczym furiat, a ona, przerażona, ogłupiała, plątała się w odpowiedziach. Był tak wściekły, że nawet nie pokpiwał z niej na swój zwykły sposób. Wściekłość i zimna determinacja. Uspokoił się dopiero, kiedy wymyśliła czarta o twarzy łasicy. Historia była tak nedorzeczna, że Sasha nadał nie mogła uwierzyć, iż przyjął ją za dobrą monetę.

Jej koń potknął się. Schwyciła za tęg siodła, mocno zaciskając dłonie, zanim zwierzę odzyskało równowagę. Nie był to szlachetny rumak, jak Turek Rhysa czy jej własna, słodka klaczka, ale koń juczny: lepszego widać nie była godna. Zwierzę łagodne i posłuszne, tyle że głupsze niż inne konie, zupełnie tak samo, jak jedni ludzie są bardziej rozumni, inni mniej.

Spojrzała na jednego z eskortujących ją mężczyzn. Żadnej reakcji, kamienna twarz. Nie podobało jej się to, o czym myślał, więc rzuciła od niechcenia:

- Nos by ci zgnił i odpadł, gdybyś tylko spróbował.

Spojrzał na nią zaskoczony. Uśmiechnęła się. To wystarczyło, by przyjrzał jej się uważnie. Odwróciła się i z westchnieniem spięła konia. Nawet deszcz nie był w stanie osłabić tempa, jakie narzucił Rhys. Spieszno mu było do Walii.

Przed nimi otwierał się wjazd do magicznej krainy: kręta, wijąca się droga, cienie mknących chmur i soczysta zieleń wzgórz. Walia. Było prawie południe. Pracujący w polu wieśniacy unosili głowy, niektórzy wspierali się na motykach i przyglądali ciągnącej drogą drużynie zbrojnych.

Rhys miał ze szczytu wzgórza widok na dolinę przeciętą wstęgą rzeki, połyskującej i mieniającej się w promieniach słońca, tak że jej blask raził w oczy. Zmrużył je i spojrzał w niebo, na kopułę świetlistego błękitu, po której przemykały gnane wiatrem chmury, przypominające dmuchawce.

- Rzeka Wye - rzekł Brian, a Rhys skinął głową.

- *Ydi* - dodał, przechodząc na walijski łatwiej, niż się spodziewał. Im bliżej byli Glenlyonu, tym wyraziściej odzywały się wspomnienia. Żółta gorczyca słała się na podmokłym gruncie, ozłacana promieniami słońca, wśród wysokich traw koniczyny o kremowych kwiatach. Spoglądając na dolinę Wye, wracał myślą do przeszłości: przypominał sobie zabawy o zmroku wśród wierz zbzarastających brzegi, strzelanie z dzieciennego łuku, walki na drewniane miecze toczone ze starszymi braćmi i lanie, które od nich obrywał. Wszystko to działo się jakby w innym życiu, dotyczyło zda się obcego chłopca, co śmiał się, dokazywał i przepędzał beztrudnie dni w pięknej walijskiej dolinie pośród wzgórz.

Były także inne wspomnienia, ciężące na sercu, nieskończenie ponure. Na tych samych zielonych wzgórzach zastępy zbrojnych. Migające miecze i włócznie, mrozące krew w żyłach bojowe okrzyki podczas szturm na mury. Walijscy przeciw Walijszykom, a przeciw zwaśnionym między sobą walijskim klanom - Angliki, ich odwieczni wrogowie, czyhający jak sępy, by zagarnąć bogate ziemie Walii. I nic się nie zmieniło, poza imionami wrogów.

Kiedy od Glenlyonu dzieliło ich ledwie kilka mil drogi, Rhys zarządził popas. Mieli zaczekać na powrót zwiadowców, których wysłał przodem. Zatrzymał wierzchowca w cieniu brzozy. Pośród gałęzi ćwierkał hałaśliwie wróbel.

Rhys powiódł wzrokiem wzdłuż szeregu jeźdźców, dojrzał Sashę, jak zgrabnie zeskakuje z konia. Dzielnie zniosła tempo podróży, nie skarżyła się na uciążliwość, zaledwie kilka razy rzuciła kąśliwą uwagę, a każda tyczyła ludzi, nie męczącej jazdy.

Uśmiechnął się nieznacznie. Równie rozćwierkana jak wróbel na gałęzi brzozy, czyniła wiele hałasu o nic. Ciągłe zagniewany, że go oszukała, czuł przecież do niej dziwny sentyment i napominał się ponuro, że źle lokuje uczucia. W chwili nierozwagi pozwolił, by go oczarowała. Trzeba było słuchać przestrog Briana, acz dla innych powodów, niż przyjaciel przedkładał.

Podczas podróży trzymał się z dala od Sashy, mimo że od czasu do czasu wracało niepokojące, podniecające wspomnienie ich pierwszej nocy. Mgliste obrazy nachodziły go w najbardziej niestosownych chwilach: złocista skóra, wiotkie ciało, zasłona jedwabistych, kruczoczarnych włosów, dotyk miękkich ud obejmujących jego biodra... Powściągał podniecenie. Był dojrzałym *mężczyzną*, a nie młodzikiem, wiedział, jak okiełznać *zmysły*. Nie mógł pozwolić, by zamąciły mu w głowie, popychając do kolejnych nierozważnych kroków. Nie, obchodził Sashę z daleka, wystrzegał się jej, jak mógł. Były inne, znacznie ważniejsze sprawy, na nich musiał teraz skupić całą uwagę.

Wtem spojrzała na niego z błyskiem w oku; ponętne usta, kaskada rozpuszczonych, lśniących włosów... Zastanowiła go nagła zmiana w wyrazie jej twarzy, pewne wyciszenie, niemal bezradność. Nie zwiedzie go, zdążył już ją poznać. Była tajemniczą istotą, na przemian to kobietą, to dzieckiem, to znowu wróżką. Zmienna jak wiatr. Odwrócił głowę.

Dzień dłużył się, zwiadowcy nie wracali, Rhys coraz bardziej niecierpliwiał się zwłoką.

- Ruszamy do Glenlyonu - oznajmił wreszcie, uderzając o otwartą dłoń zbrojną rękawicą. Stanął na szczycie wzgórza patrząc w stronę niewidocznego stąd jeszcze zamku. - Wybierz dwudziestu ludzi, którzy pojedą z nami.

- Nie lepiej poczekać, aż wrócą zwiadowcy? - zapytał z wahaniem w głosie sir Robert, ale Rhys pokręcił głową.

- Poprzedni zwiadowcy nie wypatrzyli w okolicy ani wojów Ragłana, ani innych nieprzyjaciół. Żadnych zbrojnych zastępów, śladu ukrytych w lasach maszyn oblężniczych.

- Nie podoba mi się, że ci, których wysłaliśmy rano, jeszcze nie wrócili - mruknął Brian. - Nie widać też posłańca, który miał

uprzedzić Owaina o twoim przybyciu. Ochmistrz twojego ojca powinien być odpowiedzieć. Nie podoba mi się to - powtórzył.

- Nie zamierzam przypuszczać szturmu na kasztel, Brianie. Tydzień temu był jeszcze w rękach Owaina. Chcę tylko zobaczyć, czy go utrzymał. Mamy dość ludzi, żeby odeprzeć atak niewielkiej drużyny. Gdyby warownię oblegały duże siły Raglana, już byśmy o nich usłyszeli. Niełatwo podejść niepostrzeżenie pod mury licznymi siłami. - Ujął cugle, wskoczył na siodło i założył rękawice. - Ruszamy do Glenlyonu.

Glenlyon pozostał mu w pamięci jako nieregularna, drewniana, schowana w lesie sadyba, otoczona murem obronnym. Z latami zaszły zmiany. Na mile wokół wycięto drzewa na materiał budowlany, pozostawiając niewykarczowane pniaki. Gdy minęli ostry zakręt, oczom ich ukazały się wysokie kamienne wieże, sterczące w niebo niczym smocze zęby. Na szczycie powiewał szkarłatno-złoty proporzec. Gryf nadal czuwał nad kasztelem.

Glenlyon.

Jakże inny, wspanialszy, bardziej okazały, ale otoczenie znajome. W dolinie połyskiwała ta sama rzeka, wokół te same zielone wzgórza i wysoka skała nad wodą, od wieków znacząca bród. Najbardziej zmienił się sam kasztel. Wysokie, kamienne mury i zamczyste wieże górowały nad wioską. Nie było ich jeszcze, kiedy hasał tu dzieckiem. Ale to nadal jego dom...

Wioska Cwnllew przytulona do podnóża wyniosłej skały, tam gdzie bród. Puste uliczki, czasem tylko przemknął jakiś pies, dreptały kury. Drzwi i okna szczelnie pozamykane. Chaty ciągnęły się wzdłuż krętego brzegu rzeki, ale ani na łąkach, ani w obejściach - śladu krowy czy owcy. Wieśniacy, ostrzeżeni widać przed rychłym atakiem, ukryli inwentarz, sami się pochowali. Cwnllew było wyludnione. Przybycie zbrojnych zauważono w porę.

Gdy zbliżyli się do twierdzy, powitał ich spokój, nie dostrzegli śladów walki lub oblężenia, żadnej wskazówki, co napotka ją za wysokim kamiennym murem górującym nad wioską.

- Nie podoba mi się to, milordzie - powtarzał z uporem Brian. - Zbyt tu cicho. Żywej duszy w pobliżu.

- Widać nasz posłaniec przekazał wiadomość, skoro wieśniacy

czmychnęli - odrzekł z przekąsem Rhys. - Znasz to powiedzenie: gdy panowie się wadzą, płoną chaty wieśniaków.

Stukot końskich kopyt niósł się dudniącym echem po wyludnionych uliczkach. Brian mocniej chwycił rękojeść miecza.

- Myślisz, że twierdza została wzięta? - spytał.

Rhys zachmurzył się.

- Powiewa na niej gryf, nie proponiec Raglana. Owain wie, że sir Niclas gotuje się do ataku, i musi być czujny. Zapewne doszła go już też wiadomość, że Gawain stara się o nadanie mu praw do Glenlyonu. Wziąwszy to wszystko pod uwagę, nie uwierzy, że to ja nadjeżdżam, dopóki nie przekona się na własne oczy. Tak czy inaczej, niedługo poznamy odpowiedź.

Kręta droga wiodła z wioski wzdłuż głębokiej fosy, wokół twierdzy, do zwodzonego mostu. Rhys podjechał na sam brzeg fosy i zawołał, by otwarto bramy.

- *Pwy dod?* - dało się słyszeć z posterunku pytanie zadane po walijsku.

Nawet Rhys, odzwyczajony od rodzimego języka, rozpoznał twardy, angielski akcent. Wymienili z Brianem czujne spojrzenia.

- *Fy enw yw Rhys ap Griffyn* - krzyknął. - Pan na Glenlyonie. Otwierajcie bramę.

- Lord na Glenloynie? - W okienku ukazała się szeroka, płaska twarz i znikła. Po chwili strażnik pojawił się znowu. - Stary lord na Glenlyonie nie żyje - oznajmił.

Rhys zdjął hełm; ostatnie promienie słońca oświetliły jego twarz i włosy. Wezwał chorążego. Gdy ten rozwinął proponiec, w blasku zachodu zalśnił złoty gryf na szkarłatnym tle.

- Jestem nowym lordem na Glenlyonie. Otwórzcie bramę.

- Nie mam rozkazu, by otwierać nowemu lordowi. Odstąp, zanim wezwę łuczników.

A więc tak się rzeczy miały. Rhys z trudem powściągnął gniew i zażądał widzenia z baillifem. Po chwili strażnik wrócił do wąskiego okienka z wiadomością, że baillif będzie z nim rozmawiał, jeżeli wjedzie do twierdzy sam.

- Nie. Niech wyjdzie przed bramę. - Rhys czekał. Jego tarcza odbijała słoneczne światło. Powoli tracił cierpliwość. Ostatecznie zgodził się na spotkanie pośrodku zwodzonego mostu.

Brian zaprotestował.

- Panie, nie idź tam...

- Myślisz, że jestem aż tak głupi, by wjeżdżać do twierdzy samopas? - odrzekł Rhys. - Nie pojedę dalej niż do połowy mostu.

Czekał przy fosie. Siedząc na parskającym nerwowo rumaku, spoglądał na kamienne mury Glenlyonu ponad zielonymi wodami. Rechotały żaby. W zapadającym powoli zmierzchu niemiłosiernie cięły komary. Słońce nadal jeszcze widniało nad widnokregiem, ale w miejscu, gdzie stał, już się ściemniło. Warownia robiła wrażenie; nie będzie łatwa do wzięcia.

Gdy rozległ się sygnał do zwodzenia mostu, Brian nabrał pewności, że szykują na Rhysa zasadzkę.

- Jesteś lekkomyślny, Rhysie, boję się podstęp.

- Ja także. Każ, niech stanie za mną kilku walijskich łuczników i żeby byli dobrze widoczni. Ci w środku muszą zobaczyć, że nie jesteśmy tak naiwni, jak myśla.

- Pozwól, żebym udał ciebie - rzucił niemal błagalnie Brian. - W warowni może czaić się cała armia. Jeżeli wezmą mnie, strata niewielka.

- Dla mnie tak. - Rhys popatrzył na druha z uśmiechem. - Nie wiemy, czy to pułapka. Ledwie się zjawiliśmy. Dopierośmy przybyli. Muszę sprawdzić, czy Owain utrzymał kasztel. - Rzucił okiem na zwodzone przesło. Rozległ się szczeł łańcuchów unoszących w górę żelazną bramę. Instynkt ostrzegał go przed zagrożeniem. Czujny bailif mógł spotkać go przy bocznym wejściu. Nie narażając bezpieczeństwa warowni, pozwoliłby mu wjechać do środka. Po co zwodzić most dla jednego człowieka i ryzykować atak?

Brian, oczywiście, miał rację. Bailif obiecał wyjść, ale istniała realna możliwość, że za bramą czaili się zbrojni jeźdźcy, gotowi do ataku. Jeśli tak, to powód mógł być tylko jeden. Nie przyprowadził ze sobą znacznych sił i jego drużyna nie stanowiła dla warowni wielkiego zagrożenia. Jeśli w kasztelu czaiła się zdrada, trzeba było podjąć ryzyko, żeby się o tym przekonać.

Brian myślał tak samo.

- Będę miał baczenie na mury - mruknął, gdy Rhys nałożył hełm, gotując się do wjazdu na most- Na pierwszą oznakę niebezpieczeństwa, wesprę cię bez zwłoki.

- Wiem o tym. Nigdy mnie nie zawiodłeś. - Ściągnął uzdę; Turek stanął dęba, bryzgając błotem spod kopyt.

Most opadł z głuchym łoskotem. Rhys uniósł tarczę, mocno zaciskając dłoń na skórzanym uchwycie. Wyciągnął miecz z pochwy, w żyłach zawrzała krew. Zawsze przed bitwą czuł podobne podniecenie. Chociaż miało to być tylko spotkanie, instynktownie gotował się do walki.

Z bramy na most wyjechał człowiek i zatrzymał się w cieniu murów. Rhys nie widział go zbyt wyraźnie. Miał na sobie kolczugę i hełm z uniesioną przyłbicą, ale z tej odległości nie sposób było dojrzeć twarzy. Czy w ogóle poznałby Owaina? Minęło tyle czasu. Był chłopcem, gdy po raz ostatni widział bailifa swojego ojca. Wszystko, co o nim teraz wiedział, sprowadzało się do nieporadnego charakteru pisma i pieczęci z rodowym herbem na listach. Lord Griffyn nie miał daru do pisania listów i Owain wyręczał go w tym obowiązku.

Rhys ruszył stępą, nie spuszczać oczu z oczekującego nań człowieka. Słyszał głośny łopot swojego proporca na wietrze, szczęk wędzidła i uderzenia cugli o końską szyję, chrapliwy oddech Turka, trzeszczenie siodła. Kopyta dudniły głośno o grube bale mostu. Gdy zbliżali się do połowy przeprawy, koń zaczął rzucać głową i parskać. Zaalarmowany zachowaniem wierzchowca Rhys dostrzegł jakiś ruch za plecami bailifa. Ledwie zauważalne mignięcie, kawałek rękawa i odbicie światła od metalu, ale to wystarczyło, by obudzić jego czujność

Uchylił się w porę i usłyszał świst strzały; śmignęła mimo. Za zarządcą, który parł już do przodu, ukazała się gromada zbrojnych. Nie było odwrotu. Rhys wbił ostrogi w boki Turka, choć nie musiał tego robić. Bojowy rumak wyczuł niebezpieczeństwo na długo przed nim i był gotów do walki.

Rhys pochylił się nad jego szyją, uniósł miecz i natarł na bailifa. Zbrojni usiłowali go osaczyć. Uderzenie miecza o miecz szarpnęło jego ramieniem, uczył, jak krew zaczyna szybciej krążyć w żyłach. Lubił to doznanie, szczęk krzyżujących się mieczy, natarcie, parowanie ciosów. Rozkosznie było, osadziwszy się mocno w siodle, szykować kolejny wypad pośród śmiercionośnych błysków żelaznych ostrzy. Zobaczył, jak strzała wbija się głęboko w pierś

jednego z atakujących, powalając go z konia. Usłyszał jęk i plusk wody: ciało wpadło do fosy. To jego łucznicy, dobrani spośród najlepszych. Rhys był rad, że ma ich za sobą.

Tuż obok usłyszał znajomy okrzyk bojowy Briana. Przeciwnicy mieli liczebną przewagę, ale na moście nie było za dużo miejsca. Ostry szcęk ostrzy mieszał się z okrzykami bólu i parsaniem koni, dudnieniem kopyt i wściekłym wrzaskiem jego ludzi, rozszuszonych zdradą.

Potyczka trwała ledwie kilka minut. Ocaleli zamkowi obrońcy wycofywali się za *porte coledce*. Wrota zostały opuszczone, napięte łańcuchy jeszcze drgały. Okręciwszy konia, Rhys zjechał ze swoimi ludźmi z mostu: bale trzeszczały groźnie pod ich ciężarem. Ledwie stanęli na twardym gruncie, gdy most zaczęło podnosić.

- Pogoniłbym tam za nimi - burczał Brian, gdy znaleźli się poza zasięgiem strzał.

Rhys pokręcił głową.

- I kto jest teraz nierozważny? Następnym razem. Na razie zaczekamy. - Popatrzył na przyjaciela. - Znamy już odpowiedź.

Zanim dotarli do zaszytego głęboko w gęstym walijskim lesie obozowiska, ściemniło się na dobre. Rhys popadł w posępne zamyślenie. Liczył się z przyjęciem, jakie im zgotowano, rozpoznał barwy tych na moście: należały do sir Niclasa. Raglan był okrutnym przeciwnikiem, miał potężną warownię na południowym wschodzie. Odzyskanie ziem z rąk tak silnego wroga będzie wymagało długiej, ciężkiej walki.

Podszedł do ogniska i zapatrzył się w pomarańczowożółte płomienie. Ściągnął rękawice. Skóra pod metalem była wilgotna, a na dłoni miał głęboką ranę od miecza. Pocierał ją pochłonięty swoimi myślami, aż spostrzegł to Brian.

- Opatrzę cię - powiedział chmurny..- Inaczej możesz stracić rękę.

Usta Rhysa wykrzywił słaby uśmiech. To jasne, że Brian przedkładał swoje sposoby nad zabiegi wróżki. Popatrzył na niego.

- Stałeś się opiekuńczy jak kobieta.

- Niech cię diabli, Rhysie. Jak chcesz, to strać tę przeklętą dłoń. Z jedną ręką w sam raz nadasz się do rycerskiego rzemiosła. Chcesz wysiadywać pod zamkowym murem i żebrać o chleb?

- I tak mnie to czeka, jeżeli nie przegram z mojej warowni sir Niclasa. - Zmęczony, zły i zdziwiony, kręcił głową. - Raglan nigdy nie wszczywał waśni z moim ojcem. Byli kiedyś przyjaciółmi. Mówiło się nawet o tym, że jego córka poślubi mojego brata. Ledwie ojciec znalazł się w zimnym grobie, a Raglan już staje przeciwko domowi Glenlyon. Co sprawia, że ludzie tak szybko się zmieniają?

Brian wzruszył ramionami.

- Zapewne chciwość. Nie wiem. Sprawy źle stoją, Rhysie. Bardzo źle.

- Właśnie. Tkwię w potrzasku, naciskany z dwóch stron. Jeden nieprzyjaciel próbuje zagarnąć moje ziemie, inny wziął kasztel. - Popadł w zamyślenie.

- Może powinniśmy najechać Raglana. Zmuszony rozdzielić siły, nie będzie już tak mocny. Tak długo będziemy oblegać zamek Raglana, aż zmusimy go do powrotu, żeby bronić swojego, a wtedy my...

- Jesteś genialny, Brianie. - Rhys uśmiechnął się, widząc jego zdziwienie i zadowolenie. - Raglan tylko na to czeka, żebym przypuścił szturm na jego zamek, część drużyny zostawiając pod Glenlyonem. Wie, że nie mam tylu ludzi, żeby odbić Glenlyon, wie też, że nie odstąpię od murów mojego kasztelu. Tak, teraz zaczynam rozumieć jego taktykę.

- To dobrze, bo brzydzę się intrygami. - Brian pokręcił głową. - Wolę uczciwą walkę, niż te wszystkie tak, nie, być może. Jeżeli Raglan chce zająć twój kasztel, niech sam stawi ci czoło, zamiast wyręczać się innymi i nasyłać na nas zbrojnych. Odważnie wyzwac przeciwnika to jest to, co lubię.

- Dziwne, kiedyś zdawało mi się, że Raglan jest właśnie taki. Nie był człowiekiem skłonny do matactw. Zanim coś zrobił, zastanawiał się dwa tygodnie. Nie sądziłem, że potrafi imać się podstępów.

- Nie wszystkim można ufać, milordzie. Pozwól, że obejrzę twoją rękę. Cięcie jest głębokie. Muszę wypalić ranę nożem... Po tylu kłopotach, w końcu dotarliśmy na miejsce, by przekonać się, że Glenlyon został wzięty. Nie musiało tak być. Cięży nad nami klątwa. Nie widzę innego wytłumaczenia. Ktoś rzucił na nas klątwę...

Rozpacz i smutek Briana mogły zarazić innych i osłabić ducha w drużynie, do czego Rhys nie mógł dopuścić. Wystraszeni ludzie tracą wiarę w zwycięstwo własnej sprawy.

- Twoje myśli błądziły raczej wokół wiejskich dziewczek, zdobywanie twierdz zawsze mniej cię zajmowało. Czyżby coś się zmieniło? - zaśmiał się Rhys.

Brian, który klęczał przy ognisku, rozgrzewając ostrze swojego sztyletu, zawtórował mu.

- Nic się nie zmieniło. Staram się w miarę mych skromnych sił umilić rozkosznym młódkom samotne chwile. W Coventry, gdy ty wysiadywałeś w kościele, zapatrzony w płomienie świec, ja poznałem małą, uroczą kuchareczkę i...

Od strony chat dobiegł ich krzyk. Odwrócili się raptownie, zapominając o błażej rozmowie. Z ciemności nocy wyłonił się jeździec, nawołując:

- Dać drogę, dać drogę! Jam sir Wallis! - Wyczerpany, okrwawiony jeździec, który powracał ze zwiadu, zsunął się z grzbietu spienionego konia na ziemię, padł obok ognia i wydyszał ciężko:

- Glenlyon... w rękach wroga...

- Tak, już o tym wiemy - przytaknął ponuro Rhys. - Uspokój się teraz, napij wina, potem wszystko opowiesz. - Zaczął wydawać rozkazy. - Morgan, przynieś maść i bandażę, trzeba opatrzeć jego rany. Brianie, każ ludziom przenieść się trochę dalej. To, co usłyszymy, musi pozostać między nami. - Popatrzył znowu na zwiadowcę. - Możesz mówić, Wallisie?

- Tak... panie... Glenlyon został wzięty... prawie cztery miesiące temu...

- Cztery miesiące? - powtórzył zaskoczony Brian. - To niemożliwe. Rhys, przecież niedawno widziałeś się w Coventry z posłańcem od Owaina?

- Daj mu mówić, Brianie. Powiedz, Wallisie, czego się dowiedziałeś.

W miarę opowieści zaskoczenie powoli przemieniało się w straszny, niepohamowany gniew. Rhys zacisnął pięści tak mocno, że ze świeżej rany znowu zaczęła kapać krew. Wallis skończył swoją relację. Rhys rozkazał, aby zajęto się utrudzonym rycerzem, po czym wyprostował się powoli i popatrzył na Briana.

Gdy zostali przy ognisku sami, Brian wskazał jego rękę.

- Jeszcze raz rozgrzeję sztylet. Gorące ostrze zamknie ranę. Teraz już wiemy, że to nie sir Niclas zajął warownię.

- Nie. - Rhys kręcił głową. Spoglądał na swoją rękę, jakby jej nie widział. Krew kapała na ziemię.

- Mój kuzyn. To mój kuzyn zabrał mi ziemię i tytuł.

Przez chwilę Brian nie odzywał się.

- Myślisz, że to on zabił twojego ojca? - zapytał wreszcie.

- Jeżeli to on, niech Bóg ma go w swej opiece. - Rhys podniósł wzrok na Briana, zdziwiony zimną stanowczością własnego głosu. - Będzie błagał o śmierć, zanim ta przyjdzie po niego, kiedy pokaże się, że to on jest winien śmierci mojego ojca i braci.

Ukryta w cieniu Sasha głębiej naciągnęła kaptur na głowę i szczelniej owinęła się opończą. Szkoda, że nie mogła założyć czapki niewidki i przysunąć się bliżej, ale i tak nikt nie zauważył, że korzystając z zamieszania, spowodowanego przybyciem rannego posłańca, podkraǳła się blisko ogniska. Rhys i Brian rozmawiali tak cicho, że ledwie ich słyszała, a z kolei Brian myślał po celtycku, w języku, którego prawie nie znała.

Pomimo to udało jej się zrozumieć wystarczająco dużo. Kuzyn Rhysa? Interesujące. Krewni widać muszą być szczególnie skłonni do zrad. Al-Hamin wyrządził wiele zła jej rodzinie. Gdyby mogła...

- Mam cię - warknął za nią jakiś głos. Drgnęła wystraszona. Strażnik opuścił ciężką łapę na jej ramię, chwycił mocno i popchnął dziewczynę do przodu. - Nie wykradaj się, dziewczko, cichcem. Wiesz, że nie wolno ci z nikim rozmawiać. Marny twój koniec, jeśli powiem jego lordowskiej mości, żeś znowu podsłuchiwała.

Sasha posłała mu kose spojrzenie. Była tak pochłonięta chęcią zrozumienia, co się dzieje, że nie słyszała nawet jego niezdarnych, człapiących kroków, gdy do niej podchodził. Nie dała za wygraną. Wcześniej odczytała w jego myślach okrucy informacji, którymi posłużyła się teraz.

- Vachel, jeżeli powiesz jego lordowskiej mości, wszyscy się dowiedzą, że twoja siostra wyszła za wiejskiego idiotę, a nie za syna burmistrza, jak się przechwalasz. I tak ci nie wierzą, ale wyjdiesz na głupec, żeś wstydził się powiedzieć prawdę.

Gapił się na nią, czerwony jak burak.

- Przekleństwo z tobą, ty wiedźmo... zły duchu - wykrztusił w końcu. - Skąd o tym wiesz?

- To bez znaczenia. Wiem. A teraz nawet ty, tępaku, zrozumiałeś, że znam różne wasze ciemne sprawy.

- Wszystko prawda.

Puścił jej ramię, a ona otrząsnęła się.

- Bardzo mądrze z twojej strony, Vachel. Dziś chcę dostać do chleba trochę sera. Sam mi go przyniesiesz.

- Sir Brian ma rację - rzekł schrypniętym szeptem. - Jesteś czarownicą. Powinni cię spalić na stosie albo pławić w rzece, aż pójdziesz na dno.

- Nie rezonuj mi tutaj. Marnie by z tobą było, gdyby jego lordowska mość znalazł w twojej sakiewce monety, coś je zaszył pod podszewką. Gdzie chowasz skradzione innym rzeczy?

Cofnął się, mrużąc oczy.

- Nie wiesz, tylko zgadujesz.

Uśmiechnęła się.

- Zgaduję? A może wiem? Może naprawdę jestem czarownicą, jak twierdzi sir Brian. Może mam moc bycia niewidzialną. Gdybym była, czy siadałabym z tobą każdego wieczoru do wspólnego posiłku? Zaryzykujesz, Vachel?

- Nie - powiedział po chwili. - Ale oszczędź mnie przed lordem Rhysem. Nie wydasz, ja też będę milczał.

Roześmiała się pogardliwie.

- Jesteś głupcem, jeżeli myślisz, że ci zaufam. Nie wydam cię tak długo, jak długo będzie mi to wygodne. Zdradź mnie, a odpowiesz przed lordem za swój złodziejski proceder. - Rozejrzała się i dodała cicho. - I nie myśl, że ostry nóż i noc położą kres twoim kłopotom, bo zaręczam ci, że dopiero wtedy wpadniesz w prawdziwe opał.

Widać przekonały go groźby, bo odszedł, czyniąc na piersi znak krzyża i zaklinając się, że jej nie wyda. Patrzyła za nim, jak wracał do swojego ogniska. Zaczynało się robić niebezpiecznie. Nie mogła bez końca rzucać pustych pogroźek. W końcu ktoś nazwie ją oszustką, a wówczas albo będzie musiała spełnić pogroźki, albo zamienić kogoś z rycerzy w ropuchę...

To ostatnie byłoby łatwiejsze niż próba oskarżenia przed Rhysem kóregoś z jego ludzi. Od czasu ostatniej nocy w Wyeth zdawał się nie wierzyć ani jednemu jej słowu. Dopóki ludzie o tym nie wiedzieli, mogła liczyć na drobne przysługi z ich strony. Nie musiała nawet specjalnie prosić. Zrobiliby dla niej wszystko, skoro dawała im do wyboru: jeśli nie będą spełniać jej próśb, albo rzuci na nich zaklęcie, albo doniesie jego lordowskiej mości o ich ciemnych sprawkach.

Przy ognisku wybuchła jakaś sprzeczka. Przysłuchiwała się jej przez chwilę. Ale, ale, może korzystając z zamieszania mogłaby zobaczyć się z Elspeth i Biagiem? Już trzy dni nie zamieniła z nimi słowa na osobności. Wóz zaprzężony w osiołka włókł się daleko w tyle. Widziała jednak, że dotarli na miejsce tuż przed zmrokiem, gdy Rhysa i kilkunastu jego ludzi nie było w obozowisku. Teraz nadarzała się okazja do rozmowy.

Teren obozowiska rozświetlało parę ognisk. Przemykała się z dala od kręgów światła, bacząc, by nie natknąć się na strażę, i tak dotarła do wozu. Osiołek i klaczka odpoczywały uwiązane opodal. Sokrates porykiwał cicho, a kiedy ją wyczuł, podniósł łeb i nastawił uszu; zaalarmowało to Bayoszę i zarżała. Sasha znieruchomiała.

Jeden z wojów podniósł się, klęcząc głośno. Popatrzył na zwierzęta, na pobliskie zarośla, wreszcie uznał, że nic się nie dzieje. Wrócił do ogniska złorzecząc, że wyznaczono mu straż w pobliżu staruchy i zuchwałego młodego wilczka.

Sasha uśmiechnęła się. Biagio nie był ani tak ograniczony, ani zmęczony, jak ów wojak. Mamrocząc, że musi sobie ulżyć na stronie, poszedł w kierunku drzew. Kiedy się zbliżył, syknęła, żeby zwrócić jego uwagę.

-. Psst. Psst...

Słyszysz cię, bella. Przestań sykać, bo ściągniesz nam ich tu wszystkich na kark. Pojawiłaś się w samą porę.

Nadal był nadąsany, ale tego się spodziewała. Nie winała go. Ostrzegał ją, że jej szaleństwa źle się skończą. Nie chciała słuchać przestroóg. Przysunął się bliżej, niby to szarpnąć troki podtrzymujące jego lniane portki, odwrócony cały czas plecami do ludzi i ognia.

Co się stało? Ostrzegałem cię... Mówią, że on jest wściekły, ale nie wiedzą dokładnie dlaczego... Teraz znowu ambaras, potyczka

pod kasztelem. Znaleźliśmy się w samym środku czegoś bardzo niedobrego. Mów coś!

- Tracisz czas na biadolenia - syknęła, kucając. - Też kucnij, żeby myśleli, że robisz to, co miałeś robić... Jeszcze jestem cała mokra od tego deszczu. Jak się czuje Elspeth?

Martwi się, a coś myślała? Jak się stąd wydostaniemy? Jesteś już gotowa się poddać? Co jeszcze mam uczynić, żeby przekonać cię, że...

- Jeszcze nie. Kiedy odzyska swoją twierdzę, uspokoi się i będzie bardziej skory do zgody. Teraz nie mam wyboru, więc nie zaczynaj znowu mnie pouczać. Cały czas pilnuje mnie dwóch ludzi. Muszę wracać, zanim zaczną mnie szukać.... Biagio, nie rób głupstw. Zostań przy mnie, proszę.

Jeszcze jakiś czas zostanę, bella, ale ostrzegam cię, ci ludzie nie podobają mi się. Ani Walia.

I poszedł. Odwrócił się na pięcie i pognął w stronę ogniska, rzucając jednemu ze strażników krótką odpowiedź na jakieś pytanie. Sasha odczekała chwilę, szukając oczami Elspeth. Pewnie jest w wozie i śpi. Jazda po leśnym trakcie musiała ją zmęczyć.

Zatrzymując się tylko na moment, żeby uspokoić Sokratesa i Bayoszę, zanurzyła się z powrotem pomiędzy drzewa. Zaszeleściły liście, głośno zatrzeszczała gałąź. Sasha zatrzymała się. Nic. To tylko jej wyobraźnia.

Trzymając się w cieniu i orientując wedle ognisk, ruszyła dalej. Gdzie tamten wartownik? Powinien gdzieś tu być, popędliwy, wściekły, ale wystraszony. Aha, ten hałas przed chwilą to musiał być Vachel. Gryzie się widać, że odkryła jego złodziejstwa...

- Nie tak szybko, mój kwiecie.

Stanęła gwałtownie. Na ramieniu poczuła mocną dłoń, ale i bez tego wiedziała, kto stoi za jej plecami. Bezszelestny, zwinny jak kot. Jakże inny niż ciężki i tchórzliwy Vachel.

Odwróciła się, odrzuciła głowę gestem, o którym wiedziała, że go drażni i uśmiechnęła się niewinnie.

- Czy nie mogę oddalić się za potrzebą, mój panie? W krzakach... też ma mi towarzyszyć eskorta?

- Dość. - Jego palce zacisnęły się mocniej. - Gdyby twoja

potrzeba była pilna, nie oddalałabyś się tak daleko. Chodź do światła.

Nie miała wyboru. Nie próbowała nawet stawiać oporu. Już na samym początku podróży przyrzekła sobie, że będzie dla niego uprzedzająco miła.

Podprowadził ją do ogniska i ujął pod brodę. Sam stał tyłem do światła. Wpatrywał się w nią przenikliwie i chociaż było za ciemno, by widzieć kolor jego oczu, wiedziała, że pociemniały z gniewu. Usta miał ściągnięte, głos zimny, cichy.

- Gdzie byłaś, mój kwiecie?

- Powinieneś wiedzieć. Chciałam zobaczyć Biagia i Elspeth. - Głos drżał jej lekko, tak że musiała odchrząknąć. - Nie widziałam ich od wyjazdu z Wytham.

- Miałem w tym swój cel. - Opuścił dłoń na jej ramię. - Zobaczyłaś się z nimi?

Zawahała się.

- Tylko z Biagiem. Elspeth już śpi. Ma swoje lata, ta podróż jest dla niej męcząca.

- Powinnaś była pomyśleć o tym wcześniej, kiedy prosiłaś na wszystko, żeby jechali z nami.

- A ty może powinieneś był pomyśleć, by zostawić mnie w Anglii. Wtedy nie musiałabym o nic cię błagać.

- „Może”... „powinieneś”... widzi mi się, że ja miałbym więcej „może” i „powinnaś” pod twoim adresem. - Pociągnął ją bliżej do ognia, teraz światło oświetlało ich oboje. - Gdzie są ci, co mieli cię pilnować?

Och, musi chronić Vachela, bo ten tchórz gotów się wygadać, kiedy Rhys zacznie go besztać. Machnęła niedbale ręką.

- Bardziej są dwornik wobec dam, niż ty, mój panie. Czekają na mnie przy kępie krzaków, więc nie wiń ich za moją wycieczkę.

- Nie przyjmuję żadnych wykrętów - odpowiedział oschle. - Nie będę miał względów dla twojej wstydlivości. Oni także nie powinni.

Już otwierała usta, by wstawić się za Vachelem, gdy nadbiegł zadyszany, przytrzymując ręką miecz, co mu się obijało o nogi. Kiedy stanął, zadźwięczały ostrogi.

- Panie... proszę o wybaczenie, ale ona... musiała się wymknąć, kiedym na chwilę tylko odwrócił głowę...

Rhys rzucił mu zimne spojrzenie i wskazał głową ognisko.

- Idź do sir Briana. Wyznaczy ci inne zadanie, odpowiednie dla człowieka, który nie potrafi upilnować nawet drobnej niewiasty. Będziesz nosił bagaże.

Na twarzy Vachela odmalowała się taka rozpacz, że nie musiała wsłuchiwać się w jego myśli, by wiedzieć, że będzie się bronił. Musi go uprzedzić i wyznać prawdę, zanim zrobi to on.

- Winnam ci coś wyznać - zwróciła się szybko do Rhysa. - Teraz. Natychmiast. Ale w cztery oczy. Nie chcę, żeby ktoś słyszał, co mam do powiedzenia.

- Milordzie - protestował Vachel - ta panna...

Chwyciła Rhysa za ramię i mocno ścisnęła.

- Dobrze, powiem. Podśluchiwałam cię. Słyszałam o warowni i twoim kuzynie. Ukryłam się w krzakach i podśluchiwałam.

Vachel z wrażenia wstrzymał oddech. / *co mi teraz czynić? Szalona dziewczka... on nas oboje obedrze ze skóry...*

Sasha już widziała oczami wyobraźni, jak dostaje nowego strażnika. Minie sporo czasu, zanim uczyni go sobie powolnym.

Wzięła oddech i zanim Rhys zdążył zareagować, wypaliła:

- To nie jego wina. Chciał mnie zmusić, żebym się przyznała, ale wolałam uciec.

Zaskoczony Vachel ochoczo przytaknął, podejmując kłamstwo Sashy.

- To prawda, mój panie. Szukałem jej, żeby ci ją przyprowadzić.

Rhys zniecierpliwiał się.

- Idź, Vachel, od tej chwili przestajesz być jej strażnikiem. Rano na twoje miejsce wyznaczę kogoś innego.

Vachel, cofając się niepewnie, rzucił jej pełne nienawiści spojrzenie, po czym odszedł szybko, zanim Rhys zdążył zmienić zdanie. Sasha popatrzyła na Rhysa, uniosła brew.

- Teraz już rozumiem. Myślisz, że chciałam się wykraść, żeby przekazać, co podśluchiwałam, moim tajemniczym współnikom?

- Coś w tym rodzaju.

W kącikach jego ust pojawił się nikły uśmiech. Dopiero teraz

dostrzegła, jak bardzo jest wyczerpany: przygarbione plecy, zmęczona twarz, przygaszone spojrzenie.

- Widzę, że znalazłaś sposób, żeby krzyżować mi plany, mój kwiecie. Powinienem był to przewidzieć.

Pociągnął ją za sobą do głównego ogniska. Szła za nim jak trusia, bojąc się, że każda próba oporu wzmoże tylko jego gniew.

Gdy dotarli na miejsce, Brian rzucił jej nienawistne spojrzenie. Rhys pchnął ją i usadził na obalonym pniu drzewa, po czym przybliżył do światła ranną rękę.

- Gdybym poprosił, żebyś opatrzyła mi dłoń, potrafiłabyś to zrobić, nie czyniąc mi szkody?

Popatrzyła na niego zaskoczona.

- Tak, milordzie. Potrafię. Rana źle wygląda.

- Pamiętaj, że już jutro ręka musi być władna, żebym mógł chwycić miecz. Nie chcę, żebyś wypalała ranę rozżarzonym ostrzem. Potem sztywnieje i dokucza. Znasz inne sposoby?

Uśmiechnęła się.

- Tak, mój panie. Znam. Dłoń nie zeszywnieje. Mogę posłać po moją skrzynkę z ziołami?

Skinął, ale dodał:

- Od wszelkiego wypadku sir Robert sprawdzi, czy nie zamierzasz użyć czegoś szkodliwego.

- Po moich balsamach pojawi się najwyżej drobna wysypka - odrzekła tonem urażonej godności- Nie jestem taka głupia, by uczynić coś, za co mogłabym zapłacić głową. Twój ludzie bez chwili wahania zabiliby mnie, gdybym ośmieliła się zrobić ci krzywdę.

- Pamiętaj o tym, mój kwiecie.

Uśmiechał się, ale jego oczy nadal były przygaszone.

- Pamiętaj o tym od trzech dni, mój panie. - Tym razem powiedziała najszczerzą prawdę.

Rhys wpatrywał się w czubek jej głowy, gdy pochylona nad jego dłonią smarowała ranę maściami i przykładała zioła, mruczając pod nosem o głupotach, po których zostają mężczyznom tylko

rany. W końcu z uśmiechem podniosła głowę, dołek w kąciku jej ust zrobił się głębszy.

- Jesteś ostrożnym człowiekiem, milordzie.

- Tak - zgodził się. - Jestem. Cóż z tego?

- Mogłeś powierzyć moją skrzyneczkę z ziołami Biagiowi. On zna się na lekach. Poza tym nie boi się magicznych mocy, jak twój ludzie.

- Jakoś przeżyli.

Zaśmiała się cicho.

- Ledwie. Już myślałam, że biedny Brian zemdleje, kiedy niósł skrzynkę.

- Widziałem. - Rhys błysnął zębami i spojrzął na Briana, który siedział po drugiej stronie ogniska z miną daleką od entuzjazmu. - A jednak to żelazny rycerz, wykuty z najtwardszej stali.

- Chętnie wierzę, ale... Nie ruszaj się. Nic nie mogę zrobić, kiedy się szarpiesz i kręcisz. To musi boleć, ale trzeba oczyścić ranę z brudu, kawałków skóry i metalu.

- Nie z bólu się szarpie, po prostu za mocno ściskasz mi dłoń.

Spojrzała na niego poważnie. Wiedziała, jak bardzo musi go boleć.

- Rozumiem, panie. Niedługo kończę - powiedziała cicho.

Wbrew jej obietnicom miał wrażenie, że trwało to całą wieczność. Gdy już skończyła, bezwiednie odetchnął z ulgą. Pomacał rękę, marszcząc się trochę z powodu szarpi, którą owiązała dłoń.

- To przyspieszy gojenie - wyjaśniła, trafnie odgadując powód jego chmurnej miny. - Ochroń też ranę przed naciskiem rękawicy. Noś bandaż przez trzy dni. Kiedy go zdejmiesz, zdziwisz się, jaka nastąpiła poprawa.

- Na to liczę. - Znowu sprawdził, jak zginają się palce i spojrzął na Saszę. Na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech zadowolenia. - Jeżeli myślisz, że skoro mi pomogłaś, nie będziesz pilnowana równie skrupulatnie jak dotąd, jesteś w błędzie. Wybij sobie z głowy, mój kwiecie, wszelką myśl o ucieczce.

Zamrugnęła czarnymi rzęsami, niby okropnie zdziwiona, że w ogóle mógł ją o coś podobnego podejrzewać.

- Mówiłam już, mój panie, że nie mam zamiaru uciekać. Pamiętasz? Nie po to cię szukałam przez tyle lat, i...

- Prawda, przepowiednia. - Wstał. W jej oczach i na policzkach błyskały refleksy ognia. Czarna róża, cudowna, delikatna, ponętna i do cna fałszywa. Uśmiechnął się. - Muszę wypełnić własne przeznaczenie, mój kwiecie. Odzyskać, co moje. Odbiorę i kasztel, i ziemie Glenlyonu od tych, co je sobie przywłaszczyli. Kiedy znowu wrócą do mych rąk, pomyślę o twoim losie. Póki to nie nastąpi, pozostaniesz ze mną.

Połąskotał ją po policzku. Drobnymi, białymi zębami przygryzła dolną wargę, powstrzymując jej drżenie. Zuchwała i uragliwa, niewierna i perfidna. Enigmatyczna i tajemnicza jak nieboskłon. I równie trudna do odczytania. Łatwo mogłaby go zwieść, jak zwodzą marynarzy na morzu gwiazdy, których układów nie potrafią czytać.

Pochylił się i musnął jej wargi. Westchnęła cicho, rozchylając usta. Wytrzymał tę słodką próbę zmysłów, hartując ducha, acz podniecała go bliskość i smak jej warg, uderzająca do głowy uległość. Nie chciał tego.

Natychmiast się odwrócił.

- Brianie, dopilnuj, żeby wygodnie przespała noc. Ja muszę naradzić się z sir Robertem, jaką przyjąć strategię. Kiedy już ulokujesz dziewczynę, przyłącz się do nas.

Sasha wydała krótki, gardłowy pomruk, podniosła hardo brodę i wpatrywała się w Rhysa wszystkowiedzącym, doprowadzającym do szału wzrokiem. Zerknął na nią, odwrócił się na pięcie i szybko oddalił w poszukiwaniu sir Roberta. Rozum mówił mu, że jest podstępna i fałszywa, ale ciało zdradzało go, powiadając coś przeciwnego. Zupełnie jakby nie zaznał kobiety od miesiący, a upłynęło raptem kilka dni.

Sir Robert siedział przy ognisku w kompanii. Kiedy zobaczył nadchodzącego Rhysa, podniósł się szybko.

- Rozważaliśmy właśnie, milordzie, jakim sposobem najlepiej zdobyć warownię. Sir Peter radzi użyć machin oblężniczych i czekać, aż nadciągnie reszta naszych ludzi. Otoczymy sir Niclasa do czasu przypuszczenia właściwego ataku. Będzie siedział zamknięty w kasztelu, nie mogąc zrobić żadnego ruchu. Reszta naszych ludzi powinna pilnować, czy zastępy Raglana nie spieszą Niclasowi z odsieczą.

Była to sprawdzona metoda prowadzenia działań wojennych. Rhys stosował ją wraz z Ryszardem w Akrze, potem w Jerozolimie. Sposób rzeczywiście skuteczny, ale niezwykle czasochłonny; o sukcesie lub porażce mogły tu przesądzić najrozmaitsze czynniki. Tymczasem Gavin nie tracił czasu. Ubiegając się o nadanie tytułu i praw do dóbr Rhysa, słał ludzi z petycjami do księcia Deheubarth i księcia Jana w Anglii.

- To dobry pomysł, sir Robercie, ale pierwiej powinienes zapoznać się z faktami. To nie sir Niclas siedzi teraz na Glenlyonie, tylko mój kuzyn, Gavin z Glamorgan. Dlatego musimy stawić czoło dwóm nieprzyjaciołom. Mam pewien pomysł, dzięki któremu uda nam się być może zdobyć warownię znacznie szybciej. - Uśmiechnął się. - To ryzykowny i śmiały plan. Jeżeli się powiedzie, odzyskamy wszystko. Jeżeli nie... wszystko stracimy.

Zapadła cisza. Płonące polano rozpadło się na dwoje. Sir Robert przez chwilę wpatrywał się w płomień. Nie rzekł słowa, dopóki nie przyszedł Brian. Wtedy powiedział:

- Jestem z tobą, mój panie. Cokolwiek postanowisz, jestem z tobą.

- Ja także - dodał bez wahania Brian, spoglądając kolejno na obu towarzyszy. - Co zamierzamy?

- Zaatakować - odrzekł Rhys cicho.

Brian wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami.

- Zaatakować? Rozum ci odebrało? Mamy raptem dwa razy po dwudziestu ludzi... Powinniśmy zaczekać na posiłki i wtedy... Nie możemy ważyć się na coś tak... Chyba że liczysz na cud. Dlaczego nic nie mówisz, Rhysie?

- Ponieważ ty, Brianie, wszystko już powiedziałeś. Rzecz nie w cudach, ale w magii. - Roześmiał się, kiedy Brian zachwiał się i poleciał do tyłu. - Wspomnij jeno, jak kilka dni temu za sprawą naszej panny struła się prawie cała drużyna. Tak ich zmogło, że żołądki im się wywracały na drugą stronę. Nic ci to nie mówi, sir Brianie?

Po chwili pełnego napięcia milczenia, Brian roześmiał się.

- Powinno się udać, panie, ale... - rozejrzał się wokoło - jak to zrobimy?

- Chyba wiem, jak...

ognisko się dopalało, jeszcze tylko resztki dymu, ledwie widoczne w szarym świetle brzasku, unosiły się leniwie nad spopielonymi polanami. Zaspany Rhys skrzywił się: coś z zewnątrz przenikało przez majaki senne, każąc mu natychmiast się budzić. Rozejrzał się. Wokół zobaczył rozrzucone, niczym w krajobrazie po bitwie, ciała śpiących. Pochrapywania wojów i kłaskanie końskich kopyt o rozmokłą ziemię. Zwykłe, znajome dźwięki, a jednak coś było nie tak.

Usiadł. Jeszcze raz rozejrzał się po obozowisku. Nie dostrzegął niczego podejrzanego. Przesunął zabandażowaną dłoń po włosach. Zaraz... Sasha. Jej siennik był pusty. Koniec przywiązanego do drzewa sznura leżał swobodnie na ziemi.

Zerwał się na równe nogi, klnąc na tyle głośno, że pobudził rycerzy śpiących najbliżej.

- Wstawać! - ryknął, schylając się po swój miecz. Miał na sobie tylko lnianą koszulę i pończochy. Szybkim krokiem podszedł do wozu, ale Biagio spał w najlepsze, przywiązany do piasty koła mocnym, konopnym sznurem.

Rhys obchodził kępy drzew otaczające obozowisko, gdy Brian krzykiem i szturchańcami budził resztę drużyny. Obóz ożył. Zaspani ludzie rzucali beładne pytania, uspokoili się dopiero, usłyszawszy odpowiedź. Rhys szedł śladami, które zostawiła pośród suchych liści, kierując się do lasu. Przekłeta dziewczka. Uciekła. Żeby spotkać się z nieprzyjacielem? Ostrzec?

Wstał i odwrócił się do zaspanego, chwiejnie zmierzającego w jego kierunku rycerza.

- Idź w tamtą stronę, Peter. I módl się, żeby znowu nie wymknęła ci się z rąk.

- Ja jej nie pilnowałem, panie - obruszył się chłopak. - Sir Brian postawił przy niej czterech wartowników. Skoro uciekła, to pewnikiem musiała użyć czarów.

- Tak - mruknął sir Clyde, wzuwając boty. Oparł się na mieczu i dodał: - Nie mam pojęcia, jak inaczej mogła to zrobić. To czary, milordzie.

Na szerokiej, płaskiej twarzy sir Clyde'a malowało się pełne zranionej godności oburzenie na samą myśl, że jakaś niewiasta - niewiasta! - miała się wydostać z obozu zwykłym sposobem. Rhys stłumił przekleństwo. Nie chciał, by jego ludzie bezmyślnie dawali wiarę opowieściom o magii i czarach. Powinien przywołać ich do porządku. Zmierzył sir Clyde'a zimnym wzrokiem.

- Jeżeli dziewczyna uciekła, to nie dlatego, że jest czarownicą, jeno przez to, że gamonie, co jej mieli pilnować, pospali się pospołu. Idźcie w las i szukajcie, a jak mi jeszcze raz który wspomni o czarach, to go własnym mieczem obiję po zakutym łbie. Płazem będę lał, aż wybije wam z głów te banialuki.

Twardy ton i szorstkie słowa więcej dodały ludziom ducha, niż jakiegokolwiek wyjaśnienia. Pospiesznie rozpierzchli się po lesie.

- Dzielnieś się sprawił, mocarny rycerzu - rozległ się kpiący szept.

Rhys odwrócił się z lodowatym wyrazem twarzy. Biagio. Już nie spał. Przywiązany sznurami, opierał się o twarde, drewniane szprychy koła wózka. Uśmiechnął się wyzywająco.

- Panna ci się zgubiła? Jak to być może?

Rhys podszedł bliżej.

- Gdzie ona jest?

Biagio wzruszył ramionami.

- Skąd mogę wiedzieć? Byłem przywiązany, spałem.

- Ale powinieneś wiedzieć, dokąd poszła. Mów. - Szturchnął go końcem miecza. - W lesie teraz niebezpiecznie, nie chcę, żeby przytrafiło się jej coś złego.

- Powiedziałbym, że w lesie jest bezpieczniej niż tutaj. Zachowanie zwierząt można przewidzieć. - Biagio zgiął nogę, nadal lekko się uśmiechając. - Wy, Walińczycy, jesteście dzikusami...

Rhys błysnął mieczem i w niemym oskarżeniu przyłożył go do piersi Biagia.

- Uważaj - powiedział cicho. - Niechybnie przekonasz się, jakimi jesteśmy dzikusami, jeśli nie odpowiesz na moje pytanie. Gdzie ona jest?

Po chwili wymownego milczenia, Biagio ruchem głowy wskazał las.

- Tam poszła.

Gdy Rhys schował miecz i zamierzał odejść, Biagio rzucił za nim z kpina w głosie:

- Uważaj, Walińczyku, żeby nie zmieniła cię w ropuchę.

Rhys spojrział na niego przez ramię. Uragający śmiech towarzyszył mu aż do drzew. Miał dość niedorzecznych bajań. Skoro była czarownica, dlaczego uciekła? Skrzywił się i ciął mieczem zwisającą nisko gałąź. Spadła z chrzęstem na ziemię. Wszedł w las.

Srebrnoszare konary buków tłumiły światło świtu. Przez gęste liście przedierały się jedynie pojedyncze promienie. Leśnych kwiatów nie było dużo w okrytym zwykle półmrokiem poszyciu. Podążanie śladem panny nie nastęczało trudności. Idąc, odgarniała zagradzające drogę gałęzie oraz młode pędy drzew. Przeklinając ją za każdym krokiem, szedł jej tropem pod górę, gdzie grunt robił się coraz bardziej kamienisty. Jakim sposobem zaszła tak daleko w tak krótkim czasie?

Znalazł ją w jesionowym zagajniku. Tutaj wczesne promienie słońca przenikały koronkowe, biało ukwiecone gałązki szerokimi smugami. Światło wibrowało wokół kaskady ciemnych włosów. Klęczała na grubym, wiosennym mchu nad brzegiem niewielkiego strumyka. Pośród drzew świergotały ptaki. Zatrzymał się na skraju polany i obserwował ją.

Okryta purpurową opończą, przyglądała się jakiejś roślinie. Z gęstych zarośli wychynał długonogi zając, przykicał do niej i węszył. Przysiadł, skrzyżował przednie łapki i nastawił uszu. Sasha odezwała się cicho i szarak przysunął pyszczek do jej wyciągniętej ręki. Delikatnie skubał jej palce, strzygąc uszami. Na gałęzi przysiadła jaskółka i zaczęła swoje kiwiit, kiwiit.

Wpatrywał się w dziewczynę, gdy wtem wspomniał na ostrzeżenia Briana. Pomimo porannego chłodu, oblał go pot. Ma się rozumieć, za sprawą forsownego marszu. To, co widział, zdało się dziwne, ale żeby od razu war miał człowieka oblewać? Ot, karmi dziewczyna zająca. Owszem, samowolna z niej panna, ale przecież nie elf ani królowa wróżek. Udało się jej czmychnąć z obozu, chociaż ostrzegał ją, żeby tego nie robiła.

Wyprostował się. Nie zdążył nawet dać kroku, gdy wstała i rozłożyła ramiona nad szemrzącą wodą. Mówiąc coś, czego nie rozumiał, otworzyła dłonie i posypały się z nich białe płatki; kołując w powietrzu opadły do strumienia i popłynęły z jego nurtem.

Zajęty podglądaniem panny Rhys nie zauważył, że tuż za nim stanął Brian. Drgnął, kiedy usłyszał jego głos.

- Jak myślisz, Rhysie, czy ona rzuca na nas klątwę?

Rhys odwrócił się sztywno.

- A cóż się tak podkradasz niczym zbójca? - fuknął.

- Rozumiem, panie, czemuś tak źle usposobiony. Ja też się jej boję.

Rzeczywiście, drżący głos Briana zdradzał strach. Rhys pokręcił głową.

- Nie jej się boję, Brianie, tylko o nią. Wyszła za daleko. Wszędzie mogą cziąć się ludzie Gavina.

- Nie pomyślałem o tym.

- A ja tak. - Znowu spojrzął na Sashę. Zwrócona nadal przodem do strumienia, klęczała nad jego brzegiem, nie pomna na to, co dzieje się wokół. U jej stóp spod liści wyrastały grzyby. Kilka biało ukwieconych jesionów otaczał kamienny krąg. Dziewczyna znowu wrzuciła kwiaty do wody.

Dość tego. Wyszedł zza krzaków wprost na nią. Musiała go słyszeć, ale nie odwróciła głowy. Nie starał się być cicho, więc szelest liści i trzask gałęzi z pewnością ostrzegł ją, że ktoś się zbliża.

Jej czarne włosy lśniły w świetle wschodzącego słońca. Rhys poczuł mocny, słodki zapach jaśminu. Pochylił się i położył dłoń na jej ramieniu. Wtedy odezwała się spokojnie.

- Znalezienie mnie, mój panie, zajęło ci znacznie więcej czasu, niż się spodziewałam.

Cofnął gwałtownie rękę. Wstała i odwróciła się ruchem lekkim i płynnym, jak tancerka. Na ustach miała wszystkowiedzący uśmiech.

Zmrużył oczy.

- Jeżeli wiedziałas, że tu jesteśmy, dlaczego nie zareagowałaś?
- Żeby popsuć wam zabawę, kiedyście się tu podkradali? -
Uśmiechnęła się kpiąco. - Nie chciałam sprawić wam zawodu.

- Nie sprawias. - Chwycił ją mocno za ramię. - Spodziewałem się, że będziesz próbowała uciec, dlatego postawiłem warty.

- Warty? - Rozszerzyła oczy w udanym zdziwieniu. - Nie zauważyłam koło siebie żadnych wartowników, milordzie. Teraz też tu są?

- Dobrze wiesz, że nie ma ich tu. - Mocniej zacisnął palce. - Jak się wymknęłaś?

Popatrzyła na Briana i znowu się uśmiechnęła.

- W leszczynowym wieńcu. Witki leszczyny czynią człowieka niewidzialnym, prawda, sir Brianie?

Brian szperał nerwowo w przytroczonej do pasa sakwie, szukając amuletu z gałązek i czerwonej nitki. Mamrocząc, że owszem, to prawda, wydobył go wreszcie. Rzucił Rhysowi szybkie, na w pół zaleknione, na w pół urągliwe spojrzenie.

- Próbowala tego ze mną już wcześniej, milordzie. Pamiętasz, jak posłałeś mnie po nią żeby wyleczyła twojego konia? Kiedy ją znalazłem, miała na głowie leszczynowy wianek. Zbierała magiczne zioła, co czynią człowieka niewidzialnym.

Nie było sensu przypominać Brianowi, że gdyby naprawdę była czarownicą nie pozwoliłaby wieść się do Walii wbrew własnej woli. Rhys pokręcił głową.

- Wracaj i powiedz sir Robertowi i reszcie, że ją znaleźliśmy. A że będziemy pewnie potrzebowali magicznych ziół, okaż im wyrozumiałość, gdyby wydawali zbyt pochopne sądy.

Sasha próbowała strząsnąć z ramienia dłoń Rhysa. Wpatrywała się w Briana szeroko otwartymi oczami. Nozdrza jej drgały, usta miała rozchylone i wilgotne. Pojawił się na nich lekki uśmiech. Spojrzała na Briana, potem znowu na Briana.

- Rozumiem, że potrzebujecie mojej wiedzy, panie. Mam okazać wspaniałości i służyć wam swoimi umiejętnościami?

Skoro jestem wiedźmą i czarownicą, może, zamiast pomóc, pozamieniam was w ropuchy albo łasice?

Twarz Briana pobieliała. Podniósł amulet w drżącej dłoni.

- *Acre arcree arnem nona aernem...*

- Ucisz się, Brianie. - Rhys pchnął dziewczynę za siebie, zniecierpliwiony tyleż przesadami, co nieustannymi szyderstwami Sashy. - Nie widzisz, że ona się bawi, że cię prowokuje?

Sasha parsknęła śmiechem.

- Z nim to takie łatwe... Łap, Irlandczyku. - Zanim Rhys zdążył ją powstrzymać, sypnęła na rudą czuprynę garść kwiatów.

W powietrzu zawirowały białe płatki. Brian wrzasnął strwożony, cofnął się, potknął o leżącą kłodę i jak długi rozciągnął się na ziemi. Rhys złapał ją za rękę. Patrząc jej w oczy, rozchylił jej zaciśnięte palce. Reszta białych kwiatów opadła na puszysty mech.

Uśmiechała się.

- Kwiaty jesionu do magicznych zaklęć - ciche słowa, wypowiedziane niemal szeptem, głuszył szum strumienia. - Potrafię zaklinać deszcz i wiatr, potrafię zgasić słońce, a nawet sprawić, żeby kaktus wyrósł ci na dłoni. Bacz pilnie, milordzie, a może pokażę ci, co zrobić, żeby twoi wrogowie zniknęli.

- Dość! - Ścisnął ją wściekle za nadgarstek. - Nie jestem dzieckiem i czcze przechwałki nie robią na mnie wrażenie.

- Nie? - Hardym gestem odrzuciła włosy z twarzy. - Ale chcesz, żebym ci pomogła. Czym masz zamiar zasłużyć na moją pomoc? Mogę sobie życzyć, żebyś dotrzymał danej mi wcześniej obietnicy?

Zauważył, że w jej oczach było coś więcej niż tylko przekorna złośliwość. Zobaczył w nich determinację. Popatrzył na Briana, który postępując gramolił się z ziemi i otrzepywał z suchych liści.

- Zostaw nas, Brianie. Muszę porozmawiać z naszym nieobliczalnym gościem na osobności.

Brian spojrzał na niego spode łba.

- Jesteś pewien, że to rozważna decyzja, Rhysie? Mam rozumieć, że chcesz zostać z nią sam na sam?

- Nic mi się nie stanie. Idź już.

Odczekał, aż Brian zniknie za drzewami i pociągnął ją za rękę, żeby usiadła na kłodzie. Poddała się bez protestu, patrząc na niego pogodnie. Uśmiechnął się lekko.

- Jak ominęłaś warty?
- To żadna sztuka, kiedy wartownicy śpią jak niedźwiedzie. - Uniosła brwi. - Chcesz, żeby ci, co zajęli Glenlyon, zapadli w równie głęboki sen?

- Skąd wiesz o moim planie?

Wzruszyła ramionami, beztrąsko i prowokująco. Przyciągnęła ją do siebie gwałtownym gestem. Zatopił dłoń w jej włosach i odchylił do tyłu głowę tak mocno, że aż jęknęła.

- Mam wrażenie, mój kwiecie, że za dużo podsłuchujesz. Bardziej ciekaw, co zamierzałaś zrobić z zasłyszczanymi informacjami.

- Ja nic... nic nie zamierzałam zrobić. Jak miałabym ich użyć?

- Tego właśnie chciałabym się dowiedzieć. Mów mi zaraz, miałaś się z kimś spotkać? Przekazać komuś wiadomość?

Na próżno usiłowała uwolnić się z uścisku, odepchnąć Rhyssa, kładąc drobną dłoń na jego piersi. Jej oczy rzucały gniewne błyski.

- Próbowалаm wytłumaczyć ci, że chcę twojej pomocy. To wszystko. Dałaś mi słowo. Przysięgłaś na swój miecz, że dotrzymasz obietnicy...

- Tylko mi nie mów o tej przeklętej, obłąkańczej przepowiedni. Dość już się o niej nasłuchałem. - Ścisnął ją mocniej. - Jeżeli cenisz sobie swoją delikatną szyjkę, kwiecie, nie wspominaj więcej o tym. Chcę znać prawdę.

- Nie, wcale nie chcesz prawdy. Nie dasz wiary, kiedy ją usłyszysz. Wzdrągasz się ją usłyszeć. - Wpatrywała się w niego z napięciem; ściągnięte brwi, zaciśnięte usta, wszystko mówiło o głębokim rozgoryczeniu. - Pragniesz jedynie zlec ze mną, aleś nie rzekł dotąd tego, co chciałabym usłyszeć. Ja dotrzymałam słowa, prawda? A ty udajesz teraz, że nigdy mi niczego nie przysięgałaś...

- Prawda, dotrzymałaś słowa. - Zaczął rozczesywać palcami pasma jej gęstych, jedwabistych włosów. Spochmurniał. Niewiele pamiętał z tamtej nocy; tyle, że pił wino. Powoli pokręcił głową. - Miało być zadanie za jedną noc z tobą. Teraz domagasz się, bym prowadził dla ciebie wojny, chcesz, żebym dorównał Herkulesowi. Doprawdy śmieszne. A wszystko po to, żeby zataić prawdę, ot co.

- Ale... zgodziłeś się.

- Nie zmieniaj tematu. Dobrze wiesz, że nie. Nie upadłem na głowę, żeby iść na wojnę za chwilę rozkoszy, nawet z takim pięknym kwiatem.

Nadal usiłowała się wyswobodzić. Jej ruchy pobudziły go i w sposobie, w jaki ją trzymał, nastąpiła subtelna, ledwie wyczuwalna zmiana. Sasha znieruchomiała, wpatrując się w niego tymi swoimi wielkimi, czarnymi oczami. Wiedział, że wyczuła zmianę. Powolnym ruchem przesunął dłonią po jej plecach w dół, gładząc rozkoszne krągłości skryte pod ciężką materią opończy. Zadrżała.

Owo nieznaczne drgnięcie wystarczyło, by wbrew jego woli zawrzała mu krew w żyłach. Niewygodna, niechciana żądza. Przeklinał tę dziewczynę za ból w lędźwiach, za narastającą pokusę nie do odparcia.

Wyraziste wspomnienie jej miękkiej skóry i nagich, oplatających go ud, sprawiło, że przestał panować nad sobą. Była rozpalona, chętna. Była tak blisko.

Przewrócił ją na ziemię, a wtedy schwyciła go za ramiona. Białe kwiaty jesionu leżały porozrzucane na jasnozielonym mchu jak płatki śniegu. Strumień szumiał głośno. Jej ciemne, egzotyczne, rozszerzone oczy wciągały niczym otchłań. Wbiła palce w jego plecy...

- Poczekaj, lordzie Rhysie...

- Nie, mój kwiecie. Minęły trzy dni, odkąd zlegliśmy pospołu. Nie widzę powodu, żeby teraz nie ulżyć żądzy.

Zaczął ją całować namiętnie, dopóki nie poczuł, że Sasha taje.

- Rozejm, mój kwiecie. Zawrzyjmy rozejm.

Wydała cichy, nieartykułowany dźwięk. Położył ją delikatnie na ziemi, bacząc, by zległa na pościółce z miękkich mchów i na opończy. Ukląkł i rozpiął małą broszę spinającą jej opończę. Pochyliwszy się, całował jej brwi, policzki, powieki, szyję...

Uniósł się. Oddychała szybko, lekko rozchyliwszy usta. Za każdym oddechem jej rzęsy drżały nieznacznie. Uśmiechnął się. Zdjął tunikę i odrzucił na bok. Prosta suknia Sashy, przepasana sznurem, wiązana była na tasiemki. Chciał widzieć ją w świetle dnia, a nie w mdłym blasku świec. Sięgnął do tasiemek.

- Daj mi to, kwiecie - szeptał, rozwiązując troczki. - Daj wszystko...

Poczuła ciepło jego oddechu na szyi, potem niżej. Wsunął dłoń pod miękką wełnianą suknię i położył na jej nagiej piersi. Pieścił delikatnie sztywniejące sutki palcami, potem, kiedy odrzucił precz suknię, ustami. Wygięła się w niemym krzyku, złapała go za ramiona i uniosła się ku niemu.

Ujął jej dłonie, rozłożył ją z powrotem na opończy i położył się na niej. Oparł się na łokciach i znowu pochylił. Jego naga pierś ocierała się o jej gładką skórę, coraz mocniej i mocniej. Jedwabista, ciepła, pachnąca egzotycznymi wonnościami... i ciche okrzyki rozkoszy wznoszące się w górę w oparach mgły.

Okręciła się, ukazując nagie piersi w niemym wyzwaniu. Wdarł się pomiędzy jej uda i mocno napaął, drżąc z rozkoszy. Sięgnął jedną ręką do swoich lnianych *chainse*, żeby je rozwiązać i usunąć ostatnią przeszkodę.

Sasha szarpnęła się, chwyciła go za rękę.

- Milordzie - szepnęła. - Nie rób tego. Nie mogę pozwolić, kiedy...

- Kiedy co? - spytał, gdy umilkła. Patrzył na nią spod przy-mkniętych powiek. Cały kipiał, mocując się ze sznurówkami i jej palcami. - Kiedy co? - powtórzył.

Mocno trzymała troczki, nie patrząc mu w oczy i próbując się spod niego wydostać. Pozwolił jej usiąść.

- To... nie jest właściwa pora - wykrztusiła wreszcie.

- Niewłaściwa pora? - prychnął. - Może księżyc jest w niewłaściwej kwarcie? Powinien być w pełni czy w nowiu?

Puściła częściowo rozsznurowane tasiemki i powiedziała szorstko:

- Nie o to chodzi. Przecież... wiesz.

Patrzył na nią, na pałające policzki, lekko drżące wargi i pokręcił głową.

- Powinnaś była powiedzieć mi o tym, zanim pozwoliłaś mi posunąć się tak daleko. Widzę, że lubisz mnie dręczyć.

Uśmiechnęła się nieznacznie.

- Tak, panie, przyznaję, że lubię. Ale to nie dlatego, przysięgam. Obserwował ją, przeklinając pulsowanie w łądźwiach, żar, jaki

w nim obudziła, a którego nie miał teraz jak ostudzić. Znowu powróciło mgliste wspomnienie dusznej izby i tej egzotycznej panny, jej gładkich ud i uderzającego do głowy zapachu. Zachmurzył się. Pamiętał swoje podniecenie, pamiętał jej ciało, ale co było dalej? Spełnienie? Zaspokojenie? Tego już nie mógł sobie przypomnieć.

Objął jej nadgarstek obandażowaną dłonią, gładkał palcami gładką skórę.

- Opowiedz mi jeszcze raz, mój kwiecie, o naszej wspólnej nocy. Niezbyt ją pamiętam. Skoro muszę czekać, chciałbym bodaj posłuchać o nocy, którą spędziliśmy razem. Czy dałem ci rozkosz?

Spojrzała na niego, zatrzepotała rzęsami, wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

- Jurny jesteś niby ogier. Raz po raz zbliżałeś się do mnie. Byłam wyczerpana, a ty tak zmęczony, żeś zasnął. Wtedy oczywiście wyszłam, nie bez żalu, przyznaje.

- Oczywiście. - Uśmiechnął się nieznacznie. - Zesłaś sobie po schodkach i strułaś moich ludzi. Skąd wiedziałaś, żeś usnął tak głęboko? Skąd wiedziałaś, że nie obudzę się i znowu nie będę cię pragnął?

Jej ręka zatrzepotała niecierpliwie.

- Jak wszyscy mężczyźni, po miłosnych igraszkach zasnąłeś kamiennym snem.

- Tak, przeważnie tak bywa, mój kwiecie. - Przygarnął ją do siebie, łagodnie, ale zdecydowanie, tak że jej twarz znalazła się tuż przy jego twarzy. Owinął sobie pasmo jej włosów wokół palca. - Nie sądzę, żebyś o tym wiedziała. I podejrzewam, że nie zostałaś na tyle długo, by sprawdzić mój... kunszt.

Roześmiała się dźwięcznie, z lekką przyganą.

- Jeżeli chcesz znać prawdę, mój panie, byłeś szybki. Bardzo szybki. Jak królik. Ledwie zaczęłaś, już skończyłaś. Pewnie dlatego nic ci nie zostało w pamięci. Puść, proszę, moją rękę. Sprawiasz mi ból.

- Naprawdę? - Uśmiechnął się, ale nie rozluźnił uścisku. - Nie umiesz kłamać, mój kwiecie. Stoję przed tobą w zadziwieniu.

- Raczej siedzisz. - Podciągnęła się i pochyliła do przodu. - Męczą mnie twoje oskarżenia.

- Mój biedny kwiecie, prawda bywa męcząca.
- Nie. I dobrze o tym wiesz.

Zmarszczył czoło. Pocztał na nagiej piersi chłodny powiew. Wreszcie pozwolił jej się uwolnić. Wstała, sięgnęła po swoją opończę, szybkim ruchem zarzuciła ją na ramiona i ściągnęła pod brodę. Patrzyła na niego. Pokręcił głową.

- Wiesz, oczywiście, że będę musiał zakuć cię w łańcuchy, kiedy wrócimy do obozu. Tylko w ten sposób upewnię się, że nikomu nie opowiesz o naszych planach.

- Komu miałabym opowiadać? Ptakom? Twoim tępym wojom? Przeceniasz mnie, milordzie.

- Nie - odpowiedział i znowu wyciągnął do niej rękę. - Nie wydaje mi się, żebym cię przeceniał. Nie wiem nawet, czy same łańcuchy wystarczą.

Sasha przeraziła się twardego spojrzenia jego szarych oczu. Wyrwała rękę, uniosła kraj opończy i rzuciła się do ucieczki. Jednak Rhys był szybszy. Dopadł ją w mgnieniu oka.

Pochwycona, zareagowała błyskawicznie i odruchowo. Jej stopa wystrzeliła w górę, trafiając go prosto między nogi. Rhys zgięty we dwoje padł na kolana, a ona umknęła.

11

Coś jej uczynił? - Biagio szarpnął sznur, którym był przywiązany do wozu. - Musiałaś coś jej zrobić. - Inaczej by nie uciekła.

Rhys rzucił mu ostre spojrzenie, ale nie raczył odpowiedzieć. Odwrócił się do ciągle wystraszonego Briana i zapytał po raz nie wiadomo już który:

- Nie znaleźliście żadnego śladu?

Brian przecząco pokręcił głową.

- Żadnego. Jeśli sama nie wróci, wątpię, czy jaki śmiertelnik zdołają odszukać. - Rozejrzał się uważnie i dodał cicho, tak, żeby tylko Rhys mógł go słyszeć:

- Sprawdziłem nawet kamienny krag, ale i tam jej nie było. Zwykle można natrafić na jakiś znak: pognieciona trawa, płatki pierwiosnka, trójkąt magiczny, alem nie znalazł nic. - Zniżył głos jeszcze bardziej, pochylił się. - Powiedz mi prawdę, Rhysie, czy aby nie zamieniła się w smugę dymu, co uleciał w niebo? Może rzuciła na ciebie czar? Zamieniła cię w kamień, w zwierzę, czy...

- Starczy. - Rhys był wściekły sam na siebie, że pozwolił, by panna go przechytryła. Pokonała go najprostszym sposobem, nie używając magii. Cierpiała męska duma, krew go zalewała. Niewielu mężczyzn dałoby mu radę. Cóż dopiero niewiasta. Choć niechętnie, zaczął ją w jakiś sposób poważać.

- Jak zatem udało się jej uciec? - pytał Brian z frasunkiem w głosie. - Jeśli nie użyła czarów, jak ci się wymknęła?

Rhys już gotował się wyznać prawdę, kiedy Biagio wtrącił swoje trzy grosze, korzystając z chwili milczenia:

- Dalej, mów, Walijszyku, jak uciekła, chyba że brak ci śmiałości.

Rhys odwrócił powoli głowę i rzucił młodemu Włochowi spojrzenie, którego wymowę najgłupszy by zrozumiał.

- Nieważne, jak uciekła. Nie ma jej i już. Pewnie pomknęła spotkać się z tym, kto ją przeciw mnie nasał.

Biagio parsknął pogardliwie.

- Głupisł okrutnie, jeśli w to wierzysz. To nieprawda, chociaż wyznam, że bardzo żałuję. Błąka się teraz sama po lesie, a to niebezpieczne.

- Niebezpieczny to będę dla niej ja, niech ją tylko znajdę.

- Przyznaję, że nie ma nic gorszego niż wpaść w łapy bandy dzikich walijskich rycerzy, którzy zaprawiali się w swoim rzemiośle, plądrując Cypr z Ryszardem Lwie Serce - rzucił wściekle Biagio. - Czy nie widzisz, człowieku, tego, co oczywiste?

Rhys podszedł do wozu.

- Co niby ma być oczywiste, gołowaśie?

- Że naprawdę może być w opałach. Uciekła przed tobą, to pewne. Nie znam szczegółów, ale mogę je sobie wyobrazić. - Biagio wziął głęboki oddech. - Jeśli wkrótce nie wróci, to znaczy, że grozi jej niebezpieczeństwo. - Zaparł się o wóz i szarpnął krepujący go sznur. - Uwolnij mnie, a pomogę ci ją odszukać, milordzie. Klnę się na mą duszę, że nie jest w zмовie z twoimi wrogami. Nie wiem, gdzie się podziewa, ale możesz mi zaufać: znajdę ją.

- Nie wierz mu, Rhysie. - Brian wystąpił do przodu. Głośno zadźwięczał jego miecz. - Jest tak samo podstępny jak ona.

Rhys długo spoglądał na ciemnookiego młodzieńca.

- Nie, Brianie, myślę, że nie kłamie - zdecydował po chwili. - Jeśli nas zdradzi, własnoręcznie poderżnę mu gardło. - Dobył sztylet, pochylał się i przeciął sznury. Następnie przyłożył ostrze do szyi Biagia i cicho dodał: - Możesz być pewien, że tak uczynię.

Rozcierając nadgarstki, Biagio popatrzył na Rhysa z mrocznym błyskiem w oku. - Masz moje słowo: dopóki Sasha jest w niebezpieczeństwie, nie uczynię nic przeciwko tobie. Wiedz też, że przede wszystkim jej jestem wierny.

- I to mi wystarczy. - Rhys schował sztylet i wstał, pociągając Biagia. - Tedy rozejm między nami, dopóki jej nie znajdziesz.

- Tak, panie. Rozejm, dopóki jej nie znajdę.

Biagio cofnął się, strząsając dłoń Rhysa z ramienia.

- Potrzebny mi mój sztylet. I kilku ludzi, na wypadek, gdyby wpadła w ręce nieprzyjaciela.

Brian skrzywił się, lecz Rhys skinieniem nakazał mu milczeć.

- Daj mu, czego żąda, sir Brianie. Pójdiesz z nim. Twoja obecność pomoże mu dotrzymać słowa.

Brian skinął głową.

- Już ja go przypilnuję, milordzie - powiedział, mrużąc oczy.

Rhys uśmiechnął się lekko.

- Wiem o tym. Weź ze sobą sir Clyde'a i jeszcze dwu innych. Sir Robert i ja z resztą ludzi ruszamy do Glenlyonu. Zaczniemy stawiać maszyny oblężnicze.

Brian spojrzał na niego zaskoczony.

- Nadal myślisz atakować?

- Tylko w ostateczności. Nie wiemy, czy pojмали pannę, ale że Gavin ma Glenlyon, to pewne. Musimy odłożyć nasz plan, co nie znaczy, że będę czekał beczynn timer na następny ruch Gavina.

Brian wyszczerzył się w uśmiechu.

- Nie, ty nigdy nie czekasz. Zawsze pierwszy do działania.

- Także wtedy, kiedy idzie o Saszę? - Z cienia wyłoniła się nieoczekiwanie Elspeth. Jej głos nie brzmiał zbyt pewnie. Wskazała kościstym palcem na Rhysa i powiedziała wysokim, przenikliwym głosem: - To twoja wina, że jest w niebezpieczeństwie. Niech spadnie na ciebie przekleństwo, jeśli stanie się jej krzywda.

- Powściągnij język, starucho - rozeźlił się Brian. - Nie widzisz, że pan mój robi wszystko, by odnaleźć tę dziewczkę? Od początku tylko są z nią kłopoty - Uczynił ruch, jakby chciał odepchnąć Elspeth, ale Rhys powstrzymał go ruchem ręki.

- Zostaw ją. Trudno srożyć się na nią, że martwi się o swoją panią.

- Jakby to była twoja wina, że dziewczka jest krnąbrna - obruszył się Brian. - Gdyby słuchała, siedziałaby teraz bezpiecznie w obozie.

Rhys spojrzał na Elspeth. Staruszka wiedziała, co zaszło. Służący Sashy znali ją jak zły szeląg. Później, kiedy ją znajdą, przypilnuje,

żeby zapłaciła za swoje narowy, teraz miał ważniejsze sprawy na głowie.

Do Elspeth powiedział krótko:

- Uczynię wszystko, co w mej mocy, żeby ją tu sprowadzić całą i zdrową, niewiasto.

- Postaraj się. Ona jest dla mnie najdroższa na świecie - wyszeptała drżącym głosem.

Rhys potrafił ją zrozumieć. Skłonił dwornie głowę i odszedł. Morgan wyczyścił wcześniej uprząż i zbroję. Turek czekał osiodłany. Rhys wdział kolczugę, wskoczył na siodło i spiął tańczącego w miejscu ogiera. Rycerze gotowali się do drogi. Hełmy lśniły w porannym słońcu, jasne promienie odbijały się od tarcz.

Kilku wartowników, którzy pozostali w obozie, żeby pilnować juków i koni luzem, w ciszy obserwowało odjeżdżających. Jeżeli los nad nim czuwa, kalkulował Rhys, Sasha nie zdażyła jeszcze dotrzeć do Glenlyonu. Jeżeli los obrócił się przeciwko niemu, i dziewczyna zdradziła, trzeba mu będzie zapomnieć o pierwotnym planie. Nie mógł wystawiać ludzi na niebezpieczeństwo. Były jeszcze inne, choć długotrwałe, sposoby wzięcia Glenlyonu.

Czas mógł działać na jego korzyść, ale też sprzyjał Gavinowi. Korzystając ze zwłoki, kuzyn mógł zgromadzić więcej ludzi pod swoimi sztandarami, podczas gdy Rhys bawił zbyt długo poza krajem, żeby teraz liczyć na zbrojne wsparcie. Czy nadal był Walijszym? Zdarzały się takie chwile, że sam nie wiedział. Wspomnienia przeszłości ulatywały, to znowu wracały wyraziste i bliskie. Widział, jak siedzi u stóp ojca podczas narad starszyny w dusznej, zadymionej izbie, odziany w baranie skóry, szczęśliwy i bez troski. Najczęściej radzono o sprawach polityki, ale Rhys najbardziej lubił przysłuchiwać się opowieściom o bitwach, przeszłych i niedawnych, powtarzanym bez końca i sławiącym odwagę jego przodków.

Wychował się na tych opowieściach. One go ukształtowały. Dzięki nim wiedział, kim powinien być. Urodził się do walki. Nawet rozstanie z domem rodzinnym nie zachwiało raz zaszczerpionej pewności. Wyprawy do obcych ziem zamieszkałych przez ludzi posługujących się obcą mową, przebywanie na obcych

dworach nie odmieniło go ani na jotę. Aż Ryszard wysłał go z powrotem do kraju, by utrzymał swe ziemie dla Korony.

Dla Anglii.

Nie dla Walii. Nie dla swojej ojczyzny, skąd brał korzenie jego ród, ale dla tej drugiej, przybranej. Nieważne, że stał się angielskim rycerzem wbrew własnej woli, że przez większość życia był zakładnikiem. Miał zapomnieć o przeszłości, objąć Glenlyon i uczynić zeń angielski bastion.

Kochał Anglię i Bóg mu świadkiem, kochał Ryszarda tak, jak tylko towarzysz broni potrafi kochać. Walczył u jego boku, osłaniał go własnym ciałem i uwielbiał w nim wspaniałego rycerza. Jednak nie podziwiał go jako króla. Ryszard miał swój majestat, ale nie był angielskim monarchą. Anglia nie liczyła się dla Ryszarda. Tak, Rhys więcej rozmyślał o Anglii, niż król. A teraz śmierć ojca przywiodła go z powrotem do Walii, do prawdziwej ojczyzny.

- Milordzie - przerwał jego rozmyślenia sir Robert, podejrzając bliżej. - Ciagniemy pod bramy Glenlyonu, jak ostatnim razem?

- Nie, nie staniemy u bram, ale zbliżymy się do warowni na tyle, żeby nas dojrzeli. Niech widzą, że jesteśmy, że budujemy maszyny i gotujemy się do ataku na mury. - Zastanowił się przez chwilę. Bez wsparcia Sashy nie mógł już działać z zaskoczenia. Ale pozostały inne warianty. Popatrzył na sir Roberta z lekkim uśmiechem. - Mam pomysł, który wypróbujemy, kiedy będą obserwować, jak budujemy maszyny i gromadzimy kamienie.

Sir Robert skinął głową ze zrozumieniem.

- Takem właśnie myślał, milordzie, żeś coś już sobie ułożył. - Zawahał się i dodał: - A dziewczyna? Co, jeśli jest u nich?

Rhys zacisnął dłonie na cuglach.

- Módlmy się, żeby tak nie było - powiedział ponuro.

Że na nic modlitwy, przekonał się, kiedy na wzgórzu, z którego widać już było Glenlyon, dołączyli do niego Brian i Biagio.

- Mają ją, milordzie - wydyszał Brian, osadziwszy konia pośród tumanów kurzu.

Rhys przeniósł wzrok z Briana na Biagia. W ciemnych oczach chłopaka dojrzał niekłamana rozpacz.

- Jesteście pewni? - wycodził powoli.

W odpowiedzi Biagio wyciągnął przed siebie niewielką sakiewkę. Dyndała na przetartym rzemyku, okręcając się wolno na wietrze.

- To Sashy. Rozpoznałbym ją wszędzie.

Rhys milczał. Pamiętał sakiewkę i białe kwiaty jesionu, które opadały na poszycie z miękkich mchów. Czarne oczy i kpiący uśmiech... Przekłeta dziewczyna. Przekłeta, bo uciekła od niego, zdradziła.

- Gdzie ją znaleźliście?

- Dwie mile od miejsca, gdzie widzieliśmy dziewczę dzisiaj rano - odpowiedział Brian. - Biagio ją wypatrzył, leżała wgnieciona w ziemię kopytami. Musieli jechać tamtędy konni, zostawili wyraźnie ślady. Grunt wzruszony, jeszcze nie zasechł.

- Jeżeli twój kuzyn jest takim samym brutalem jak ty, to tracimy czas biadając nad jej losem - rzucił Biagio. - Musimy ją ratować.

Rhys zmierzył go zimnym spojrzeniem.

- Nie będziesz mi mówił, co mam robić, gołowąsie. Myślisz, że trzeba mi twojej rady?

- Długo tak będziemy mitrężyć? - odciął się Biagio. - Już powinniśmy stać pod bramami warowni i żądać wydania Sashy.

Zapadła cisza. Rhys wsparł się o łęk siodła.

- Jeżeli została wzięta siłą, to naiwnością jest myśleć, że nam ją wydadzą, gołowąsie.

- Nie masz nawet zamiaru żądać. Nie obchodzi cię, że mogą ją zabić. - Twarz Biagia była napięta i blada jak płótno.

Rhys wyprostował się, zaklął szpetnie i ruszył naprzód. Biagio także spał konia, zajechał drogę i krzyknął gniewnie:

- Nie mówię, żeby pertraktować, ale żeby odbić ją siłą, jeśli nie będą chcieli wydać jej po dobroci.

Rhys znowu oparł się o siodło, odwzajemniając gniewne spojrzenie Biagia.

- Jeżeli nie jest z nimi w zмовie, to nie masz lepszego sposobu, by wrócili ją nam martwą. Kiedy Gavin zobaczy, jak nam na niej zależy, poczuje się silniejszy, a my nie jesteśmy w stanie jej ochronić.

- Boisz się, Walińczyku? - spytał cicho Biagio. - Ja nie. Pozwól mi pojechać tam. Dostanę się do warowni i uwolnię Saszę, zanim wy cokolwiek postanowicie.

- Naprawdę? - Rhys był bardziej rozbawiony niż zirytowany. Brian roześmiał się na cały głos.

- Zabawiłbyś tam nie dłużej niż zając pośród wilków.

- Nie wydaje mi się. Bywałem już w różnych twierdzach, wiem, jak się po nich poruszać. - Biagio uspokajał swojego konia, ciągle twardo spoglądając na Rhysa. - Włosi znani są z tego, że potrafią wyjść z każdej opresji, milordzie. Tak już jest w Italii, że nie brak nam okazji, by zaprawiać się w sztuce przetrwania. Daj mi szansę, drogę znam.

Rhys wyszczerzył się w uśmiechu.

- Zaciekawiasz mnie, młokosie. Opowiedzże coś więcej...

- Powitać w Glenlyon, *demoiselle*. - Mężczyzna siedzący na podwyższeniu w końcu wielkiej sali odezwał się płynną francuszczyzną. Skinął ręką. - Podejdź bliżej, żebym mógł cię lepiej widzieć. Nie ma powodu stać pod ścianą, niby wystraszone dziecko.

Strażnik popchnął ją do przodu. Sasha zacisnęła dłonie w pięści. Szła ku podwyższeniu, nie zwracając uwagi na kierowane w jej stronę zaciekawione spojrzenia. Za każdym krokiem dzwięczały przytroczone do jej ciżemek dzwonki; ich brzmienie tłumiło cuchnące, rozłożone na posadzce rogoże. Przystanęła u stóp podwyższenia i odchyliła do tyłu głowę, żeby spojrzeć na mężczyznę siedzącego na stolcu z wysokim oparciem. Na ścianach wisały ciężkie tkaniny poruszające się w silnym przeciągu. Pod ścianami stali zbrojni.

Robiła wszystko, by zachować spokój.

- Nędzne to powitanie. Dlaczego sprowadzono mnie tutaj?

- Nie podoba ci się w kasztelu? Źle jesteś traktowana? - padło pełne kpiny pytanie.

- Jeżeli pojmanie, zawleczenie tu siłą i zmuszanie do posłuszeństwa uważasz za dobre traktowanie, to istotnie nie mogę się uskarżać.

- Doskonale. - Na ustach mężczyzny pojawił się słaby uśmiech. Pochylił głowę, żeby lepiej przyrzeć się dziewczynie. - Nadal

będziemy cię traktować z tą samą troską, byś nie pomyślała, że zapomnieliśmy o naszym gościu.

- Bardzoś łaskaw. - Ciągłe nie wiedziała, z kim ma do czynienia. Służba mówiła o nim albo po walijsku, albo ogólnikowo, nie używając imienia. Domyślała się, że musi być kuzynem Rhysa, człowiekiem, który zagarnął Glenlyon.

Natura obdarzyła go ciemnymi włosami, czarnymi oczami o chytrym spojrzeniu, wystającymi kośćmi policzkowymi, kwadratową szczęką i wąskimi, zaciśniętymi ustami. Jego oczy zdawały się osadzone zbyt blisko siebie, a wargi układały się w opryskliwy grymas. Opryskliwy i okrutny, który nie wróżył nic dobrego. Twarz łasicy i zapewne podobny, przebiegły charakter. Wzięła głęboki oddech.

Skupiła wzrok na swoim rozmówcy. W chwilach takich jak ta dziękowała losowi za Dar. Posługując się nim, potrafiła wyłuskać z gmatwaniny obrazów prawdziwe intencje człowieka: łowiła okrucy myśli niczym jastrzęb polujący na ofiarę. Emanowało z niego samo zło i mroczna, obezwładniająca przemoc.

Udało jej się pochwycić na wpół sformułowane fragmenty zdań. Wyrażały desperację, zazdrość i nienawiść. *Czekać, czekać... utrapienie... na nic, wszystko to na nic, jeżeli go nie zabiją... Obedrą jego kości ze skóry, wyrwą mu z piersi bijące jeszcze serce... niech zaraza padnie na króla... nawet kiedy nie ma go w kraju, bierze, co najlepsze... teraz moja kolej, moja kolej... zemsta jest słodka...*

Zamiast rozwiać wątpliwości, chaos pochwyconych myśli wzmógł tylko zamęt w głowie Sashy. Gdy mężczyzna spojrział na nią, zobaczyła siebie jego oczami, odzianą w podartą purpurową opończę i luźną suknię, z beładnie rozrzuconymi włosami.

Jej własny obraz wprawił ją w przerażenie. Brudna, w postrzępionym odzieniu, z na wpół odsłoniętymi piersiami. Podniosła dłonie, żeby się osłonić.... Mężczyzna tymczasem spoglądał już na jednego z ludzi stojących przy jego boku.

- Powiedz mi jeszcze raz, gdzie znaleźliście to stworzenie, Bowenie.

Dopiero Bowen posłużył się jego imieniem, nie tylko w myślach,

ale też na głos. Skinął głową i po angielsku, grobowym głosem, oznajmił:

- Natknęliśmy się na nią w lesie, lordzie Gavinie. Nie pochodzi z tych okolic. Ma na sobie purpurową opończę z przedniej wełny, pomyśleliśmy, że przybyła z twoim kuzynem i że najlepiej, kiedy przywieziemy ją tutaj, dla wybadania. *Mój ojciec spaliłby się ze wstydu, gdyby mnie teraz widział... ale co ja poradzę?*

Po tej nieoczekiwanej refleksji spojrzął na nią przenikliwie i ujrzała siebie jego z kolei, zatroskanymi oczami - włosy w nieładzie, suknia rozsznurowana, narzucona w pośpiechu opończa. Jednakże nad współczuciem, jakie czuł do niej ten człowiek, brała górę myśl, że pozbawiony wyboru zrobi wszystko, żeby zyskać łaski Gavina.

Niestety, Dar nie zawsze był wygodny, bo nie zawsze znajomość czyichś najskrytszych myśli okazywała się pomocna. Ich dosłowność bywała kłopotliwa. Sasha zrozumiała jednak, że Bowen nie jest człowiekiem okrutnym, tyle że znalazł się w trudnej sytuacji. Miało to jakiś związek z jego ojcem i Gavinem.

- Słusznie postąpiłeś, przywożąc ją tutaj, Bowenie. - Lord Gavin znowu utkwiał w niej badawczy wzrok. *To zwykła dziwka, jakich wiele... opończę ukradła... Mój kuzyn nawet by na nią nie spojrział...*

Dokonana w milczeniu ocena spowodowała, że Sasha spałowała. Uniosła lekko głowę. Powinna była przywyknąć do wzdargi, bo jak daleko sięgała pamięcią, zawsze słyszała podobne myśli. Ideał kobiecości to jasnowłosa niewiasta o skórze koloru kości słoniowej. Od dawna wiedziała, że jej śniada cera i czarne włosy nie cieszą się uznaniem mężczyzn. Wcześniej nie miało to dla niej żadnego znaczenia. Teraz przemknęło jej przez głowę, czy Rhys ma podobne upodobania.

- Kim jesteś? - Gavin pochylił się do przodu. - Nie jesteś Walijką. Co robiłaś w lesie, sama, o tak wczesnej porze?

Spuściła oczy, udając zawstydzoną i wystraszoną. Takie zachowanie powinno podziałać na człowieka żadnego władzy.

- Zgubiłam się, milordzie. Bałam się. Tak długo błąkałam się samotnie, że już nie potrafiłam odnaleźć swoich towarzyszy, nie wiedziałam, gdzie jestem. - Zadrzała, choć nie do końca był to

dreszcz udawany i uniosła ku niemu oczy pełne łez. - Ja... zbierałam rośliny... żeby jeść.

Gavin w zamyśleniu głaskał się po niewielkiej czarnej bródce. *Prędzej rozkładałaś uda ...*

- I dlatego twoje ubranie jest w takim nieładzie? Trudno mi w to uwierzyć.

- Wystraszyłam się odgłosów w lesie i zaczęłam uciekać. Myślałam, że może to wilk albo niedźwiedź... - Zawiesiła głos, udając przestrach, choć nie musiała nawet udawać. Gdyby ów człowiek domyślał się prawdy, byłoby po niej. Mógłby wykorzystać ją przeciw Rhysowi jako zakładnika.

- Widziałaś kogoś w lesie? - zapytał Gavin. - Zbrojnych, wieśniaków?

Pokręciła głową, po czym spuściła wzrok. Włosy opadły jej na twarz.

- Nikogo nie widziałam, milordzie. Tylko twoich ludzi, wyszli prosto na mnie.

- Wydaje mi się, że kłamiesz - powiedział cicho, głosem budzącym dreszcz zgrozy. *Do diabła z nią, wiem, że go widziała, musi coś wiedzieć... Zrobiłem wszystko, żeby dostać Glenlyon, teraz nie mogą się zatrzymać...*

Nie odpowiedziała. Nadal stała ze spuszczoną głową. Niech myśli, że ze strachu odjęło jej mowę. Wtem dotarła do niej wizja nagiej kobiety. Uniosła gwałtownie głowę i spojrzała w twarz walijskiego lorda. Rozbierał ją wzrokiem, chytrze się uśmiechając.

Po długiej chwili ciszy, wypełnionej chaotycznymi myślami i lubieżnymi obrazami, Gavin skinął na jednego z ludzi, by ją wyprowadził. Pożegnał ją pogardliwym grymasem.

- Jeszcze porozmawiamy, a teraz idź i przypomnij sobie, co widziałaś.

Nie protestowała, nawet gdy zaprowadzono ją do podziemi warowni, których głęboki mrok rozświetlały tylko dymiące pochodnie. W wąskim, kamiennym korytarzu kroki odbijały się głośnym echem. W powietrzu wisiał zgniły zaduch śmierci. Wreszcie strażnik zatrzymał się przed małymi, drewnianymi drzwiami i wsunął do metalowego zamka ogromny klucz. Przekręcił go z głośnym szcękaniem. Zaskrzypiały przeraźliwie zawiasy

i drzwi się otworzyły. Z lochu buchnęło strasznym odorem. Gdy mimowolnie się cofnęła, strażnik złapał ją za ramię, mocno, ale nie brutalnie.

- *Mynd* - rzekł krótko i pchnął ją. Zatoczyła się i wpadła do ciemnego lochu.

Kiedy odzyskała równowagę, odwróciła się w stronę żołnierza i spojrzała mu w oczy; szybko odwrócił wzrok. Myślał po walijsku i nie rozumiała słów, ale czuła, że się przeraził jej nieruchomego wzroku.

- *Tylwyth teg* - mamrotał - *rydych chi'n tylwyth teg...*

Cofnął się chwiejnie, wymacał drzwi i zatrzasnął je, po czym obrócił klucz w zamku z metalicznym chrzęstem. Uczynił to wszystko z pośpiechem, który świadczył, że wpadł w panikę. Stała spokojnie, wsłuchując się w echo zaklęć. Nie rozumiała słów, ale doskonale zdawała sobie sprawę, jakie wyrażały emocje.

Było ciemno. Jedynie przez niewielki otwór w drzwiach sączyło się trochę światła. Wsłuchiwała się w odgłos kroków uciekającego w popłochu strażnika. Dopiero teraz okazało się, że nie jest w celi sama...

- *Bore da* - odezwał się ktoś miłym głosem. Odwróciła się w kierunku, z którego dochodził. - *Rydw i'n siarad Cymraeg...*

- Nie mówię po walijsku - powiedziała po angielsku.

- Ach.

Usłyszała szelest i w ciemnym kącie zamajaczył jakiś cień. W skąpym świetle pochodni, dostającym się przez szpary w drzwiach, ukazał się mężczyzna.

- Bardzo przepraszam.

- Mówisz po angielsku - stwierdziła z ulgą.

- Także po francusku - odrzekł w tymże języku, a ona raczej odczuła niż zobaczyła uśmiech na twarzy towarzysza niedoli. - W dzisiejszych czasach władanie wieloma językami okazuje się bardzo użyteczną umiejętnością.

Gdy jej wzrok przyzwyczał się do mroku, mogła przyjrzeć się mężczyźnie: średniego wzrostu, niemłody. Posiwiące na skroniach, zaniedbane włosy. Pod dawno nie strzyżoną brodą kryła się miła twarz. Miał na sobie przyzwoite odzienie, choć brudne i podarte.

Ponieważ myślał po walijsku, musiała polegać na swojej intuicji, by poznać jego charakter.

- Nie znam walijskiego - powtórzyła. - Teraz dotkliwie odczuwam ów niedostatek.

- To rozumiąłeś. - Wskazał ręką do góry. - Jak mają się rzeczy ponad czeluściami piekieł?

Uśmiechnęła się.

- Nie mam, dla porównania, wcześniejszych doświadczeń, ale zaryzykuję, że rzeczy mają się jak zwykle. Lord Gavin trzyma warownię, a większość jego ludzi żyje w strachu.

- Czyli bez zmian. Niestety. Niektórzy się go boją.

- Niektórzy? Prawie wszyscy. Szczur w pułapce ma więcej odwagi.

- Interesujące porównanie i całkiem na miejscu, jeśli pamięć mnie nie zawodzi - odrzekł mężczyzna rozbawionym głosem.

- Oby nie, w przeciwnym razie oboje dokonamy tutaj żywota. - Rozejrzała się dookoła. - Są z pewnością w Walii wygodniejsze miejsca.

- Prosiłbym cię siadać, gdyby było gdzie, ale że nie ma, muszę pokazać, że jestem dżentelmenem, uciekając się do prostszych sposobów. - Wytwornym ruchem podał jej kromkę chleba. - Chowałem ją na specjalną okazję, nie mogło być lepszej niż twoje przybycie. Pozwolisz?

Aż do tej chwili nie czuła głodu. Nie jadła nic tego dnia i ścisnęła ją w dołku. Skinęła głową.

- To dla mnie zaszczyt móc przełamać się z tobą chlebem, sir.

- Owain - przedstawił się. - Ty zaś jesteś... ?

Zawahała się. To była dla niej zawsze trudna chwila.

- Zwą mnie Sasha.

- Sasha. To rosyjskie imię, prawda?

- Tak.

Wzięła chleb, który jej podał, i odgryzła kawałek. Może z powodu mroku, okoliczności, napięcia, jakie czuła, w każdym razie zaczęła opowiadać mu o sobie, nie wiedząc nawet, dlaczego to robi.

- W dzieciństwie podróżowałam w grupie rosyjskich łazików. Nazwali mnie Sasha i od tamtej pory tak zostało.

- Sasha to imię męskie, a ty przecież nie jesteś młodzieńcem.

Proszę. Mam także trochę sera, jeśli nie przeszkadza ci, że jest lekko spleśniały. - Ocierając ser palcem, przyglądał się Sashy badawczo, lecz zarazem życzliwie. - Nie jesteś Rosjanką. Czyżbyś się ukrywała?

Uśmiechnęła się.

- Jesteś bardzo dociekliwy, Owainie.

- Tak powiadają. Chodź, dziecko, przysiadzimy sobie na wiązce słomy i powspominamy. Bardzo jestem ciekaw, jakim to nierozważnym krokiem zasłużyłaś sobie na gościnę w lochach Gavina i czy naprawdę jesteś wróżką, jak sądzi strażnik.

12

To się nie uda.

Brian rozbawił tylko Biagia tym ponurym oświadczeniem.

- Nie udałoby się, gdybyś to ty spróbował, gamoniowaty Celcie. Ja potrafię dokonać cudu.

Rhys słuchał jednym uchem. Podniósł dopiero głowę i skrzywił się, kiedy włoski samochwała zaczął wymachiwać na wszystkie strony płonąca pochodnią.

- Uważaj, żebyś nie podpalił lasu, gołowąsie. Upewniłoby to wroga prędzej o naszej głupocie, niż o talentach do czynienia cudów.

Biagio zadusił płomień w kuble wody.

- Jestem gotowy. Jestem gotowy od dawna, to wy zwlekacie. Moja pani pewnie się tam zamartwia.

Rhys miał na ten temat własne zdanie, ale przejadły mu się już ciągłe sprzeczki z chłopakiem, który na jedno jego słowo miał w zanadrzu dziesięć. Wzruszył ramionami.

- Inaczej nie można. Glenlyon to silna warownia, atak na jego mury bez odpowiednich przygotowań byłby równie fatalny w skutkach, co głupi. Pozostała tylko jedna szansa. Musimy spróbować.

- Czy ludzie dostali już rozkazy?

Uśmiechnął się.

- Dostali, dostali. Teraz wszystko zależy od ciebie, gołowąsie. Kiedy zadzwonią na nieszpory, ruszysz. Masz dokładnie siedem

dni czasu. I pamiętaj, co powiedziałem: kiedy ją znajdziesz, nic nie rób. Resztę zostaw nam.

- Nie spóźnijcie się, bo będziemy zgubieni - przypomniał Biagio.

Rhys wstał z pnia powalonego dębu, żeby sprawdzić stan swojej ręki. Błysnął miecz i trzy równo ścięte gałęzie spadły na ziemię.

- Jeszczem nigdy nikogo nie zawiódł, gołowasio. Zrób wszystko, żeby ci się udało.

Chłopak zachnął się z błyskiem w oczach.

- Jeśli się nie uda, oni mnie zabiją, ty już nie zdążysz.

Miał rację, Rhys zbył tedy jego uwagę milczeniem. Obaj wiedzieli, jak wielkie ryzyko wiąże się z ich desperackim planem. Gdyby się powiódł, byłby to zarazem cud i błogosławieństwo. W razie niepowodzenia ci, co by przeżyli, zawiśliby na murach Glenlyonu.

Pojawiła się Elspeth i zmierzyła Biagia krytycznym okiem.

- Wyglądasz bardziej na głupka niż na mima - orzekła surowo. - Gdzieś wynalazł ten kostium?

- W wozie. Trochę dodałem tu i ówdzie. Nie podoba ci się? - Biagio okręcił się na obcasach miękkich, skórzanych butów, po czym skłonił się wytwornie, pochylając aż do kolan obleczonych w kolorowe rajtuzy. Zadzźwięczały dzwoneczki umocowane do pstrej czapki. Miał też na sobie jaskrawy szkarłatny kaftan, przewiązany jasnożółtą szarfą, zapinany na guzy z brązu. Na to narzucił jasnogranatową opończę.

Elspeth, patrząc na niego z ukosa, kręciła głową.

- Jesteś ślepy. Wyglądasz, jakbyś wpadł do kadzi z farbami. Już bardziej się rzucać w oczy nie można.

- I tak być powinno, ale to tajemnica. - Biagio schwycił ją za rękę i zaczął obracać w szaleńczych płasach, póki nie wyrwała się z jego objęć. Uskoczył przed kuksańcem i wykrzyknął:

- Patrzcie na mnie, patrzcie na mnie. Na nic innego nie zważajcie, mości lordowie i jaśnie panie... Oto moja prawa ręka, nie, lewa... Pokażę wam takie sztuki magiczne, jakich jeszcze nikt na świecie nie widział.

Elspeth obserwowała go, skrzyżowawszy ręce na piersiach.

- Uważaj, żeby nie nadziali cię na rożen jak pawia, młody głupcze. Nie pamiętasz, co się stało, gdy Sasha ubrała się tak w Tuluzie? Ten tłusty rzeźnik obdarłby cię ze skóry, gdyby nie... - Zakryła usta drżącą ręką. - Gdyby nie Sasha. Bacz na tych, co mogą pokrzywdzić ciebie i naszą panienkę.

Biagio podszedł do niej i zaczął coś szeptać jej do ucha, aż w końcu starszuszka powoli skinęła głową. Wówczas uśmiechnął się do niej i poklepał po ramieniu dla dodania otuchy. Spojrzała na Rhysa.

- Jestem gotów odegrać swoją rolę, milordzie.

Pochłonięty myślą o tym, jak też Sasha mogła wyglądać w obcisłych rajtuzach i krótkim kaftanie, Rhys uśmiechał się bezwiednie.

- Zatem pora zaczynać.

Skinął na sir Roberta i kazał mu rozstawić ludzi wzdłuż nagiego grzbietu wzgórze, skąd widać było Glenlyon.

- Zróbcie wielkie przedstawienie, tak żeby ludzie w warowni zauważyli waszą obecność i na niej skupili całą uwagę. Wtedy tych kilku przemknie niezauważenie.

- Uważam, że musisz dać mi fory - wpadł mu w słowo Biagio. - Postaraj się, Walijczyku, żeby pościg wyglądał przekonująco.

Rhys błysnął zębami w uśmiechu. Zręcznie dobył miecza, rad, że ręka już zdrowa i w pełni władna.

- Z największą przyjemnością, gołowąsie.

- Ale nie za bardzo przekonujący. - Biagio stracił nieco rezon, mina mu zrzedła. - Nie chcę, żebyś mnie podziurawił jak sito.

- Zatem musisz gnać najszybciej jak potrafisz, bo ja będę tuż za tobą. - Rhys spojrzał w kierunku osiodłanej gniadej klaczy: mała, ale silna, z szeroką piersią i mocnymi nogami, koń pustylny, z tych, jakie widywał u Saracenów. O wiele za mały, żeby unieść Anglika w pełnym rynsztunku, ale doskonale przystosowany do gorących piasków Arabii, zdalny w sam raz dla tamtejszych, lżej uzbrojonych jeźdźców. Podziwiał te zwierzęta za to, jak wspaniale potrafiły się sprawić i jak dzielnie szarżowały podczas ataku.

Idąc za jego spojrzeniem, Biagio powiedział:

- Moja pani powiada, że ta klacz potrafi gnać niczym wiatr. Tego nie wiem, ale że jest zmienna jak wiatr, to pewne.

- To przywilej kobiety. Idź. Będę za tobą, a Brian będzie za mną. - Twardo popatrzył chłopcu w oczy. - Niech Bóg ma cię w swojej opiece, młokosie.

Biagio uśmiechnął się szeroko i skinął głową. Podeszedł do niespokojnego konia, wziął go za uzdę i spojrzął na Rhysa.

- Spotkamy się w wielkiej sali Glenlyonu, Walijszyku.

Wskoczył na siodło, zawrócił konia i pognał w dół zboczem wzgórza. Rhys dosiadł swojego ogiera mniej spiesznie. Nałożył hełm, wyjął miecz z pochwy. Turek tańczył niecierpliwie, gryząc wędzidło. Rhys czekał, aż ujrzy Biagia galopującego wiejską drogą. Kmiecie uskakiwali z drogi, w panice, złorzecząc odciągali dzieci. Rhys uśmiechnął się, ścisnął kolanami końskie boki. Turek wyrwał do przodu i rzucił się w śmiertelną pogoń.

Gnąc jak burza w dół zbocza, Rhys nie spuszczał oczu z Biagia. Potężne mięśnie Turka pracowały rytmicznie, spod kopyt pryskały grudy ziemi. W uszach świszczą wiatr, niosły się okrzyki reszty pościgu. Brian. Za nim sir Clyde. Turek zostawił ich w tyle, ale niewielka, krzepka klaczka była szybka niczym wiatr. Sasha miała rację. Rhys zmusił rumaka do przejścia w cwał. Turek był wspaniałym wierzchowcem i teraz to pokazał.

Rhys dognał Biagia na krętej drodze prowadzącej ze wsi do warowni. Gdy był tuż, tuż, uniósł się w strzemionach i jednym zręcznym cięciem siekł rozwianą w pędzie opończę; szmat ciemnobłękitnej poły opadł na ziemię.

Biagio rzucił ostrzegawcze spojrzenie. Spiał klacz do szaleńczego cwału, pochylił się nad jej szyją tak, że grzywa chłostała mu twarz. Rhys zamierzył się ponownie i odciął czubek czapki, który poleciał w powietrze z dźwięczeniem dzwoneczków. Teraz, niemal bezwiednie ściągnął cugle. Następne cięcie zerwałoby niechybnie skalp z głowy Biagia. Wytrawny koń bojowy Rhysa nie chciał zwolnić, gotów cwałować, dopóki nie prześcignie małej klaczki. Rhys musiał wyteżyć wszystkie siły, aby niezauważalnie dla zgromadzonych przy bramie warowni ludzi powstrzymać ogiera. Słyszał ich śmiechy i zgadywał, że najpewniej robią teraz zakłady, kto wygra straceńczą gonitwę.

Pędzący przed nim Biagio wjechał na zwodzony most, wydzierając się w niebogłosy, by otwarto mu bramę. Tymczasem warty właśnie zaczęły ją zamykać. Przez chwilę Rhys myślał, że nie wpuszczą chłopca, ale Biagio, pochylony nad końskim karkiem, przemknął pod sunącymi w dół kołcami żelaznej kraty, po czym brama została zawarta na dobre.

Rhys zajechał na sam skraj mostu i dopiero tam ściągnął wodze. Ogier stanął, ryjąc kopytami ziemię. Złorzecząc wartownikom, klnąc i grożąc, żądał wydania zbiega. Odpowiedziały mu wybuchy śmiechu i obelgi. Gdy w jego stronę posypał się grad strzał, zawrócił.

Briana i sir Clyde'a spotkał tuż poza ich zasięgiem. Brian spojrzął w stronę warowni.

- Myślisz, że mu uwierzą?

- Bóg jeden wie, mam nadzieję, że tak. - Rhys spiał spienionego konia. To był szaleńczy wyścig.

Powracali przez wieś powoli, stępa. Rhys popatrzył na wzgórze, gdzie sir Robert formował szereg jezdnych. Czas wyliczył idealnie. W ciągu ostatnich kilku dni zdążyli zbudować maszyny oblężnicze, które teraz ustawiono na widoku. Ludzie, konni i piechota, mieli przemieszczać się z miejsca na miejsce, dwojąc się i trojąc, wymieniając rolami, aby wyglądało na to, że jest ich znacznie więcej niż w rzeczywistości. Rozpuszczono też po wsi pogłoskę, że wrócił syn starego lorda z wielką siłą rycerstwa i zamierza odbić swoją twierdzę. Wieść powinna lotem błyskawicy dotrzeć do Gavina. Wszystko to miało stworzyć pozór, że Rhys gotuje się do oblegania Glenlyonu, jeśli nie do bezpośredniego ataku.

- Jedziemy do naszych ludzi, tak jakbyśmy mieli do nich dołączyć. Za szczytem wzgórza skierujcie się za mną do lasu - rzucił Rhys przez ramię.

Gdy zanurzyli się w leśnej gęstwinie za wzgórzem Wye, Rhys zwolnił już zupełnie, pozwalając Turkowi wytechnąć. Było tu cicho i cieniście. Suche liście tłumiły stukot kopyt. Gdy Brian zakaszłał, niespodziewany odgłos zabrzmiał głośno i obco. Posuwali się powoli. W gałęziach śpiewały ptaki. Chrzęściła uprząż i wędzidła. Jeden z koni parsknął, gdy jakiś ptak nagle przeleciał koło jego

głowy. Kiedy dotarli na znajomą polanę, Rhys ściągnął cugle. Towarzysze zatrzymali się tuż za nim. Czekali.

Potrzebował dwóch dni na odnalezienie tej polany. Wiedział, że jest gdzieś w pobliżu, choć odmieniona przez czas i ukryta w chaszczach pośród drzew. Bawił się tutaj jako mały chłopiec. Teraz wypatrywał gałęzi, którą złamał kilka dni temu. Zwisała niczym kolczasty paluch, wskazujący na stos kamieni. Ten stos, starszy niż ludzka pamięć, był na ziemiach Glenlyonu od zawsze. Gdy po latach znowu go odnalazł, odetchnął z ulgą. Tu znajdowała się odpowiedź na wszystkie pytania.

Odwrócił się do Briana i sir Clyde'a z radosnym uśmiechem.

- Teraz nasza kolej na knowania.

Wydawało się, że wąskie ściany tunelu i niski kamienny strop zamykają się wokół nich. Rhys pochylił się. W jednej ręce trzymał miecz, a w drugiej syczącą pochodnię. Drobne iskry opadały mu na włosy i ubranie. Za nim stało czterdziestu mężczyzn, tylu, ilu udało się wydzielić z grupy symulującej działania wojenne na wzgórzu koło Glenlyonu. Przez miniony tydzień nie próżnował. Tyle trwało usuwanie z tunelu nagromadzonych przez lata łupków skalnych i ziemi. Ludzie pracowali cicho i skrycie, by nie zwracać niczyjej uwagi. W tym czasie Biagio miał uporać się ze swoim zadaniem.

- Milordzie... - Brian ciężko dyszał w dusznym tunelu. - Daleko jeszcze?

Rhys obejrzał się za siebie. Z twarzy Briana strugami spływał pot i kapał po brodzie.

- Źle się czujesz?

Brian był błady jak płótno, a piegi na jego policzkach przypominały malowane cętki. Wokół ust rysowały się wyraźne bruzdy.

- To zamknięcie... nie znoszę zamkniętych pomieszczeń - wychrypiał. - Tu... nie ma powietrza.

- Skoro płonie pochodnia, powietrza jest dość, Brianie. Wkrótce dotrzemy do końca. - Rhys spojrzał w głąb tunelu. -- Od wejścia pod kopcem do piwnicy z winem jest rzeczywiście daleko, ale większość drogi mamy już za sobą. Możesz iść dalej?

Brian przytaknął markotnie.

- Tak, panie. Wolę iść... niż tu zostać.

Kiedy dotarli do drzwi piwnicy z winem, Brian ledwie trzymał się na nogach. Rhys kazał mu usiąść i poczekać, aż otworzy przejście. Długo badał drzwi po omacku, aż trafił na rygiel. Znalazł go pod wystającym kamieniem, ale drzwi były tak ciężkie, że trzeba było trzech ludzi, by im poradzili. W końcu przedzwiałe zawiasy drgnęły, zaskrzyphiały i Rhys ostrożnie wszedł do środka.

Poza rzędami dębowych beczek i beczułek z winem nie było nic. Panował chłód i mrok, jak w tunelu. Przynajmniej tutaj nic się nie zmieniło w ciągu jego długiej nieobecności. Wrócił po Briana i wziął go pod ramię.

- Piwnica niewiele lepsza co prawda niż tunel, ale jest tam więcej przestrzeni. - Oparł Briana o wielką beczkę i skinął na sir Clyde'a, żeby utoczył wina. Mocny trunek szybko przywrócił rycerzowi siły i zwykły rumieniec na twarzy.

Brian uśmiechnął się słabo.

- Raz kiedyś to miałem... dawno temu. Myślałem, że już się nie powtórzy.

- Po prostu lubisz, żeby się tobą zajmować.

Żart rozśmieszył Briana.

- Nie, mój panie. Lubię mocne wino.

Po chwili Rhys wstał. Popatrzył na resztę ludzi.

- Jest nas czterdziestu. Chociaż niewielka to liczba, jeśli Biagio zrobi swoje, weźmiemy twierdzę bez trudu.

- Skąd będziemy wiedzieć, że mu się powiodło? - Sir Clyde rozglądał się niespokojnie po ciemnym loszku, oświetlonym tylko blaskiem ich dogasających powoli pochodni.

Rhys z trudem zamknął drzwi, zamaskowane od wewnątrz twierdzy przez beczki, i oparł się o nie.

- Będziemy. Znajdzie sposób, żeby nas powiadomić.

- Za bardzo ufasz temu włoskiemu huncwotowi - stwierdził Brian pośpennie. - Ja mu za grosz nie wierzę.

- Ani on tobie. Gdyby nie chodziło o jego panią, nie wiem, czy byłbym na nim polegał. Ale Biagio nie zdradzi dziewczyny i tu nasze drogi się schodzą.

Wsparłszy głowę o beczkę, Brian przez chwilę przyglądał się uważnie Rhysowi.

- Myślałem, że więcej dla ciebie znaczy odbicie Glenlyonu.

- I tak jest. - Rhys spojrzał mu w oczy. - Masz jakieś wątpliwości?

- Nie, panie. Ja nie.

- To dobrze. - Zamilkł. Czuł na sobie spojrzenia ludzi, wiedział doskonale, że zastanawiają się, czy mówi prawdę. Irytowało go poczucie, że winien jest im wyjaśnienia, jeszcze bardziej zżymał się na myśl, iż uznają go za człowieka słabego charakteru. Zaciśnął pięść i uderzył w beczkę.

- Kiedy zobaczę tę dziewczkę, wydobędę z niej prawdę. Jeżeli nas zdradziła, zapłaci.

Słowa zabrzmiały bezwzględnie, ale sprawiedliwie. Teraz nikt już nie mógł niczego mu zarzucić. Zrobiło się tak cicho, że słychać było krople wody kapiące z zimnych murów.

Dopiero Brian przerwał pełne napięcia milczenie.

- Dziewka powinna była już zamienić Gavina w ropuchę, a jego ludzi obrócić w kamienie. Tyle przynajmniej mogła zrobić, gdyby chciała nam pomóc.

- Przecież nie jest Meduzą.

Brian nic nie odpowiedział. Rhys uspokoił się. Równie dobrze mógłby gadać do ściany: żadne słowa nie docierały do tego zakutego irlandzkiego łba. Mimo swych zabobonów, Brian był dobrym przyjacielem. Najlepszym. Rhys nie mógł pozwolić, by poważnili się przez kobietę.

Czas płynął powoli. Czekali. Gdy od sklepienia piwnicy odbiło się echo odległego stuknięcia, Rhys dał znak ręką, by ludzie wycofali się do cienia. Ktoś nadchodził, oświetlając sobie drogę niewielkim płomykiem. Któryś ze służących Gavina? Biagio?

- Signor? - Pytanie odbiło się z wielokrotnionym echem od sklepienia i murów.

Włoskie słowo. Rhys wyszedł zza beczki.

- Tutaj, gołowąsie.

Krag światła znieruchomiał i przesunął się powoli. W blasku kaganka twarz młodego Włocha, rzeźbiona głębokim światło-

cieniem, wydawała się jeszcze bardziej niesamowita i groźna. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- A, tutaj jesteś. Jak to miło widzieć Walijszyka kryjącego się po kątach.

- Mamy sobie przygadywać, czy powiesz mi, jak ci poszło? - warknął Rhys.

Biagio wzruszył ramionami.

- Poszło dobrze, oczywiście. Nawykli do niewybrednych uciech, moje piękne przedstawienie przyjęli z zachwytem.

- Nie wątpię. - Suchy ton Rhysa zdradzał jego zdanie na temat talentów Biagio, ale chłopak nie poczuł się ani trochę dotknięty. Skłonił się, jakby usłyszał pochwałę. - Mów, ilu ich jest.

- Dwie setki albo więcej na murach - odpowiedział niezwłocznie, prostując się. - W wielkiej sali dwudziestka, może dwie. Siła ich, mój panie.

Rhys zamyślił się.

- Podejrzewają ciebie? - spytał.

- Wcale, chociaż na początku zadawali mi mnóstwo pytań. - Wyszczrzył się. - Opowiedziałem im, jak to wypadkiem odziliłem się od swoich, ty mnie pojmałeś, jak cię przechrzyłem i uciekłem z obozu. Mówiłem, że obóz wielki i że wojsk w nim bez liku.

- Ma się rozumieć - prychnął Rhys. - Jesteś pewien, że dasz im radę?

- A jakże. Ci, co nie zapadną w głęboki sen, będą albo zbyt oszołomieni, albo zbyt nieliczni, żeby oprzeć się twoim groźnym wojom - odparł Biagio beztrąsko. Gdy Rhys skrzywił się, podszedł bliżej i powiedział ciszej: - Dodałem do beczek z winem, co stoją w kuchni, tak dużo usypiającej mikstury, że wszyscy Walijszycy pośpią się jak dzieci. Kiedy zadzwonią na nieszpory, możecie przypuścić atak.

- Jesteś pewien, że mikstura zadziała? - przerwał Brian. - A jeżeli nie?

- Niemożliwe. To najlepszy dekokał, jaki zna moja pani. Zdziała. - Biagio skłonił się Rhysowi z kpiącym uśmiechem.

Rhys wolał nie wspominać teraz tamtej nocy, kiedy panna uśpiła go winem. Chłodno popatrzył na młodzika.

- Musi zadziałać. Od tego zależy twoje życie.

Biagio obrócił się wkoło, zadzwięczały dzwoneczki i zamigotały wesołe barwy. Skłonił się, wyciągnął dłoń, w której ukazał się ni stąd ni zowąd pęk kwiatów. Gdy Brian wyraził głośne zdziwienie, chłopak popatrzył na niego, uśmiechnął się szeroko, uczynił płynny gest i kwiaty znikły równie nagle, jak się pojawiły. Kiedy się wyprostował, napotkał wzrok Rhysa. Uśmiech znikł z jego twarzy równie szybko, jak przed sekundą kwiaty.

- Zadziałała, milordzie. Na życie mojej pani, zadziałała.

- Gdzie ona jest?

- W lochu, we wschodnim lochu.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwał. Spostrzegł, że Biagio w lot to zrozumiał. Dlaczegożby Gavin miał więzić własnego szpiega?

- Dawniej, gdy jeszcze tu mieszkałem, a Glenlyon należał do mojego ojca, nie było żadnego wschodniego lochu. Gdzie to jest?

- Ach... pod ścianami, lecz bardziej w stronę rzeki. Myślisz, że uda ci się go znaleźć?

Rhys pośpiesznie pokiwał głową.

- Tak, najpierw zajmę się Gavinem, a potem znajdę loch.

- Uprzedzę ją, że przyjdiesz. Będzie gotowa - powiedział Biagio i chciał odejść, ale Rhys schwycił go za ramię.

- Nie. Gdyby cię kto zobaczył, Gavin mógłby przejrzeć nasze zamiary. Sir Robert może otumaniać ich tylko do czasu, czyniąc teatr na wzgórzu. W końcu zwiadowcy doniosą Gavinowi prawdę. Jeżeli dziewczyna rzeczywiście jest więziona, nie narażaj jej życia, gołowąsie.

- Czyżby zależało ci na nim, mój panie? - zakpił Biagio, ale kiedy Rhys zrobił krok w jego stronę, pokręcił głową. - Mam swoje sposoby, żeby przekazać jej wiadomość, nie zbliżając się do lochu. Będzie czekała.

- Niech cię piekło pochłonie, smarku, jeżeli coś popsujesz...

Biagio cofnął się i z bezpiecznej odległości zagrał mu na nosie, po czym oznajmił zimno:

- Spokojnie, Walijczyku. Zrobię, co do mnie należy, ty dokończ dzieła mieczem.

Po tych słowach zniknął za kamiennym występem muru.

- Wszystkich ich zaczarowała - mruknął Brian.

Rhys rzucił w ciemność tak ciężkie przekleństwo, że nikt więcej nie śmiał się odezwać.

Czekali w wielkim napięciu. Kiedy rozdzwoniły się nieszporne dzwony, byli gotowi. Rhys ruszył przodem, za nim reszta wspinała się w ciszy po szerokich, ciemnych schodach. Drogę oświetlały ustawione w kamiennych niszach lampki oliwne z knotami z trzcinowego rdzenia, zapalone przezornie przez Biagia. Dawały tyle tylko światła, żeby człowiek nie potknął się na stopniach z nierówno ułożonych kamieni. Rhys uśmiechnął się ponuro na myśl, że nierozważny to lord, co przemocą zagarnia warownię, a potem nie umie jej strzec.

Pchnął drzwi; głośno skrzypnęły nienaoliwione zawiasy. Zatrzymał się na chwilę. Cisza, tylko słabe szelesty dochodzące z mroku. Poczul przyspieszony oddech Briana na karku. Wszyscy czuli to samo: zdawali sobie sprawę, że czeka ich śmiertelnie niebezpieczne zadanie.

Rhys przekroczył próg i rozejrzał się. W wąskim korytarzu za kuchniami nie było nikogo. Dał znak ręką i ruszyli cicho w kierunku dziedzińca, skradając się w cieniu i unikając blasku pochodni. Naraz dostrzegł skuloną na posadzce postać. Zatrzymał gestem ludzi i podszedł bliżej. Wsparty o mur, smacznie chrapał młody pacholek. Rhys od dawna podejrzewał, że większość służby podkrada wino. Oto miał przed sobą dowód. Przynajmniej nikt z nich nie podniesie larum.

Ukryty za chmurami księżyc dawał niewiele światła. Bezszelestnie, niczym idące mgły po wrzosowiskach, przemknęli przez dziedziniec zewnętrzny w stronę masywnej kamiennej budowli mieszczącej w sobie wielką salę. Mijali ludzi - jedni spali pod murami, inni pochrapywali zwinieci w kłębek na ziemi. Wokół pełno było kadzi na wrzącą wodę i gorącą smołę, przy ścianach stały piki do odpychania drabin. Załoga twierdzy gotowała się do odparcia oblężenia.

Rozdzielili się. Sir Clyde z dwudziestką ludzi ruszył otworzyć bramy, by wpuścić sir Roberta i pozostałych za murami. Rhys, Brian i reszta skierowali się do wieży z salą główną. W sieni leżeli pokotem śpiący, niektórzy przysnęli na krzesłach, inni na kamiennej posadzce. Niepokojąca cisza panowała w warowni. Każdą twierdzę,

gdzie zwykle jest ciasno i człowiek siedzi na człowieku, wypełnia zgiełk i gwar. Tutaj nie zakwiliło nawet dziecko. Nierzeczywiste i nienaturalne odczucie.

Zza węgła dobiegł jakiś hałas. Rhys podniósł dłoń, zatrzymał ludzi. Znowu zaległa cisza, ale już inna, nasycona emanującym z ciemności napięciem.

Mocno ujmując tarczę i miecz, Rhys wyszedł zza rogu. Gdyby nie uskoczył w porę, potężny cios byłby go powalił. Topór ześlizgnął się ze zgrzytem po nadstawionej zręcznie tarczy. Rhys odparował atak, tnąc na płask. Szczęk metalu odbił się echem od ścian, zmieszany z okrzykiem bólu i rżeniem. Przeciwnik padł.

Rhys przekroczył ciało i zastęp znowu zaczął się posuwać szeregiem pod ścianami. Pokonawszy bez trudu kilku jeszcze napotkanych zamkowych strażników, stanęli u wejścia do wielkiej sali. Pchnęli drzwi. Ogień buzował w palenisku, szczeknął jakiś pies, ale nic poza tym. Rhys wymienił z Brianem spojrzenia i weszli do środka.

Za stołami chrapali rycerze, zaciężni wojowie i niewiasty. Wyrócone dzbany i kubki dawały nieme świadectwo mocy wypitego wina. Niedopite resztki kapały jeszcze na trzcinę, którą wysłana była kamienna posadzka. Z łoskotem spadł ze stołu lichtarz i ogień ze świec przeniósł się na słomę. Brian podbiegł tam, żeby zdeptać zarzewie pożaru.

Rhys zdjął hełm i wsunął go sobie pod pachę. Przeszedł wzdłuż stołów, nie zwracając szczególnej uwagi na nieprzytomnych biesiadników: najbardziej interesował go stół na podwyższeniu. Tu też wszyscy spali ciężkim snem. Kiedy ujrzał rozwalonego na wysokim stolcu kuzyna, wykrzywił usta w grymasie uśmiechu. Obok śpiącego zobaczył jasnówłosą, najwyżej piętnastoletnią dziewczynę. Ta nie spała. Siedziała sztywno na krześle, wlepiając w Rhysa przerażone spojrzenie.

Zignorował ją i przyglądał się Gavinowi. Chciał go obudzić, uprzytomnić mu, że jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie, ale nawet silne dźgnięcie nie poskutkowało; zsunął się tylko bardziej na oparcie. Rhys wskazał na niego końcem miecza i spojrzał ostro na kobietę.

- On jest moim więźniem, tak jak wszyscy, którzy ślubowali mu wierność. Poddaj się, *demoiselle*, bo źle będzie z tobą.

Wybałuszyła oczy, przełknęła ślinę i skinęła głową.

- Tak, seigneur, poddaję się.

Rhys skinął na Briana.

- Czy sir Robert i reszta naszych weszli już do warowni?

- Tak, panie. Brama otwarta, ludzie na dziedzińcu. - Uśmiechnął się szeroko. - Poszło łatwiej, niżby wydoić krowę.

Skinął zadowolony. Aż nazbyt łatwo. Powinien był bardziej ufać temu włoskiemu dzieciakowi. Kiedy Brian chciał odejść, Rhys zapytał jeszcze:

- Widziałeś Biagia?

- Nie, panie, ale sir Vychan mówił, że widział go, jak szedł w stronę składów, kiedy my wchodziliśmy tutaj.

Rhys zdumiony i dziwnie zaniepokojony zeskoczył z podwyższenia.

- W stronę składów, powiadasz?

- Tak, panie. Czy coś nie tak?

- Pilnujcie więźniów. Gavina zakuj w łańcuchy.

Szybkim krokiem wyszedł z sali. Roznosiła go wściekłość. Jeżeli Biagio zaalarmuje strażników, którzy pilnują lochów pod składami, poderżnie mu gardło od ucha do ucha.

To już dwa tygodnie w tej mrocznej celi, dwa tygodnie na nędznym wikcie. Żadnej prywatności, za to dużo czasu na myślenie. Sasha wierciła się niespokojnie, oparła głowę o zimną i wilgotną kamienną ścianę. Gdyby nie Owain, byłoby jeszcze gorzej. Okazał się serdecznym, zawsze służącym dobrą radą człowiekiem. Była wdzięczna losowi za jego obecność.

Wdzięczna, choć on jakimś sposobem wyczuł jej Dar i próbował wypytywać, bez ogródek, acz delikatnie, dopóki nie oznajmiła kategorycznie, że nie wie, o czym on mówi. Wówczas spieszył się, ale od czasu do czasu próbował nawiązywać z nią kontakt w myślach. Udawała, z trudem co prawda, że nie odbiera jego sygnałów.

Teraz spał. Odgłos pochrapywania brzmiał miło, dodawał otuchy. Podniosła dłoń, żeby obejrzyć palce. Czasami przez szpary między

deskami wpadało trochę więcej światła, wtedy widziała, jak strasznie jest brudna. Nienawidziła ciemności. Nienawidziła tajemniczych szelestów, cuchnącej słomy na posadzce, nienawidziła przerażających odgłosów dochodzących z sąsiednich lochów, gdy strażnicy zabierali więźniów w nieznaną. Wówczas robiła wszystko, by zablokować umysł, bo strach i rozpacz tych więźniów były nie do zniesienia.

Wydawało się, że o niej zapomnieli. Jedzenia właściwie nie dostawała- tyle, ile zdołał przemycić zaprzyjaźniony strażnik. Owain dzielił się z nią cienkimi skibkami chleba i spleśniałym serem. Kiedy wzbraniała się i odmawiała, nie przyjmował jej oporów do wiadomości. Więzienie nie było dla niej pierwszą. Biagio przy różnych okazjach przypominał jej trudne chwile w Tunezji, ale wtedy siedzieli w lochu krótko i zdołali uciec, zanim doświadczyli najgorszego. Tym razem było inaczej.

Czy wszyscy o niej zapomnieli? Początkowo myślała, że Elspeth czy Biagio, może Rhys, spróbują ją stąd wydostać. Wierzyła, że właśnie Rhys jej pomoże, choćby dlatego, żeby później obsobaczyć za monstualną głupotę.

Tymczasem nic. Ani słowa. Żadnego znaku, że obchodzi go jej los. Westchnęła. Owain znał Rhysa od dziecka i najwyraźniej był przekonany, że jego pan uczyni wszystko, by odzyskać swoją własność. Skape wieści przekazane przez strażnika nie były pocieszające: obłączony Glenlyon trzyma się dzielnie, twierdza silna i pełna zapasów może się bronić całe lata.

Całe lata. Przepadła z kretezem. Gryzło ją robactwo i właściwie przywykła już do ciągłego drapania się. Oddałaby wszystkie skarby ojca za kąpiel i czyste suknie. Rhys, gdyby tylko chciał, wydostałby ich stąd. Potężny, mądry, piękny Rhys... Irytujący ponad wszelką miarę, ale niechby już po nią przyszedł... Tęskniła za nim.

Usiadła wyprostowana na posłaniu ze słomy. Czy to możliwe? Tak, tęskniła za nim. Za jego olśniewającym uśmiechem, za zmarszczkami wokół oczu, kiedy uśmiechał się do niej i doprowadzał do szału kpinami. Brakowało jej blasku słońca w jego jasnych jak pszenica włosach. Okropność. To niemożliwe. Żaden mężczyzna nigdy nic dla niej nie znaczył. Przynajmniej nie w ten sposób.

Ukryła twarz w dłoniach i jęknęła.

- Dobrze się czujesz? - spytał niespodziewanie Owain.

Podniosła głowę. Obudził się i spoglądał na nią z troską.

- To te... pchły. Gryzą niemiłosiernie.

Owain uśmiechnął się domyślnie, wyraźnie rozbawiony.

- Pchły to dokuczliwe stworzenia, prawdziwe utrapienie ludzkości.
- Zdecydowanie. Właśnie rozmyślałam o utrapieniach ludzkości. - Podrapała się w ramię. - Jak myślisz, czy on przyjdzie?

Owain zaśmiał się cicho, a kiedy skrzywiła się, powiedział:

- Jeśli masz na myśli lorda Rhysa, to z pewnością. Jeśli jest taki jak jego ojciec, przyjdzie. Prędzej ta warownia runie nam na głowę, niż on poniecha swojego dziedzictwa.
- Nadal nie rozumiem, jak udało się Gavinowi zdobyć kasztel, skoro ojciec Rhysa był tak waleczny, jak powiadasz.
- Łatwiej jest odeprzeć napaść, niż ustrzec się podstępny. Lord Griffin pomylił się, uwierzył, że jego bratanek dotrzyma słowa. Był to błąd fatalny w skutkach. - Owain westchnął głęboko. - Niczym wychodząca na łów łasica, Gavin wstał w nocy z łoża, którego łaskawie użył mu Griffin, i zamordował pana oraz jego synów, zagarniając podstępem to, czego nie zdobyłby w otwartej walce. Łasica.

Zachmurzyła się.

- Rzeczywiście przypomina łasicę. Kiedy go zobaczyłam, tak o nim pomyślałam. Zastanawiam się, dlaczego nie kazał mnie przyprowadzić do siebie? Jest przekonany, że coś wiem.

Owain wzruszył ramionami.

- Chce cię złamać, zwłóćząc.
- Pewnie dlatego ty też jeszcze tu jesteś. Nie on, ale czas ma cię zabić.
- Właśnie tak. Strach zgładzić kogoś, kto jest pod opieką króla Ryszarda, ale łącno wytłumaczyć przypadkową śmierć pojmanego. - Parsknął śmiechem. - Gavin na swój pokrętny sposób czuje respekt dla księcia.
- Dla księcia Jana? Mówisz tak, jakby on i Gavin byli ze sobą w zмовie.

- Bo też są. Jestem pewien. Jak inaczej wytłumaczyć obecność zbrojnych Jana w Glenlyonie? Widział ich strażnik. Stąd logiczny wniosek, że Jan i Gavin knują coś pospołu. Jan nienawidzi swojego brata Ryszarda i chciałby sam zasiąść na tronie.

Wzdrygnęła się.

- Co zrobi Rhys, jeżeli Jan zostanie królem?

Owain obrócił się, słoma zaszeleściła, z podściółki czmychnęło jakieś zwierzątko, mysz, może szczur.

- Zrobi, co do niego należy. Zna Anglię, będzie wiedział, jak postępować z Janem, podobnie jak radził sobie z Ryszardem, a wcześniej z królem Henrykiem.

- Nadal nie rozumiem, po co było wysyłać dziewięcioletniego chłopca na obczyznę, oddzielać go od domu? Co jego ojciec chciał w ten sposób osiągnąć?

Zapadła cisza. Po chwili Owain ciężko westchnął.

- Lord Griffyn nie miał wyboru. Gdyby nie oddał najmłodszego syna jako zakładnika, kto wie, cały klan mógł zostać wycięty w pień. Henryk miał przewagę, dyktował warunki. Nasze wojska dziesiątkowała zaraza i głód. Stary pan uległ żądaniu Henryka i odesłał mu Rhysa. Trudne były czasy.

- A teraz Rhys wrócił.

- Prawda, wrócił, ale przez dwadzieścia jeden lat nie dawał znaku życia, gardził nami - powiedział Owain drżącym głosem.

- Gardził?

- A jakże. Nie pogodził się z losem. Był młody i mało co rozumiał. Staliśmy do niego listy, lord Griffyn i ja, ale nigdy na żaden nie odpowiedział. Nigdy nie wybaczył nam, że oddaliśmy go w ręce wroga. Powiadają, że teraz jest bardziej Anglikiem niż Walińczykiem.

Sasha zastanawiała się przez chwilę.

- Nie, to nie może być prawda. Nie umiem przeniknąć jego myśli, broni się przede mną, ale wiem, że jest rad z powrotu do domu. Być może powinien był uczynić to o wiele wcześniej.

- Być może.

Zaległa cisza. Sasha czuła na sobie spojrzenie Owaina, czuła, jak bardzo intryguje staruszka. Choć przeważnie myślał po walijsku, teraz, gdy rozważał jej Dar, przeszedł na angielski. Cały czas

głowił się, czy ma do czynienia z Tylwyth Teg, leśną czarodziejką. Nie zamierzała niczego mu ułatwiać. Niech myśli, co chce..

Sasha...

Doskonale знаła tę kadencję. Usiadła raptownie, skupiła myśli.

- O co chodzi? - zapytał cicho Owain ze swojego kąta. - Coś słyszysz?

- Nie jestem pewna. - Z sąsiednich cel dochodziły stłumione jęki więźniów i pobrzękiwania łańcuchów. Popatrzyła na Owaina. Ledwie widziała jego oczy. - Może to tylko złudzenie.

Bella... jesteś tu...? Słyszysz mnie...? Która to cela?

Nie, nie myliła się.

- To Biagio. Biagio. Słyszę go... woła mnie. Dobry Boże, jak dać mu znać, gdzie jestem? - Zerwała się z posłania i zaczęła w popłochu rozglądać za czymś, co mogłaby wysunąć przez szparę lub zastukać w drzwi.

Owain nie stracił głowy.

- Biagio jest Włochem, wołaj go w jego języku. Nikt cię nie zrozumie, pomyślą po prostu, że krzyczysz z rozpacz. Spróbuj.

Odwróciła się do drzwi i zaczęła na następny przekaz.

- *Diritto! Aiuto! Sette porta!* - krzyczała na cały głos. Gdy ochrypła, spróbowała odebrać odpowiedź.

Długa, nieznośna cisza. Już pomyślała, że Biagio jej nie usłyszał.

W końcu odpowiedział. Tym razem słyszała jego myśli wyraźniej.

Już zrozumiałem. Siódme drzwi... To nie potrwa długo, bella... Boże, zejdź mi z drogi, pijany głupcze! Jakiś idiota wypił za dużo... albo za mało... Bądź cierpliwa, bo kiedy... jazda stąd, ty opoju! Bądź gotowa, bella...

Znowu umilkł. Ale słyszała go. Uratują ją. Rozradowana odwróciła się do Owaina i powiedziała z uśmiechem:

- Nie słyszałeś? Odpowiedział mi. Jesteśmy uratowani.

Stary zerwał się z posłania i podszedł do drzwi.

- Nie słyszę tak dobrze jak ty. Ech, gdybym miał ze sobą swój miecz. Bez niego czuję się bezradny. - Naraz w jego głosie pojawił się twardy ton. - Nie chcę niczego więcej, tylko dostać Gavina.

- Wątpię, czy lord Rhys odstąpiłby tę przyjemność komukolwiek.

Po długich minutach z końca korytarza dotarły do nich jakieś odgłosy. Pochodnia przy wejściu zamigotała. Z głośnym łoskotem trzasnęły metalowe drzwi. Słychać było krzyki i szcęk stali.

- Idą. - Owain zatarł ręce i głęboko odetchnął. - Modłę się, by zginać z mieczem w dłoni, jeśli pisana mi śmierć.

- Lepiej módl się, żebyśmy się stąd wydostali - mruknęła Sasha z przekąsem. - Nie marnuj pacierzy.

Odpowiedź Owaina utonęła w gwałtownym zgiełku dobiegającym zza drzwi: przekleństwa, szcęk mieczy, jęki bólu i odgłosy padających ciał. Sasha odsunęła się od drzwi, bo chaos panował taki, że nie wiedziała, czy są ocaleni, czy zgubieni...

Wokół panował tak wielki zamęt, że zamknęła się w sobie w obawie, że niewypowiedziane słowa i desperacja walczących rozsądzą jej czaszkę. Nie śmiała nawet szukać Biagia. Odpierała napływające obrazy z takim wysiłkiem, że osłabła zachwiała się i oparła o mur.

Patrzyła jak przez mgłę na wyważane z hukiem drzwi. Owain skoczył do przodu. Do celi wdarła się grupa zbrojnych, bezkształtne kłębowisko ciał. Przyciśnięta do muru, próbowała czegoś się uchwycić, żeby nie stracić równowagi. Nagle pośród rozwrzeszczanej gromady dostrzegła Rhysa. Górował nad resztą. Jasna grzywa włosów błysnęła niczym złocisty proporzec pośród innych, ciemniejszy czupryn. Walczył z okrutną furją, ale... nie miał hełmu. Głupiec... Przeszedł ją lodowaty dreszcz. Jeden z walczących uniósł miecz i już miał ciąć w odkrytą głowę.

Odbiła się od ściany i ze wszystkich sił szarpnęła za tunikę, pętając wroga. Ów ledwie to zauważył. Otrząsnął się i znowu zamierzył na Rhysa. Rzuciła się do jego nadgarstka z takim impetem, że oboje odrzuciło w bok. Zbrojny jednym ruchem uwolnił się z uścisku. Upadła na ziemię. Podniosła głowę i zobaczyła, że stoi nad nią.

Byłoby po niej, gdyby ktoś nie pchnął napastnika mieczem w plecy. Zachwiał się, jęknął jakby zdziwiony i padł bez życia, przygniatając Saszę do podłogi. Nawet nie krzyknęła, tylko najszybciej, jak umiała, zepchnęła z siebie martwe ciało. Wszędzie

śmierć, krew, zamęt, ogłuszający szcęk oręża... i strach, szarpiący za serce i nieoczekiwanie dodający sił. Podniosła się i rzuciła na najbliższego z mężczyzn. W panice, na oślep, gołymi pięściami waliła po skórzanym kaftanie, twardych mięśniach i tarczy, aż jakaś dłoń schwyciła ją za ramię i pociągnęła brutalnie ku wyjściu.

Szamotała się, kopała i wierzała, ale nie mogła się wyswobodzić. Osunęła się na kolana, szukając na podłodze jakiegoś zaczepienia, lecz posadzka była zbyt śliska, nasączona krwią słoma chroniła jedynie twarz przed ocieraniem o kamienie. Wreszcie wczepiła się z całych sił palcami we framugę. Raptem ktoś poderwał ją do góry, jak kociaka. Huczało jej w głowie od krzyków i rżenia rannych. Nic nie widziała przez gęstą zasłonę opadających na oczy włosów. Ktoś wyniósł ją na korytarz. Wycięcie sukni wpijało się w szyję i dusiło. Wolną ręką próbowała rozdrzeć materiał.

- Uspokój się - padło szorstkie polecenie. Poderwała głowę na dźwięk znajomego głosu.

- Rhys - wychrypiała. - Rhys. - Niemal się rozplakała, taką poczuła ulgę.

Potrząsnął nią.

- Dużo mnie kosztowała twoja lekkomyślność - warknął - Uspokój się, wtedy cię puszcze.

Nie było to najprzyjemniejsze spotkanie. W oczach miała ból i przestרח. Gdy ją puścił, z trudem odzyskała równowagę. Odrzuciła na bok włosy. Rhys spoglądał na nią wzrokiem, w którym trudno było doszukać się cieplejszych uczuć. Tylko zimny błysk rozświetlał stalowoszare tęczówki.

Sasha uniosła głowę dumnym gestem.

- Widzę, że ciągle jeszcze pamiętasz naszą kłótnię w lesie. Ale chodzić możesz, mimo wszystko?

Nie raczył odpowiedzieć, znowu chwycił ją za suknię i pociągnął za sobą.

Tego było za wiele. Po tym, co przeszła, nie miała zamiaru dać się wlec, niczym mały psiak. Euforia, która ją ogarnęła w pierwszej chwili na widok Rhysa, minęła bez śladu. Zaciśnęła pięść i wspięła się na palce, po czym z całej siły walnęła go w szczękę.

Wydał wściekły pomruk i lekko potrząsnął głową. Spojrzał

ostro, schwycił ją pod kolana i przerzucił sobie przez ramię. Biła go ze wszystkich sił, aż zabrakło jej tchu. Dla utrzymania równowagi chwyciła się jego tarczy przymocowanej do pleców rzemieniem. Przed oczami migały jej okopcone ściany podziemnego korytarza i pochodnie. Kiedy uniosła głowę, by spojrzeć do tyłu, zobaczyła, że walka jest skończona.

Ludzie Rhysa zwyciężyli i zasapani znosili teraz martwe ciała do jednej celi, a pojmanych umieszczali w innej. Zobaczyła Owaina z mieczem w dłoni. Na widok Sashy przerzuconej przez ramię Rhysa, zaśmiał się.

- Nie gap się tak - wykrztusiła. - Powiedz mu, żeby mnie puścił.

Nie mogę się wtrącać, nadeszła milcząca odpowiedź, przy nim będziesz bezpieczna...

Widać źle oceniła nie tylko Owaina, ale i Rhysa. Co on ma zamiar z nią zrobić? Na odpowiedź nie musiała długo czekać.

Rhys ujrzał Sashę uczeponą niczym wściekły kot ramienia jednego z walczących i ogarnęło go przerażenie. Przemknęło mu przez myśl, że nie zdąży powstrzymać napastnika. Kiedy przedzierał się przez kłębowisko walczących, spiesząc jej na ratunek, czas jakby się zatrzymał.

Gdy już zdołał ją obronić, Sasha, zamiast zadbać o własne bezpieczeństwo, rzuciła się do ataku. Tego było już za wiele. Wylókł ją z celi. Przed chwilą ocalił jej życie, uchronił przed śmiertelnym niebezpieczeństwem, i jak mu się odpłaciła? Zdzieliła go w twarz z taką siłą, że omal nie wybiła mu zębów. Miała piekielne szczęście, że opanował się i jej nie oddał.

Zignorował jej gniewne, wrzaskliwe protesty, ale kiedy zaczęła się szamotać i kopać, uderzył ją w policzek. Powinna się uspokoić i zrozumieć, że nie znajduje się w sytuacji, w której mogłaby rozkazywać czy żądać czegokolwiek. Zamilkła nagle zaskoczona i przestała wierzgać.

Niósł ją korytarzem do wielkiej sali, gdzie jego ludzie rozprawiali się z ostatnimi przeciwnikami. Część starych strażników przebudziła się i kiedy rozpoznali barwy Rhysa, złożyli broń. Tylko Gavin i ludzie Jana stawiali zaciekły opór, wiedząc, że nie mogą liczyć na litość.

Gdy minął salę i skierował się w stronę krętych schodów, usłyszał pytanie zadane władczym głosem:

- Gdzie zabierasz moją panią, lordzie Rhysie?

Rhys zatrzymał się i rozejrzał. Kiedy dostrzegł Biagia, postawił Saszę na ziemi, ale trzymał ją mocno lewą ręką. W prawej nadal dzierżył miecz.

Ubranie Biagia było podarte i pokrwawione, w dłoni miał sztylet. Podeszedł bliżej i z grymasem na twarzy najpierw przyjrzał się Sashy, potem Rhysowi. Oczy mu pociemniały. Już chciał coś powiedzieć, ale Rhys go ubiegł:

- Zszedłeś do lochów wbrew moim rozkazom.

- Wiem, ale gdyby nie ja, strażnicy byliby przytomni i gotowi do walki. - Uniósł brew. - Jak myślisz, kto był tak uprzejmy, żeby zanieść spragnionym ludziom wino?

- Nie w tym rzecz. Nie posłuchałeś rozkazu i naraziłeś ją.

- Mylisz się, wcale nie naraziłem mojej pani. Ja ją odnalazłem.

- To prawda. - Sasha usiłowała wyszarpnąć dłoń, prychając gniewnie, ale Rhys nie zamierzał jej puścić. - Znalazł mnie i ostrzegł, a jeśli ty...

- Wystarczy. W lochach nie było ci może wygodnie, ale byłaś bezpieczna. Dopóki ten smarkacz nie sprowokował strażników.

- Nieprawda - warknął Biagio. - Dałem im tyle wina, że twoi ludzie bez trudu mogli ich pokonać.

- Patrzcie, jak się to wilcze szczenię przechwala. Nie widziałem cię jakoś między walczącymi.

- Źle widać patrzyłeś. - Biagio uniósł ociekający krwią sztylet. - Byłem tam.

- Przestańcie, proszę - wtrąciła się Sasha. - Skaczecie sobie do oczu jak dwa koguty. Najlepiej by było, gdyby...

Rhys ścisnął mocniej jej dłoń, tak że zamilkła i tylko spoglądała na Biagia.

Po chwili młody Włoch pokiwał głową.

- Gdzie ją teraz prowadzisz?

- Do mojej komnaty.

Słyszac tę odpowiedź, Biagio zesztyniał. Sasha próbowała się wyrwać, ale Rhys trzymał ją mocno. Gdy chłopak postąpił krok do przodu, Rhys uniósł miecz.

- Teraz ja za nią odpowiadam. Jest moja.

W ciemnych oczach Biagia pojawił się groźny błysk.

- Dlaczego uznałeś, że coś się zmieniło? Czy nie dałem słowa,

że będę wobec ciebie lojalny dopóty, dopóki będzie to w interesie mojej pani?

- W istocie. - Rhys uśmiechnął się i położył dłoń na karku Sashy. - Myślisz, że musisz jej przede mną bronić? Czy uczyniła coś, co miałoby mnie rozgniewać? Po to ją ratowałem przed ludźmi Gavina, żeby teraz wyrządzić jej krzywdę?

- Ja ją znalazłem. - Biagio postąpił jeszcze krok do przodu. Był wyraźnie zawiedziony. Zerkał na wymierzony w niego miecz. - To dzięki mnie wiedzieliście, w której jest celi. Dzięki mnie mogliście się zakraść do Glenlyonu niepostrzeżenie. Nie zrobiłem tego po to, żebyś teraz traktował moją panią jak swoją własność. - Wpatrywał się wyczekująco w twarz Sashy. Ich oczy spotkały się, a po chwili podniosła dłoń.

- Nie, nic nie rób, Biagio. On mnie nie skrzywdzi.

- Nie byłbym wcale taki pewien. - Popatrzył przenikliwie na Rhysa, a potem znowu na nią. - Nie wygląda, żeby był dobrze usposobiony.

Uśmiechnęła się.

- Ty też nie. - Gdy odwróciła się, Rhys zdjął rękę z jej karku, gotów jednak w każdej chwili przytrzymać Saszę, ale stała bez ruchu, spoglądając to na Rhysa to na Biagia. - Obaj cuchniecie potem i krwią. Śmierdzicie, jakbyście zarzynali wieprze.

- Mam to rozumieć jako podziękowanie za to, że naraziłem życie, ratując cię od niechybnej śmierci? - spytał szyderczo Rhys. - Osobliwy sposób wyrażania wdzięczności, mój kwiecie.

- Byłabym wdzięczna, gdybyście nie warczeli na siebie jak psy nad kością. Jeśli myślisz sobie...

- Dostyc, mój kwiecie. - Uniósł rękę w ostrzegawczym geście.

Zamilkła, ale minę nadal miała nadąsaną. Rhys uśmiechnął się lekko i spojrzał na Biagia. Te wilcze, jarzące się ślepia nie wróżą nic dobrego. Na dziś miał już dość zmartwień.

- Jest późno, a ja jestem zmęczony i nie w nastroju, by znosić twoje przechwałki i pogrożki, młokosie. Przed nami jeszcze dużo do zrobienia. Wygląda, że roznosi cię energia, zgłoś się przeto do sir Roberta i pomóż mu przygotować posiłek i nocleg dla naszych ludzi. Jutro porozmawiamy.

Oczy młodego Włocha zwięzły się, ale skinał krótko głową.

- Tak, pójdę, ale nie dlatego, że tobie się tak podoba, tylko przez wzgląd na swoją panią. Nie myśl, że uśpiśz moją czujność - co powiedziałwszy, odwrócił się na pięcie i odszedł.

- Nie musisz go upokarzać - szepnęła Sasha.

Rhys pokręcił głową.

- Uprzejmością nie wygrasz z tym zarozumiałcem, mój kwiecie, uwierz mi.

Poprowadził ją po wąskich, krętych schodach, potem korytarzem. Umocowane w przyściennych uchwytych pochodnie oświetlały leżących na kamiennej posadzce ludzi. Wzdrygnęła się.

- Niektórzy z nich wyglądają raczej na śpiących, niż na martwych.

- Bo też śpią.

Popatrzyła zdziwiona.

- Jak to, śpią?

- A tak to. Młody Biagio wiele się od ciebie nauczył. - Posłał jej porozumiewawcze spojrzenie, ale ona patrzyła na niego szeroko otwartymi, niewinnymi oczami. Jednak nie dał się zwieść. Uśmiechnął się szeroko. - Napój usypiający, kwiatuśku. Dodany do wina w takiej ilości, że prawie cała załoga warowni śpi jak zabita. Ci, co walczyli, albo nie pili wcale, albo wypili niewiele.

Skinała głową z uznaniem.

- Bardzo sprytnie. Zastanawiam się, jak tego dokonał.

- Zdaje się, że Biagio ma wiele talentów.

Zatrzymał się w skąpo oświetlonym przedsionku, otworzył drzwi i zajrzał do środka. Dwie skryte w kącie matrony zapiszczały na jego widok. Rhys zatrzaskał te drzwi.

- Ta izba jest za mała. - Pociągnął ją dalej i zaglądał do kolejnych komnatek. Wreszcie odnalazł tę, która należała do pana kasztelu.

Była wystarczająco obszerna, z ogromnym łóżem i metalowym koszem wypełnionym płonącymi węglami. Tkaniny na ścianach poruszały się lekko w przeciągu, w wieloramiennych świecznikach płonęły świece. Wnętrze sprawiało wrażenie, jakby opuszczono je w pośpiechu; powywracane krzesła, naderwane kotary przy łożu.

- Wygląda obiecująco. Nie, nie opieraj się, mój kwiecie. Nie

mam sił uganiać się za tobą. - Pociągnął ją do środka, zamknął drzwi i zabezpieczył je potężną zasuwą. Sasha skrzywiła się.

Odpasał w końcu miecz i powiesił go obok tarczy na ścianie, po czym stanął, skrzyżowawszy ręce na piersi i zaczął się jej przyglądać. Czarne, zmierzwione włosy spływały na plecy. Opończa przepadła gdzieś w zamieszaniu, podobnie jeden but. Sasha była niemiłosiernie brudna, ale poza kilkoma zadrapaniami na nagim ramieniu nie poniosła żadnego uszczerbku. Nadal była piękna i godna pożądania. Irytowało go, że robi na nim aż takie wrażenie. Dopóki nie powalił napastnika, który tam w lochu mógł ją za moment zabić, nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo zależały mu na niej. To odkrycie wprawiło go w zupełną kontuzję, tym więcej, że do tej pory był prawie pewien jej zdrady.

Powinien czerpać radość ze zwycięstwa, tymczasem nurtowały go wątpliwości i podejrzenia, osłabiające satysfakcję z odzyskania Glenlyonu.

- Może zechcesz wytłumaczyć swoje postępowanie? - zapytał w końcu, widząc, że Sasha nie pali się do rozmowy. - Jak na kobietę, która ma zawsze tyle do powiedzenia, jesteś niezwykle milcząca.

- Poczekam, aż odpoczniesz.

Na jego ustach pojawił się ledwie dostrzegalny uśmiech.

- O nie, tym razem nie wymigasz się tak łatwo. Chcę wiedzieć, dlaczego mnie zdradziłaś.

Odrzuciła włosy opadające na oczy i uniosła dumnie głowę, ruchem, który zdążył już dobrze poznać.

- A jeżeli nie odpowiem?

- Nie radziłbym. Jestem w takim nastroju, że lepiej ze mną nie igrzaj.

Zapadła pełna napięcia cisza. Zacisnęła usta, w jej oczach pojawiły się błyski buntu.

- Jeżeli chodzi ci o moją ucieczkę w lesie, to po prostu nie chciałam z tobą spać.

- Wolałbym cofnąć się bardziej w przeszłość. Zacznijmy od pierwszej nocy, chyba że zatarła ci się w pamięci?

Ruszył od drzwi w jej kierunku. Na stole stał jeszcze dzban wina. Podniósł go, patrząc jej w oczy.

- Pamiętasz tamtą noc?
- Tak - szepnęła bardzo cicho, przez ściśnięte gardło.

Uśmiechnął się.

- No proszę, a ja nie za bardzo. Dziwne, bo nie jestem człowiekiem, który nadużywa wina. Tymczasem tamtej nocy straciłem przytomność. Za dużo wina, za dużo jedzenia, ale najwidoczniej coś jeszcze. - Nalał wina do kubka, podniósł go do ust i powąchał. Kiedy popatrzył na nią sponad brzegu naczynia, zaczerwieniła się. - Pachnie podobnie do tego, które piłem wówczas, mój kwiecie. W tym winie są zioła usypiające. Te same, których dosypałaś do mojego.

Podniosła wzrok i klasnęła w dłonie. Rysy miała ściągnięte, ale głos mocny i czysty.

- Tak, te same.
- Dlaczego chciałaś mnie uspić? - Z trudem się opanował.

Znowu z dumą uniosła głowę. Przeklęta, mała, sprytna kłamczucha. Upiła go, struła, żeby nie pojechał do Glenlyonu. Zamierzał dowiedzieć się, dlaczego spiskowała z Gavinem. Zaciśnął palce wokół kubka.

- W ogóle nie musiałaś zlegać ze mną. Są inne sposoby, by podejść mężczyznę. Właśnie przyznałaś się, że przysłałaś cię, żebyś zatrzymała mnie w drodze do Glenlyonu. To zapewne sprawa Gavina, skoro jesteś tutaj. Co ci obiecał w nagrodę?

- Nic mi nie obiecał. Nie byłem z nim w zмовie, miałam swój cel.

- Oczywiście. Chciałbym wiedzieć, jaki.

Niecierpliwie machnęła ręką.

- Nikt nie dostaje wszystkiego, co chciałby mieć.
- Ja tak.

Sasha popatrzyła na niego badawczo.

- Zatem dobrze, skoro nalegasz. Nie życzysz sobie, żebym znowu mówiła o przepowiedni, więc powiem ci tylko tyle, że już mnie nie interesujesz. Bawiłam się, a ty potraktowałeś tę grę poważnie. Odmowy nigdy byś nie przyjął. Nie miałam wyboru, jak udawać pociąg, którego do ciebie nie czułam. Dlatego cię uspiłam.

Gniew walczył w nim z niedowierzaniem i gniew wziął górę.

Powoli odstawił kubek. Zdjął z ramienia pas na miecz i pochwę, oparł broń o stół. Podszedł do Sashy wolnym krokiem, nie spuszczać z niej wzroku. Zmarszczyła brwi tak mocno, że zbiegły się nad chmurnymi oczami. Cofnęła się. Usta wykrzywił mu grymas mający przypominać uśmiech. Podchodził coraz bliżej i bliżej, aż cofając się natrafiła na ścianę. Drgnęły luźno zwisające draperie.

Odróciła twarz i zamknęła oczy.

- Czyżbyś się bała? - zadrwił.

- Tak - ledwie tchnęła przez posiniałe ze strachu usta. - Ale to nie to, co myślisz.

Uniósł rękę i złapał ją za gołe ramię, tuż nad wycięciem sukni. Gładząc kciukiem delikatną skórę, czuł pod palcami drżenie jej ciała.

- Dlaczego się boisz? - mruknął, pochylając głowę, aby musnąć ustami nagie ramię.

Nie odpowiadała. Stała nieruchomo. Opuszczone rzęsy rzucały długie cienie na jej policzki. Zaciśnęła wargi. Rhys przesunął rękę w dół do nadgarstka i podniósł dłoń Sashy, trzymając na tyle mocno, żeby wiedziała, że nie puści. Powoli pociągnął ją w stronę ogromnego łoża, głośno szurając butami o nagie kamienie.

Pchnął lekko dziewczynę, sam pochylił się nad nią i uważnie się jej przyglądał. Drganie rzęs i warg zdradzało, w jego mniemaniu, że kłamała.

Powinien był wiedzieć. Kpiła z niego, to znowu mu pochlebiała, umizgała się i dumnie wycofywała, a on wyobraził sobie, że go pragnie. Tymczasem ona cały czas oszukiwała. Chciał wydobyć z niej, jaką otrzymała zapłatę za swoją zdradę. Co takiego obiecał jej Gavin? Ludzie, z którymi dzisiaj walczył, nosili barwy Jana.

Czyżby to on ją przysłał? Cała ta maskarada była w jego stylu: podstawić ponętą młódkę, by uwiodła rycerza, umożliwiając Janowi pozyskanie tego, na czym mu zależało, a z pewnością Glenlyon wart był gry. Tak, Gavin miał utrzymać warownię dla księcia. Nie ośmieliwszy się zamordować faworyta Ryszarda, Jan nasłał na niego pięknooką pannę, by przeszkodzić Rhysowi. Znakomity plan, pokrętny, obmyślony w każdym szczególe.

Tym razem jednak książę źle ocenił swoich ludzi. Rhys zwyciężył i będzie wspierał Ryszarda, jak dotąd.

- Pora mówić - powiedział cicho.

Wtem drzwi zatrzęsły się od wściekłego łomotania. Oczywiście Brian. Tak widać było pisane. Ten człowiek ma doskonałe wyczucie czasu i chwili.

Rozległ się rozpaczliwy, kobiecy lament. Rhys zaklął, zerwał się i zirytowany podbiegł do drzwi. Podniósł zasuwę, a gdy otworzył drzwi, rzuciła się na niego drobna, jasnowłosa, zalana łzami panna.

Schwycił ją zdumiony. Młódka rzuciła mu się na szyję, mocząc łzami kolczugę. Próbowwała coś powiedzieć nieskładnie po walijsku. Do diabła, rozumiał ten język tylko gdy mówiono nim powoli, ale wobec zalewu chaotycznych słów był bezradny.

- Cisz! - huknął zniecierpliwiony i odsunął ją od siebie. - Nie rozumiem, co mówisz, a nawet gdybym rozumiał, nie ma to teraz znaczenia. Wracaj, gdzie twoje miejsce, a jutro rano zgłoś się ze swoimi zmartwieniami do mojego rządcy.

Zadyszana dziewczka patrzyła na niego przez mokre, polepione włosy.

- To nie jest sprawa dla twojego rządcy - obruszyła się. Zerknęła na Sashę i przez jej twarz przemknął grymas niechęci. Odrzuciła włosy i dumnie uniosła głowę. - Odeślij stąd tę kurwę. Muszę omówić z tobą pewne sprawy rodzinne.

Mówiła powoli, teraz na tyle już wyraźnie, że mógł ją zrozumieć. Pokręcił głową.

- Ani ona nie jest kurwą, ani ty moją krewną. A teraz...

- Mylisz się - odpowiedziała cicho panna. - Ty może mnie nie znasz, ale ja znam ciebie. Poznałabym cię wszędzie. Jesteś taki jak oni wszyscy. Wysoki, butny, jasnowłosa. Podobny do naszych braci. Ty przynajmniej żyjesz, oni zginęli.

- Chciałaś powiedzieć, do moich braci. - poprawił.

- Nie twoich, tylko naszych. - Cofnęła się o krok i dodała: - Jestem twoją przyrodnią siostrą, Rhysie ap Griffin. Urodziłam się, gdyś ty mieszkał już w Anglii. Moja matka była nikim więcej niż ta dziewczka w twoim łóżku, ale ojciec wziął mnie do swojego domu i jestem jego dziedziczką tak samo jak ty. Jestem także żoną Gavina z Glamorgan.

Sasha, siedząc nadal na łóżku, przyglądała się dziewczynie wnikliwie. Pod pozorną obojętnością czuła ból i niepewność. Chociaż nie rozumiała walijskiego, zorientowała się, że w sercu dziewczyny kłębią się różne gwałtowne uczucia. Spojrzała na Rhysa.

Był niewątpliwie wstrząśnięty, jakby nie wierzył własnym oczom i uszom, a kiedy warknął coś po walijsku, był wyraźnie wściekły.

Dziewczyna nie pozostała mu dłużna i odpowiedziała w podobnym tonie, wspierając się pod boki. Mierzyli się nieprzyjaznym wzrokiem. Sashę przeszedł dreszcz zgrozy. To musi być jego żona. Jakże mogła nie pomyśleć, że Rhys jest żonaty? Nieważne. Chodziło jej wyłącznie o własne dziedzictwo i spełnienie przepowiedni.

Tymczasem uprzytomniła sobie, że poczuła niejaki zawód. Coś chwyciło ją za gardło, ścisnęło w dołku... Żona. Ręce zaczęły jej drżeć, musiała spleść mocno palce. Nieważne. Przecież to się nie liczy. Co ją obchodzi, że jest żonaty? Ważna jest przepowiednia. Do diabła z nim. Nie miała żadnych wskazówek... Łajdak. Nie lepszy od owych angielskich rycerzy, o których tyle złego słyszała. Jednak żonę ma piękną. Jasnokóra, wiotka, złotowłosa, delikatna cera, błękitne oczy i wyszukany strój. Śliczna, taka, jakie pociągają mężczyzn.

Wstała z łóżka. Powinna teraz wyjść z komnaty i pozostawić tych dwoje samym sobie. Uczyniła zaledwie kilka kroków, gdy Rhys rzucił rozkazującym, nie znoszącym sprzeciwu tonem, by została. Zatrzymała się raptownie i popatrzyła na niego; miała ochotę powiedzieć mu prosto w oczy, co o nim myśli.

- Nie wyobrażaj sobie, że zakończyliśmy rozmowę - warknął. - Jeszcze nie, ale najpierw muszę się uporać z... tą tutaj. - Machnął lekceważąco ręką, wskazując dziewczynę, na co ta rzuciła się na niego, piszcząc ze złości.

Rhys złapał ją bez trudu za przegub, pociągnął do drzwi i głośno przywołał Briana. Zawsze chętny służyć przyjacielowi w potrzebie, gotów na każde zawołanie, teraz też pojawił się natychmiast i stanął jak wryty, szeroko otwierając oczy. Rhys pchnął dziewczynę w jego kierunku.

- Zabierz ją stąd i zamknij gdzieś, skąd nie ucieknie - powiedział po angielsku.

- Łajdak! - wrzasnęła rozsierdzona panna, szarpiąc się z Brianiem. - Myślisz, że się mnie pozbędziesz? Niedoczekanie twoje. Nasz ojciec mnie uznał, w niczym nie jestem gorsza od ciebie, mam takie same prawa. Co to za brat, co jest bardziej Anglikiem niż Walińczykiem...

Sasha obserwowała ich z rosnącym zainteresowaniem. Brat? Siostra Rhysa? Że też wcześniej nie zauważyła uderzającego podobieństwa: takie same włosy, niemal identyczne rysy twarzy. Powinna była od razu odgadnąć, kogo ma przed sobą. Poczowała ulgę i satysfakcję. Sprawa przedstawiała się ciekawie.

Spostrzegła, że Brian jest zaszokowany. Najwyraźniej nic wcześniej nie wiedział. Zasepiła się. O co tu chodzi?

Odpowiedź, częściowo po angielsku, częściowo po walijsku, odczytała w myślach dziewczyny: *Może jestem bękartem, ale należą do rodziny... Rydw i trist, trist... Rwył ti ffwł... Brodyr... Jak mam się ratować z opatów...?*

Po chwili Sasha przeniosła uwagę na Briana, mając nadzieję pozyskać kilka informacji po angielsku. Spoglądała na dziewczynę z oczywistą odrazą. Postrzegał ją podobnie jak Sasha, dostrzegał uderzające podobieństwo. Fraz galijskich nie rozumiała. Zerknął na Saszę, a wówczas ujrzała budzący wstręt obraz siebie w jego oczach: rozczochna, wybałuszona oczy, przebiegła mina. Odgarnęła włosy i zaczęła zawiązywać luźne troczki sukni.

- Gdzie mam ją umieścić, mój lordzie? - zwrócił się do Rhysa.

Rhys wahał się. Zagniewana twarz złagodniała, w końcu pokręcił głową.

- Zaprowadź ją do jej komnaty, ale postaw przy drzwiach strażę. Jeżeli jest żoną Gavina, musimy jej dobrze pilnować.

Młoda kobieta wyprostowała się, rzuciła Rhysowi pogardliwe spojrzenie, po czym zwróciła się do Briana:

- To moja komnata, ale wygląda na to, że została zajęta. Zaprowadź mnie zatem do lochu, ale radzę ci: odnoś się do mnie z szacunkiem należnym dziedzicze Glenlyonu i żonie rycerza na tyle śmiałego, by przejął moje włości.

- Może i je przejął, ale utrzymać już nie zdołał. - Rhys zmroził

ją wzrokiem i postąpił krok do przodu. - Teraz sobie przypominam. W wielkiej sali siedziałś obok Gavina. Glenlyon należy do mnie. Twoje pretensje są bezpodstawne, ja jestem tutaj panem. Jutro sam zadecyduję o twoim losie. Gavin jest uwięziony. Nawet jeżeli oszczędzę go i pozostawię przy życiu, Glenlyon nigdy nie będzie należał do niego, co oznacza, że twoja pozycja jest bardzo chwiejna, powściągnij zatem język, kobieto.

Dziewczyna krótkim skinieniem głowy potwierdziła, że przyjęła uwagi do wiadomości. Rhys pchnął ją w stronę Briana, każąc mu się nią zająć. Zanim wyszli, dziewczyna zerknęła jeszcze na Saszę.

Sasha wyczuła w niej gniew, przestrach i z trudem powstrzymane łzy. Rozumiała ją. Sama nie była w najlepszej sytuacji.

Brian, zanim wziął siostrę Rhysa za ramię, rzucił Sashy przelotne, szybkie spojrzenie.

- Jak każesz, milordzie - powiedziała.

- Przyślij do mnie Owaina. Nie chcę odkładać do jutra tego, co należy zrobić jeszcze dziś. - Przesunął ręką po włosach. - Każ też podać dzban wina, byle nie zatrutego. Dzisiejszego wieczoru nie trzeba mi napoju usypiającego.

- Tak, panie. - Brian z niepewną miną ujął młodą, rozgniewaną kobietę za ramię. - Pójdź, milady, i nie patrz tak na mnie, wykonuję tylko rozkazy mojego lorda. Nie opieraj się, a wszystko będzie dobrze.

Dziewczyna odpowiedziała coś zgryźliwie, lecz Sasha nie rozumiała słów. Rhys najwidoczniej tak, bo zaśmiał się szyderczo, acz wymuszenie.

- Mogę uwierzyć, że ta dziewczka jest z nasienia mojego ojca, ma ten sam diabelski charakter - mruknął Rhys, odwracając się do Sashy z grymasem na twarzy. - Podobało ci się przedstawienie, mój kwiecie?

- Tak, lordzie, niezwykle pouczające.

- Bez wątplenia. - Minął ją, mocując się z grubymi rzemieniami zbroi. Jeden z węzłów nie dał się rozwiązać. Rhys wałczył z nim przez chwilę, klnąc przy tym paskudnie.

Przyglądała się przez chwilę spokojnie, wreszcie podeszła do niego.

- Pozwól, panie, tylko zaciskasz supły jeszcze bardziej.

- Nie wiedziałem, żeś wprawna w posługach giermka - rzucił zjadliwie, ale stał bez ruchu, pozwalając jej spróbować.

- Nie trzeba zbytnej wprawy, by rozwiązać rzemienie, wysłuchując przy tym twoich złorzeczeń. - Zmarszczywszy czoło, mocowała się z zaciśniętymi węzłami. - Współczuję twojemu giermkowi.

- Morgan nie narzeka, ja też nie mam powodów, żeby się uskarżać na niego.

- Nie zauważyłam, żebyś potrzebował powodów. Jeśli tylko chcesz dać upust kwaśnym humorom, wyładowujesz się na wszystkich wokół.

Żachnął się zirytowany, a wówczas Sasha wymierzyła mu łokciem kuksańca.

- Już prawie rozwiązałam, stój spokojnie, bo znowu wszystko popłaczesz.

Po chwili uporała się z supłami i pomogła mu zdjąć ciężką kolczugę.

- Znacznie lepiej - westchnął z ulgą. - Ta zbroja czasem bardzo mi ciąży.

Patrzyła z podziwem, jak układa kolczugę na krześle i zdejmuje skórzany kaftan. Kolczuga z drobnych metalowych kółek, na tyle ciasno splecionych, by mogła chronić przed ciosem miecza lub piki, była rzeczywiście ciężka. Okrywała ciało rycerza od głowy aż za kolana. Już sam kaftan z grubej skóry był wystarczająco ciężki; osłabiał uderzenia strzał tak, że nie były w stanie go przebić. Wielkiego, sięgającego jej niemal do podbródka miecza nawet by nie uniosła. Tymczasem Rhys posługiwał się nim z łatwością.

- Spoglądasz na mój miecz, jakbyś chciała go użyć - zauważył kąśliwie. - Nie radzę.

Uśmiechnęła się z przyganą.

- Wątpię, czy zdołałabym utrzymać go w dłoni, nie mówiąc już o wymierzeniu ciosu. Sztylet jest znacznie bardziej poręczny.

- O ile pamiętam, pod suknią chowasz broń jeszcze groźniejszą. Gdy zachnęła się, uniósł brew.

- Mówię o kolanie, którym kopnęłaś mnie w brzuch.

Parsknęła śmiechem.

- Nie kolanem, lecz stopą, i nie w brzuch cię kopnęłam.
- Aha, takim się zastanawiał, czy trafiłaś, gdzie zamierzałaś.

Powinna była ugryźć się w język. Udawać, że było inaczej, a tak - poznał prawdę. Wzruszyła obojętnie ramionami i zapatrzyła się na swoje brudne dłonie. Czuła się znacznie bezpieczniej z opuszczonym w dół wzrokiem. Był niemal całkiem rozebrany i miała niemiłe przeczucie, że zamierza dokończyć to, co zaczął na łące kilka tygodni wcześniej...

- Przynieś mi trochę ciepłej wody.

Zamknęła oczy i udała, że nie słyszy. Gdy powtórzył polecenie, tym razem warkliwie, ujęła niewielki cynowy dzban, stojący obok kosza z węglami. Był gorący i oparzyła sobie palce. Zakłęła po arabsku, po czym podniosła dzban ostrożnie przez koszulę. Na stole stała pusta miska, do której wlała wodę.

- Twoja woda - oznajmiła krótko, nadal na niego nie patrząc.
- Chcesz, żebym się poparzył? Dolej trochę zimnej. Nigdy nie brałaś kąpieli?

Zła, rzuciła mu zjadliwe spojrzenie, ale zaraz tego pożałowała. Ubrany jedynie w lniane *chainse*, nie wyglądał już jak okrutny rycerz; dopiero teraz widziała, jaki jest piękny. Na twarzy malowało się zmęczenie, blizna na policzku stała się wyraźniejsza niż zwykle, policzki szare od niegolonego zarostu, podkrążone oczy. Nieoczekiwanie dla samej siebie uśmiechnęła się. Najwidoczniej zdziwiony taką reakcją, odpowiedział jasnym uśmiechem, na moment jakby odmłodził. Spoglądali na siebie w milczeniu. Pomyślała o tamtym dniu na łące, kiedy okazał się czułym, wspaniałym towarzyszem. Jego słodkie słowa i pocałunki zapierały jej dech w piersiach. Zbyt często, zdjęta dziwną tęsknotą, wspominała owe rozkoszne chwile.

Ciszę przerwało mocne łomotanie, a po chwili drzwi komnaty powoli się uchyliły.

- Jesteś tu, lordzie Rhysie? Powiedziano mi, że chcesz ze mną mówić.

Rhys otrząsnął się i przeniósł wzrok na gościa.

- Owain. Wejdz i zamknij za sobą drzwi. Chcę wiedzieć, co się wydarzyło od chwili, gdy dotarła do mnie twoja wiadomość, gdym bawił w Londynie.

Owain zamknął drzwi. Kiedy się odwrócił, na jego twarzy malowało się zdumienie.

- Ja miałbym wysłać wiadomość do Londynu, mój panie?

- Czekala już na mnie, kiedy mój statek zawinął do portu. Przyjeżdżam tutaj, wedle twoich wskazówek, i zastaję cię uwięzionego. Wydarzenia musiały potoczyć się wartko.

Owain pokręcił głową.

- Nie wysłałem do Londynu żadnej wiadomości. Przesiedziałem w lochu trzy miesiące albo i dłużej.

- Nie? - Rhys podsunął krzesło i gestem zaprosił Owaina, by usiadł. Lekko zachmurzony spojrzał na Sashę. - Znajdź sir Clyde'a, powinien czuwać w korytarzu, niech zadba, żeby dali ci jaką ciepłą strawę. Kiedy zjesz, wróć tutaj.

Owain popatrzył na nią zaciekawiony. Hardo uniosła głowę. Nie mogła mu zapomnieć, jak opuścił ją w lochach, zostawiając na łasce i niełasce Rhysa. Mruknęła z dezaprobatą. Rhys miał w sobie tyle litości, co tygrys mleka. Zrozumiała, że chcą się jej pozbyć i rozmówić w cztery oczy. Nie, żadnemu z nich łatwo nie przebaczy.

- Jak sobie życzysz, mój panie - odrzekła ze słodyczą w głosie, idąc do drzwi. Rhys rzucił jej twarde spojrzenie.

- Czekaj. Sam wydam polecenia sir Clyde'owi.

Udając zdziwienie, powoli pokręciła głową.

- Co mogłabym uczynić, nawet gdybym przeszła przez Glenlyon sama? Wszędzie pełno twoich ludzi, wszystkie bramy zamknięte na głucho. Myślisz, że wezwę na pomoc wiatr, aby mnie stąd porwał? A może wyrosną mi skrzydła i przelecę ponad murami? Obawiasz się, że wymknę się z twych kochających ramion, milordzie?

Owain zaśmiał się cicho. Rhys zacisnęła usta.

- Nie wydaje mi się, żeby spodobały ci się konsekwencje, gdybyś spróbowała uciekać, mój kwiecie. A pokazałaś już, żeś do tego zdolna.

- Masz rację. Zostanę tutaj. Będę siedziała cicho, jak mysz pod miotłą. Nie zwracajcie na mnie uwagi. Rozmawiajcie swobodnie, ja słuchać nie będę.

Rhys uśmiechnął się lekko, popatrzył na Owaina i powiedział coś po walijsku. Owain odpowiedział, również z nieznacznym uśmiechem.

Ku jej zdziwieniu spomiędzy obcych słów wyłowiała kilka myśli sformułowanych po angielsku. *Ech, dziecko, schwyciłaś byka za rogi, sama nie wiesz, co czynisz... Nie widzi mi się, żeby Rhys długo zdzierzył... Przeklęty Jan, że układał się z Gavinem, narażając nas wszystkich...*

Gdy jego myśli potoczyły się innym torem, Sasha podjęła decyzję. Chrząknęła, a kiedy Rhys spozjrzał na nią, powiedziała z uśmiechem:

- Zmieniłam zdanie, milordzie. Od dawna nic nie jadłam, sir Owain na pewno powiedział ci o tym. Czy mogę odejść?

Nachmurzył się i ryknął na sir Clyde'a, ale Sasha była już przy drzwiach. Wyjrawszy na zewnątrz, zobaczyła tylko cienie i migocące pochodnie. Żadnej warty w pobliżu. Jedyna, niepowtarzalna okazja. Serce jej załomotało. Rhys niczego nie zauważył.

- O, sir Clyde - powiedziała w pustkę korytarza. - Lord Rhys życzy sobie, żebyś przypilnował mnie, kiedy będę jadła. Musisz cały czas być przy mnie, bo twój pan lęka się, że tak przewrotna istota jak ja może w każdej chwili uciec. Wiem, że ty do tego nie dopuścisz. - Obejrzała się za siebie. Rhys nadal siedział z Owainem przy stole. - Pragniesz coś jeszcze dodać, mój panie?

Popatrzył na nią, marszcząc brwi.

- Nic ponad to, że ten, kto pozwoli ci uciec, nie pożyje wystarczająco długo, by żałować swej nierozwagi.

Ponownie popatrzyła w pusty korytarz i wzruszyła ramionami.

- Sir Clyde, słyszałeś? Nie patrz tak na mnie. Nie ja ciebie wybrałam. Wkrótce wrócę, panie mój.

Wyślizgnęła się na zewnątrz, odczekała chwilę na wypadek, gdyby Rhys chciał sprawdzić strażę, i pobiegła.

Znalazła Biagia w stajniach.

Szczotkowała Bayoszę szybkimi, mocnymi pociągnięciami, którym klacz poddawała się z lubością, i nie od razu spostrzegł Sashę. Zaabsorbowani ludzie zadawali paszę zwierzętom, czesali zgrzebłami, jednym słowem, zachowywali się tak, jakby nic się nie wydarzyło. Niektórzy zerkali na nią, wiedzieli, że ją rozpoznają. Nikt nie próbował jej zatrzymać, nie pytał, czy wolno jej tu wchodzić. Uśmiechnęła się. Woleli udawać, że jest niewidzialna, co bardzo jej odpowiadało.

Klacz pierwsza wyczuła jej obecność, podrzuciła łeb, rżąc z daleka na powitanie. Biagio odwrócił się z błyskiem w oku.

- Bella...

- Nie widzisz mnie, jestem niewidzialna - powiedziała z lekkim uśmiechem. Pokręcił głową, słysząc to niejasne ostrzeżenie.

- Już myślałem, że ten ponury rycerz zamknął cię w swojej komnacie i zatrzyma przez całą noc, żeby powetować sobie wieczór w gospodzie - powiedział, gdy podeszła bliżej. - Kiedy żądza rozpali krew w człowieku, niełatwo ją ugasić.

- I tak byłoby zapewne z Rhysem, gdyby do drzwi jego komnaty nie dobijały się problemy. - Pogłaskała miękkie chrapy klaczki, przypominając sobie pokrótce ostatnie wydarzenia i decydując, że będzie milczeć na ich temat. Wzruszyła ramionami. - On ma własne sprawy, mnie zaś nie ufa. Ciągle widzi we mnie zdrajczynię.

- Nie! - Oczy Biagio rozszerzyły się komicznie. Zaśmiał się tylko, gdy palnęła go w ucho. - Spokojnie, bella, dziwię się, że w ogóle spuścił cię z oczu.

- Ani myślał. - Uśmiechnęła się, gdy rozejrzał się, czy nikt jej nie pilnuje. - Jest przekonany, że mnie pilnują, ale udało mi się uciec.

- Rób tak dalej, a twoja głowa zostanie nadziana na pikę i zatkną ją koło bramy. - Biagio pokręcił głową. - Chodź. Musimy się wymknąć, zanim cię znajdzie. Nadal panuje takie zamieszanie, że nikt nic nie zauważy. Wrócimy do Anglii wcześniej, niż myślisz.

Przez chwilę rozważała jego słowa, a potem pokręciła głową.

- Nie, Biagio. Jeżeli teraz ucieknę, wszystkie moje cierpienia i wysiłki pójdą na marne.

- Bella, jeszcze do ciebie nie dotarło, że on nie ma zamiaru ciągnąć ze swoimi wojskami nad Eufrat, żeby odzyskać twoje dziedzictwo? - Przejechał energicznie zgrzebłem po końskim zadzie tak, że klacz zadrzała.

- Zadajesz jej ból - napomniała go cierpko. - Wiesz, że tego nie znoszę.

Biagio odrzucił precz zgrzebło i uderzył pięścią w drewniany słup. Przestraszona Bayosha parsknęła, zatańczyła w miejscu i uderzyła kopytem w deski boksu. Biagio natychmiast zaczął

konia uspokajać, mruczając ciche słowa przeprosin. Popatrzył na Saszę.

- Wiedziałem, że tak będzie.
- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.
- Nie chcesz go opuścić. Nie ma to nic wspólnego z tą głupią przepowiednią. Chodzi ci o niego, o tego Walijszka.

Zmierzyła go gniewnym spojrzeniem.

- Nie oberwałeś przypadkiem po łbie podczas walki?
- A u ciebie skąd ta nagła troska? - fuknął rozeźlony nie mniej niż ona. - Czy wiesz, jak bardzo się o ciebie martwiliśmy? Z twojego powodu Elspeth zaniemogła, ledwie dychała.

- Nie zamierzałam przecież dać się pojmać. Po prostu stało się. Co mogłam poradzić? - przerwała na moment. - Wszystko jej wytłumaczę, kiedy ją zobaczę. Z pewnością zrozumie.

- Nie zrozumie. Oboje nie rozumiemy. - Odwrócił się i uważnie oglądał koński bok, nie zaszczycając Sashy spojrzeniem. - Coś się wydarzyło, bella. Zmieniłaś się.

- Zmieniłam się? Ja? - Cicho gwizdnęła. - Nie zmieniłam się ani na jotę, chyba że moja determinacja czyni mnie w twoich oczach inną niż do tej pory.

- Do tej pory... było inaczej. Mówiłaś o przepowiedni, niejasne i nieuchwytnie bajki, jakieś przecucia. Jakbyś opowiadała sen. To nawet zabawne, wyobrazić sobie, że odzyskujesz ziemię swojego ojca, po czym zasiadamy sobie w trójkę na jedwabnych poduszkach i całymi dniami zajadamy figi oraz winogrona, a niewolnicy wachlują nas złoconymi liśćmi palmowymi. - Odwrócił się do niej, wyraźnie zatroskany. - Teraz słyszę w kółko o tym, żeś dobiła targu z tym walijskim diabłem, który obiecał wszystko dla ciebie odzyskać.

- I co to zmienia? Będziemy siedzieć na jedwabnych poduszkach, objadać się figami i winogronami. Zamówię tuzin złotych wachlarzy. Każdy kupiec, od Wenecji po Konstantynopol, będzie dobijał się do naszych bram.

- A Walijszyk? Nawet jeśli się zgodzi...
- Już się zgodził. Mówiłam ci o tym. Przysiągł na swój rycerski honor i rękojeść miecza.

Biagio patrzył nieruchomym wzrokiem.

- Wątpię, czy on o tym wie. Nie mówię, że się nie zgodził, ale aż nadto dobrze znam twój pokretny sposób wyrażania myśli.

- Przestań wątpić. Kiedy w końcu mi zaufa, będzie musiał dotrzymać przysięgi. - Nagle poczuła skurcz serca. A jeżeli nie? Wbrew zapewnieniom składanym Biagiowi, zaczęła rozumieć, że Rhys nie jest człowiekiem, którym mogłaby manipulować, jak to sobie z początku wyobrażała. Zdołała się o tym przekonać w ostatnich tygodniach. Musi po prostu zmienić taktykę, a wycofać już się nie może. Po prostu nie może. - Dotrzyma słowa - powtórzyła.

- Sama nie wierzysz w to, co mówisz. Nie mam racji? - zapytał cicho. Patrzyła na niego bezradnie. Pokręcił głową. - Wydaje mi się, że sama nie wiesz, co robisz, bella. Myślę, że powinnaś wejrzeć we własne serce. Bądź uczciwa wobec samej siebie.

- Nie muszę wysłuchiwać twoich rad. - Odwróciła się i chciała odejść, ale Biagio położył jej dłoń na ramieniu.

- Ma się rozumieć, że nie musisz. Nigdy nikogo nie słuchasz. Posłuchaj samej siebie. Tyle chyba możesz uczynić.

Że też musi być taki domyślny. Miał rację. Za dobrze ją znał. Może nawet lepiej niż ona sama. Spojrzała na niego.

- Potrafisz dokuczyć człowiekowi jak nikt.

- Wiem o tym. - Wyszczrzył zęby w szerokim uśmiechu. Westchnęła.

- Co, twoim zdaniem, powinnam uczynić?

- I tak zlekceważysz moje rady.

- Ale mogę ich przynajmniej wysłuchać.

- To już lepiej. - Biagio zamyślił się. - Jeżeli upierasz się przy przepowiedni - tylko nie patrz na mnie w ten sposób - spróbuj z nim porozmawiać, wymóc ostateczną odpowiedź. Będziesz wiedziała, co czynić. Jeżeli się zgodzi, odzyskasz swoje dziedzictwo. Zakładając, oczywiście, że jest w stanie.

- Wziął Glenlyon, mając zaledwie garstkę ludzi, prawda? Pokonał załogę warowni.

Biagio uśmiechnął się.

- Owszem, sprytem i podstępem. Udało mu się, ale nie powiedziałbym, że to człowiek cierpliwy, zdolny planować. Bardziej

przypomina lwa, co ze wściekłym rykiem atakuje każdego, kto jest na tyle głupi, by mu się przeciwstawić. Zapamiętaj to sobie.

- Nie wiem, czyś mądry, czy przemądrzały - zakpiła. - Ile masz lat? Szesnaście?

Wzruszył ramionami.

- Dość przeżyłem, żeby sporo się nauczyć. Niewielem młodszy od ciebie, bella.

- Jestem znacznie starsza od ciebie.

- Nie tak bardzo.

- Zanim przyszedłeś na świat, zjechałam Arabię i pół Italii, chłopcze. - Chociaż przesadzała, dobrze pamiętała czasy, kiedy błąkała się po świecie bez celu, rzucona z miejsca na miejsce. Aż do momentu, kiedy usłyszała przepowiednię. Wtedy pojęła, że ma w życiu cel, że przyświeca jej gwiazda, po którą musi sięgnąć. Tak, miała cel, musiała znaleźć sposób, by osiągnąć zwycięstwo. Uczciwość nakazywała jej raz jeszcze przemyśleć motywy swojego postępowania: dostrzegła tylko jedno rozwiązanie: Rhys ap Griffyn, lord na Glenlyonie.

To prawda, panie - wykrztusił z trudem Owain i wbił wzrok w kamienną posadzkę. - Mój syn zdradził. Po tym, jak Gavin zamordował twojego ojca i braci, Bowen musiał napisać list i podrobić mój podpis. Zrozum, nastał okrutny czas. Nie było wyboru, można było ulec albo zginąć. Przyłączył się do Gavina. Ja wybrałem lochy i śmierć, *ale jestem starym człowiekiem*, najlepsze lata mam za sobą. Chociaż nie mogę powiedzieć, że pochwalam wybór Bowena, potrafię go zrozumieć. - Spojrzał na Rhysa. - Proszę cię, oszczędź go. Tylko on mi pozostał.

Rhys nie patrzył na starca. Sam niejedną raz był w sytuacji, kiedy należało dokonać wyboru. Przeszedł w życiu kilka takich prób. Westchnął.

- Bowen walczył przeciwko nam, musi odpowiedzieć za zdradę. Zanim podejmę decyzję, chcę usłyszeć, jakie kierowały nim powody. Jeśli nie związał się z Gavinem z własnej woli, jeśli działał pod przymusem, ratując własną głowę, nic będę winił go za to, co zrobił.

Owain skinął głową.

- Tak, jest jeszcze młody i nie pojmuję, że są rzeczy droższe nad życie. Tchórzostwo zostawia okrutne piętno na duszy. Jestem pewien, że wkrótce sam zrozumie tę prawdę.

- I mnie zależy na prawdzie, dlatego wezwałem cię do siebie dzisiaj, miast czekać do jutra, kiedy zamęt się uciszy. - Popatrzył

na swoją zamkniętą dłoń, otworzył ją i przyglądał się przez chwilę palcom, po czym odezwał się znowu:

- Opowiedz mi o żonie Gavina.

Zapadła cisza. Owain wydawał się zakłopotany. Pokręcił głową.

- A więc już wiesz. Tegom mógł oczekiwać. W końcu znalazła do ciebie drogę.

- Czy ta dziewczka jest, jak twierdzi, córką mojego ojca z nieprawego łoża?

Owain popatrzył mu w oczy.

- Tak. Cailin urodziła się kilka lat po tym, jak zostałeś wysłany na dwór Henryka do Anglii.

- A jej matka? Kim była jej matka?

Szerokie bary uniosły się nieznacznie.

- Ot, miejscowa niewiasta, kaprys lorda Griffyna. Twoja matka zmarła, a ojciec był nadal mężczyzną w pełni sił.

- Czy to prawda, że ojciec uznał ją za swoją dziedziczkę?

Owain zawahał się.

- Wziął ją pod swój dach, kształcił, dbał o nią jak o prawe dziecko. Należy do rodziny, co wcale nie znaczy, że lord Griffyn zamierzał uczynić ją panią Glenlyonu.

- A jej małżeństwo z Gavinem? Czy był to pomysł mojego ojca?

- Nie, panie. To Gavin napierał na ślub. Robił wszystko, by przejąć Glenlyon. Złożył przed lordem Griffynem przysięgę wierności, ale mój pan nie chciał wiązać się z nim bliżej, w obawie, że pewnego dnia powstanie konflikt z prawowitymi spadkobiercami. Dziedziczyć miał Davyd, a gdyby ten zmarł, Wynn.

Rhys ponownie spojrzął na swoją dłoń. Rana zagoiła się. Na skórze pozostał co prawda czerwony ślad, ale to wszystko. Podniósł wzrok na Owaina.

- A co ze mną? Ojciec nie brał mnie pod uwagę jako dziedzica?

Na twarzy Owaina odmalowało się zaskoczenie.

- Nigdy nie przypuszczałem, że jego synowie zginą nagłą śmiercią z ręki zdrajców. Często o tobie wspominał, ale nie mogłem powiedzieć, by wierzył, że kiedykolwiek powrócisz do Walii.

- Nie wierzył. - Rhys przesunął pięścią po krawędzi stołu. - Pewnie, nie zaprzętał sobie głowy najmłodszym synem. Spisał

mnie na straty. Byłem mu zbędny, chyba żeby wydarzyło się nieszczęście. No i się wydarzyło.

Nie chciał, by w jego głosie zabrzmiała gorycz, ale ból i zawód wzięły górę. Zapadła głucha cisza. Po chwili Rhys podniósł Wzrok.

- Wróciłem. Jeżeli chcesz pozostać rządcą, chętnie skorzystam z twoich rad i doświadczenia.

Po namyśle Owain skinął głową.

- Będę zaszczycony, mogąc ci służyć ci, panie. Gavin długo mnie więził, muszę sprawdzić, jakie zaszyły przez ten czas zmiany, jeśli zaszyły. - Uśmiechnął się nieznacznie. - Nie karmiono nas najlepiej. Jeden ze strażników, człowiek wierny twojemu ojcu, przynosił nam po kryjomu resztki jedzenia, tylko jego dobroci zawdzięczam, że nie umarł z głodu.

- Ludzi, którzy pozostali wierni mojemu ojcu, jest tu więcej. - Rhys wodził kciukiem po stole, z lekka się uśmiechając. - Niektórzy, ledwie się przebudziwszy, jeszcze oszołomieni winem, odmówili walki i złożyli broń. Gdybyśmy nie zwyciężyli, zginęliby z ręki Gavina.

- To człowiek nie znający litości, okrutny i podstępny jak książę Jan, uderza znienacka, zamiast pokonywać wrogów w otwartej walce. Mnie chciał zmóc głodem, metoda powolna, ale skuteczna.

- Jan. - Rhys zachmurzył się. - Teraz już wiem, że to Gavin wysłał wiadomość, którą otrzymałem w drodze powrotnej, kiedym już wrócił z podróży na północ, wysłany tam przez księcia. Chciał opóźnić mój powrót do Walii, a może miał nadzieję, że nigdy już tu nie dotrę. Czy Gavin podburzał przeciw mnie sir Niclasa?

- Sir Niclasa? Masz na myśli tego wasala Raglana?

Rhys zmrużył oczy.

- Tak. Czy nie ty napisałeś do mnie, że oblegał Glenlyon?

- Nie, panie. - Owain pokręcił głową. - Jeszcze jeden podstęp. Jak sięgam pamięcią, sir Niclas był przyjacielem twojego ojca. Nie zaatakowałby Glenlyonu, chyba żeby Gavin go do tego popchnął. Myślę, że znam powód, dla którego chciano, żebyś tak myślał. Książę i Gavin liczyli, że podzielisz swoje zastępy i uderzysz na Raglana, tylko część sił kierując na Glenlyon. Osłabionego pokonaliby cię bez trudu.

- Niewiele brakowało, a uderzyłbym na Raglana. - Spochmurniał. - Gavin chciał uczynić wszystko, by utrzymać Glenlyon. A przecież łatwiej wpuścić mnie do warowni i tu się ze mną rozprawić.

- Widzę w tym rękę Jana. Jak wytłumaczyłby królowi Ryszardowi, że człowiek, którego wyznaczył na zarządcę twoich ziem, zabił cię do twojego własnego kasztelu i zadał ci zdradziecką śmierć? Ryszard wzięty okrutny odwet za taki podstęp. Gdybyś ty przypuścił szturm... wtedy inna sprawa, każdy ma prawo się bronić. Chodziły wszak pogłoski, że Raglan chce twoich dóbr, więc mógłbyś dochodzić swoich praw siłą. Twoją śmierć wytłumaczyliby Ryszardowi jako tragiczną pomyłkę.

- To ma sens. Jan słynie z upodobania do diabelskich intryg. - Bezwiednym ruchem potarł pierś. - To także wyjaśnia, dlaczego wysłał mnie z bezsensownym zadaniem na północ, gdy nieoczekiwanie wróciłem do Anglii. Zyskał w ten sposób na czasie i przygotował zasadzkę: w drodze moich ludzi zaatakowała banda zbójów, a ja sam wyczekiwałem przez wiele dni w kościele w Coventry na kogoś, kto jakoby miał być twoim posłańcem. Jakby tego było mało, nasłał na mnie dziewczynę, która miała uczynić wszystko, żeby uniemożliwić mi powrót do Walii. Kto wie, co jeszcze planował.

- To w stylu Jana. Na każdym kroku podstęp, zdrada, perfidia. Rhys uśmiechnął się lekko.

- I trucizna. Tego też próbował. Najpierw na mnie, potem na moich ludziach. - Wstał i przesunął ręką po włosach. - Widać dziewczyna źle dobrała dawkę. Następnym razem nie uszlibyśmy z życiem.

- Nie myślisz chyba trzymać owej kobiety w pobliżu, panie? - wykrzyknął przerażony Owain.

- Czemu nie? - Rhys obserwował Owaina przez chwilę z lekkim uśmiechem na twarzy. - Dlaczego miałbym pozbywać się wroga, którego znam, tylko po to, żeby wypatrywać nowego? Sashy nie udało się co prawda spełnić polecenia Jana, ale...

- Sasha? - Owain wyglądał na zaskoczonego. - Nie masz chyba na myśli owej ciemnookiej panny, która była tu przed chwilą, a którą ludzie Gavina pojмали w lesie.

- Właśnie ją. - Rhys zacisnął pięść i przyglądał się przez chwilę własnym knykciom, po czym spojrział na swojego majordoma. - Była z tobą w celi. Co o niej myślisz?

Wyraźnie skonsternowany Owain otworzył usta i ponownie je zamknął, po czym pokręcił głową.

- Wyznaję, że nie znam wszystkich szczegółów, ale moim zdaniem ta dziewczyna nigdy świadomie nie uczyniłaby ci krzywdy.

- Nie? Skąd ta pewność?

- Wybacz mi, panie, ale po mojemu ona ciebie uwielbia. Mówi o tobie zawsze z zachwytem.

- To oszustka, zwiodła cię, Owainie. W jednej chwili potrafi przemawiać czule i łagodnie, by w następnej pokazać pazury. Jest zmienna jak wiatr, nieobliczalna, a jej zachowanie jest trudne do przewidzenia. - Wzruszył ramionami, zaciskając szczęki. - Wkrótce przekona się, jak niebezpieczną obrała drogę.

Owain nic nie odrzekł, a kiedy się odezwał, począł opowiadać o walijskich baronach i o sile lordów Marcheru. Rozmawiali o krucjacie i Ryszardzie, o tym, jak podupadła Anglia w czas jego nieobecności i o tym, że król powinien wrócić do ojczyzny, by położyć wreszcie kres nikczemnym postępkom swojego brata.

- Bandy zbirów pustoszą Anglię i Walię, łupią, co im wpadnie w rękę, mordują każdego, kto stanie im na drodze. Gdyby Ryszard powrócił, może zaprowadziłby w kraju spokój.

- Ryszarda bardziej interesuje sława rycerska niż sprawowanie rządów - stwierdził gorzko Rhys. Owain spochmurniał. - Jednak ludzie go uwielbiają. Jest taki, jaki powinien być król, pełen dostojeństwa, mocarny i dworny.

- Ale żaden z niego władca, to chciałeś powiedzieć?

Rhys zbył pytanie milczeniem. Owain był rządcą jego ojca całe lata. Pamiętał starca z czasów, kiedy sam, jeszcze dzieckiem, uganiał się po walijskich wzgórzach. Popenił jednak błąd. Był zbyt ufny i zapłacił za to wysoką cenę.

Owain wstał z krzesła ze smutnym uśmiechem na ustach.

- Lordzie Rhys, pamiętam, jakie pacholęciem brykał po zamkowym dziedzińcu. Nigdy nie zdradziłem twojego ojca, nawet kiedy groziła mi śmierć z rąk Gavina. Ciebie także nigdy nie

zdradzę. Tak bardzo przypominasz lorda Griffyna, że zdaje mi się, że przed nim tu stoję. Jestem szczęśliwy, że wyrosłeś na dzielnego męża. Jeżeli jednak uznasz, że moja obecność na twoim dworze i rada są ci niewygodne, wystarczy jedno twoje słowo, a odejdę.

W głosie Owaina była szczerokość i niezmaćona pewność. Rhys, zawstydzony swoimi podejrzeniami, pokręcił głową.

- Niełatwo ufać, gdy tak wielu obróciło się przeciwko mnie.

- Rozkazywanie to bardziej ciężar niż przywilej. - Owain uśmiechnął się. - Widziałem, jak niszczy ludzi słabych. Nawet gdybyś nie powrócił z krucjaty, by przejąć ojcowskie dobra, Gavin i tak prędzej czy później doprowadziłby do własnego upadku. - Położył rękę na ramieniu Rhysa. - Jestem rad, że przyjechałeś i odebrałeś, co ci się należy. Jak zamierzasz postąpić z Gavinem?

- Jeszcze nie zdecydowałem. Jeśli zabiję go, jak na to zasługuje, Jan będzie próbował go pomścić. Nie chcę walczyć z księciem. Uwolnić Gavina byłoby głupotą. Wkrótce powróciłby tu z całą armią. Myślę, że będę grał na zwłokę, czekając, czy Jan zażąda jego uwolnienia. Tymczasem przekonam się, na czyje wsparcie mogę liczyć.

- Gdy baronowie dowiedzą się o twoim powrocie, zobaczysz, że pociągną tłumnie pod twoje sztandary, panie. Dzień, w którym tak podstępnie zamordowano twój ojca, pogrzyżył wszystkich w żalobie. Wielu wspomina go z żalem. Choćby z powodu samowolnych poczynań Jana, Gavin z Glamorgan winien być przegnany z Glenlyonu i rozdarty na strzepy przez obrońców Griffyna. Ludzie wierni starymu lordowi z pewnością nie chcą, by jego syn wybaczył zdradę.

- Możliwe. - Rhys nie pamiętał ojca zbyt dobrze, zostało mu zaledwie trochę oderwanych wspomnień. Nadal przechowywał te nieliczne listy, które otrzymał w ciągu lat rozłąki. Niektóre pełne napomnień na temat zaniedbywanych jakoby obowiązków, inne z radami kierowanymi do walczącego na obczyźnie syna. Być może powinien je znowu przeczytać. Popatrzył na Owaina.

- Jutro rozesłemy wezwanie do okolicznych baronów i zobaczymy, kto na nie odpowie. Wówczas przekonam się, na jakie wsparcie mogę liczyć.

Owain skinął głową.

- Tak, panie. Przygotuję listę. Byłbym szczęśliwy, mogąc napisać wezwania osobiście.

- Jest jeszcze dużo do zrobienia. Przejęcie Glenlyonu to zaledwie początek. - Przeczesał palcami włosy. Jego myśli zajmował inny, bardziej palący problem. Sasha dotąd nie wróciła. Miała dość czasu, by zjeść ciepły posiłek. Sięgnął po miecz i przypasał go.

- Owainie, gdzie są stajnie? Mam przeczucie, że nasza piękna panna będzie próbowała uciec sir Clyde'owi.

- Niedaleko od miejsca, gdzie były stare stajnie. Zaprowadzę cię, a potem pójde do swojej izby. - Owain zawahał się. - Zamieszkać w niej znowu, jeśli się zgodzisz, chyba że przeznaczasz dla mnie inną, panie.

Rhys popatrzył na starca. Przez głowę przemknęły mu wspomnienia z dzieciństwa, listy pisane ręką Owaina i słane do dalekich krajów, gdzie wojował z Ryszardem. Westchnął głęboko i uśmiechnął się.

- Nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek inny niż ty był majordomem i miał należną mu władzę, Owainie. Cokolwiek dał ci mój ojciec, odzyskasz, wraz z moją wdzięcznością i zaufaniem.

Owain uśmiechnął się i uderzył otwartą dłonią w dłoń Rhysa, pieczętując tym odnowienie umowy.

- Pomścimy śmierć twojego ojca, panie. Dopilnujemy, by morderców spotkała odpowiednia kara.

Rhys skinął głową.

- Tak właśnie zamierzam postąpić.

W kuchni panował mrok rozświetlany jedynie przez płomień buzujące w palenisku i kilka świec. Sasha zaglądała do skrzyń i koszów, szukając chleba, sera, czegoś do jedzenia poza zielonymi jabłkami. Być może powinna pójść do składów, bo spiżarnia zionęła pustkami. Od czasu do czasu unosiła głowę i ostrożnie rozglądała się dookoła. Kilku służących obudziło się. Niektórzy snuli się niepewnie po kuchni, jeszcze oszołomieni.

Popatrzyła na Biagia, który siedział na beczce i jadł niedojrzałe jabłko.

- Dobrze się spisałeś. Jestem zdziwiona, że nie pozatruwałeś ich na śmierć, zważywszy, jak mocnego użyłeś napoju.

Wzruszył ramionami.

- Obliczyłem pojemność dzbanów, obliczyłem dawkę przypadającą na każdego z tych idiotów. Mogłem się oczywiście pomylić, nie patrz tak na mnie. Miałem diabelnie trudne zadanie. Zużyłem wszystkie twoje zioła i jeszcze trochę musiałem wyprosić u dziewczki ze wsi, bo by nie starczyło.

- Jestem pewna, że sprawiło ci to przykrość. Gdzie jest teraz ta młódka?

Biagio wyszczerzył się w uśmiechu.

- Tęskni do mnie. Gdyby odgadła, dlaczego takim się do niej umizgał, niechybnie dyndałbym już na jakiejś gałęzi.

- Myślisz, że ta rzepa jest jeszcze dobra? - mruknęła, oglądając wysuszone, pomarszczone warzywo, które znalazła w koszyku. - Nieważne. Jestem tak głodna, że ją zjem. Opowiedz mi teraz ze szczegółami, jak udało ci się zrealizować ów szaleńczy plan, a zwłaszcza, jak przekonałeś Rhysa, żeby się nań zgodził.

- Ach, przystałby na każdy plan, byle tylko odzyskać kasztel. Był dla mnie wręcz miły. Teraz, kiedy dostał, czego chciał, nie będzie już taki łaskaw. - Głośno ugryzł kawałek jabłka. *Uważaj na niego, bella, to uparty i zawzięty człowiek, nie ustąpi ani na jotę...*

Pochmurniejąc na jego ciche ostrzeżenie, podniosła głowę, żeby zapytać, co ma na myśli, gdy usłyszała za sobą trzaśnięcie kuchennych drzwi. Odwróciła się. Oparty o ścianę stał Rhys, z rękami splecionymi na szerokiej, nagiej piersi. Jego sroga mina nie wróżyła nic dobrego.

Biagio zsunął się z beczki i ukłonił dwornie.

- Oto i sam lord we własnej osobie. Czy mamy pokłonić się i ucałować twój pierścień, a może winniśmy paść ci do stóp?

Rhys spojrział na niego twardo.

- Jeżeli chcesz sprawić mi przyjemność, gołowąsie, to zabieraj się stąd. Natychmiast.

- Z kuchni, twierdzy, czy z Walii?

- A rób, co chcesz.

Biagio zaczerwienił się i pochylił nisko głowę, ale zaraz się wyprostował.

- Jesteśmy zachwyceni zachętą do opuszczenia tych gościnnych progów, łaskawco.

- Zachęta dotyczy wyłącznie ciebie, młokosie. Panna tu zostanie.

Mówiłem ci, mówiłem ci, bella, to nie jest człowiek, który poniechałby kasztelu, swoich włości czy przekonań, a trwa w przekonaniu, żeś go zdradziła... Na głos zaś zakpił:

- Z przykrością słyszę, że moja obecność nie jest mile widziana - powiedział z kpina w głosie.

- Jakoś sobie poradzisz z tym brzemieniem smutku. - Rhys odepchnął się od ściany, zwinny i groźny jak lew.

Sasha bezwiednie cofnęła się o krok. Rzepa wypadła jej z ręki i potoczyła się po posadzce. Rhys kopnął ją na bok i wyciągnął rękę do dziewczyny.

- Jestem naprawdę zawiedziony, mój kwiecie. Inne twoje sposoby oporu były znacznie bardziej skuteczne. I bolesne. Czyżbyś się we mnie zadurzyła?

Postaraj się, bella, żeby stanął tyłem do mnie, a wbiją mu sztylet pod żebra...

- Nie! - Jej okrzyk wywołał niepożądany skutek: ostrzegł Rhysa, który zeszywniał. Nabrała powietrza, próbując się opanować. - Chciałam ci tylko powiedzieć, że gdybym była tak głupia, żeby się w tobie zadurzyć, chyba bym się utopiła.

Zdziwiony unióś brwi. W jego szarych oczach pojawiło się rozbawienie.

- Nie mogłaś wybrać wygodniejszego sposobu. Obok Glenlyonu przepływa rzeka Wye. Lojalnie ostrzegam, że ta warownia strzeże przepraw, a warowni strzegę ja. Bez mojej zgody nie zbliżysz się do rzeki.

Próbowała nie spuszczać z Biagia oka, nie uprzedzając Rhysa o zamiarach chłopca. Nie umiała przewidzieć, co mogłoby się zdarzyć, gdyby rycerz nabrał podejrzeń.

- Na szczęście nie jestem zadurzona i nie będę próbowała rzucać się do rzeki, z twoją zgodą czy bez niej.

To z pewnością rozwiązałoby sprawę, bella... On nigdy nie wypuści cię stąd po dobroci... Wystarczy szybkie pchnięcie, a będziemy wolni...

Idiota. Wydaje mu się, że zdoła pokonać potężnego rycerza za

pomocą sztyletu. Zerknęła na Rhysa i podjęła szybką decyzję. Zwinnym ruchem wyszarpnęła rękę z uścisku i podbiegła do Biagia. Odniosło to spodziewany skutek. Rhys okrzyknął się dookoła. Teraz i on widział Biagia, więc młokos nie mógł już zaatakować go od tyłu, znienacka.

Rhys złapał Sashę wpół i uniósł wysoko do góry. W jego głosie zabrzmiała irytacja:

- Nie próbuj znowu, kwiatuszku. Zbyt często próbujesz ode mnie uciekać. Na darmo. Nie skończyliśmy jeszcze naszej rozmowy.
- Nie mam o czym z tobą rozmawiać. Postaw mnie na ziemi. Puścił ją, ale nadal mierzył podejrzliwym spojrzeniem.
- Z wielką wprawą odgrywasz rolę niewiniątka. I za długo.

Sasha zerknęła na Biagia, który bawił się rękojeścią sztyletu, potem znowu na Rhysa. Przeraziła się nie na żarty. Biagio też usłyszał groźbę w jego głosie i z gniewną miną postąpił krok do przodu.

- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Jeszcze tu jesteś, gołowąsie? - Rhys rzucił na niego okiem. - To, co mam do powiedzenia, jest przeznaczone tylko dla jej uszu. Zabieraj się stąd, bo dobędę miecza, a wtedy marny twój los.

W oczach Biagia zabłysła wściekłość, ale gdy ręka Rhysa opadła na rękojeść miecza, cofnął się szybko do tyłu.

- Zrozumiałem, panie. - *Nie mogą stawać przeciwko niemu ze sztyletem, kiedy grozi mi mieczem, bella, ale są inne sposoby, żeby się go pozbyć... Nie desperuj...*

Nie mogąc ani zaprzeczyć, ani dodać chłopcu otuchy, Sasha patrzyła w milczeniu, jak Biagio wychodzi z kuchni, trzaskając drzwiami. Łoskot odbił się głośnym echem od wysokich ścian i beczkowego sklepienia. Skrzywiła się.

- Przestraszyłaś się? - zakpił.
- Rycerza, który grozi gołowąsowi tylko dlatego, że ten próbuje chronić swoją panią? Dlaczegoż miałabym się bać?

Na ustach Rhysa pojawił się grymas uśmiechu.

- Każdy inny mężczyzna, godny tego miana, już dawno zabiłby go za jego butę, albo kazał drzeć z niego pasy. Przestałby wtedy błaznować. Ten smarkacz nie wie, gdzie jego miejsce. Nadto hardy na sługę.

- Biagio nie jest twoim służącym, lecz moim.
- Tak, ale ty jesteś pod moją władzą, więc smarkacz winien mi posłuch.

Zimny dreszcz przeszedł jej po plecach. Może miał na myśli coś innego, ale nie, powiedział dokładnie to, co myślał, bo jego oczy pociemniały z gniewu, twarz stężała. Wolałaby, żeby coś przywdział. Nie mogła spokojnie patrzeć na wspaniałą, szeroką pierś, twarde mięśnie brzucha i potężne, muskularne ramiona. Zdjęta nagłym lękiem, poczuła, że uginają się pod nią nogi. Uniosła podbródek, a jej głos zabrzmiał wyjątkowo donośnie, zważywszy groźną postać rycerza.

- Mylisz się, nie jestem twoją służącą i nie zamierzam słuchać twoich rozkazów.

Machnął ręką.

- Służącą może nie, ale na razie ja decyduję o twoim losie i masz mnie słuchać. Pamiętasz przyrzeczenie, kwiatuszku? To był twój pomysł, prawda?

- Nigdy nie przyrzekałam, że będę ci posłuszna. - Cofnęła się, ale chwycił ją za rękę i choć próbowała się wyrwać, nie chciał puścić.

- Przecież to był twój pomysł, żeby zlec ze mną w łożu...

- I zległam. - Wbiła w niego wzrok. - Nie zrobiłam tylko tego, czegoś się ode mnie domagał.

- Nie dziel włosa na czworo. Oboje wiemy, jakie były układy. Ty miałaś swoje powody, ja swoje, tedy dobiliśmy targu. Jednak ty mnie zdradziłaś. To zwalnia mnie z przysięgi, a co do ciebie... to już inna sprawa.

Sasha nie spuszczała z niego oczu. Bolała ją głowa. Była straszliwie głodna, miała poranione stopy, chciało jej się pić. Nie powinna walczyć z nim na słowa w takim stanie. Dlaczego jej Dar zawodzi wobec tego jednego jedyne go człowieka? Potrzebowała kąpieli, odpoczynku, jedzenia, choć może niekoniecznie w tej kolejności. Na domiar złego własny lęk wprawiał ją we wściekłość.

Zmieniając taktykę, przyłożyła rękę do głowy i jęknęła.

Rhys ujął ją mocno za przegub.

- To na nic się nie zda. Tu nie miejsce na zakończenie naszej

rozmowy, ale z niecierpliwością czekam, kiedy wreszcie usłyszę uczciwą odpowiedź. Chodźmy, mój kwiecie.

Pociągnął ją za sobą. Zahaczyła gołą stopą o ostrą krawędź kamienia. Kiedy cicho krzyknęła z bólu, spojrzała na jej stopy i zaklął.

- Psiakrew, gdzie twoje buty?

Podskakując na jednej nodze, wolną ręką ścisnęła duży palec.

- Zgubiłam, został mi tylko jeden, to go zdjęłam, żeby nie chodzić niby czapla po tym walijskim błocku. - Uniosła rąbek sukni, pokazując mu ciemnobrązową warstwę, pokrywającą jej stopy aż do kostek.

Rhys chrząknął z irytacją i nieoczekiwanie uniósł ją w górę. Jęknęła i chwyciła go za szyję. Zobaczyła jeszcze jarzące się wnętrze wielkiego, kamiennego paleniska, wiszące na ścianach rondle i Rhys wyniósł ją z kuchni w ciemność. Księżycowe światło oświetlało dziedziniec, na którym pozostały jeszcze ślady niedawnej potyczki. Tu i ówdzie w blasku nielicznych pochodni mogła dojrzeć śpiących ludzi. Wiał lekki wiatr, w oddali zaszczekał pies.

Mocniej przycisnął ją do nagiej piersi, gdy przechodzili przez dziedziniec. Jego serce biło szybko i mocno. Poczowała ucisk w gardle na wspomnienie majowej łąki, ich wspólnego tańca, radosnych śmiechów, zalotów i zapierających dech w piersiach pocałunków. Taka była pewna, że zdoła panować nad przebiegiem zdarzeń, że potrafi igrzać z ogniem i się nie poparzy: że niewinnym flirtem nakłoni groźnego rycerza do posłuszeństwa jej woli i ten za kilka całusów odzyska zrabowane przez nieprzyjaciół ziemie. Tymczasem sprawy potoczyły się zupełnie inaczej.

Do diabła z nim, zżymała się w duchu. Okropne było to poczucie bezradności. Na domiar złego, o ile dotąd z konieczności znosiła jego obecność, teraz zaczynała czuć do niego coś więcej. To wszystko przez to, że w ciemnym lochu miała tyle czasu na myślenie i zrozumienie, jakie naprawdę kierują nią motywy. Być może Biagio miał rację.

A jeśli tak, niech Bóg ma ją w swojej opiece. Czyżby rzeczywiście zadurzyła się w tym ponurym, aroganckim człowieku? Nie była taka, za jaką chciała uchodzić, w każdym razie kiedy szło o rzeczy najważniejsze. Gdy stawka niewielka, udawanie może

być zabawne i zajmujące, a to, czy jej ktoś wierzył, czy nie, nie miało żadnego znaczenia. Pusta sakiewka lub przegrany zakład to nic wielkiego, tym razem było jednak całkiem inaczej.

Głupia, głupia, żeby oddać serce mężczyźnie, który ma cię za nic...

Prawdziwe nieszczęście. Jeżeli nic nie zrobi, będzie zgubiona. Wszystkie jej plany i nadzieje wezmą w łeb. Musi znaleźć sposób, by wybrnąć z tarapatów.

Światło pochodni pojaśniało, rzucając na ziemię jasną łunę: zbliżali się do wielkiej sali. Jeden z ludzi, którzy kręcili się w pobliżu, zatrzymał Rhysa, żeby o coś zapytać. Czują na sobie ciekawskie spojrzenia, wiedziały, że dziwią się i snują domysły, a nawet pokpiwają, że jest bosa, brudna i bezsilna. Ich lord zwyciężył. Cała magia królowej elfów zdała się na nic. Uniósł hardo głowę, chociaż policzki paliły ją ze wstydu i upokorzenia.

Pochłonięta własnymi strapieniami, ledwie słyszała toczącą się rozmowę. Wyrzuciła z głowy wszystko, co działo się wokół, nie dopuszczając do świadomości natłoku chaotycznych myśli otaczających ją ludzi. Nic nie mówiła, nie protestowała, o nic nie pytała, kiedy Rhys niósł ją w górę po schodach, a potem długim, ciemnym korytarzem. Nawet kiedy zmierzał w kierunku swojej komnaty z ponurą miną i twardym postanowieniem dojścia prawdy, trwała w przekonaniu, że jest tylko jeden sposób postępowania z tym człowiekiem... Kiedy dotarli na miejsce, Rhys otworzył kopniakiem drzwi i postawił ją na podłodze. Podczas ich nieobecności ktoś uporządkował alkowę, poprawił kotary przy łożu, usunął podejrzane wino i zastąpił je nowymi dzbanami i czystymi kubkami. Zbroja znikła, powywracane zydle i stoły poustawiano na swoim miejscu. Wniesiono kufry z ubraniami. W wielkim, metalowym koszu płonął ogień, dając przyjemne ciepło.

Rhys poznał wprawna rękę niezawodnego, jak zawsze, Morgana. Puścił Saszę. Odsunęła się od niego w takim pośpiechu, iż nabrał pewności, że w końcu zrozumiała, jak bardzo jest na nią rozszerzony. Uniósł brew.

- Przynajmniej godzinę temu powinnaś była pojąć, w jakim jesteś niebezpieczeństwie, mój kwiecie. Należało pomyśleć o tym, kiedy tak niemądrze mnie okłamywałaś. Teraz już za późno na obronę. Jeszcze nie tak dawno skłonny byłbym cię wysłuchać.

Wpatrywała się w niego w milczeniu. W ogromnych, ciemnych oczach odbijał się blask ognia. Stała sztywno, z uniesionym zadziornie podbródkiem, dłonie zacisnęła w pięści. Każda inna kobieta wyglądałaby śmiesznie w poszarpanej sukni, z gołymi, brudnymi stopami, a ona roztaczała królewską aurę, zupełnie jakby winien był się jej kłaniać. Zadziwiające, ale Sasha nie była ani trochę śmieszna, przyjmując majestatyczną pozę. Nie miał pojęcia, na czym to polegało. Być może do tej pory nie chciał dojrzeć, ile w tej dziewczynie jest hartu ducha. Musiał przyznać, że czuł dla niej rosnący szacunek, za to, że nie poddaje się nawet w obliczu jego oczywistej przewagi. Niepokoiły go te niechciane, niepożądane refleksje.

Nie musiała się trząść ze strachu, ale winna była mu się poddać, być mu powolną, okazać we wszystkim absolutne posłuszeństwo. On był tu panem i on dyktował warunki. Znajdzie sposób, by złamać tę hardą, butną dziewczynę.

Rozległo się niepewne pukanie do drzwi, zaskrzypiały lekko zawiasy. Rhys odwrócił się. W progu stał Morgan z tacą w dłoniach. Za nim czekało kilku służących.

- Pomyślałem, że zechcesz się posilić i wykapać, panie - powiedział.

- A jakże - odparł Rhys krótko.

Morgan otworzył szerzej drzwi, żeby wpuścić służbę, i po chwili w pobliżu kosza z węglami stała już balia z gorącą wodą. Taca znalazła się na stole, pokrywki z półmisków zostały zdjęte. Zapach gorącego mięsa i chleba przypomniał Rhysowi, że cały dzień nic nie jadł.

Spojrzał na Sashę. Jej nozdrza delikatnie zadrżały, ale gdy spostrzegła, że ją obserwuje, odwróciła głowę. Podszedł do stołu i odciął duży kawał mięsiwa swoim sztyletem, po czym zjadł trochę chleba. Po chwili zerknął ponownie na dziewczynę i uśmiechnął się.

- Usiądź i jedz, mój kwiecie. Dzisiejszego wieczoru będziesz potrzebowała dużo siły.

Oblała się pasem. Rzuciła mu mroczne spojrzenie, ale podeszła do stołu z kocim wdziękiem. Bez cienia uległości, jakby czyniła mu łaskę, zgodziła się coś zjeść. Wzięła delikatnie kawałek chleba

i mięsa, dwornie upiła łyk wina. Wspaniałe przedstawienie. Podziwiał ją wbrew sobie, pomimo iż zamierzał położyć kres tym fumom, kiedy tylko zostaną sami.

Tymczasem w milczeniu znosił jej grę, czekając, aż uwijający się skwapliwie Morgan przygotowuje kąpiel. Gdy wszystko było już gotowe, odprawił służbę, po czym zamknął za nimi drzwi i zabezpieczył je.

Sasha przyglądała mu się bacznie. Nie chciał jej rozczarować. Odpiął miecz i pas, po czym rozsznurował spodnie w pasie. Do dużej, drewnianej balii przysunął zydę, usiadł na nim i zaczął rozwiązywać buty. Obserwowała każdy jego ruch, napięta i czujna, jak kotka. Zdjął buty i odrzucił je na bok. Wstał z zydła.

- Ty pierwsza, mój kwiecie.

Cofnęła się.

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

Wskazał balię.

- Oto gorąca woda i mydło. Czyste ręczniki. Może to z mojej strony zuchwałość, ale mam wrażenie, że kąpiel bardzo ci się przyda. Potem będziesz roztaczać milszą woń.

Miała taką minę, jakby chciała zaprzeczyć, ale naraziłaby się tylko na śmieszność. Dwa tygodnie w lochach zatarty wszelkie ślady upojnego, drażniącego zmysły zapachu jaśminu, pozostawiając na jej ciele grubą warstwę brudu.

Żachnęła się i powiedziała:

- Nie mam zamiaru rozbierać się przy tobie.

- Twój wybór, kwiatuśku.

Podszedł do niej szybko, zanim odgadła jego zamiary, i jednym ruchem wziął ją na ręce. Krzyczała wniebogłosy, ale Rhys, nie zważając na protesty, wrzucił ją do balii. Wpadła do wody jak kamień, rozpryskując fontanny. Na kamiennej posadzce natychmiast utworzyły się kałuże.

Z uśmiechem patrzył, jak krztusi się i łapie gwałtownie powietrze. Woda prysnęła do oczu i dostała się do nosa. Rhys oparł się o krawędź balii i zapytał:

- Umyjesz się sama, czy mam ci pomóc?

W odpowiedzi uderzyła dłońią w wodę i ochlapała go. Nie drgnął nawet wtedy, gdy zaczęła go obrzucać obelgami. Przez

chwilę przysłuchiwał się ciskanym pod swoim adresem wyzwiśkom. Kiedy miał dość, mocno ujął ją pod brodę.

- Wystarczy, kwiatuśku. Moja cierpliwość się wyczerpała.

Wbiła w niego ciemne, pełne wściekłości oczy. Odsłoniła drobne, białe zęby i dziko warknęła. Wreszcie się opamiętała. Gwałtownie odetchnęła, zamrugała. Na ustach pojawiło się coś, co miało przypominać uśmiech. Skinęła głową.

- Masz rację. Potrzebna mi kąpiel. Wołałabym jednak zażyć jej w obecności służebnych, zamiast w twojej asyście, ale chyba proszę o zbyt wiele - zakończyła i uśmiechnęła się filuternie.

Rozbawiony, puścił jej brodę.

- W istocie, prosisz o zbyt wiele.

- Trudno, podaj mi zatem, z łaski swojej, mydło i ręcznik. Sama się umyję.

Ku jego zdziwieniu, wstała, wyprostowała się, szybkim ruchem zdjęła suknię i odrzuciła ją na bok - upadła na kamienną posadzkę z głośnym plaśnięciem mokrej materii. Po chwili obok wylądowała koszula. Sasha stała w balii naga. Napawał się widokiem jej szczupłej sylwetki, złocistej skóry i drobnych piersi, które tak dobrze wryły mu się w pamięć. Wodził spojrzeniem po rozkosznych kształtach, od piersi do płaskiego brzucha i ciemnego trójkąta u zbiegu gładkich, krągłych ud. Pomimo chłodu panującego w komnacie, poczuł uderzenie fali gorąca.

Do diabła z nią. Jakimś sposobem znowu zdobyła nad nim przewagę. Czyżby był tak niedoświadczony, że widok jej nagiego ciała odebrał mu mowę, wprawiając w zakłopotanie niczym młokosa, co nigdy jeszcze nie był z kobietą? Odwrócił się, namydlił myjkę i w milczeniu podał ją dziewczynie.

Królewska i pełna wdzięku, wzięła myjkę i usiadła w wodzie. Obojętna na obecność Rhysa, namydliła ramiona, piersi, szyję, powolnymi, kolistymi ruchami, z wpróprzymkniętymi oczami, z sennym uśmiechem na ustach. Cicho westchnęła. Podniosła nogę, zgięła, zwracając szczególną uwagę na stopy i palce. Woda z mydlinami obmywała piersi. Sterczące brązowe sutki pokrywały bańki piany.

Patrzył na nią w milczeniu. Czuł żar idący z lędźwi. Oblewały go fale gorąca tak potężne, że musiał zaciskać pięści, walcząc

z pożądaniem. Kiedy odchyliła głowę, spojrzała na niego z jasnym uśmiechem i zapytała, czy może podać jej jeszcze trochę mydła, uczynił, jak prosiła, niezdolny wykrztusić słowa. Tymczasem Sasha zanurzyła się po szyję w wodzie i tylko włosy falowały na powierzchni, jak jedwabiste, czarne morskie algi.

Usiadła z powrotem i otarła oczy wierzchem dłoni. Czarne włosy szczelnie okryły jej nagie ramiona. Przerzuciła gęste sploty do przodu i zaczęła namydlać, pryskając pianą, ignorując obecność Rhysa i jego pożądliwe spojrzenie.

Znowu poczuł się tak, jakby ktoś kopnął go w brzuch. Pałący ból stawał się nie do zniesienia. Z trudem chwytając oddech, cofnął się o krok. Lepiej odsunąć się na bezpieczną odległość, by nie odkryła, jak bardzo jest pobudzony. Nie potrzebował oglądać sekretnych zakamarków jej ciała, widzieć uśmiechów doprowadzających go do szału.

Pochyliła się, żeby wypłukać włosy, przesuwając palcami wzdłuż długich, śliskich pasem. Piana unosząca się na powierzchni wody okrywała jej ramiona, niby grzywa morskiej fali na złocistej skórze. Lekkim ruchem głowy odrzuciła włosy do tyłu i wstała, unosząc pytająco ciemną brew.

- Jesteś usatysfakcjonowany, panie?

Skinął nieznacznie głową, niezdolny udzielić żadnej odpowiedzi. Boże, jak on płonął. I jakże został upokorzony.

Wyszła bez skrępowania z kąpieli. A kiedy podał jej suchy ręcznik, owinęła się nim pełnym gracji ruchem i spojrzała na niego z owym lekkim, tajemniczym uśmieszkiem, którego nie cierpiał.

- Twoja kolej, mój panie.

Popatrzył na kadz z wodą, potem na dziewczynę. Nadal nic nie mówiąc, rozwiązał ostatnią tasiemkę *chausses*, odrzucił je na bok i stanął nad balią. Duma nie pozwalała mu, by zobaczyła, jakie wywarła na nim wrażenie. Zanurzył się i wyciągnął nogi tak daleko, jak zdołał. Większa część jego ciała znalazła się pod wodą, tylko kolana wystawały ponad mydliny. Nabrał wody w złożone dłonie i obmył twarz. Następnie popatrzył na Sashę spoza zlepionych wodą rzęs.

- Umyj mi plecy - rzucił krótko.

Nie odezwała się i nie poruszyła. Po chwili mruknęła coś, czego

nie zrozumiał, i wzięła dzbanek z mydłem. Owinięta w ręcznik, zatrzymała się obok kadzi i wyciągnęła rękę z dzbankiem. Potrząsnął głową.

- Powiedziałem: umyj mi plecy. Nie prosiłem o podanie mydła.
- Czy ja cię prosiłam, żebyś umył mi plecy?
- Nie, ale ja proszę.

Znowu zapadła napięta, nabrzmiała gniewem cisza, po czym Sasha uklękła obok kadzi i wylała na plecy Rhysa okazałą porcję mydlin. Odwrócił głowę, zmrużył oczy, lecz ona tylko uśmiechnęła się słodko.

- Jak myślisz, wystarczy? - spytała.

Błyskawicznie schwytał ją za rękę. Popatrzył *jej* w oczy i powiedział cicho:

- Bacz, co czynisz, mój kwiecie. Niczego nie puszczam płazem.

Gdy puścił jej ramię, w milczeniu, starannie wyszorowała mu plecy, trąc skórę myjką. Nie proszona umyła mu włosy, pierś, a nawet ramiona. Gdy przestała, rozluźniony uniósł głowę, otworzył oczy i popatrzył na Sashę.

- To już wszystko, mój kwiecie?

- Wszystko, co zamierzałam zrobić. - Podała mu namydlone płótno. - Tak myślę, chociaż nigdy wcześniej nie asystowałam żadnemu mężczyźnie przy kąpieli.

- Nigdy? - Uśmiechnął się.

- W moim wozie nie ma balii. Zwykle kąpię się w strumykach albo w łaźniach publicznych. Nie tak jak teraz.

- Biedny kwiatuszek. - Pogłaskał ją po policzku. Kropelki wody spływały po jej skórze, a mokre pasma jedwabistych włosów przylgnęły do nagich ramion i pleców. Była jeszcze zaczerwieniona po gorącej kąpieli. Ręcznik zsunął się nieco, tak że Rhys mógł dojrzeć krągłe szczyty jej piersi. Nie mógł powstrzymać się i nie przesunął palcem po rozdzielającym je rowku. Nie poruszyła się, ale poczuł, że zdrząła.

- Cudowny kwiecie - wyszeptał, pochylając się do przodu. Woda chlupnęła i przelała się przez brzegi balii, gdy przyciągnął Sashę do siebie. Krawędź kadzi wpijała mu się w żebra, gdy lekko przesunął językiem po ustach dziewczyny. Zdrząła ponownie przy tej pieśszczocie. Wolną ręką odrzucił na bok okrywający ją

ręcznik. Odchylił jej głowę do tyłu, a wtedy pasmo mokrych włosów owinęło się wokół jego dłoni. Przesuwał językiem po jej szyi i słodkich pagórkach piersi. Podniecający zapach mydła. Skóra słodka jak miód i gładka jak jedwab, gorąca i lodowata zarazem. Wszystko to przyprawiało go o straszliwe męczarnie. Dziw prawdziwy, że woda wokół niego nie zagotowała się.

Wstał i przyciągnął ją do siebie. W tej chwili nie dbał już, że zobaczy, jak bardzo go pobudziła. Zapomniał o jej zdradach. Nie obchodziło go nic, czuł tylko nieodparte pragnienie, by się w nią wedrzeć. Czas wyczekiwania dobiegł końca.

Popatrzyła w jego oczy i zrozumiała, że nie będzie dłużej zwlekał. Mokra, naga, zziębnięta, ale rozpalona, nie wyrzekła słowa, gdy niósł ją do wysokiego, szerokiego łóża pod ścianą. Zasłony poruszał lekki przeciąg. Liny cicho zaskrzypiały, gdy położył ją na materacu i pochylił się nad nią. Wokół roztaczała się intensywna woń mydła pachnącego piżmem. Oczy Rhysa płonęły, dotyk zdawał się palić. Nawet powietrze przenikał żar.

Koniec udawania, zalotów, zwlekania i oporów. Wszystko to nie miało już znaczenia. Nie będzie kolejnych odroczeń, nadeszła nieuchronna chwila prawdy. Żadne słowa go nie powstrzymają, ale też Sasha nie myślała się bronić. Już nie. To był jej triumf, chociaż Rhys myślał, że on zwyciężył.

Wcześniej nigdy nie zaznała nic podobnego, nie czuła bolesnego oczekiwania, zapierającego dech podniecenia i pożądania. W jednej chwili drżąca dotąd panna stanęła przed obietnicą spełnienia. Tak miało się stać. Od pierwszego spotkania w puszczy, kiedy ujrzała rycerza o złocistych włosach, na potężnym rumaku, wiedziała, że jest jej przeznaczoney.

Uniosła ramiona i objęła go. On rozchylił jej uda kolanami. Wsunął się między jej nogi; naga skóra, zapierający dech w pierśsiach, zmysłowy wstęp do tego, co miało się dokonać. Pochylił głowę i pocałował ją. W usta, zamknięte oczy, w brwi, a potem w ucho, tchnąc na nią gorącym oddechem, aż przeszył ją dreszcz. Wtedy zamknął jej usta długim, słodkim i dręczącym pocałunkiem.

Kiedy ją całował, gorący członek napierał na pulsujące centrum. Przyciągnął ją pod siebie, wszedł w nią odrobinę i zatrzymał się. Gdy w końcu podniósł głowę, by na nią spojrzeć, nie mogła ani oddychać, ani wyrzec słowa. Rhys miał dziwny wyraz twarzy, niemal jakby był zły. Poruszyła się niespokojnie. Mruczając, przycisnęła jej rękę do pośladka i znowu pochylił głowę, by wziąć jej usta.

Jego palce błędziły teraz po jej ramionach i piersiach. Miała wrażenie, że zagarniają całą, czuła go każdym centymetrem ciała. W głowie jej szumiało, jakby wypita za dużo wina lub jakby balansowała na wysokiej, wysokiej grani skalnej, spoglądając w tajemną otchłań, przerażona i zarazem podekscytowana niebezpieczeństwem.

Okrywała pocałunkami jego twarz, potem szyję, rozkoszując się oszałamiającym smakiem mężczyzny, jego zapachem. Głaskała szerokie barki, muskała jasne spiralki włosów na piersi. Przesuwała palcami po twardych mięśniach klatki piersiowej, potem brzucha, jakby badała je czule. Rhys napierał mocno, gorący, twardy, a przy tym delikatny. Wsparł się łokciami o materac. Wydał z siebie niski, gardłowy dźwięk, gdy jej dłoń przesunęła się niżej, w rozpalone miejsce między udami. Zamknął oczy.

Widziała go przecież wcześniej, dotykała, ale tym razem wszystko było inaczej. Tym razem inne będzie zakończenie, wedle jego woli, nie takie, jakie zamyśliła poprzednio. Teraz chciała tego samego, co on. Pragnęła go. Rozwarła szeroko uda, w czułej pieśczoce oplatając nogami jego biodra. Czuła mrowienie oczekiwania na spełnienie, które miał jej ofiarować.

Pochylił głowę. Odnalazł ustami ciemny sutek i zaczął ssać. W brzuchu i między nogami czuła ogień. Zaczęła ją głaskać, co wzmogło pulsowanie. Nie mogła oddychać, wyginała się, oszłamiona, niema, cicho pojękując.

Poruszył się lekko i poczuła ostre, palące pchnięcie.

Straciła zupełnie panowanie i krzyknęła, wbijając paznokcie w nagą skórę jego pleców i przyciągając go do siebie.

Uniosł głowę, marszcząc brwi. Gdy ponownie lekko pchnął, jęknęła. Patrzył na nią, ale wyraz jego twarzy nic jej nie mówił. Czuła obietnicę rozkoszy, która zdawała się być tuż tuż. Uniosła dłoń, by dotknąć wilgotnych włosów na jego ramieniu, złocistych

i miękkich. Objął ją, tuląc mocno, i wniknął w nią głębiej. Żar ogarniał całe ciało, zapierał dech w piersiach. Zatracała się i mogła już tylko cichutko pojękiwać.

- Przeklęta - mruzczał chrapliwie, bezładnie. - Przeklęta i zwodnicza...

Nic już nie miało znaczenia. Wygięła się, czekając na spełnienie.

Wysunął się z niej, by zaraz wejść ponownie, gwałtownym ruchem. Jęknęła, czując ból i rozkosz, unoszona na falach oceanu, w górę, w górę, w górę, ku wymykającemu się zwieńczeniu, pełna oczekiwania, bez oddechu, nie przeczuwając, co ma się stać.

Nagle, gdy poruszał się w niej mocno i rytmicznie, poczuła się tak, jakby ogarnęła ją potężna fala przyływu i poniosła ją ku zatraceniu, pochłaniając bez reszty. Przeszył ją dreszcz. Przywarła do Rhysa i rozległ się przenikliwy krzyk. Dopiero po chwili uprzytomniła sobie, że to jej własny głos, ale nie dbała o nic. Nic się nie liczyło, tylko owo wstrząsające doznanie, eksplozja światła, miriady gwiazd przed oczami. I ulga spełnienia.

Ogień i lód, żar i mróz. Obejmowała Rhysa cicho łkając, bez tchu, cała drżąca. Zamrugwała i powoli wróciła na ziemię. Blask ognia i świec zdawał się być ostrzejszy. Oboje byli jeszcze mokrzy. Jak przez mgłę przypomniła sobie długi, niski jęk Rhysa, idący, zdało się, z samych trzewi, a potem gwałtowny dreszcz, który wstrząsnął jego ciałem. Leżał na niej, połową ciężaru ciała wspierając się na boku; nadal otaczał ją ramionami i nadal był w niej jeszcze. Twarz tuż przy jej twarzy. Zamknął oczy, rozchylił usta, dyszał ciężko.

Zamrugwała. Długie rzęsy Rhysa uniosły się. Przez chwilę patrzył jej w oczy, senny i zadowolony.

- Mój słodki kwiecie - mruknął z uśmiechem. Bawiąc się jej rozrzuconymi na poduszce włosami, wpatrywał się w nią z dziwną intensywnością.

- Jesteś moja, kwiatuszku. Tylko moja.

'- Tak, panie - zgodziła się cicho. Przepełniało ją nieznanne, nowe uczucie. - Jestem twoja - przytaknęła bliska płaczu.

Następnego ranka obudziła się pierwsza. Przez otwarte okienice sączyło się szare światło. Łoże nadal toneło w półmroku.

Świece dawno już się dopaliły. Ogień w koszu też wygasł i w komnacie panował chłód, tylko od Rhysa biło ciepło. Jego potężne, gorące ciało było tuż obok; jedną nogę przerzucił przez jej udo, jakby bał się, że mu umknie. Czuła lekki, leciutki ból.

Palce nadal miał zaplatane w jej włosy. Myślała niedawno o tym, by ściąć je krótko, tak jak noszą paziowie, ale Elspeth zawsze jej to odradzała. Teraz cieszyła się, że usłuchała niani. Rhys lubił jej włosy, chociaż nie były w kolorze dojrzącej pszenicy ani złota.

Przyglądała się śpiącemu. Zwykle surowa twarz, była teraz spokojna, odprężona. Zdawał się tak słodko bezbronny, że wzruszona westchnęła. Dlaczego on uważa, że cały czas musi warczeć i burczeć? Życie byłoby znacznie prostsze i łatwiejsze, gdyby wreszcie zrozumiał, że nie jest nieomylny. Ona potrafiła przyznawać się do błędów - no, może nie zawsze, ale generalnie.... Wyświadczyła mu łaskę, poddając się bez walki, chociaż, prawdę rzekłszy, zmusił ją do przyznania się, że ona także go pragnie.

Wreszcie zaczęła rozumieć to, co Biagio od dawna próbował jej wytłumaczyć. Magię tego, co dzieje się między kobietą a mężczyzną, zbliżenie głębsze niż obcowanie ciał, najbardziej intymne doznania zmysłowe, jakie można sobie wyobrazić. Cud. Wcześniej nie miała pojęcia, że to takie wspaniałe. Częste uwagi Elspeth, by wystrzegała się prostaków, nadal brzmiały jej w uszach, ale Rhys miał tytuł i zaszczyty. Był lordem na własnych włościach, był silny i odważny - doskonała partia dla księżniczki. Teraz nawet Elspeth nie powinna mieć powodu do utyskiwań.

To niezwykle, jaki przepełniał ją spokój i radość. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy czuła się tak bezpieczna. Czy w ogóle kiedykolwiek tak było? Ależ tak, przypomniała sobie. Bardzo dawno temu. Jako dziecko otoczone miłością rodziców, żyła beztrosko w świecie wolnym od zagrożeń. Pamiętała komnaty skąpane w promieniach słońca i chłodne mozaikowe posadzki, soczystą zieleń ogrodów i śmiech dzieci obdarowywanych hojnie przez troskliwych dorosłych, którzy mieli dość czasu, by ofiarować go potomstwu. Wtedy była szczęśliwa. Nazbyt szczęśliwa. Zbyt beztroska. Kiedy straciła wszystko, miała uczucie, że jej życie się skończyło.

Chociaż udało jej się przetrwać tamte ciężkie dni, bardzo długo

trwała w przekonaniu, że spokój i szczęście należą do przeszłości i nigdy nie wrócą. Tak było do czasu, aż rosyjska Cyganka wzięta dziewięcioletnią dziewczynkę na stronę i wyszeptła jej, jaka czeka ją przyszłość: spotka rycerza, który odzyska wszystko, co straciła. Mityczny gryf, legendarna bestia, przywróci jej dziedzictwo. Przepowiednia obudziła w niej promyk nadziei - po latach smutku i rozpacz, których żadne starania Elspeth nie potrafiły rozproszyć, zapaliło się wątle światełko. W końcu pojawił się Rhys. Chociaż jeszcze nieuchwytny, spełnienie przepowiedni zdawało się być bliższe niż kiedykolwiek.

Odwrociła się ostrożnie i błądziła spojrzeniem po jego ciele. Gładki, muskularny, złocisty, pięknie zbudowany, silny jak lew. Nie zdziwiła się, gdyby potrząsnął złotą grzywą i wydał z siebie zwierzęcy ryk. Nie potrafiąc się powstrzymać, wyciągnęła rękę i przesunęła palcami po twardych mięśniach jego torsu. Muskała delikatnie skórę, zachwycona, pełna uwielbienia. Tamtej, pierwszej nocy, miała rację, był najniebezpieczniejszym z mężczyzn. I, jak żaden, godnym pożądania.

Wiedziona ciekawością, zsunęła dłoń niżej. Doprawdy, mocarny rycerz. Nie była całkowitą ignorantką w sprawach męskiego ciała, ponieważ jej życie nie układało się tak, jak życzyłyby sobie Elspeth, jednakże teraz dziwiła się, że to może się tak zmieniać, raptownie i drastycznie. Fascynujące, że ta potężna męska broń, kiedy jest uśpiona, może wydawać się taka niewinna.

Ekscytująca i niebezpieczna. Nieodparta pokusa pchnęła ją, żeby go dotknąć.

Serce w niej zamarło, gdy nagle Rhys chwycił ją za rękę. Podniosła wzrok i zobaczyła, że ją obserwuje spod przymkniętych powiek, uśmiechając się lekko.

- Mój ty nienasycony kwiecie.

Oblała się rumieńcem. Jak on może tak mówić? Niby to obojętnie wzruszyła ramionami.

- Zwykła ciekawość, a nie pożądanie. Nie bądź taki próżny, milordzie. Jesteś tak słaby, jak...

Zaśmiał się cicho. Członek rósł w jej dłoni. Próbowwała wyrwać rękę, ale Rhys trzymał mocno.

- Teraz, skoro masz go w ręku, mogę pokazać ci, co się z nim robi, kwiatuszku.

- Nie jestem pewna, czy spodobałoby ci się to, o czym myślę - powiedziała z przekąsem. - Moje pomysły mogą cię rozczarować.

- Jestem rozczarowany, ilekroć otwierasz usta, żeby coś powiedzieć - odrzekł, ale nie puścił jej ręki. - Chyba powinniśmy znaleźć dla twojego języka jakieś lepsze zajęcie.

Udało jej się uwolnić rękę. Unikając wzrokiem przedmiotu porannej wymiany zdań, na wszelki wypadek utkwiała spojrzenie w twarzy Rhysa; był najwyraźniej rozbawiony. On się z niej naigrywał! Jak śmie?

Wstała i nie zważając na ból, szarpnęła włosy, kiedy chciał ją przytrzymać.

- Nie pozwolę ci przemawiać do mnie tak wulgarnie i grubiańsko. To, że pozwoliłam ci zlec ze mną, nie oznacza jeszcze, że masz prawo do...

- Pozwoliłaś mi? - Zmarszczył brwi. - Pozwoliłaś mi, ponieważ nie miałaś wyboru. Chociaż, gdybym wiedział, że znowu kłamiesz, nie spieszyłbym się tak.

Wpatrywała się w niego. Czyżby żałował? Nie, wydawał się syty doznań. Dała się porwać nieznanym jej dotychczas namiętnościom, nie zastanawiając się, co on czuje. Teraz jednak przypomniała sobie jego chmurny wzrok, niedokończoną myśl.

- Dlaczego mówisz o kłamstwie?

Wyciągnąwszy do niej rękę, zagarnął ją pod siebie i pocałował.

- Nic. Wszystko. Gdybyś mi powiedziała, byłbym delikatniejszy.

Pieścił ją, sięgając coraz niżej, aż drżąca przywarła do niego całym ciałem. Ich rozmowa traciła sens. Zanim Sasha zupełnie straciła nad sobą kontrolę, uczepliła się tego, o czym mówili.

- Co miałam ci powiedzieć?

- Kłamałaś, że nie jesteś dziewicą.

Jego język rozpałał płomień. Powoli między udami odezwał się gorący puls. Po chwili Sasha westchnęła cicho i otworzyła się.

- Och. O to idzie. Teraz to nie ma żadnego znaczenia.

- Nie ma - przyznał jej rację, pieszcząc ustami jej piersi. - Teraz to nie ma żadnego znaczenia. Teraz, kwiatuśku, jesteś moja i tylko moja. - Kiedy w nią wszedł, westchnęła cicho; ciało przeniknął lekki ból. - Tylko moja.

Tak, tak. Była jego. Tylko jego. O, Boże, bała się, albowiem traciła zdolność myślenia, kiedy był w niej tak jak teraz. Mogła tylko odczuwać, reagować, zapominając o całym świecie. I tylko ta paląca pustka, domagająca się zaspokojenia, sekretna nadzieja, że chociaż tak długo umierała, teraz powoli powraca do życia. Jak zapomniany uschnięty kwiat, który z nadzieją wita nowe życie.

Odpowiadała na jego ruchy mocnymi, gwałtownymi skurczami. To nie była walka, tylko świadoma uległość, bezgraniczne oddanie. Gorące i słodkie spotkanie czegoś więcej niż tylko ciał – czegoś nieuchwytnego, unoszącego się niemal w zasięgu ręki; co można dostrzec w jednym błysku olśnienia, ale nie da się ni zatrzymać, ni pochwycić.

Umknęło. Pozostała realność ciała Rhysa, jego oczy wpatrzone w jej oczy. Szare i świetliste, lekko kpiące, dumne i pełne nadziei. Nagle pojęła, co miała na myśli Elspeth, kiedy mówiła, jak głęboko, jak całkowicie można się oddać i ulec. Rhys miał nad nią władzę silniejszą niż potęga magii.

Obudziło go stukanie w drzwi komnaty. Otworzył oczy i zmarszczył brwi. Sasha mruknęła przez sen. Popatrzył na nią. Zadziwiająco. Nie odgadł, że była dziewczyną. Nie żałował, że ją posiadał, ale był zawiedziony, że go okłamała. Jeszcze jeden dowód, jak potrafi być dwulicowa. Na pewno nie zamierzała oddać mu się całkowicie, bezwarunkowo.

Na ponowne pukanie ryknął coś w odpowiedzi, a Sasha otworzyła oczy. Przekręciła się i popatrzyła na niego z sennym uśmiechem. Zatrzepotała długimi rękami. Przeciągnęła palcem po jego brodzie. Uśmiechnęła się w odpowiedzi i ujął jej rękę.

- Jeżeli nie otworzę drzwi, Brian gotów je wyważyć. Wyobraża sobie, że porwałś mnie na górę czarownic.

- Kuszący pomysł. Może tak zrobię, mój panie.

Wstając, zerknął na nią z ukosa. Z głośnym łoskotem odsunął zasuwę i otworzył drzwi. Brian zamrugał, a kiedy zorientował się w sytuacji, spaśował niby piwoniami.

Rozbawiony Rhys szerzej otworzył drzwi.

- Wejź, Brianie.

Brian, starając się nie patrzeć na łoże, wszedł i stanął pod ścianą. Chrząknął raz, potem drugi i utkwiał wzrok w drewnianej balii.

- Lady Cailin domaga się widzenia z tobą. Natychmiast, panie. Twierdzi, że nie jest zdrajczynią.

- Mogę sobie wyobrazić, że woli nie wiedzieć, co oznacza to słowo. - Rhys podszedł do skrzyni, którą poprzedniego dnia przyniósł Morgan, i podniósł wieko. Wyjął czyste odzienie, zatrzasnął kufer i zaczął się ubierać.

- Udało ci się czegoś dojść?

- Owszem. - Brian odkaszlnął. - Wydaje się, że nie poszła do ołtarza z własnej woli. Gavin wymógł na niej małżeństwo po śmierci twojego ojca. Jeszcze nie ostygły ciała zamordowanych, a już ją brał za żonę, tak mu było spieszo zagarnąć Glenlyon.

- Wczoraj broniła go z całych sił. - Rhys wdział czystą, lnianą tunikę, zawiązał tasiemki pod szyją i sięgnął po skórzany kaftan. - Teraz utrzymuje, że nigdy go nie kochała.

Brian wzruszył ramionami.

- Myślę, że nie kłamie. Była w niebezpieczeństwie i szukała sposobu, żeby się ratować.

Rhys nałożył kaftan i sięgnął po pas.

- Wierzysz jej?

Brian znowu wzruszył ramionami.

- To, co mówi, zdaje się przekonujące. W każdym razie, łatwo dojdziemy prawdy, wypytując innych pojmanych i tych z załogi, którzy przeszli na naszą stronę. Byłaby głupia, obstając przy kłamstwie.

- Kobiety rzadko widzą, że kłamstwo ma krótkie nogi - mruknął, myśląc o pannie leżącej w jego łożu. - Widzą, co chcą widzieć, nigdy to, co dla nich najlepsze. - Odwrócił się i popatrzył na Saszę. Wytrzymała jego spojrzenie z chłodną miną, z wysoko podniesioną brodą, w buntowniczym geście, który zdążył już poznać tak dobrze, a który nieodmiennie doprowadzał go do wściekłości. Bezczelna dziewczka. Nie miała nawet na tyle przyzwoitości, by się porządnie okryć, tylko siedziała dumna i harda, jakby była całkowicie ubrana. Jej nagie ramiona błyskały w cieniu baldachimu. Chociaż podciągnęła kolana pod brodę i okryła się wzorzystą kapą, pokazywała znacznie więcej, niż powinna.

Rhys warknął, żeby zaciągnęła kotary przy łożu i nie robiła z siebie widowiska. W odpowiedzi błysnęła oczami i uśmiechnęła się słodko, co już powinno było być wystarczającym ostrzeżeniem. I rzeczywiście, nie musiał długo czekać. Odrzuciła kapę, uniosła się na kolanach i pokazując bezwstydnie nagie piersi, dopiero sięgnęła do kotar.

Briana zatchnęło. Rhys stał bez ruchu, zmrożony jej zuchwałością. Trwało to całe wieki. W końcu ciężka materia zasłoniła łoże. Sznury zatrzęszczały, gdy sadowiła się z powrotem na materacu. Zza kotar dał się słyszeć cichy śmiech.

Brian pierwszy przerwał martwą ciszę:

- Na dole, w wielkiej sali, podano już mięso i chleb. Zejdę tam i poczekam na ciebie. Skończymy naszą rozmowę później.

- Nie - odrzekł Rhys, tak wściekły, że myśli mu się płatały w głowie. - Dokończymy teraz i razem zejdziemy do wielkiej sali.

Gdyby został w komnacie, pewnie zatłukłby Sashę na śmierć, a nie chciał rozpoczynać swojego pierwszego dnia w Glenlyon od krwawej zbrodni.

Zapiął pas, wziął miecz i wyszedł, trzaskając drzwiami. Wyprostowany w pełnej respektu postawie strażnik wysłuchiwał uważnie związanych poleceń Rhysa: niech chłopak dobrze baczy, by milady pod żadnym pozorem nie opuszczała komnaty. Popatrzył ostro i powtórzył:

- Nikt poza mną nie może wypuścić jej z komnaty, rozumiesz?

- Tak, panie - odrzekł pocziwiec. - Wszystko żem zrozumiał.

- I bardzo dobrze, bo jeśli dziewczyna ci się wymknie, obydwójecie dacie głowy.

Przez całą drogę do wielkiej sali Brian nie odezwał się słowem. Po wydarzeniach poprzedniego wieczoru nie zostało śladu. Posadzki wysłano świeżym sitowiem, w świecznikach obsadzono nowe świece, w korytarzach paliły się łojówki. Czeladź krzątała się cicho, ustawiając długie stoły i ławy prostopadle do pańskiego stołu na podwyższeniu. Z kuchni szły smakowite zapachy, wnoszono drewniane tace z chlebem. U szczytu, na głównym stole, ustawiono srebrną zastawę; na pozostałych skromniejszą, cynową.

- Owain już od brzasku jest na nogach - rzekł Brian, gdy szli do głównego stołu. - Wszędzie zajrzał, wszystkiego dopatrzył.

Szczęśliwie Gavin nie zdążył dokonać w warowni i przynależnym dobytku większych spustoszeń.

Rhys skinął głową z zadowoleniem. Złość na Sashę powoli mijała. Dziwne uczucie, powrócić do znanego miejsca i znaleźć je tak swojskim, a tak przecież odmienionym. Dobrze pamiętał okolicę. Wieś i wzgórza pozostały niemal takie same. Zniknęły tylko surowy, drewniany dwór warowny, choć część zabudowań przypominała te dawne. Próbował wyobrazić sobie ojca, siedzącego za głównym stołem, na stolcu z wysokim oparciem, gdzie zawsze zasiadał pan Glenlyonu, ale było to zbyt trudne.

Griffyn ap Griffyd - pamiętał go bardziej jako krzepkiego, burkliwego mężczyznę o ogorzałej, władczej twarzy, odzianego w skóry. Był równie dziki i nieokrzesany jak wszyscy ich walijscy przodkowie. Trudno zaiste pojąć, że ten nawykły do surowych warunków człowiek zamieszkiwał nowy kasztel.

- Czuję się tu jak przybysz, obcy w moim Glenlyonie - mruknął Rhys.

Brian skinął głową.

- Jednak jesteś tutaj jego prawowitym panem, Rhysie. Nikt nie może temu zaprzeczyć.

- To prawda, zaprzeczyć nie może nikt. - Uśmiechnął się.

Poczuł się lepiej, kiedy zasiadł w końcu na wysokim krześle, z podgłówkiem haftowanym w gryfy. Potoczył wzrokiem wokół, po znajomych twarzach rycerzy i żołnierzy, zbierających się przy stołach na poranną biesiadę. Z większością spośród nich stawał razem w bitwach. Jednych poznał, zanim ruszył z Ryszardem do Jerozolimy, z innymi los zetknął go dopiero podczas krucjaty. Wszyscy przysięgli mu kiedyś lojalność. Teraz, skoro sprawa dziedzictwa została przesądzona, a on przejął tytuł lorda Glenlyon, winni ponowić śluby wierności. Tak, wszystko zaczynało układać się pomyślnie.

Po porannym posiłku, kiedy służba sprzątała półmiski i kubki, rzucając odpadki hałaśliwej sforze psów, do Rhysa podszedł Owain, by omówić naglące sprawy. W pierwszej kolejności należało zdecydować o losie jeńców i rozesłać wieści do baronów. Rhys postanowił poczekać z decyzją dotyczącą losu Gavina i Cailin, gdyż najpierw chciał zająć się pozostałymi więźniami. Przeprowadzono przed jego oblicze Bowena ap Owaina. Rhys zmru-

żonymi oczami przyglądał się synowi swojego majordoma. Młodzieniec był zdenerwowany, ale twardo patrzył w oczy Rhysa.

- Znasz zarzuty - powiedział Rhys, kiedy przeczytano je na głos. - Słyszałeś też słowa świadków.

Bowen skinął głową.

- Tak, panie.

- Masz coś na swoje usprawiedliwienie?

- Zawiniłem, ale nie bez powodu.

Rhys obserwował go bacznie.

- Wyłuszc go zatem.

Bowen przestąpił z nogi na nogę, zabrzczały łańcuchy. Jego ojciec stał nieopodal, milczący i napięty; czekał. Bowen odchrząknął i rzekł spokojnie:

- Gdybym nie okazał Gavinowi posłuszeństwa, zabiłby mojego ojca- Wybrałem to pierwsze, panie, mimo że wstrętny był mi mój wybór.

- Pomimo to ojciec został wtrącony do lochu, gdzie miał zginąć śmiercią głodową. Co wówczas uczyniłeś?

- Nic nie mogłem uczynić, ale m skrycie słał mu tyle jedzenia, ile mogłem, by go utrzymać przy życiu.

Ktoś zakaszał i dwa psy zaczęły szczekać; jeden ze strażników szybko je uciszył. Rhys milczał. W opowieści Bowena tkwiło z pewnością ziarno prawdy, a fakt, że Owain nadal żył i miał się dobrze, pomimo ciężkich przejść, dowodził, że otrzymywał dość pożywienia. Bowen nie zasługiwał na karę.

Rhys podniósł głowę. Wśród cisnących się pod ścianami więźniów wielu mogło zasłaniać się strachem, chociaż do zdrady nie popchnęło ich nic, poza własnym tchórzostwem. Jeżeli okaże słabość ludzi, którzy wcześniej służyli jego ojcu, straci szacunek wszystkich. Nikt nie chce służyć słabemu panu. Znowu zbytnia surowość wzbudzi lęk i nienawiść. Mogli się go lękać, a jakże, ale nienawiść to trujące uczucie.

- Bowenie ap Owain - powiedział. - Wierzę, że powodował tobą ból i strach o ojca, ale to jeszcze nie zwalnia cię z odpowiedzialności. Że nie przyłożyłeś ręki do rebelii, w której zamordowano mojego ojca i braci, daruję ci życie. Nie ukarzę cię też za to, że podniosłeś rękę przeciw mnie, ale całkiem darować

win nie mogę. Skazuję cię na piętnaście batów. Pojutrze staniesz pod pręgierzem. Potem zostaniesz uwolniony.

Bowen zbladł lekko, ale wysłuchał sentencji z kamiennym wyrazem twarzy. Skłonił głowę.

- Tak, panie.

Rhys napotkał spojrzenie Owaina. Ochmistrz uśmiechnął się nieznacznie.

- Niech stanie teraz przede mną Arnalt z Cwnllew, za którym nie wstawił się żaden świadek...

Sąd nad więźniami zakończył się koło południa. Nie został wydany ani jeden wyrok śmierci. Ci, co walczyli u boku Gavina, zginęli podczas potyczki, a Rhys nie śmiał wieszać ludzi Jana, chociaż chętnie by to uczynił. Kary zostały wymierzone, wyroki ogłoszone. Pozostało tylko dwoje jeńców - Gavin i jego żona.

Najpierw rozprawi się z Gavinem.

Kiedy wprowadzono skutego kuzyna, ten uśmiechał się szyderczo. Szurał stopami po podłodze, głośno pobrzękując łańcuchami. Stanąwszy przed obliczem Rhysa, pchnięty przez strażnika padł na kolana. Jego oczy płonęły nienawiścią. Nie skłonił głowy.

- A więc jednak powróciłeś do Walii - powiedział ostro Gavin. - Przyznam, że na to nie liczył.

- Ale ty to sprawiłeś. - Rhys od niechcenia uderzał ręką sztyletu w otwartą dłoń, jakby nudziła go ta rozmowa. W rzeczywistości najchętniej zeskoczyłby z podwyższenia i poderżnął kuzynowi gardło. - Gdyby to ode mnie zależało, gdyby nie śmierć ojca i braci, nigdy nie wróciłbym do Walii.

Gavin prychnął z niedowierzaniem.

- Trudno mi w to uwierzyć. Bardziej rozbójnik niż rycerz, bez ziemi i tytułu, zakładnik, więcej Anglik niż Walijszyk. I ty powiadasz, że wolałeś tamto życie? Wyświadczyłem ci łaskę, kuzynie.

Rhys pochylił się do przodu.

- Wybrałeś śmierć, kuzynie.

- Zabij mnie, a księżę Jan zakuje cię w łańcuchy, zanim mrgniesz okiem - warknął. - Jam pod jego opieką, a com robił, czyniłem za jego zgodą.

- Za mną stoi Ryszard.

Gavin roześmiał się.

- Ryszard w Jerozolimie i tyle myśli o Anglii i Walii, ile pieniędzy zdoła wyciągnąć z tutejszych skarbców. Wierzysz, że poniecha swojej krucjaty, żeby cię wspierać?

- A ty naprawdę wierzysz, że jego ramię tak krótkie, że król nie ma już wpływu na sprawy państwa? - Rhys uśmiechnął się. - Jego Wysokość nadal włada, chociaż jest daleko. Jeżeli dowie się, że Jan go zdradza, biada księciu. Zapewniam cię. Ryszard ciągle ma świeżo w pamięci tę nieszczęsną sprawę z zamachem na sędziego Wiliama. Wiliam był ulubieńcem króla Henryka i Ryszard ufa jemu, a nie Janowi.

Gavin nabrał powietrza w płuca i powoli wycedził:

- Jestem teraz na twojej łasce, ale nie myśl, że Jan nie weźmie odwetu za moją śmierć. Współczuję temu, kto jest na tyle nierozważny, by mieć w nim wroga.

- Z dwojga złęgo, wolę mieć wroga w Janie niż w Ryszardzie - oznajmił Rhys z uśmiechem. - Nawet Jan drży przed Ryszardem, jak to pokazał nie raz, uciekając, gdy zawodziły jego zdradzieckie knowania. Kiedy Ryszard powróci z Jerozolimy, Jan znowu trafi do Tower.

- Jako mąż twojej siostry, miałem wszelkie prawa do dziedzictwa po Gryffinie, odkąd Glenlyon został bez pana - odparł na to Gavin.

Rhys wstał, mocno ściskając w rękę sztylet.

- Został bez pana, boś zamordował mojego ojca i braci. Dziękuj, że Jan stoi za tobą, inaczej już byś nie żył. Tymczasem będziesz gnął w lochu i żałował za swoje grzechy, dopóki nie wróci Ryszard. Kiedy zaś wróci, zawiśniesz na murach Glenlyonu, na przestrogę dla innych zdrajców, co sięgają po cudze dobra, ważąc się na podstępny mord.

Gdy Gavin wydał nieartykułowany dźwięk, Rhys skinął na strażników, by odprowadzili jeńca. W wielkiej sali zapadła śmiertelna cisza, słychać było tylko pobrzękiwanie łańcuchów Gavina i jego bełkotliwe protesty. Po chwili ponownie zaległa cisza. Rhys dopiero teraz zorientował się, że stoi, ściskając w dłoni swój sztylet. Spojrzał na rękę i nie zdziwił się zbyt, kiedy ujrzał świeżą krew w miejscu, gdzie ostrze rozcięło skórę. Wyglądało to tak, jakby z trudem pohamowywana wściekłość obróciła się

przeciwno niemu. Pozwolił, by Brian opatrzył ranę, po czym kazał sprowadzić swoją przyrodnią siostrę.

Najwidoczniej słyszała, jak rozprawił się z jej mężem, bo stanęła przed nim blada, ale butna. Oczy miała szeroko otwarte z przestachu, lecz nie zamierzała się poddać. Rhys westchnął głęboko, pociągnął łyk wina, po czym odstawił kubek i spojrzał na dziewczynę.

Z jakiegoś powodu przypominała mu Saszę. Może przez swą hardość i wojowniczą postawę, a może z racji ciętego języka.

- Skoro Jan nie jest moim opiekunem, przypuszczam, że nie zamierzasz mnie oszczędzić - rzuciła wyzywająco. Tylko lekkie drżenie głosu zdradzało, jak bardzo się boi.

- Masz świadków, którzy mogą zaręczyć za ciebie, potwierdzając, iż wyszłaś za Gavina pod przymusem? - zapytał łagodnie i zdziwił się, gdy do przodu wystąpił Brian.

Kiedy Irlandczyk napotkał zdziwione spojrzenie swojego pana, oblał się rumieńcem, ale oznajmił dobitnie:

- Nie było mnie tutaj, o czym wiesz, ale potrafię przedstawić kilku świadków, którzy potwierdzą, że została zmuszona do ślubu, panie.

Ochłonawszy nieco, Rhys skinął głową.

- Wezwij ich, Brianie.

Brian zawahał się.

- Jednym z nich jest Bowen ap Owain. Skoro nie został osądzony za zdradę, jego słowo powinno być w pełni wiarygodne.

Jeszcze jedna niespodzianka. Rhys skrzywił się. Skąd u Briana tyle uważania dla dziewczki? Skinął głową.

- Dobrze. Przeprowadź go, niech świadczy za nią, sprowadź też innych, którzy chcieliby się wstawić za Cailin.

Świadczenia na korzyść dziewczyny były krótkie i oczyszczały ją z winy. Po śmierci ojca i braci została dziedziczką Glenlyonu i tego samego dnia wydano ją za Gavina. Nikt nie pytał jej o zdanie. Teraz Rhys miał zdecydować o jej losie.

Przyglądał się jej uważnie. Sprawa różniła się od innych nie tylko dlatego, że szło o niewiastę. Była młoda i bezbronna. Nie miała nikogo, kto ochroniłby ją przed Gavinem. Rhys nie mógł srogo karać niewinnej. Nadal jednak pozostawała żoną jego kuzyna i wroga. Potarł oczy.

- Małżeństwo zostanie unieważnione, a tobie znajdziemy innego męża - oznajmił po chwili. Utkwił wzrok w jej bladej twarzy. - Być może sama będziesz mogła wybrać sobie oblubieńca.

- Ten, którego bym chciała, nie żyje - odrzekła. - Odmawiam zameścia.

Zachmurzył się. Niezameżna panna na wydaniu, ze znacznym posagiem, mogłaby mu przysporzyć kłopotów, a tych wolał uniknąć. Zmęczony, zakończył gniewnie: - Uczynisz, jak nakazałem.

- Pierwej będziesz musiał mnie zabić.

- Zważywszy, w jakim dziś jestem usposobieniu, po całym dniu sądów, mogę wyświadczyć ci tę przysługę - warknął.

- Panie - wstawił się po raz wtóry zaniepokojony Brian. - Milady jest wstrząśnięta i osłabiona. Pozwól mi odprowadzić ją do jej komnaty.

Rhys wstał.

- A prowadź ją, gdzie chcesz, Brianie, ale uważaj, żeby nie wraziła ci sztyletu w plecy.

Kiedy Brian wyprowadził Cailin z sali, Rhys zwrócił się do Owaina:

- Dopilnuj, by jej małżeństwo zostało unieważnione tak szybko, jak to możliwe. Muszę znaleźć dla niej męża i uwolnić się od niej.

- Tak, panie. - Owain notował skrzętnie polecenia na pergaminie, - Stanie się podług twojej woli.

W oczach ochmistrza zabłyśły iskierki współczucia. Rhys zawahał się.

- Zważywszy okoliczności, wydałem najłagodniejsze wyroki, jakie mogłem, Owainie.

- Tak, panie, to prawda. Osądziłeś ludzi sprawiedliwie.

To najwyższa pochwała, jaką mógł usłyszeć. Więcej nie mógł żądać od wiernego Owaina. Uśmiechnął się, skinął głową, po czym opuścił podium i ruszył w stronę krętych schodów, które prowadziły do jego komnaty. Był w takim nastroju, że łącno mógł teraz rozprawić się z nagą krnąbrną panną, którą rano zostawił w swoim łożu.

16

Suknia była już prawie sucha, trochę w szwach wilgotna, ale mimo to postanowiła ją wdziać. Robiło się późno, a nie chciała znowu pokazywać się Rhysowi nieubrana. Przelotny uśmiech zaigrał jej na ustach. Cóż za widok przedstawiał sobą, kiedy wlepił w nią wściekłe spojrzenie; choć raz zaniemówił. Dla tego jednego warto było odegrać poranną scenę.

A Brian... zaśmiała się, wciągając przez głowę czystą, choć potarganą suknię, lekko drżąc, kiedy mokre szwy dotknęły ciała. Najśmieszniejszy był Brian; zatchnął się, wytrzeszczył oczy wielkie ze zdumienia niczym spodki. A jego myśli... tak, to jego ponure spojrzenia pchnęły ją do psoty. Wcale nie czuła wyrzutów sumienia. Rycerz był tak zakłopotany tym, co zobaczył, że nie panował nad swoimi myślami i reakcjami. Mając przed oczami jawny dowód, że Rhys barłoczył się z panną z puszczy, natychmiast przyszedł do wniosku, że rzuciła urok na jego pana.

Widział w niej najprawdziwszą czarownicę, dopóki nie uniosła się z posłania i leniwie nie zaciągnęła kotar, posłuszna opryskliwemu poleceniu Rhysa. Obaj powinni wyciągnąć nauczki z porannej sceny. Brian zobaczył ją wreszcie w innym świetle. A Rhys? Ciekawe, czy i jego czegoś nauczyło jej zachowanie.

Odgarnęła kosmyk włosów z oczu, podeszła do stołu i sięgnęła po kromkę chleba z wczorajszej kolacji. Szczerstwiał, a wystygłe mięso pokryła zimna galareta sosu. Wszyscy o niej zapomnieli, nikt nie przyniósł jej świeżego jedzenia. Poza strażnikiem za

drzwiami, z nikim nie zamieniła słowa. Chłopak oznajmił, że nikt nie ma prawa wejść do komnaty, ani jemu nie wolno wypuścić milady. Więc to tak. Na próżno domagała się, by przysłał jej dziewczkę służebną do posługi. Odmawiał, głuchy na wszelkie prośby i groźby.

Rozeźlona zabarykadowała drzwi, chociaż nie było jej łatwo unieść ciężki skobel - długo się z nim mocowała, wreszcie umieściła na swoim miejscu. Potem umyła się, wyprała swoje suknie w kadzi z zimnymi mydlinami, a następnie zaczęła myszkować w rzeczach Rhysa, licząc, że natrafi na coś zajmującego. Bez żadnych skrupułów przeszukała jego kufer, lecz znalazła tam przeważnie ubrania. Skrzynia była zamknięta, ale i z tym się uporała. Większość zamków to prosta kowalska robota, otworzyć je łatwo. Pewien człowiek z Sewilli nauczył ją tej sztuki, zanim został powieszony za swój złodziejski proceder. Dlatego Sasha używała nabytych talentów nader rozważnie.

Przynajmniej do tej pory. W obecnej, jakże niepewnej sytuacji, nie wolno jej lekceważyć żadnego sposobu, który mógłby poprawić jej położenie. Być może Elspeth dotarła już do Glenlyonu. Jeżeli tak, trzeba uczynić wszystko, by zobaczyć się z nianią i Biagiem. Brakowało jej Elspeth; zrzędziła, marudziła, bez przerwy napominała, wszystko miała za złe swojej wychowawicy, ale w szalonym życiu Sashy była uosobieniem rozsądku.

Westchnęła ciężko. Espeth na pewno się domyśli. Kiedy tylko ją zobaczy, od razu będzie wiedziała, co zaszło między nią a Rhysem. Przed nią nie dało się nic ukryć, bo Elspeth czytała w jej duszy niby w otwartej księdze, z podziwu godną przenikliwością umysłu. Dokuczliwe uwagi starej niani nie były przynajmniej tak grubiańskie i bezczelne jak komentarze Biagia.

Biagio. Nie mylił się. On wiedział, tylko ona była ślepa. Pochłonięta rozmyślaniami o przepowiedni, niewiele poświęcała uwagi swoim uczuciom dla Rhysa. A teraz, teraz wszystko się pogmatwało: przepowiednia, jej dziedzictwo, miłość do Rhysa. Jednak musi postawić na swoim. Straciła wszak to, co najważniejsze - dom, ziemie ojca, szczęśliwe dzieciństwo - i nie spocznie, dopóki nie odzyska swego. Z wyjątkiem dzieciństwa, tego nikt jej nie przywróci.

Z posepną miną przysiadła na stołku i zaczęła pogryzać kawałek chleba, zastanawiając się nad obrotami losu, które rzuciły ją w ramiona Rhysa, do Glenlyonu.

Popołudniowe światło wpadało przez otwarte okiennice, gdy wrócił Rhys. Uniosła głowę i parsknęła cichym śmiechem, słysząc na korytarzu dudniące kroki. Spokojnie czekała, aż skończy wymianę zdań ze strażnikiem. Po chwili spróbował otworzyć zamknięte od wewnątrz drzwi. Nic nie wskórawszy, począł walić w nie tak mocno, że aż drżała ościeżnica. Sasha uśmiechała się coraz szerzej.

Podniosła się powoli, podeszła do drzwi i przez jakiś czas mocowała się ze skoblem, wypychając go z uchwytów, aż opadł z łoskotem. Drzwi natychmiast rozwarły się na oścież z głośnym łoskotem. Rhys stał w progu z oczyma ciemnymi niczym chmury gradowe.

- Co, do diabła, ma znaczyć barykadowanie się przede mną w mojej komnacie? - Jego głos był jeszcze bardziej mroczny niż spojrzenie i o wiele groźniejszy.

Cofnęła się o krok.

- Nie barykadowałam się przed tobą, panie. Gdybym miała taki zamiar, nie stałbyś teraz tutaj.

Jej subtelna uwaga chybiła celu. Rhys zatrzasnął drzwi i oparł się o nie. Pomyślała, że źle obliczyła skutki własnej taktyki. Zabarykadowane drzwi miały symbolizować, z jaką łatwością potrafi wyrzucić Rhysa ze swojego życia, gdyby ten w męskiej głupocie chciał zostawić ją samą. Być może obrała zbyt subtelny symbol. Była pewna, że wychodząc rano z sypialni, miał jeszcze w oczach jej nagą postać. O to jej szło. Po powrocie winien zastać drzwi zamknięte. Uznała, że to doskonały sposób. Niech zrozumie, że piękny kwiat nie musi być stale do jego dyspozycji.

Teraz okazało się, że plan nie był najlepszy. Zaszła smutna pomyłka.

Wodził oczami po komnacie, popatrywał na Saszę i znowu rozglądał się po wnętrzu. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że zapomniała zamknąć jego rzeźbioną, drewnianą skrzynię. Za późno, dostrzegł już otwarte wieko. Cofnęła się, jakby tych kilka kroków miało uratować jej życie. Ponownie spojrzał na nią, zimno i przenikliwie.

- Czego szukałaś, mój kwiecie?
- Dla dodania sobie odwagi wzięła głęboki oddech.
- Niczego szczególnego. Ja tylko tak... z ciekawości.
- Aha, z ciekawości. Pomimo że skrzynia była zamknięta na klucz.
- Była. - Nie było co zaprzeczać. Wystarczyło jedno spojrzenie na zamek, żeby poznać prawdę. - Ale... ją otworzyłam.
- Nie mając klucza? Za pomocą magii?
- Skrzywiła się nieznacznie.
- Skądże. To prosty zamek, jeżeli człowiek wie, jak się z nim obchodzić.
- Przypuszczam, że mi pokażesz. - Jego głos był nadal cichy. Nie wrzeszczała, jak oczekiwała. Poruszyła się niespokojnie.
- *Raczej nie.*
- Ruszył w jej kierunku. Nie mając dokąd uciec, stała bez ruchu. Podniosła tylko wysoko głowę w oczekiwaniu na najgorsze i zacisnęła dłonie za plecami, żeby ukryć ich drżenie.
- Ujął ją za ramię, pociągnął do stołu i posadził na krześle. Sam pochylił się nad nią, opierając obie ręce na blacie. Czuła się jak w potrzasku. Przybliżył twarz do jej twarzy tak blisko, że widziała, jak w jego wzburzonych szarych oczach migoczą płomienie furii.
- Przypominał lwa, który za chwilę rzuci się na ofiarę. Poczwała przeraźliwy chłód.
- Powiedz mi, kwiatuszku, czego szukałaś. Może będę mógł ci pomóc. Poszukamy razem.
- Już ci mówiłam... niczego. Jestem tylko... ciekawska. To zły nawyk, którego muszę się pozbyć. - Głos jej drżał. - Naprawdę.
- Jeszcze jedno kłamstwo? Gdyby kłamstwa obracały się w kamienie, zbudowałabyś już do tej pory twierdzę nie do zdobycia, mój kwiecie. - Wprostował się. - Albo kryptę.
- Skrzywiła się. Aluzja była nadto oczywista. Podniosła wzrok.
- Dobrze, powiem ci, czego szukałam... Szukałam prawdy.
- Bardzom ciekaw, jak potrafisz ją rozpoznać, skoro jest ci tak obca. - Pokręcił głową, rzuciwszy jej zimne i złowrogie spojrzenie. - Spróbuj jeszcze raz, mój kwiecie.
- Jak miała mu wytłumaczyć, że szukała tam kawałka jego samego? Czegoś, co mogłaby sobie zatrzymać i ukochać, cząstki

jego przeszłości lub terażniejszości, która być może przyniosłaby wyjaśnienia, dlaczego jest taki, jaki jest. Wiedziała o nim niewiele, garstka nic nie znaczących szczegółów, to wszystko. A chciała wiedzieć znacznie, znacznie więcej. Musiałby ją torturować, żeby wydobyć z niej tę prawdę.

Zła bardziej na siebie, niż na niego, wzruszyła ramionami.

- Nie mam nic na swoją obronę. Cokolwiek powiem, obrócisz przeciwko mnie lub puścisz mimo uszu, szkoda próbować. Myśl sobie, co chcesz. Jak zwykle zresztą.

Odszedł na bok, wziął dzban i kubek, zawahał się. Najwyraźniej zastanawiał się, czy miała dostęp do swoich ziół. Bardzo dobrze, niech się zastanawia, niech ją podejrzewa, ona nie zamierza nic wyjaśniać.

Odstawił wino.

- Gavin uwięziony. Mój ochmistrz pisze list, w którym domagam się sądu i egzekucji za mord na moim ojcu i braciach - oznajmił niespodziewanie.

To miało być wyraźne *ostrzeżenie*, *lecz* zupełnie jej nie obeszło. Wzruszyła ramionami.

- Mam nadzieję, że otrzymasz pozwolenie na sąd i egzekucję, jeśli tak ci na tym zależy.

- Owszem, zależy. A tobie? Na czym tobie zależy?

Spojrzała mu w oczy,

- Ty wiesz, na czym mi zależy, mówiłam ci o tym wiele, wiele razy.

- Nie, mówiłaś mi to, co w twoim mniemaniu chciałem usłyszeć. Albo opowiadałaś śmieszne bajki o przepowiedni i zemście.

- Śmieszne bajki? - Pokręciła głową, a gniew sprawił, że w jej głosie zabrzmiał twardy ton. - Nie bardziej śmieszne niż słanie petycji do króla, by pozwolił ci wziąć odwet na kuzynie za jego krwawe zbrodnie. Dlaczego moje pragnienie zemsty miałoby być gorsze?

- O to ci chodzi? Myślisz, że jeśli pomożesz Gavinowi ująć cało, on w podzięce pomoże ci w spełnieniu śmiesznej przepowiedni?

Zerwała się na równe nogi z prędkością wypuszczonej z łuku strzały, w złości i frustracji zapominając o przezorności.

- Gavin, Gavin. Niedobrze mi się robi, kiedy słyszę o tym głupcu. Ja mówię o kuzynie mojego ojca, o Al-Haminie. Nie widziałam Gavina na oczy, dopóki jego ludzie nie przywieźli mnie tutaj. Nawet wtedy cię nie zdradziłam.

- Jeszcze jedno kłamstwo.

Gdy chwycił ją za ramię, z odrazą wzniosła w górę rękę i szarpnęła się do tyłu, ale Rhys trzymał mocno, wbijając palce w jej ciało.

- Znałaś go wcześniej. W Wytham opisałaś mi dokładnie jego wygląd. Zapomniałaś o tym?

Wbiła w niego nieruchome spojrzenie. Naraz przypomniała sobie, jak jękając się ze strachu opisywała człowieka o twarzy łasicy i ciemnych, przenikliwych oczach, jak to ubarwiała swoją opowieść, mówiąc o kopytach i rogach. Skąd mogła przypuszczać, że opis przypominał Gavina? Pokręciła głową.

- Wymyśliłam wszystko. Musiałam coś powiedzieć. Byłeś taki zły, a ja przerażona. To zbieg okoliczności...

- Taki sam zbieg okoliczności, jak spotkanie ze mną w puszczy? Na łące? I potem w Wytham? - Jeszcze mocniej zacisnął palce. - Podług mnie, za dużo tych zbiegów okoliczności.

Za późno dojrzała straszną sieć kłamstw i półprawd, która teraz zaciskała się wokół niej. Przepadła z kretesem. Teraz, cokolwiek by powiedziała, brzmiałoby jak jeszcze jedno kłamstwo, a nowa prawda była tak śmieszna i tak jeszcze mglista, że sama nie była jej pewna.

- Ale to prawda, panie mój. - Tylko tyle zdołała wykrztusić.

To żadna obrona. Poznała to po wyrazie jego twarzy i strasznych błyskach w oku. Nieszczęście. Teraz już żadnymi słowami nie przekona go, że nigdy nie chciała mu zaszkodzić, pragnęła tylko, żeby jej pomógł. Uczciwie musiała przyznać, że zabrzmiałoby to śmiesznie. Cóż, prawda bywa niekiedy żałośnie śmieszna.

Czuła jednak, że powinna próbować. Położyła dłonie na jego przedramionach, gdzie muskuły grały pod czystym lnem tuniki. Trzymał ją tak mocno, że nie była w stanie wykonać żadnego innego gestu.

- Uwierz mi, Rhysie. Nigdy cię nie zdradziłam. Nigdy, nigdy nie chciałam ci zaszkodzić.

Przez napięte mięśnie przeszedł dreszcz, w oczach pojawił się nagły błysk i zaraz zgasł. Przymknął powieki.

- Jesteś ulepiona z samych kłamstw. Nie mam powodu, żeby ci wierzyć - oznajmił chłodno, zdecydowanie.

Puścił ją, odsunął się, stanął w świetle słońca, które kładło się złotym blaskiem na jego włosach. Znowu poczuła w sobie straszną, palącą pustkę. Rozdrażniła go, barykadując drzwi. Był dla niej stracony. Co najlepszego uczyniła? Dlaczego tak okrutnie pobłądziła? Wąty płomyk ufności i nadziei, który na moment zapalił się w jej sercu, zgasł za jednym podmuchem, pograżając Saszę na powrót w lodowatym mroku.

Na wewnętrznym dziedzińcu zaturkotały drewniane koła, osiołek zatrzymał się, cicho porykując. Rhys odwrócił głowę i ujrzał staruszkę prowadzącą wóz. Elspeth. Podniosła wzrok i na widok rycerza twarz jej stężała.

Tylko tej tu brakowało. Zasoby cierpliwości Rhysa dla Sashy i jej służących były niemal na wyczerpaniu. Nie miał zamiaru znosić kolejnych scen. Harda, kłamliwa panna i bezczelny włoski młokos wystarczająco mu już dojedli. Zdziwiający, że ta dwulicowa dziewczka mogła budzić w ludziach takie oddanie i tyle wierności. Jak tego dokonała?

Machnął niecierpliwie ręką i wrócił do spraw niecierpiących zwłoki. Omawiał właśnie z sir Peterem, jak rozlokować ludzi i zwierzęta. Kiedy skończył, nie zdziwił się nawet specjalnie, widząc, że Elspeth cierpliwie czeka, aż raczy zwrócić na nią uwagę.

- Panie - zatrzymała go. Jej oczy były pełne troski, ale z pomarszczonej twarzy biła pewność siebie. - Czy moja pani dobrze się miewa?

- Aż za dobrze. - Zimna odpowiedź pogłębiła tylko zatroskanie staruszki. Rhys zaklął pod nosem i popatrzył w stronę zabudowań gospodarczych, gdzie ludzie pracownicy sortowali i spisywali zapasy. Liczono beczki z solonym mięsem, szacowano zasoby żyta i pszenicy, znaczone baryłki z piwem i beczki z winem. Było to zadanie żmudne, nudne, ale konieczne. Zerknął ponownie na

Elspeth. - Przebywa w wygodnej komnacie, pod strażą. Nie jest źle traktowana, ale nie ufam jej.

Elspeth skinęła głową. Nie wydawała się zbyt zdziwiona ostatnią informacją.

- Czy mogę ją zobaczyć?

Przyglądał jej się przez chwilę. W zalewających dziedzińcach jasnych promieniach słońca widać było wyraźnie wymykające się spod czepka staruszki siwe włosy. Pomarszczona twarz wydawała się ucziwa. Potrafił to dostrzec i docenić.

- Pod warunkiem, że powiesz mi, dlaczego mnie śledziła - odrzekł szorstko.

Elspeth zawahała się. Wygładziła niewidoczną fałdę na sukni, spuściła oczy, zastanawiała się przez chwilę nad jego żądaniem, wreszcie odparła:

- Zabrzmi to niepoważnie i głupio.

- Nic bardziej głupiego niż to, co mówi dziewczyna, już chyba nie mogę usłyszeć. Mów.

Na ustach kobiety pojawił się nieznaczny uśmiech. Skinęła głową.

- Mogę sobie wyobrazić, co ona ci naopowiadała. Dlatego czuję, że moje słowa zabrzmiały tak samo głupio. - Zaczepnęła powietrza. - Mówiła ci o przepowiedni?

- Chryste, tylko nie to.

- Wysłuchaj mnie, panie, proszę. - Podniosła rękę w błagalnym geście, gdy chciał odejść. - To prawda, chociaż zapewne wygląda nieco inaczej, niż przedstawia ją Sasha. Może nawet ona sama nie zna całej prawdy. To dość długa historia. Nie wiem, czy starczy ci cierpliwości i dobrej woli.

Na dziedzińcu rozległ się głośny turkot wozów. Przekleństwa i postękiwania ludzi dźwigających ładunki niemal zagłuszyły słowa Elspeth. Rhys ujął ją za ramię.

- Wejźmy do środka. Porozmawiamy w sali. Niech w końcu wysłucham waszej opowieści.

W wielkiej sali nie było nikogo, tylko psy wałęsały się po sitowiu, węsząc, poszczekując, jak to psy, zajęte swoimi sprawami i obojętne na obecność ludzi, chyba że przyszła pora posiłku. Czysta ściółka dawała przyjemny zapach, zmieszany z wonią

świec i płonących polan. Rhys posadził Elspeth na drewnianej ławie w pobliżu ognia.

Popatrzyła na niego, dłonie złożyła na kolanach. Zauważył, że palce lekko jej drżą. Nabrała powietrza, zdobyła się na niepewny uśmiech i zaczęła:

- Nie wiem, ile Sasha zdążyła ci opowiedzieć, jej wspomnienia to wspomnienia dziecka, które po swojemu widzi i zapamiętuje. Ponieważ tylko wspomnienia jej zostały, pozwoliłam, by nimi żyła.

Gdy przerwała na chwilę, wtrącił:

- Sam wiem niewiele, tyle tylko, że mam jakoby spełnić jakąś mętną przepowiednię sprzed lat. Upiera się, bym odzyskał jej utracone dziedzictwo. Trochę piasków pustyni i kilka osłów czy coś w tym rodzaju - wtrącił Rhys.

Elspeth uśmiechnęła się.

- Nie całkiem tak. To piękna kraina, pełna ogrodów nad chłodnymi wodami Eufratu: zielone drzewa, białe wieże pałaców i minarety... cudowne miejsce. Moja pani, matka Sashy, doceniała urodę swojej nowej ojczyzny, chociaż tęskniła do rodzinnej Anglii. Obie tęskniłyśmy. Nie trafiłyśmy tam z własnego wyboru, sam rozumiesz.

Znowu przerwała i milczała przez dłuższą chwilę, aż skinął głową i przytaknął:

- Kobiecie czasami trudno się pogodzić z małżeństwem ułożonym przez rodziny.

- Nawet nie w tym rzecz, panie - westchnęła Elspeth. - Sasha o tym nie wie, ale jej rodzice nie byli sobie poślubieni. Ojciec Sashy, Ben Al-Farouk, miał wiele żon i nałożnic. W tamtych stronach to zwykła, powszechnie przyjęta rzecz. Trudno się połapać w liczbie krewnych. Wówczas pojawili się w Arabii rycerze krzyżowi. Ludzie tacy jak ty. Mieli ze sobą kobiety, lecz nie wszystkie pojechały za nimi z własnej woli. Niektóre zostały pojmane siłą, wykradzione ze statków zmierzających do dalekich portów. Tak też stało się z moją panią, Elfredą, matką Sashy. Była małżonką bogatego hiszpańskiego szlachcica, ale nasz statek został napadnięty, a kobiety wzięte. Ben Al-Farouk kupił Elfredę na targu niewolnic, a że była piękna i mądra, uległ jej namowom i kupił jeszcze i mnie. - Na owe wspomnienia głos jej zadrżał i zamilkła.

Rhys skinął na przechodzącego służącego i kazał przynieść wino dla Elspeth. Z wdzięcznością napiła się trochę i nieco uspokoiła. Nieobce mu były podobne historie. Handel niewolnicami, uprowadzenia kobiet, nie należały do rzadkości. Uniósł brew, a Elspeth napotkała jego pytający wzrok. Pokiwała głową.

- Sasha myśli, że jej rodzice byli małżeństwem, panie. Nie miałam serca powiedzieć jej prawdy. Zachowała w pamięci Kochającą matkę i czułego ojca. Nie chciałam kłaść tych wspomnień.

- Zatem dziedzictwo, które chce odzyskać...

- Nie należy do niej. Gdyby była dojrzałym mężczyzną, silnym i walecznym, mogłaby zebrać ludzi i odzyskać ziemie zagarnięte przez Al-Hamina. Tak, oczywiście, nie jest. Jednak dla dziecka nadzieja, że pewnego dnia powróci do krainy szczęśliwego dzieciństwa, jest jedynym, co ma. Wszyscy odeszli. Wszyscy. Jej ojciec i matka zostali zamordowani, cały dwór: żony, nałożnice, wszystkie dzieci, które mogłyby pewnego dnia, kiedy dorosną, dochodzić swych praw. To była jedna wielka masakra.

- Jeżeli Al-Hamin wyróżnął wszystkich, dlaczego ją akurat oszczędził?

Znowu zapadła cisza. Rhys zrozumiał, że kobieta zastanawia się, ile może mu powiedzieć. Zachmurzył się.

- Mów prawdę.

- Lady Elfreda wiedziała o knowaniach Al-Hamina, ale Ben Al-Farouk nie słuchał jej przestroż. Nie chciał jej wierzyć, była tylko kobietą, a Al-Hamin mamił sułtana gładkimi słówkami i obietnicami bez pokrycia. Tedy Elfreda poczyniła sekretne przygotowania. Sama nie byłaby w stanie uciec, ponieważ eunuchowie strzegli kobiet z haremu jak oka w głowie. Ale małe dziecko... Zrobiłam, co kazała, chociaż serce mi krwawiło... Pożegnałam moją piękną Elfredę wczesnym rankiem... Nadal widzę jej twarz, oczy... pełne miłości... - Naraz załkała. Zakryła dłonią usta, otarła łzy. - Zrobiliśmy - kontynuowała po chwili - tak, jak chciała. Sasha nie wie nic o tamtych sprawach. Miała ledwie pięć lat. Udaliśmy się na rynek, gdzie czekał już umówiony przewodnik karawany. Obiecałam mu zapłatę w kosztownościach i zabrał nas ze sobą, wywiózł z miasta, na pustynię. Obejrzałam się za siebie tylko raz. Ujrzałam wznoszące się ku niebu kłęby

dymu i zrozumiałam, że Elfreda się nie myliła. Obiecałam, panie, że póki życia, będę czuwać nad jej ukochaną córką. Tak też było. I nadal tak będzie, nawet jeśli miałabym oddać wszystko. - Z drżeniem westchnęła. - Kocham ją. A że ją kocham, nie potrafiłabym patrzeć spokojnie na jej krzywdę. Ona myśli, że jest księżniczką. Po prawdzie, jest, ale nie ma żadnych praw do dziedzictwa. Nie posiada nic poza wspomnieniami i nadzieją, która pomaga jej żyć. Nie chcę jej tego odbierać.

W wielkiej sali zaległa głucha cisza, słychać było tylko trzask polan. Staruszka spojrzała na płomienie. Rhys patrzył na nią uważnie. To, co usłyszał, wiele wyjaśniało. Od niechcienia rozgarnął sitowie pod stopami.

- A co z przepowiednią?

- To dla mnie prawdziwa zagadka. Najpierw musiałyśmy się ukrywać, sam rozumiesz. Nie byłam pewna, czy Al-Hamin pamięta małą księżniczkę. Przez pewien czas wędrowaliśmy z rosyjską karawaną. Była tam jasnowidząca kobieta, która potrafiła przepowiedzieć przyszłość. To ona nadała Sashy obecne imię, a także przepowiedziała, że pewnego dnia pojawi się przed nią gryf i za jego sprawą odzyska wszystko, co straciła. Sasha uznała, że kobieta musiała mieć na myśli zagrabione ziemie sułtana. - Uśmiechnęła się lekko. - Teraz chyba zaczynam pojmować prawdziwe znaczenie przepowiedni, chociaż bardzo długo myślałam, że był to tylko sposób na pocieszenie skrzywdzonego przez los dziecka.

Dobrze rozumiał, co mogła czuć Sasha, rozumiał chaos i pomieszanie, w jakim musiała żyć, ból po utracie najbliższych. To wiele wyjaśniało, ale nadal nie usprawiedliwiała jej kłamstw. Czy nie przeżył tego samego? Czyż sam, będąc dzieckiem, nie został zdradzony przez tych, których kochał? Jednak przysięgł na miecz i nigdy nie złamał danego słowa. Popatrzył na Elspeth. Ta wytrzymała jego spojrzenie.

- Panie, wiem, że uważasz ją za istotę kłamliwą, oszustkę i zdrajczynię. Lecz posłuchaj, ona zawsze musiała udawać. Od dnia naszej ucieczki musiała udawać, że jest kimś innym, niż była naprawdę. Najpierw ukrywała się pod przebraniem chłopca. Kiedy dojrzała i nie dało się dłużej ukrywać kobiecych kształtów, była wszystkim, czym kto chciał: poetką, magikiem, tancerką, wcielała

się w dowolną postać, w zależności od sytuacji, byle przetrwać. Nie było to łatwe, wymagało wielkiego talentu i życiowej giętkości. Nikt nigdy nie pozwolił jej być sobą. Nie jestem nawet pewna, czy ona w ogóle zna siebie.

- Dlaczego opowiedziałas mi to wszystko? Nie podziękujecie mi za to.

- Nie. - Elspeth ponownie głęboko nabrała powietrza. - Ona nie musi mi za nic dziękować. Po prostu czuję, że powinieneś znać prawdę, chociaż nie wiem, z jakich powodów.

Rhys także nie wiedział. Niewiele rozumiał, poza tym, że jej dzieciństwo było równie niepewne, jak jego. Pośpiesznie spoglądał w ogień. Na jego życie złożyły się trudne prawdy, ona swoje zbudowała z ulotnych fantazji. Dwie tak odmienne formy zawodu, jednak ból ten sam.

- Dobrze, że powiedziałaś mi prawdę. Nie usprawiedliwia to jej kłamstw, ale wiele wyjaśnia.

- I tylko to ma znaczenie, panie. - Elspeth wstała, poprawiając suknię. - Teraz, skoro już tu jestem, czy mogę ją zobaczyć?

- Sam cię do niej zaprowadzę. Strażnicy mają surowo przykazane, żeby nikogo do niej nie wpuszczają. - Uśmiechnął się cierpko. - Jest niezwykle przewrotna.

- Tak, panie, wiem o tym. Od dziecka przyswajała sobie sztukę zwodzenia i okazała się pojętną uczennicą. Potrafi wykorzystać swoje talenty.

Gdy zbliżali się do komnaty, Rhys przystanął i spojrzął na staruszkę.

- Powiedz mi jeszcze jedno. Kim jest dla niej ten szczywany wilczek?

Elspeth zamrugała, zdziwiona. Wreszcie zrozumiała.

- Masz na myśli Biagia?

- Tak, właśnie jego mam na myśli. - Zaciśnął usta. - Jest zawsze blisko niej, zawsze ją chroni. Wiem, że nie są kochankami, ale chciałbym wiedzieć coś więcej o tej dziwnej przyjaźni.

- Jest, jak mówisz, panie. Są przyjaciółmi. Biagio przyłączył się do nas mniej więcej pięć lat temu, zahukana sierota, ale od

początku zadziorny i butny, sam jeden na świecie, jak ten palec. Spadł nam z nieba. Nie zliczę, przy ilu okazjach wyciągnął nas z prawdziwych opałów. - Uśmiechnęła się. Nie spodobał mu się ów błysk w jej oczach, który dobrze znał. - Łączy ich serdeczna przyjaźń, panie, nic więcej.

Już bez dalszych pytań zaprowadził starą do komnaty i rozkazał strażnikowi, by ją wpuścił. Usłyszał jeszcze radosny okrzyk Sashy, po czym wycofał się szybko i ruszył w stronę wielkiej sali.

Pech chciał, że pierwszą osobą, na jaką się natknął, był Biagio. Młodziak siedział przy ogniu i jak zwykle patrzył spode łba. Widząc Rhysa, podniósł się powoli.

- Czekałem na ciebie, milordzie.

Rhys uniósł brew, wzruszył ramionami, minął go i podszedł do stołu, gdzie stał dzban z winem. Biagio szedł krok w krok za nim. Gdy Rhys napełniał kubek, Biagio uwiesił się jego łokcia. Odwrócił się i spojrzał ostro na chłopcę.

- Jeżeli masz zamiar wstawiać się za nią, pozwól, że udzielę ci dobrej rady: nie rób tego.

- Jeżeli mówisz o mojej pani...

- Mówię o Sashy.- Rozzłoszczony pociągnął łyk wina.- Nadal nie mam pojęcia, co z nią począć, zatem co byś nie powiedział, na nic się nie zda.

Biagio wpatrywał się w niego.

- Jeszcze tego nie zrobiłeś?

Zacisnął palce na kubku, coraz bardziej wściekły.

- Czego jeszcze nie zrobiłem, gołowąsie?

- Jeszcze nie zrobiłeś z niej swojej dziwki? Czy wyrażam się niejasno?

Zanim pomyślał, zdzielił Biagia w twarz z taką siłą, że ten runął na podłogę.

- Ona nie jest dziwką. Trzymaj język na wodzy, jeśli nie chcesz go stracić - powiedział cicho, stając nad chłopcem.

Na ustach Biagia pojawiła się krew, jego oczy wypełniała wściekłość, ale skinął głową, patrząc w górę w niemym buncie.

Takich spojrzeń Rhys widział wiele w swoim życiu. W każdej twierdzy, w każdej warowni. Było w nich odrętwienie zwierzęcia,

które cierpliwie znosi katusze, ale nie chce się poddać. Podobnie mogły patrzeć żony i córki bite przez mężczyzn, którzy tylko tak potrafili okazać swoją żalosną władzę. Nie myślał, że i on dołoży rękę do udręk poniżanych istot.

Cofnął się o krok i wyciągnął dłoń.

- Wstawaj, gołowąsie. Nie skrzywdziłem twojej pani.

Nie przyjmując wyciągniętej dłoni, Biagio podniósł się i otrzepał sitowie z kaftana.

- Nie?

Uniósł głowę, śmiało zaglądając Rhysowi w oczy.

- Myślisz, że nie wiem, co ci chodziło po głowie, kiedy zabrałeś ją wczoraj z kuchni?

- Nie twoja sprawa, co mi chodziło po głowie. Nie skrzywdziłem jej i basta. Ma się dobrze i jest tak samo lekkomyślna jak zwykle. Możesz spać spokojnie.

- Uwierzę, jeśli usłyszę to z jej własnych ust.

Rhys z trudem panował nad zalewającą go złością, ale nie mógł przecież winić chłopca za to, że próbował dbać o bezpieczeństwo Sashy.

- Teraz jest u niej Elspeth. Zgodziłem się, żeby porozmawiały na osobności i wątpię, czy jesteś im tam potrzebny. Usiądź, napij się wina, a kiedy ochłoniesz, zaprowadzę cię do niej.

- Czy ona jest twoim więźniem?

- Tak. W pewnym sensie, ale to nie tak, jak myślisz. Nie jest skuta, nie siedzi w celi z zakratowanymi oknami. Na razie nie mam jednak zamiaru jej wypuszczać.

Biagio zmrużył oczy.

- Dlaczego? Obawiasz się, że może cię zdradzić? Myślałem, że skoro Gavin wtrącony jest do lochu, ty jesteś tutaj prawowitym panem. Czego się boisz?

- Niczego się nie boję, twoja pani nie może mi zaszkodzić, ale nie w smak mi myśl, że miałbym uganiać się za nią po Walii i Anglii, gdyby przyszło jej nagle do głowy opuścić z własnej woli Glenlyon, uznawszy, że nie czuje się tu szczęśliwa.

Biagio uśmiechnął się.

- Tak ci zależy na jej szczęściu, panie?

- Tyle dbam o jej szczęście, co o zeszłoroczny śnieg. Chcę

mieć święty spokój. Kiedy będę gotów ją wypuścić, wypuszczyć. - Odstawił kubek, starł dłonią kilka kropel wina ze stołu i spojrzał na Biagia. - Gavin zostanie w lochu, dopóki Ryszard nie wróci z Jerozolimy. Nie uwolnię ani jego, ani twojej pani, dopóki nie otrzymam wieści od Ryszarda. Czy jasno się wyraziłem?

- Jaśniej niż myślisz, panie - odpowiedział na to Biagio. - Rozumiem, że trzymasz Gavina w lochu, lecz z Sashą sprawa ma się całkiem inaczej. Ona ci nie zagraża.

- Zagraża każdemu, kto spotka ją na swojej drodze. - Podniósł do ust kubek z winem. - Więcej w niej kłamstwa niż liści na dębie. Sypie nimi jak z rękawa.

- Tylko w ostatecznej potrzebie. Są ludzie, którzy nie potrafią ani słuchać, ani przyjąć prawdy. - Biagio zrobił ruch, jakby zamierzał odejść, i dodał: - Nie każdy ma tyle szczęścia, by wiedzieć, kim jest, panie. Niektórzy z nas muszą wymyślać sobie każdego dnia od nowa, by nie zginąć. Nie byłeś nigdy w takiej sytuacji i nie potrafisz jej sobie wyobrazić. Lecz takie bywa życie.

- Niech ci się nie wydaje, że możesz mnie pouczać, jak okrutny potrafi być świat, gołowąsie. Żyję znacznie dłużej niż ty i niejedno przeszedłem. A przecież nie stałem się przez to kłamcą. Nadal potrafię rozpoznać prawdę. I trwać przy niej.

Na ustach Biagia pojawił się uśmiezek niedowierzania.

- Doprawdy? Czy wobec samego siebie jesteś równie uczciwy, panie? Myślę, że nie. Gdybyś był, powinieneś przyznać się, dlaczego z takim uporem trwasz przy tym, żeby przetrzymywać moją panią.

Rozgniewany Rhys postąpił krok do przodu, ale młodzik cofnął się tak szybko, że stanął tuż obok otwartego paleniska. Zerknął na rycerza, potem na buzujące płomienie.

- Wzięty w dwa ognie, potrafiłbyś rzec, który parzy bardziej, milordzie? Ogień miłości czy ognień furii?

Rhys wyciągnął rękę, ale Biagio zwinnie skoczył nad paleniskiem i wylądował w półprzysiadzie po drugiej stronie. Refleksy płomieni zatańczyły na jego twarzy, nadając jej diabelski wygląd.

- Za pozwoleniem, oddalę się, panie.

Rhys nie miał zamiaru mu odpowiadać. Ani dawać młokosowi satysfakcji, goniąc go po zamkowych korytarzach. Nie chcąc wyjść na głupca, pozwolił mu odejść. Gdy Biagio opuszczał salę, Rhys stał nieruchomo obok ognia. Do diabła z jego kąśliwym językiem i wybujałą wyobraźnią. Miłość? Nie, nie, żadnych sentymentów. Poznał ich smak dawno temu i wiedział, że potrafią zadać więcej bólu niż najostrzejszy miecz. Sasha budziła w nim pożądanie, nie miłość. Miłość? Nigdy. Przenigdy.

Łza zawisła na rzęsach Sashy i spadła na policzek. Otarła ją gniewnie.

- Elspeth, nie patrz tak na mnie. Nie miałam wyboru.

- Dziecko drogie, przecież nic nie mówię. Nie myśl, że cię potępiam. Dalekam od tego. Niepokoję się o ciebie, najzwyczajniej w świecie. A teraz powiedz mi, czy zabezpieczałaś się w jakiś sposób, żeby nie począć?

- Nie. Wiesz, że nie mam przy sobie swoich ziół. - Nabrała powietrza, zdziwiona, jak bardzo czuje się roztrzęsiona. Po radosnym powitaniu zaniepokojona Elspeth zaczęła zadawać jej delikatne, ale bolesne pytania. Wstydziła się przyznać, że nawet nie pomyślała o dziecku. Była tak pochłonięta Rhysem, że nie myślała o konsekwencjach tego, co robili. Czuła się teraz jak głupia gęś, która nie zastanawia się nad skutkami własnego postępowania.

Elspeth, zadumana, poklepała ją po policzku, głośno myśląc.

- Może już być za późno na zioła. Oby lord Rhys pozwolił ci następnym razem mieć je przy sobie.

Sasha rzuciła jej powątpiewające spojrzenie.

- On nie ufa mi tak bardzo, że nigdy nie stanie odwrócony do mnie plecami. Nie wydaje mi się, żeby pozwolił mi trzymać tu zioła i mikstury.

- Może zatem pozwoli, żebym to ja przygotowała napar. Dla twojego zdrowia, oczywiście. Spróbuję przekonać go, że pobyt w lochach nadwątlił twoje siły i teraz musisz się wzmocnić.

- Pewnie, przy sposobności zaproponuj mi, żeby sam skosz-
tował odrobinę - parsknęła. - Zbyt dobrze pamięta poczęstunek,
jakim uraczyłyśmy go w namiocie. Niczego nie zapomniał, nawet
moich zmyślonych opowieści o łasicy. - Elspeth najwyraźniej nie
miała pojęcia, o czym Sasha mówi, ale dziewczyna nie miała już
sił tłumaczyć sieci powikłań, w którą sama się zamotała. Machnęła
tylko ręką i mruknęła: - Nieważne. Po czym poznać?

- Co, po czym?

- No, mówię o dziecku. Skąd będę wiedziała, że on... że
jestem... że jest... no, wiesz.

- No, wiem - westchnęła Elspeth. - Nudności, najczęściej
z rana. Nabrzmiwające piersi. Senność. Co ty wyprawiasz?

Sasha badała ręką swój brzuch. Oczywiście rozszerzone z prze-
rażenia.

- Mam mdłości. Jestem jakaś nieswoja. Och, chce mi się spać...
Czy już jestem w ciąży?

Kręcąc głową, Elspeth odrzekła krótko:

- Sądząc z wyglądu tego mięsa, co leży na stole, ono musiało
przyprawić cię o mdłości. Nieswoja, jak to nazywasz, jesteś
z innych powodów. Senna jesteś zawsze. Jeszcze za wcześnie,
Sasho. Jeżeli nie kładłaś się z nim wtedy na łące, za wcześnie na
objawy. - Spojrzała ostrzej. - A może się kładłaś?

- Nie tak jak tej nocy. - Spojrzała niani w oczy, próbując się
bronić. - Wiem, jaka jest różnica. Całowanie to nie to, co robiliśmy
wczoraj.

- Dzięki Bogu. - Elspeth przez chwilę przyglądała się swoim
dłoniom. Kiedy uniosła głowę, jej oczy rozświetlała czułość. -
Opiekowałam się tobą od dnia twoich narodzin, Sasho. Zawsze
cię kochałam. Pamiętaj o tym.

Zaniepokojona tonem jej głosu i samymi słowami, Sasha wyciąg-
nęła do niej drżącą rękę.

- O co... chodzi? Zamierzasz odejść? Czy on cię wyrzuca, czy
dokądś wysyła, czy...

- Nie, nic z tych rzeczy. Zrozumiałam po prostu, że jesteś
kobietą, chociaż dla mnie nadal pozostaniesz dzieckiem. To
naturalna kolej rzeczy. Niełatwo dostrzec prawdę, próbowałam
cię chronić. Może złą wyświadczyłam ci przysługę, ale nie chcia-

łam, byś stała się dojrzałym człowiekiem, myślałam, że na to zawsze będzie czas. - Pochyliła się i położyła dłoń na jej policzku. Sasha przykryła jej dłoń ręką. Elspeth uśmiechnęła się. - Powinnaś to wiedzieć: wierzę, że nie myliłaś się co do przepowiedni. Ten człowiek jest ci przeznaczony.

Sasha wlepiła w nią szeroko otwarte oczy, pewna, że musiała się przestyszeć.

- Naprawdę tak myślisz, Elspeth?

- Tak. Powinnaś ufać własnej intuicji. Pod szorstką powierzchownością kryje się dobre serce, tak jak zawsze powtarzałaś.

Sasha zachmurzyła się.

- Nie jestem pewna, czy miałam rację. On czasami nie jest zbyt miły. - Słyszac, jak naiwnie zabrzmiały jej słowa, uśmiechnęła się smutno. - Ma mnie za kłamliwą. Kiedy sobie o tym przypomni, sroży się i awanturuje.

- Potrafię to sobie wyobrazić. - Elspeth usiadła i uśmiechnęła się. - Po prostu powinnaś go przeprosić.

- Przeprosić?

- Jeżeli zależy ci na nim, spróbuj go ułagodzić. Pomyśl o tym. Jestem pewna, że znajdziesz sposób. - Przerwała, spuściła na chwilę głowę, po czym podniosła ją i dodała: - Co do przepowiedni...

- Wiem, wiem, co chcesz powiedzieć, ale jestem pewna, że pewnego dnia on się zgodzi.

Elspeth uśmiechnęła się.

- Nie to miałam na myśli. Powtórz mi tę przepowiednię, Sasho. Powtórz mi ją tak, jak zapamiętałaś.

Powoli, z przymkniętymi oczami, mówiła z pamięci:

Napotkasz w lesie groźnego rycerza, gryfa, co pół jest lwem, pół orłem. Ten odda ci to, coś utraciła.

Otworzyła oczy i popatrzyła na Elspeth.

- Zastanów się, dziecko. Przepowiednia obiecuje ci, że odzyskasz to, co utraciłaś. Co utraciłaś?

- Mój dom. Rodziców. Dzieciństwo.

Kiwając głową, Elspeth powiedziała cicho:

- Twoi rodzice na zawsze odeszli z tego świata, a dzieciństwa przywrócić nie można. Co jeszcze straciłaś?

- Moje dziedzictwo. Pałace mojego ojca, poczucie bezpieczeństwa...

- Tak, bezpieczeństwa, które miałaś wtedy, już nie masz. Spokój, szczęśliwość, wszystko to odeszło. Wymknęło się z rąk jak pustynny wiatr. Jednak inne jeszcze wiatry wieją. Nie zawsze tam, gdzie piaski i minarety. Wieją ponad nagimi skałami, pochylają wysokie drzewa... Straciłaś więcej niż swoje dziedzictwo. Nawet własne imię. Przypomnij sobie prawdziwe imię, dziecko. Przypomnij sobie znaczenie. Wtedy poznasz prawdę.

Sasha patrzyła na starszkę niewidzącym wzrokiem. Nawet jej Dar opuścił ją w tej chwili. Czuła tylko rozpacz i smutek, zawođenje osieroconych dzieci i zatraconych dusz... Zdusiła w sobie ich głosy, nie mogąc znieść porażającego smutku i poczucia zagubienia. Nie pamiętała. Nie chciała sobie przypomnieć. Wraz z imieniem powróciłyby do niej wszystkie przytłaczające doznania.

- Nie pamiętam swojego imienia - powiedziała z uporem.

Elsbeth westchnęła. Wstała, pogłaskała ją po policzku i cofnęła się.

- Przypomnisz sobie, kiedy nadejdzie czas. Teraz poszukam lorda Rhysa i zapytam go, czy pozwoli mi przygotować dla ciebie wzmacniającą miksturę. A może wolisz, żebym przygotowała inny napój?

Sasha wpatrywała się przez chwilę w swoje dłonie. Nie chciała dziecka, to skomplikowałyby tylko i tak już okrutnie pogmatwane sprawy. Miała dość doświadczenia, by wiedzieć, że często jest to najpewniejszy sposób, by wystraszyć mężczyznę. Nie chciała niszczyć niczego, co się między nimi stało. Po dłuższej chwili podniosła głowę.

- Nie zrobię nic, co przyniosłoby szkodę. Co się stało, to się nie odstanie. Nie chcę nic zmieniać. Bogu i losowi zawierzę swoją przyszłość. - Przerwała, po czym dodała cicho: - Na drugi raz będę ostrożniejsza.

Elsbeth ujęła jej ręce i mocno uścisnęła.

- Wiedziałaś, że dokonasz właściwego wyboru. Co do przyszłości, nie zawsze uda ci się nad nią zapanować. Miej ufność, że wszystko się ułoży.

- Tego właśnie się lękam, że kiedy o mnie idzie, nic nigdy nie

chce się ułożyć - westchnęła Sasha. - Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam Rhysa, kto mógł pomyśleć, że za jego sprawą los rzuci mnie do Walii, zamiast zaprowadzić do Arabii.

- Człowiek nigdy nie wie, skąd wieje wiatr, a los tchnie, gdzie chce.

Sasha uśmiechnęła się.

- Zaczynasz mówić jak Biagio. Myślę, że spędzacie ze sobą za dużo czasu.

- Ostatnio się nie zdarzało. Muszę go znaleźć i sprawdzić, czy nie napytał sobie jakiej biedy. Jest lekkomyślny, zadziorny i hardy, a już zawsze pierwszej coś chlapanie, dopiero potem pomyśli.

Kiedy Elspeth wyszła, Sasha podeszła do szerokiego łoża pod ścianą i usadowiwszy się na samym środku materaca, podciągnęła kolana pod brodę. Tak wiele miała do przemyślenia, tak wiele dręczyło ją zmartwień. Nie przypuszczała, że jeden akt między mężczyzną a kobietą może odmienić całe życie. Na dodatek być może okaże się, że będzie musiała się troszczyć o jeszcze jedną istotkę, bo kto wie, czy nie dokonali wspólnie cudu. Bała się tej myśli, ale bardzo ją zarazem podniecała.

Kiedy wrócił Rhys, nadal siedziała na środku łoża, chociaż zaczęło się ściemniać. Przez okna sączyło się szarosrebrne światło zmierzchu. Słyszała, jak rozmawiał ze strażnikiem, potem drzwi otworzyły się i Rhys wszedł do komnaty.

- Siedzisz w ciemnościach, mój kwiecie?

Zatrzasnął drzwi. Odgłos kroków na kamiennej posadzce, a po chwili ujrzała jasny krąg światła. Rhys trzymał w ręku świecznik i spoglądał w jej stronę. Tańczące na jego twarzy cienie i blade światło przypomniały jej ową chwilę w lesie, kiedy ujrzała go po raz pierwszy. Zapalił kolejne świece, aż ciepły blask zepchnął cienie w kąty alkowy. Nadal siedziała w milczeniu, rada obecności Rhysa, ale też pełna obaw, że znowu da o sobie znać jej niewyparzony język. Jak zwykle. Czy Elspeth ma rację? Powinna go przeprosić? Pierwszej wyciągnąć rękę do pojednania?

Podszedł do łoża. Teraz światło padało na niego z tyłu, więc nie mogła dostrzec wyrazu jego twarzy, ale z łatwością odczuła napięcie bijące z pochylonej sylwetki. Nawet bez kolczugi był ogromny, rozłożysty w barach, potężnie umięśniony, silny, że

strach. Miał na sobie czarny kaftan z delikatnej skóry i tunikę z białego, cienkiego lnu. Ciemne rajtuzy i wysokie do kolan buty. Szeroki skórzany pas spinała złota klamra w kształcie gryfów. Zza pasa wystawał sztylet z rękojeścią wysadzaną drogimi kamieniami. Majestatyczny. Szlachetnie urodzony. Wielki pan. I arogant, jakiego świat nie widział. Dziw, że nie założył złotej korony i nie ogłosił się królem Walii.

Chmurna mina Sashy nie uszła jego uwagi. Podszedł do brzegu łoża, pochylił się i unióś ją do góry, trzymając pod łokcie. Oparła obie dłonie o jego pierś, odchyliła głowę do tyłu i spoglądała pytającym wzrokiem. Nie był szorstki, ale też nie był uprzejmy.

Roześmiał się kpiąco.

- Biedny kwiatusek. Bardzo się za mną stęskniłaś?
- Nie sposób opisać. Cierpiałam tu całymi godzinami. Przynios-
łeś coś do jedzenia? Wydaje mi się, że mięso się zepsuło, a chleb
stwardniał na kamień.

Zaśmiał się cicho, lecz nie był to jeden z tych dźwięków, od których ze strachu mrowie przebiegało po plecach, tylko śmiech prawdziwy, radosny.

- Nie, nie przyniosłem nic do jedzenia. Podadzą nam w wielkiej sali.

Przesunął dłonie wyżej na ramiona Sashy, a potem odgarnął włosy z jej twarzy. Jedwabiste pasmo przywarło do jego palców z suchym, ledwie słyszalnym trzaskiem, niby wyładowanie dalekiej błyskawicy. Wstrzymała oddech, widząc, jak intensywnie przygląda się jej spod swoich długich rzęs. Zaszła w nim subtelna, ledwie uchwytna zmiana.

Z niejakim trudem uwolniła się z uścisku. Puścił ją, chociaż nie odszedł od łoża. Przez kilkanaście uderzeń serca wpatrywał się w nią, jakby widział ją pierwszy raz w życiu, obrzucał wzrokiem lice odzienie, nagie stopy. Zacerwieniła się, zakłopotana. Jak mógł przyjść do niej wystrojony, gdy ona siedzi tu w podartych sukniach? Wszak jest księżniczką. Z królewskiej rodziny, a nie z jakichś tam lordów, w których żyłach płynie krew półdzikich klanów, co za całe włości mają skaliste wzgórza.

Już otwierała usta, aby powiedzieć coś na ten temat, gdy

wyciągnął dłoń i ujął ją pod brodę. Lekko gładził kciukiem jej dolną wargę.

- Jesteś zbyt cudnym kwiatem, by nosić to lice odzienie. Powinienem być tego dopilnować. Masz coś w swoich kufрах, co chciałabyś założyć?

Tak ją zaskoczył, że odjęło jej mowę. Zaraz jednak ochłonęła z pierwszego szoku i skinęła głową.

- Tak. Mam kilka strojnych szat. Poślij po moje kufry, a wybiorę którąś.

Uśmiechnął się i cofnął dłoń.

- Każę Elspeth przynieść ci, którą zechcesz. Wybacz mi, kwiatuśku, ale nie jestem pewien, czy mogę ci zaufać i dopuścić do twoich kufrów, dopóki sam ich nie przejrzę.

- Co takiego spodziewasz się w nich znaleźć? Nieważne, rób, jak chcesz. Niech przyniesie mi tę z czerwonego jedwabiu.

Gdy uniósł brew i zachmurzył się, spytała z wahaniem:

- Czy to niestosowny wybór?

- Na zaloty bardzo stosowny, ale nie na wieczrę w wielkiej sali.

Spojrzała zdziwiona. Cofnął się od łoża i przesunął ręką po włosach, pozostawiając na nich ciemniejsze smugi. Ściągnął usta w wąską linię.

- Wybierz inną - odrzekł krótko. - Mniej... przejrzystą - dodał.

O to chodzi. Jak rano. Brian zrozumiał pierwszy, gdy przez irlandzki łeb przemknęło pełne zdumienia, niechętnie: *Na Boga, toż on jest o nią zazdrosny*. Zupełnie o tym zapomniała, kiedy podejmując wyzwanie Rhysa, zaciągnęła kotary, przyprawiając biednego Briana o szok, a Rhysa o białą furję. Była to chwila jej wielkiego triumfu, chociaż mogła drogo za nią zapłacić.

Nie mogąc powstrzymać uśmiechu, pochyliła głowę. Skinęła, wpatrując się we własne palce.

- Dobrze. Mam też inną szatę. Błękitna, pod samą szyję, długie rękawy. Powinna się nadać.

- To już brzmi znacznie lepiej. Dopilnuję, żeby ci ją przyniosła. - Podeszedł do drzwi, przystanął i zapytał: - Czy życzysz sobie jeszcze czegoś?

Po chwili zastanowienia pokręciła głową.

- Tylko cizemki. Elspeth będzie wiedziała, które. Zdaj się na nią. Kiedy wydał polecenia strażnikowi i zawarł na powrót drzwi, rozejrzał się po komnacie: stół z resztkami jedzenia, odzienie na krzesłach, kosz z dopalającymi się węglami, na środku balia z zimną wodą. Uśmiechnął się przepraszająco.

- Powiniem chyba kazać mojemu giermkowi, żeby tu posprzątał.

Wzruszyła ramionami.

- Jeśli chcesz porządku, to tak. Ja sprzątaczką nie jestem.

- Nie - powiedział i podszedł do niej, ciągle z uśmiechem błakającym się na ustach. - Nie jesteś sprzątaczką. Kim właściwie jesteś, mój kwiecie? Czasami zdaje mi się, że wiem, ale ty zmieniasz się na moich oczach. Byłaś królową elfów, zwodniczą panną z mgły, namiętną kochanką i cierniem w moim boku. Tym ostatnim bodaj najczęściej.

Podszedł z powrotem do łoża, wyciągnął rękę i pogładził ją delikatnie po policzku. Zadrzała pod wpływem tej czulej pieczyoty, oczy jej pojaśniały.

- Słodka - mruknął. - I niebezpieczna,

Ujął ją pod brodę i przybliżył się do jej ust. Nie stawiała oporu.

Prawdę mówiąc, pragnęła go. Chciała, żeby ją pocałował, upewnił swoim dotykiem, że i on jej pragnie. Coś musiało się stać po tym, jak wyszedł stąd rano, ponieważ w jego oczach nie było już owego lodowatego gniewu. Zamiast tego lśniło w nich inne, znajome światło, które witała z radością.

Jak dobrze. Pod dotknięciem jego warg pierzchały wcześniejsze zamysły, pojawiały się inne doznania, cudownie magiczne, które odkrywała dopiero przy nim. Gdy ją całował, nie mogła trzeźwo myśleć, gdy głaskał jej twarz, szyję, piersi... Przeniknął ją rozkoszny dreszcz. Powróciło dziwne bicie serca, silny, kłujący puls w podbrzuszu, między udami, biały płomień, gorący, palący.

Nie przerywając pocałunku, pchnął ją na plecy i legł na niej całym ciężarem ciała, pachnący skórą i wiatrem. Znała już tę moc, która przyprawiała o szaleńcze bicie serca, rozpraszała myśli. Przypominała sobie niejasno, że coś miała zrobić? A może czegoś poniechać? Nieważne. W tej chwili nic się nie liczyło, tylko on i ona. Oni dwoje.

Światło igrające na jego włosach nadawało im ciemnozłoty blask. W jego twarzy czytała pragnienie, jakiego nie widziała wcześniej, przewyższające wszelkie inne uczucia. Coś więcej niż pożądliwość ciała, prędszej głód rozpaczliwy zagłodzonej śmiertelnie duszy. Zrozumiała natychmiast, co to oznacza, ponieważ to samo uczucie braku nękało ją przez całe życie i nie ustępowało nigdy, bez względu na to, czym próbowała je zagłuszyć.

Dopiero teraz, po latach oczekiwania, mogła ofiarować się sercem, ciałem i duszą temu, który jednym spojrzeniem, tamtego dnia w lesie, odmienił zupełnie jej świat.

Oddała mu serce, dar najcenniejszy, i była to najniebezpieczniejsza decyzja, jaką kiedykolwiek podjęła. Bez powodu, nie kierując się żadną logiką. Pozostał tylko instykt i intuicja. A także wiedza, że nawet jeśli dokonywała złych wyborów, zawsze były one uczciwe.

Całował jej piersi, jej brzuch, jedwabisty trójkąt łona. Krzyknęła, wplotła dłonie w jego włosy. Jego język dawał rozkosz, o jakiej nigdy nie marzyła... nie miała pojęcia, że istnieje. Potężny dreszcz przeszył ją i uniósł wysoko. Przez moment trwała tak na szczycie rozedrganej fali, aż z powracającym oddechem osunęła się w zrazu jeszcze wartkie, potem coraz spokojniejsze strumienie, które niosły ją bezpiecznie znowu do rzeczywistości.

Rhys unosił się nad nią, szepcząc jej imię. Przywarła do niego. Poruszał się coraz szybciej, przybliżając obietnicę kolejnego spełnienia. Owinęła go nogami, odrzuciła do tyłu głowę, wsłuchując się w jego cudowne, chrapliwe jęki. Czas na jeden cudowny moment zatrzymał się, rozprysł się na miriady drobin.

Nastąpiła cisza i spokój, spokój i pełnia, odpoczynek i szczęście zaspokojenia, bliskości.

W wielkiej sali panował zwykły gwar. Głosy rycerzy, nawoływania służby, szczekanie psów, rubaszne okrzyki i śmiechy. Obiad był głównym posiłkiem dnia i jadano go wcześniej. Kolacja była lżejsza, towarzyszyły jej występy minstreli i różne popisy. Tak biesiadowano w większości kaszteli, w beztroskiej, swobodnej

atmosferze, bez zbędnych ceremonii. Nie inaczej przepędzano czas, zasiadając do stołów w Glenlyon.

Kiedy Rhys pojawił się z Saszą w otwartych drzwiach sali, zapadła cisza. Zamilkły śmiechy, ktoś zaszeptał, ktoś kaszlnął, jedynie psy dalej czyniły hamider.

Rhys uśmiechnął się lekko. To był pierwszy wieczorny posiłek w jego własnej warowni. Wszyscy oczekiwali, jak się zachowa. Czy będzie tak samo dobrym kompanem jak jego ojciec, czy też okaże się pyszny i nieprzystępny. Za Gavina panował tu ponury nastrój.

Bez słowa poprowadził Saszę do podwyższenia, mijając rozstawione stoły, biesiadników, obchodząc psy i palenisko pośrodku. Niewielkie dzwoneczki z brązu, przyszyte do ciżemek Sashy, dźwięczały cichutko w takt jej kroków. Szła, szeleszcząc szatą z błękitnego jedwabiu, zostawiając za sobą smugę drażniącego zmysły i upajającego zapachu jaśminu. Oczy wszystkich skupiły się na nich dwojgu. Sasha weszła na podwyższenie lekko i z gracją, dźwięcząc dzwoneczkami.

Brian siedział już za stołem, obok niego Cailin. Ta patrzyła zaciekawiona, a jej jasne oczy przypominały Rhysowi o ojcu i braciach. Była do nich tak podobna... Powinien był pomyśleć o posadzeniu jej przy głównym stole, zaproponować zawarcie pokoju, ale nie uczynił tego. Na szczęście wyręczył go zawsze dbały, zapobiegliwy, przewidujący Brian.

Teraz wstał, szurając krzesłem po wyłożonej sitowiem kamiennej posadzce, niezgrabny i trochę speszony, jakby został przyłapany na błędzie.

- Nie przypuszczaliśmy, panie, że zechcesz się do nas przyłączyć.

Rhys uniósł brew.

- Jak widzisz, jestem.

Posadził Saszę obok swojego miejsca. Usiadła szybko, złożyła dłonie na podołku, głowę uniosła wysoko. Nie była już pakiem, lecz kwiatem w pełnym rozkwicie. Świadoma, że przyciąga spojrzenia, wodziła wzrokiem po zebranych, jakby czekała na komentarze. Królewska i arogancka, jak zawsze.

Nadal stojąc, Rhys zerknął najpierw na Cailin, potem na Saszę.

Jedna jasna, druga ciemna; tak odmienne, a tak podobne. Dwie kobiety zamieszane w bratobójczą walkę o Glenlyon. Zastanawiał się, czy Sasha pozwoliłaby wydać się za człowieka, który byłby jej wstrętny, nienawistny. Nie, nigdy by nie uległa. Na szczęście nie musiała stawać przed podobnym wyborem.

Kiedy Brian chrząknął, Rhys popatrzył na niego z uśmiechem.

- Usiądź, Brianie. Służba czeka.

Brian usiadł, lecz minę nadal miał zakłopotaną. Widać czegoś był niespokojny. W sali pojawili się czeladnicy z jadłem. Dania trzeba było nieść z kuchni przez dziedziniec, więc zdążyły nieco wystygnąć, ale z niektórych półmisek, po zdjęciu pokryw, buchnęła para. Kłaniając się niezdarnie, chłopcy stawiali swoje ciężary na wysokim stole, zaraz też przystąpili giermkowie i poczęli krajać mięsiwa. Przy niskim stole napełniano potrawką z duszonego mięsa wydrążone skiby chleba i kładziono na drewnianych tacach, po jednej tacy na każdą dwójkę biesiadników. Rozstawiono też dzbany z winem. Podano kubki, znowu po jednym na dwóch sąsiadów, tylko sztuccami nikt nie musiał się dzielić; łyżek i noży było pod dostatkiem, starczyło dla wszystkich.

Pochylając się do Sashy, Rhys wyszeptał:

- To nie jest *blance de Syrie*, jakie ty przyrządzasz, ale mam nadzieję, że jadalne.

Zatrzepotała rzęsami, na ustach pojawił się lekki uśmiech.

- Muszę ci coś wyznać.

- Byle nie następne kłamstwo.

Zerknęła na niego szybko, z błyskiem rozbawienia w ciemnych oczach.

- Obawiam się, że tak, panie. Ja w ogóle nie potrafię gotować. Tamtej nocy jedzenie przygotowała Elspeth, ja zajęłam się winem.

Pokiwał głową.

- Wcale nie jestem zdziwiony twoim wyznaniem. Czy ty zawsze kłamiesz?

Wytrzymała jego spojrzenie i wycodziła:

- Nie zawsze. Czasami mówię prawdę. Kiedy sprawa jest ważna.

- Ciekawe, kiedy sprawa jest dla ciebie ważna. - Bawił się łyżką, odwróciwszy głowę. Sasha budziła w nim dziwne tęsknoty i poczucie niepewności. Przed chwilą, w łóżku, czuł się spokojny,

mimo że trawiła go żądza. Spokojny i bezpieczny, jak wędrowiec, który wraca do domu. Nic nie rozumiał. Nie znajdował w niej nic, co mógłby cenić. Szanował uczciwość i bezstronność sądu, honor i lojalność, rzeczy, które tej pannie, kapryśnej i kłamliwej, zdawały się całkowicie obce. Była jak księżycowa poświata i gwiazdny pył, nieuchwytna, zmienna, daleka. Nie chwyci takiej człowiek za słowo, nie złapie za rękę, a przecież tęsknie ku niej spogląda i pragnie. Dziwne, dziwne. W życiu zawsze przedkładał porządek ponad chaos. Pewność miejsca i czasu. Lubił znać ścisłe granice rzeczy, wiedzieć, kto jest mu wierny. Nie chciał, żeby panna zachwiała ładem jego świata.

Tymczasem nic, tylko siała zamęt. A jednak jej pragnął.

Podniósł głowę i napotkał wpatrzone weń ciemne oczy. To Biagio, który siedział przy niskim stole, nie spuszczał z nich wzroku. Przyglądał się Sashy z takim napięciem, że Rhys zmarszczył czoło. Zerknął na nią; utkwiała w Biagiu nie mniej intensywne spojrzenie, jakby wiodła z nim w milczeniu sekretną rozmowę.

Pochylił się do przodu. Biagio wyczuł jego zaniepokojenie, unióś lekko brwi, po swojemu kpiąc i przedrzeźniając pana zamku. Pewny siebie, ale zbyt sprytny, by przeciągać strunę, wzruszył ramionami, skrzywił się i odwrócił do sąsiada przy swoim stole.

Gdy Rhys oparł się o zagłówek krzesła, Sasha parsknęła śmiechem. Spojrzał na nią, marszcząc brwi, nie pamiętając już o tym, jak Biagio przed chwilą małpował jego srogie miny.

- Co cię tak rozbawiło, mój kwiecie?

- Ty - odparła cicho, pogodnym tonem. Nachyliła się ku niemu i w jej spojrzeniu pojawiło się coś nowego. Dołeczek w kąciku ust znikł. - Zaintrygowałeś mnie, milordzie.

Przez chwilę patrzył jej w oczy, bawiąc się rzeźbionym trzonkiem łyżki. Nie miał pojęcia, o czym ona mówi, co specjalnie go nie zdziwiło. Przeważnie nie wiedział, o czym ona mówi. Wzruszył ramionami.

- To dobrze.

- Tak - odrzekła. Złotny dołeczek pojawił się znowu. - Bardzo dobrze. Lubię zajmujących ludzi.

Teraz jego ogarnęło rozbawienie. Pokiwał głową.

- Wobec tego powinnaś czuć się tutaj jak w siódmym niebie, bo wielu tu interesujących ludzi. Brian. Sir Peter. Sir Robert. Owain. Sir Clyde. Nawet moja przyrodnia siostra. Wszyscy bardzo interesujący.

Machnęła ręką wesoło, że nie bierze ich pod uwagę.

- Nie znajduję, by dość mnie zajmowali. Z tobą inna sprawa. Niedawno odkryłam, że niezwykle mnie zaciekawiasz.

- To niezbyt mądrze, aż tak się mną interesować.

- Nie chodzi o ciebie, ale o to. - Zatoczyła ręką łuk, uśmiechając się z lekka. - Czy to wielka sala?

- Owszem, jest duża, ale tak, wielka także. Główna.

- Nie widzę tu marmurów. Ani fontann. Nie ma mozaik, wzorzystych dywanów ani jedwabnych tkanin. Brak połączanych rzeźb, delikatnych ornamentów. Nawet drzwi nie są ozdobne. Na podłodze kamienie i sitowie, na ścianach kilka ciężkich kotar. Jedzenie za suche, wino za mocne. Wilgotno i zimno, nawet w komnacie lorda. - Wpatrzona w niego, oparła brodę na dłoniach. - Znam miejsce, gdzie słońce świeci nieustannie, wieje ożywczy wiatr, a woda z fontann zrasza tarasy. Jest tam zielono i pięknie, są malowane kafle, powietrze przesyca delikatny zapach pomarańczy i cytryn. Jada się grejpfruty i figi, siedząc na miękkich jedwabnych poduszkach. Służący wachlarzami odganiają owady. Czy nie brzmi to wspaniale?

Owszem, widywał miejsca podobne do tego, które opisała, piękne i egzotyczne. Ale nie miały nic z Walii, gdzie jego dom, i chociaż miło przepędzał w nich czas, czuł się tam nieswojo. Nigdy nie czuł, że jest u siebie, przez całe lata, odkąd opuścił Walię. Dopiero kiedy wrócił do kraju, zrozumiał, że gryzła go tęsknota. Teraz był wreszcie u siebie, tutaj przynależał. Nie wiedząc wcześniej, do czego tęskni, ponownie odnalazł spokój, dom. Prawda, Glenlyon nie przypominał egzotycznego pałacu, ale tu się urodził.

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

- To brzmi wspaniale, mój kwiecie, ale nie pasuje do walijskiego klimatu. A klimatu nie zmienię. Jużem się nawdychał wonności Orientu. Tutaj jestem u siebie.

Przez jej twarz przemknęło coś na kształt niechęci. Odwróciła głowę, spuściła wzrok i zapatrzyła się w kubek.

- Ale ja nie jestem tu u siebie - powiedziała cicho i znowu popatrzyła na niego. - Nie wolałbyś być raczej księciem niż baronem?

- Nie wiedziałem, że mam wybór.

- Masz.

Zaczerpnęła głęboko powietrza, rozejrzała się po sali i znowu popatrzyła na Rhysa. Błękitny jedwab sukni zalśnił w blasku pochodni; na lśniących włosach igrały refleksy płomieni.

- Mógłbyś być księciem ze wspanialszą domeną niż kamieniste wzgórze, mój panie. Mężny rycerz, taki jak ty, może sięgać po wszystko, czego tylko zapagnie.

I on rozejrzał się po sali, spoglądając na wnętrze oczami Sashy: zimne kamienie zamiast dekoracyjnych kafli, brak pogodnych barw, wielkich, szeroko otwartych okien i rzeźbionych drzwi, ciepłej bryzy i miękkich kobierców. Glenlyon musiał wydawać jej się nędzny. Nawet jedzenie, przyprawione ledwie solą, bez dodatku korzeni. Ot, połcie mięsa, gotowane warzywa, twardy chleb i suszone owoce. Tak, rozumiał, że w porównaniu z bogactwem, w którym kiedyś żyła, było tu smutno i ubogo. Ale dla niego nie miało to znaczenia.

- Wziąłem, co moje, kwiatuszku. Teraz Glenlyon należy do mnie. Wszystko, czego mi trzeba, jest tutaj.

- Wszystko?

- Wszystko, co ważne. - Odwrócił wzrok, wzburzony tym dialogiem. Czuł, że jeszcze kilka słów, a straci panowanie nad sobą. Żeby tego uniknąć, zagadnął o coś Briana. Dał jej odprawę, ucinając raptownie rozmowę. Nie potrafiła zrozumieć, ł nie rozumiała. Słuchając, jak omawia z Brianem przygotowania do rady baronów, opadła na oparcie krzesła z cichym westchnieniem.

Oczekiwał po trosze sprzeczeki, ale Sasha milczała. Niezwyczajne zachowanie u tej porywczej panny, mającej zawsze ostatnie słowo. Podano główne danie. Dzikie ptactwo, udziec jeleni, wołowina, baranina, duszona ryba i gotowany węgorz, przyprawione czosnkiem, pieprzem i musztardą, do tego tace białego pieczywa, owoce w miodzie, ciasta, cukry aleksandryjskie i galaretki - tak biesia-

dowano przy wysokim stole. Owain, hojnie szafując zapasami, nie poprzestał na ucztie z solonej wołowiny i rzepy. Godną ucztą podjął powrót i zwycięstwo lorda.

Minstrel zaczął śpiewać znaną piosenkę, przygrywając sobie na lutni. Rhys na końcu noża podawał Sashy co smaczniejsze kąski: proponował rozejm i zarazem pytał, czy przyjmuje warunki. Uśmiechnęła się, pogryzając z wdziękiem polany różowym lukrem wafel, po czym odwróciła głowę. Uzyskał odpowiedź. Prztyczek w nos. Z posępną miną pociągnął łyk wina. Wcześniej drżąca z pożądania, taka mu chętna, teraz traktowała go z królewską rezerwą.

A przecież jeszcze godzinę temu obejmowała go ramionami, oplatała biodra udami, wyginała się pod nim w spazmach rozkoszy, w zapamiętaniu szeptała do ucha ciche słowa oddania.

O nie, nie pozwoli jej na ponowną odmianę, nie dopuści, by znowu mu się wymknęła, by stała się daleka, niepojęta, niepochwytna. Podsunał jej swój kubek z winem.

- Napij się, kwiatuszku.

Ciemne oczy przesunęły się po jego twarzy. Pokręciła głową.

- Nie chcę wina, panie.

- W ogóle, czy z mojego kubka?

Długie rzęsy uniosły się. Wzruszyła ramionami. Odłamała niewielki kawałek wafła i rozkruszyła w palcach, sypiąc po obrusie.

- Dzisiejszego wieczoru.

Patrzył na nią z zawiedzioną miną, czując, jak z każdą chwilą powiększa się przepaść między nimi. Nie wiedział, jak temu zapobiec, czy w ogóle powinien czynić cokolwiek. Znowu poszło o przepowiednię. Uparła się, żeby odzyskał jej dziedzictwo. A raczej to, co uważała za swoje dziedzictwo. Korciło go, by powiedzieć, że nie ma nic do odzyskiwania, lecz jednocześnie czuł, że nie zdobędzie się *na* brutalne słowa prawdy. Elspeth miała rację: prawda byłaby zbyt okrutna, zbyt bolesna. Nie chciał ranić Sashy. Jego zawsze ratowała prawda, ją zaś ratowały jej złudzenia. Teraz to zrozumiał. Nie mógł pozbawić jej fikcji, którą żyła, rojeń, dzięki którym wytrwale dążyła do przodu, nie poddając się, i nie została, jak wielu innych ludzi, zgorzkniałą istotą pograżającą się w otchłani nieistnienia, iluzje nadawały cel i treść jej życiu: była

zbiegłą księżniczką, która czeka tylko na stosowny moment, by powrócić do swoich baśniowych pałaców.

Co prawda musiał odejść z domu i tułać się po obcych krajach, ale zawsze wiedział, kim jest. Ona nie. I chociaż jego życie nie płynęło tak spokojnie, jakby pragnął, nie musiał budzić się każdego ranka z dręczącym pytaniem, kim będzie, zanim nadejdzie noc. Pod wszystkimi kłamstwami Sashy, które tknęła wokół siebie niby pajęczą sieć, zmyślnie zbudowaną, ale kruchą, tkwiła uczciwość i prawda, to, co w życiu najważniejsze.

Ponawiając próbę, pochylił się do niej. Uderzył go zapach jaśminu i jedwabiu.

- Pamiętasz, żeśmy zawarli rozejm?

Błysk ciemnych oczu, uśmiech, kolejne wzruszenie ramion. Piękna, strojna, nęcąca i odpychająca.

- Czy ja się z tobą kłóczę? - zapytała.

- Nie, i to mnie martwi.

Poruszyła się nieznacznie, zadźwięczały dzwoneczki przy ciżemkach, ciemna kaskada włosów zmiotła ze stołu okruchy cukrzonego wafła.

- Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że dopiero wtedy jesteś zadowolony, kiedy usłyszysz wyraźne tak lub nie? Chcesz pokoju czy wojny, panie?

- Uczciwości.

- Aha. Niełatwo ją przyjąć. Chciałam postępować z tobą uczciwie, ale moja uczciwość nie przypadła ci do smaku.

Miała rację. Jeśli sam chciał być uczciwy, musiał jej to oddać. Zirytował się.

- Twoje pojęcie o uczciwości nie całkiem jest do przyjęcia.

- Nie? - Uniosła lekko brwi. - Trudno, nic więcej nie mogę ci ofiarować. - Rozłożyła dłonie; długie, jedwabne rękawy opadły z miękkim szelestem. - Widzisz? Nie ma tu żadnej magii. Żadnej iluzji. Nie trzymam w rękawach kwiatów, ani lusterek zniekształcających obraz. To tylko ja. Zawsze ta sama. Różnie o mnie myślałeś, różną mnie sobie wyobrażałeś, bliską i napawającą lękiem, ale ja się nie zmieniłam. Nadal chcę tego, czego zawsze chciałam.

- Znowu ta przeklęta przepowiednia.

- Tak. - Uśmiechnęła się. - Ta przeklęta przepowiednia. Jest ze mną, odkąd skończyłam osiem lat. Towarzyszyła mi podczas trudnych nocy, kiedy nie wiedzieliśmy, czy rano obudzimy się żywi. Pielęgnowałam ją w sobie, kiedy świat wokół wydawał się mroczny i ponury. Zostałeś mi przepowiedziany, Rhysie ap Griffyn.

- Nie szukaj we mnie odpowiedzi.

Widząc, że Brian przysłuchuje się ich rozmowie, że nawet Cailin pochyliła się z zaciekawiona, a od niskiego stołu obserwuje ich Biagio, Rhys ściszył głos.

- Sama nie wiesz, co dokładnie mówi przepowiednia, mój kwiecie. Wszyscy mamy marzenia, które się nie spełniają. Czasami to po prostu senne mrzonki.

- To nie sen, tylko obietnica.

- Prędzej diabelskie kłamstwo - powiedział ostro i głośno. Poczuł, że Brian zeszywniał, usłyszał też zaintrygowany szept Cailin. Sasha tylko spojrzała na niego swoimi dużymi, ciemnymi oczami, w których odbijały się płomienie świec. Wziął głęboki oddech i pokręcił głową. - Później o tym porozmawiamy. Teraz nie czas i miejsce na podobne dyskusje.

Oparł się o zagłówek krzesła. Dobry nastrój diabli Wzięli. Jedzenie przestało mu smakować, muzykanci grali za głośno i fałszywie. Denerwowały go nawet ciche pobrzękiwania dzwonek przy cizemkach Sashy. Nie patrzyła na niego. Siedziała wyprostowana, z całej sylwetki biła uraza i cierpienie. Przeklętnica. Próbował, Bóg mu świadkiem, że miał dobrą wolę. Wbrew rozsądkowi, pod wrażeniem historii, którą opowiedziała mu Elspeth, chciał podać Sashy gałązkę oliwną, zawrzeć z nią pokój. Powinien był wiedzieć, że odrzuci jego gest. Właściwie nie był nawet zdziwiony.

Zatopiony w rozmyślaniach, pochmurny, podniósł głowę dopiero wtedy, gdy do wysokiego stołu podszedł sir Robert.

- Tak, Robercie?

Po krótkim wahaniu, sir Robert uśmiechnął się.

- Panie, padła propozycja, żeby uczcić odzyskanie Glenlyonu i godnie przywitać prawowitego lorda. Można zaprosić do kasztelu wszystkich twoich lenników, żeby ci się pokłonili i odnowili śluby wierności. Można by nawet pomyśleć o turnieju.

Brian wyprostował się.

- Turniej? - zapytał z wielkim zainteresowaniem.

Rhys zastanawiał się przez chwilę. Byłaby do doskonała okazja, by dowiedzieć się, kto ma zamiar pozostać wiernym wasalem pana na Glenlyonie, a turniej przyciągnie tłumy rycerzy. Tak, pomysł miał sens. Jeżeli uda się jeszcze zapewnić przyjazd księcia Deheubarth, umocni to pozycję Rhysa w Walii i tytuł lorda jednego z marcherów, które były mniej więcej odpowiednikami angielskich hrabstw. Poza tym turniej da rycerzom okazję do stawania w szranki w barwach wybranej damy. Obyczaj, który nie pociągał za sobą żadnych zobowiązań, ale był traktowany jako rodzaj przyrzeczenia, deklaracji bez słów.

Odchrząknął i skinął głową.

- Omówię rzecz z Owainem. Należy nam się święto po tym wszystkim, czego dokonaliśmy.

- Należy się nam, ani słowa.

Sasha przyglądała mu się, tajemniczo, z lekkim uśmiechem na ustach.

Odpowiedział uśmiechem.

- Podoba ci się pomysł zorganizowania turnieju, mój kwiecie?

- Uwielbiam rycerskie zabawy, gwar, muzykę, żonglerów, akrobatów i linoskoczków, podniecenie zakutych w lśniące zbroje wojów przed walką. Bardzo mi się podoba pomysł, mój panie,

- Zatem na świętego Jana urządzimy turniej. - Tu zwrócił się do sir Roberta. - Będziemy mieli dość czasu?

Sir Robert wyglądał na nieco zaskoczonego, ale skinął głową.

- To może i dobrze, że termin krótki, panie. Ludzie potrzebują upewnienia, że znowu zapanował spokój i wszystko będzie się toczyło po dawnemu. Na świętego Jana.

Dzwoneczki zadzwięczały cicho i Sasha roześmiała się.

- Lepiej wybrać nie mogłeś. To bardzo stosowny dzień. Bardzo stosowny.

18

Gorączkowe przygotowania dobiegały końca. Oparta o kamienny parapet Sasha wyglądała na wewnętrzny dziedziniec. Z okna komnaty roztaczał się widok na wioskę u podnóża skały, dalekie wzgórza i jasną, połyskującą w słońcu wstęgę rzeki Wye, która wijąc się kapryśnie to znikwała, to pojawiała się pomiędzy drzewami i strzechami chat.

- Milady?

Odwróciła się, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. Milady. Tytuł przysługujący pani kasztelu na walijskim odludziu. Do niej powinni się zwracać wasza wysokość, ale oczywiście nikt tutaj nie nazwałby jej w ten sposób. Była tylko kochanką lorda, nikim ważnym. Wyglądziła niebieską szatę i uśmiechnęła się.

- Z czym przychodzisz, Bowenie?

Syn Owaina odwzajemnił uśmiech. Z myśli chłopca wyczytała już dawno, że jest pod jej urokiem. Miły, gładki młodzieniec nie żywił do Rhysa urazy za piętnaście batów, które spadły na jego plecy z lordowskiego rozkazu. Spokojnie przyjął karę za to, że przyłączył się do Gavina. Swobodny w obejściu, bystry, zapatrzony w Saszę, Bowen stał się ostatnio jej nieodłącznym cieniem. Teraz spoglądał na nią niebieskimi, roześmianymi i pełnymi uwielbienia oczami. Całkiem miłe uczucie być obiektem adoracji gładkiego młodzieńca.

Odchrząknął.

- Przygotowania zakończone. Jesteś pewna, że dostaniesz zgodę lorda Rhysa?

- Mówiłam ci, Bowenie, że to niespodzianka, którą przygotuję specjalnie dla niego. O niczym nie może wiedzieć, ale na pewno będzie kontent. Nie pamiętasz, jakie zabawne i zajmujące były popisy Biagia? Teraz będzie podobnie. Odgrywaliśmy to setki razy w całej Europie. Pewnego razu przed austriackim księciem zdarzyło się... ech, nieważne. To stara historia, nie warto jej wspominać. - Posłała mu najbardziej promienny, najbardziej czarujący ze swoich uśmiechów. - Pamiętaj, to sekret.

- Sekret - powtórzył tonem lekkiego powątpiewania, ale gdy zapewniła go, że rzecz jest całkowicie bezpieczna, zgodził się, choć z ociąganiem, że nikomu nie piśnie słowa o planach Sashy.

- Biagio oczywiście wie, jest moim pomocnikiem, wtajemniczyłam Elspeth i jeszcze lady Cailin, alem nic nie mówiła sir Brianowi, za bardzo by się denerwował i zamartwiał.

- Och, jeżeli wie o tym siostra lorda...

- Owszem, wie. A teraz dobrze zapamiętaj: będzie trochę dymu, ale bez ognia. Nie działaj pochopnie, wyczekaj odpowiedni moment, inaczej wszystko popsujesz.

- Jak każesz, pani. Przypilnuję, żeby wszystko zostało przygotowane dokładnie według twoich życzeń.

- Bardzo dobrze. W razie potrzeby Biagio będzie ci służył pomocą. - Zachmurzyła się lekko. - O ile nie będzie pochłonięty odgrywaniem rycerza. W głowie mu się przewraca, ot co.

Bowen postąpił krok do przodu. Stał w ostrym słońcu; oślepiony blaskiem wpadających przez okno promieni, zmrużył oczy.

- Jest nadzwyczaj pojętny, milady. Sir Peter powiada, że Biagio, jak na kogoś, kto nigdy nie ćwiczył się w podejmowaniu z pędzącego konia obręcz kopią, jest nader zręczny.

- Tak, tak, sam nie omieszkał mi się pochwalić swoimi czynami.

Co najmniej sto razy. Śmieszne, z jakim zachwytem chwycił w dłoń drewniany miecz bądź kopię i galopował do kółka dynadającego na drewnianym wysięgu. Zdarzało się, że nie nawleczona na kopię, ale rozchybotana obręcz waliła go w plecy i powalała z konia. Widok był zabawny, ale niepowodzenia nie zniechęcały młokosa do ćwiczeń. Idiota. Wszystkie te przygotowania i cwi-

czenia przed turniejem zamieniały normalnych, dorosłych mężczyzn w małych chłopców. Miała tego serdecznie dosyć.

Podobnie jak gorączkowo przedsięwziętych środków ostrożności, jakby potężna wroga armia miała wślizgnąć się do twierdzy pod pretekstem udziału w festynie. Narady i jeszcze raz narady, dyskusje i waśnie, kłótnie o to, czy rozmieścić przebranych ludzi wśród gości, czy może urządzić turniej poza murami, we wsi, jak to z początku planowano; i tak całymi dniami aż do późnej nocy.

Zajęty przygotowaniem Rhys poświęcał jej niewiele uwagi. Przyłapywała się na tym, że mimo woli wyczynia rozmaite brewerie, żeby przypomnieć mu o swoim istnieniu. Cały czas czuła się głupio, czuła potrzebę wytknięcia mu niemądrych konceptów, a jednocześnie wciąż rosła w niej dziwna tęsknota. I tylko tęsknota, z całą pewnością nie płód. Nie była w ciąży. Na szczęście. Poczła jednak ukłucie rozczarowania, kiedy Rhys z absolutną obojętnością przyjął wiadomość o jej stanie: wzruszył bez słowa ramionami, to była cała jego reakcja. Doprowadził ją do furii.

- Zadbam o wszystko, milady. - Bowen przyklęknął na jedno kolano. Zawsze witał ją i żegnał w ten sposób, pełen uwielbienia, na które w pełni zasługiwała.

Lubiła jego dworne obejście. Uśmiechnęła się.

- Będę ci nieskończenie wdzięczna, Bowenie. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak poradziłabym sobie bez twojej pomocy. - Mówiła szczerze, chłopak był nieoceniony. Spełniał wszystkie jej prośby bez zadawania zbędnych pytań.

Podniósł na nią wzrok, nadal w przyklęku, z uwielbieniem w niebieskich oczach.

- Jeżeli mogę prosić... to wielka śmiałość z mej strony, ale w czasie turnieju chciałbym nosić oznakę twych łask...

- Oznakę łask? - Była zaintrygowana. Nikt nigdy nie prosił jej o oznakę jej łask. Nikt oprócz Rhysa, ale to ona nalegała i dotąd nie dostała odpowiedzi. Od dnia sprzeczki przy kolacji w wielkiej sali nie zająknął się ani słowem na temat przepowiedni. Pochlebiła jej prośba młodego rycerza i sprawiła przyjemność. Zaczęła się czuć jak jedna z tych śmiesznych, cnotliwych heroin z poetyckich romansów, recytowanych przez żonglerów ku uciesze wdzięcznej publiczności.

- Czy jedwabna szarfa cię zadowoli, sir Bowenie?
- Będzie mi najdroższa na świecie. Owiążę ją sobie wokół ramienia, a gdy wygram turniej, złożę u twych stóp w hołdzie - obiecał.

Przyniosła szarfę z czerwonego jedwabiu. Wyszywana cienkimi złotymi nićmi, naszycona zapachem jaśminu, jedna z jej ulubionych, w sam raz stosowna dla rycerza, który dopraszał się oznaki jej łask.

Gdy wręczyła mu skrawek materii ze słodkim uśmiechem, schwytał go i wycisnął na dłoni Sashy gorący pocałunek. Nadal klęcząc, ujął jej palce i wyszeptał:

- Na twoją cześć, łaskawa i piękna pani...
- Proszę, cóż za czułości - dobiegł ich od drzwi niski głos i Sasha ujrzała Rhysa wspartego o framugę, z jedną ręką ponad głową, zaciśniętą w pięść. Uśmiechał się, co prawda, lecz był to jeden z tych uśmiezków, które miały jej uprzytamniać, jak bardzo jest lekkomyślna. Zamarła, Rhys tymczasem podszedł do nich niespiesznym krokiem.

W kaftanie i tunice wyglądał groźniej niż w kolczudze. Do pasa miał przytroczoney lekki miecz, jaki zwykle nosił, kiedy nie opuszczał kasztelu. Zbliżał się, niby ogromny kot podkradający się do zdobyczy. Sasha wyrwała dłoń z rąk sir Bowena, podkreślając tylko gwałtownym gestem dwuznaczność sytuacji. Rhys przyglądał jej się spod przymkniętych powiek, zwężonymi oczami, w których czaiła się groźba, ale uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

Sir Bowen wpadł w panikę. Zmartwiwał w przykłęku, z czerwoną szarfą w dłoni i całkiem zmałym umysłem. *Mario i Józefie... Wiem, jak bardzo jest o nią zazdrosny... nie pomyślałem... Zabije mnie za samo to, że odważyłem się zbliżyć do jego pani... Nie wie, że chciałem tylko... Jakiż ze mnie głupiec zatracony... O Boże, Boże miłosierny... Trzeba było pierwszej pomyśleć, zamiast dopraszać się u milady faworów...*

Niemiała to rzecz słyszeć myśli rozhisteryzowanego młodzieńca, wolałaby zamknąć na nie swój umysł, z drugiej strony przyjemnie się dowiedzieć, że Rhys jest o nią zazdrosny. Zawsze to jakieś zadośćuczynienie za brak względów. Żeby jeszcze zazdrość nie rodziła się z przekonania, że jest jego własnością, byłoby doprawdy pięknie. Czy Biagio nie mówił jej, że Rhys traktuje ją jak resztkę

dobytku? Że należy do niego w ten sam sposób jak kaszel i ulubiony wierzchowiec?

W odpowiedzi ona też zmrużyła oczy i zerknęła na Bowena.

- Wstań, sir. Mój lord dobrze wie, że godzi się rycerzowi nosić w turnieju barwy wybranej damy. - Uniosła wzrok na Rhysa i uśmiechnęła się słodko. - Prosił, bym wyświadczyła mu łaskę i przyjęła potyczkę w hołdzie. Tyś też kiedyś składał podobne obietnice.

- Owszem.

Biedny Bowen wstał wreszcie, ale tak niezdarnie, że potknął się i zatoczył do tyłu.

-- I co? - nie dawała za wygraną Sasha.

- Ile sobie przypominam, nosiłem twoje barwy, jeno że turniej był wtedy całkiem inny.

Miękki ton i groźny uśmiech Rhysa całkiem zmogły Bowena. Wybełkotał coś, co zabrzmiało jak bulgotanie nargili. Rhys zmierzył chłopca baczny wzrokiem, zatrzymując spojrzenie na czerwonym jedwabiu, który Bowen nadal ścisnął w dłoni.

Czując, że przerażony młodzik za chwilę gotów oddać jej szarfę, Sasha niby taran wdarła się w jego myśli.

- Gdyby sir Bowen nie był prawdziwie dwornym rycerzem, panie, nie zabiegałby o honor stawania w moich barwach na twą cześć. Prawda, sir Bowenie?

Schwytany w pułapkę, wodził oczami od Rhysa do Sashy, wreszcie skłonił się unizienie, sparaliżowany i pokonany.

- Nie... iżbyś nie mógł... nie był zdolny do potykania się dla milady, milordzie. Jam tylko myślał...

- On tylko myślał, jakby tu sprawić ci przyjemność - wtrąciła szybko Sasha z jeszcze jednym słodkim uśmiechem. - I sprawił, w rzeczy samej. Wiedziałam, że będziesz rad - mówiła, puszczając mimo uszu pełen udręki jęk Bowena.

- Milordzie, późno już, a jeszcze tyle do zrobienia...

- Możesz odejść - rzucił Rhys bardziej trybem rozkazu niż przyzwolenia.

Bowen wyszedł natychmiast. Rhys zamknął za nim drzwi i odwrócił się ku Sashy.

Ileż to razy powtarzała się ta sama scena. Trzaśnięcie drzwiami

i ponury wzrok, który miał ją onieśmielić. Ostatnie tygodnie minęły na pozór spokojne. Lubiła przebywać w pobliżu Rhysa. Uznała, że pomimo dręczących ją od czasu do czasu pytań, bezpieczniej przemykać oczy na targające duszą rozterki i pozostawać przy sprawach dnia codziennego. Nie dociekać, nie pytać, nie sięgać zbyt głęboko. Teraz, w jednym przeblýsku, pojęła to, czego obawiała się najbardziej: tyle o nią dbał, co o inny dobytek. Była przedmiotem. Czułe słowa, pieścizoty, namiętne barłózenie na szerokim łóžu usypiały ją i pozwalały trwać w złudzeniu, że coś dla niego znaczy, chociaż nigdy jej tego nie powiedział. Chciała to wreszcie usłyszeć.

Pytać wprost, próżny trud. Zbyłby ją wzruszeniem ramion, z ręcznie wywinął się od odpowiedzi, zwykle tak przecież czynił. Istniały jednak sposoby, by dojść prawdy, byle zamiar się powiódł. Wzruszyła lekko ramionami, odwróciła się na pięcie i podeszła do okna. Wyrzała przez nie na gwarny dziedziniec, gdzie ciągle wrzała praca.

Rhys milczał przez chwilę. Otworzył swoją skrzynię z ubraniami i czegoś w niej szukał, po czym z hukiem zatrzaskał wieko. Zaciśnięta dłoń na kamiennym parapecie i utkwiała wzrok w podium, które cieśle szykowali dla widzów.

- Myślisz, że dość wysokie? - spytała, gdy milczenie zaczęło jej ciążyć. - Mnie widzi się za niskie, będziemy ledwie widzieli kolana walczących...

- Kim on jest dla ciebie?

Odwróciła się, niby to zaskoczona.

- Kto jest dla mnie kim, panie?

- Nie graj ze mną w kotka i myszkę, mój kwiecie. Zbyt łatwo cię przejrzeć. - Postąpił kilka kroków w jej stronę, z marsmem na twarzy, który nie obiecywał nic dobrego.

- Jeżeli mówisz o sir Bowenie, to ja...

- Oboje wiemy, o kim mówię. Całował twoją dłoń, a ty dałaś mu czerwoną szarfę.

- Ach, rozmawiamy zatem o sir Bowenie. - Skinęła głową. - Cóż, myślę, że godnie będzie stawał w szrankach, to chyba jeden z naszych najlepszych.

Zatrzymał się naprzeciw niej. Nie zdziwiłaby się, gdyby zionął

jej teraz w twarz ogniem i siarką, niby smok. Oczy gorzały mu zawziętą wściekłością. Jeszcze chwila, a dojdzie do katastrofy. Zwykle wycofywała się wobec tak oczywistego i bezpośredniego zagrożenia, ale teraz, w poczuciu, że jest niekochana, zapomniała o rozwadze.

Podjmując wyzwanie, wkroczyła na niebezpieczne terytorium, gdzie nie sięgała władza - i ochrona - zdrowego rozsądku.

- Nie powinieneś być zazdrosny, panie - szepnęła.

- Nie mów mi, com powinien, a czego nie - odparował spokojnie.

Położył pachnącą wiatrem rękę na jej ramieniu. Wbił palce w niebieski jedwab.

- Nie będę się tobą z nikim dzielił, mój kwiecie. Choćby to miały być tylko spojrzenia rzucane z oddali i ciche szepty po kątach. Nawet o tym nie myśl.

- No wiesz, i pomyśleć, że ty właśnie oskarżasz mnie o wybujałą wyobraźnię. Dlaczego uważasz, że skoro wprowadziłeś mnie w tajniki miłosnych rozkoszy, miałabym je dzielić z innymi? Czyżbyś bał się, że mi nie wystarczasz? - Uśmiechnęła się, gdy jego palce zacisnęły się niby kleszcze. - To boli, lordzie Rhysie, zechciej zwolnić uścisk... Trzymasz mnie zbyt... mocno.

Jej słowa utonęły w ciszy, ale poznała po nagłym błysku w oczach Rhysa, że pochwycił ich podwójne znaczenie. Był wściekły, miotała nim furia.

- Zawsze mocno dzierzę, co moje - powiedział cicho. - Mówiłem ci o tym.

- Tak, ale istnieje pewna różnica między rzeczą a człowiekiem. Nigdy o tym nie pomyślałeś? Nie możesz traktować ludzi tak, jakby byli snopkami siana albo beczkami z winem.

- Przeciwnie, już jako dziecko zrozumiałem, jak łatwo dysponować człowiekiem, nawet jeśli to rodzony syn. Otrzymałem wtedy pierwszą ważną lekcję. Nigdy jej nie zapomniałem.

Głupia, głupia, żeby o tym zapomnieć... Wpatrywała się w niego w milczeniu. Popełniła straszny błąd, ale nie mogła już odwołać rzuconych nierozważnie słów. Nie chciała go urazić. Chciała wystawić go na próbę, usłyszeć słowa miłości. Przymknęła oczy.

- O nie, mój kwiecie, unieś powieki. Popatrz na mnie. Nie

myśl, że tak łatwo mi się wymkniesz - mruknął warkliwie. Doprawdy, taki pomruk musiał zapowiadać nieszczęście. - Znam to wszystko na pamięć. Od dziecka. Mały chłopiec, zakładnik, nikt na mnie nie zwracał uwagi. Napatrzyłem się do syta na dworze Edwarda. Zawsze to samo: szept, ukradkowe spojrzenia, aluzje, a potem szybkie parzenie się gdzieś pod schodami, w zamkowych zakamarkach albo i na ludzkich oczach, kiedy ten, co widział, mniej się liczył od zwierzęcia. Chuć, chuć i nic więcej. Tak, napatrzyłem się, nasłuchałem, i nie dam się zwodzić.

Otworzyła oczy i spojrzała bezradnie. I jak zawsze w chwilach napięcia, uznała, że prawda będzie najbezpieczniejsza.

- Nie zwodzę cię, milordzie, nie gram...

Pochwyił mocno za włosy i odchylił jej głowę do tyłu. Przywarł ustami do jej ust, ale nie było w tym pocałunku choćby śladu czułości... prędeż już przypominał karę. Tak się miał do pieczyoty, jak mroczna noc ma się do opromienionego słońcem dnia. Rhys całował, jakby wargami wypalał swoje piętno na skórze Sashy: moja jest i basta. Znak własności i ostrzeżenie dla każdego, kto ośmieliłby się do niej zbliżyć.

Żadnych miłosnych zaklęć, zalotnych słów, przymilnych szep-tów. Tylko ręce gwałtownie zrywające suknię, siłą brane pocałunki.

W tych brutalnych gestach, w dzikim gniewie Sasha czuła nutę rozpacz, widziała ją w chmurnych oczach, w bolesnym grymasie wykrzywiającym usta, kiedy chwycił ją w ramiona, rzucił na łóżko i nachylił się nad nią. Nie, nie wziął jej siłą. Nie próbowała się opierać, chociaż trzymał mocno, by mu się nie wymknęła.

Był okrutny i czuły, jak niemożliwe połączenie ognia i lodu. Kiedy jego dłoń zsunęła się między uda, Sasha mimowolnie drgnęła, szarpnęła się.

- Nie, mój kwiecie... nie próbuj walczyć ze mną. Przegrasz.

Chwycił ją za nadgarstki i przycisnął całym ciężarem ciała do materaca. Leżała bez ruchu, kiedy puścił jej dłonie i uniósł się nieco. Rozpiął pas i po chwili był już w niej. Czuła jego przyspieszony oddech na policzku, sięgnęła dłonią do jego twarzy, lekko przesunęła palcami wzdłuż blizny.

Wtuliła usta w zagłębienie szyi i ugryzła lekko, na co odpowiedział pomrukiem zadowolenia. Jęk, jeszcze jedno mocne

pchnięcie, dreszcz rozkoszy. Przywarła do niego, oplótła nogami, pieszcząc stopami jego uda. Było coś podniecającego, a zarazem znaczącego poddaństwo, że tak się kochali: ona zupełnie naga, on w ubraniu, niby w zbroi...

Uniósł się na łokciach i spoznał na nią z dziwnym uśmiechem.

- Jesteś moja, kwiatuszku.

To było pytanie, nie stwierdzenie, chociaż wypowiedziane z mocą. Odwzajemniła uśmiech i pogłaskała Rhysa po karku.

- Tak, zawsze byłam twoja.

Usatysfakcjonowany, zamknął jej usta pocałunkiem. Stał się czuły, delikatny, wytrawny w coraz bardziej namiętnych pieszczotach. To była bitwa, turniej, walka na kopie, w której nie ma zwycięscy, w której każde z kochanków zagarnia drugie dla siebie. Jeszcze nie odpowiedź, której pragnęła, ale jednak odpowiedź.

W palenisku pośrodku wielkiej sali ogień jeszcze płonął, kiedy wszedł tam Rhys. Przystanął w progu, wsłuchując się w ciche pochrapywania mężczyzn i kobiet, śpiących na siennikach rozłożonych po całej sali albo pomieszczonych w przyściennych alkowach. Wokół spokój. Nie spało tylko kilka psów, ale i te sennie ziewały. Żaden nawet nie szczeknął. Doskonale. Nie potrzebował świadków. W warowni trudno było znaleźć odosobnienie, a nie chciał wyjeżdżać z Glenlyonu po nocy, teraz, kiedy nadal nie był pewien swoich baronów.

Większość przyjęła zaproszenie na turniej i zapowiedziała swoje przybycie. Tylko nieliczni nie odpowiedzieli na uprzejme wezwanie. Czy przyjadą? Czy zechcą ślubować mu wierność, będą jego wasalami? Wkrótce się okaże, bowiem pierwsi goście zaczęli już ściągać. Kasztel wypełni się niebawem baronami i ich ludźmi.

Turniej miał trwać dwa dni. Potyczki w szrankach. Walki na kopie. Zapasy. Wyglądał niecierpliwie rozpoczęcia zawodów. Musiał dać upust napięciu, które się w nim nagromadziło. Zbyt wiele ostatnio spadło nań trosk, dręczyła go niepewność, wy czekiwanie.

Dochodziły słuchy, że Ryszard wkrótce powinien opuścić Jeruzolimę. Kiedy król powróci, postanowi o losie Gavina. On sam

będzie musiał wreszcie odpowiedzieć Sashy. Dał słowo i nie może go złamać. Do diabła z nią. Nieustanne gadanie Briana o urokach, wiedzmach i wróżkach sprawiało, że sam niemal zaczynał wierzyć w klechdy powtarzane przez Irlandczyka. Z pewnością rzuciła na niego czar. Nigdy żadna kobieta nie zajmowała jego myśli tak bardzo, jak ona. Żadna nie miała nad nim takiej mocy, nigdy wobec żadnej nie zabrnął tak daleko, że stawał się wręcz śmieszny.

Choćby ostatnio. Jezu, kiedy ujrzał Bowena klęczącego przed nią na środku komnaty, wpatrującego się w nią z zachwytem, kiedy zobaczył, jak z łaskawym, królewskim uśmiechem przyjmuje hołdy, poczuł, że mógłby rozerwać chłopaka na strzępy. Wiedział doskonale, że Bowen, z głową nabitą ideałami dwornej miłości, jeno tęsknie wzdycha, zapatrzonej w Saszę adoruje ją i nie ośmieliłby się na nic więcej. A jednak Rhys nie potrafił powściągnąć wściekłości, nie umiał zapomnieć Sashy jej wcześniejszych zrad i podstępów.

Kopnął wiązkę sitowia, wzbijając w powietrze obłoki kurzu. Podeszedł do ognia i zapatrzył się w płomień, jakby w nim myślał znaleźć odpowiedź.

- Czyżby królowa elfów wyrzuciła cię z komnaty? - dobiegło go ciche, kpiące pytanie. Odwrócił się.

Z cienia wyszła Cailin. Uśmiechała się nieznacznie, oczy jej błyszczały. Zmarszczył brwi. Nadal czuł się zakłopotany w obecności przyrodniej siostry, chociaż Brian był nią urzeczony. Wrzucił ramionami.

- Nasłuchałaś się bajdurzeń sir Briana. Ona nie jest królową elfów.

- Nie? - Dziewczyna wzruszyła obojętnie ramionami. - Coś jednak w niej jest. Te jej oczy. Ciemne, przepastne, tajemnicze i wszystkowiedzące. Ludzie szepcą, że ona jest z Tylwyth Teg.

Uśmiechnął się.

- A ty? Też tak uważasz?

Cailin podeszła z gracją do małego stołka przy ogniu, usiadła, zaplotła dłonie na kolanie i przyglądała mu się badawczo. Uśmiech nadal igrał na jej ustach; w blasku płomieni jej jasne włosy połyskiwały złotem.

- Ona mi się podoba. Jest inna. Nie ma w sobie nic z kruchej,

bezwolnego stworzenia. Nigdy nie sądziłam, że taką sobie wybierzesz.

Rhys czubkiem buta rozgarnął popiół na skraju paleniska.

- Skąd u ciebie myśl, jaką kobietę wybiorę?

- Ponieważ wiedziałam, że wrócisz. Davydd tak twierdził. Wierzył w to, chociaż ojciec stracił nadzieję. Wynn uważał, żeś zupełnie zangliczała, może się nie mylił.

Przyglądała mu się uważnie, jakby chciała dokonać oceny. Po chwili skinęła głową.

- Tak, Davydd miał rację. Źle się stało, że nie wróciłeś, zanim zginęli.

Uderzony okrucieństwem jej słów, nic nie odrzekł. Dopalające się polano sypnęło iskrami. Dym dostał się Rhysowi do oczu; zamrugał, przetarł je dłonią.

- Co ty możesz o tym wiedzieć?

Przechyliła głowę.

- Wydaje ci się, że nigdy nie rozmawialiśmy? Wydaje ci się, że skoro jestem bękartem, to nie należę do rodziny? Należę. Nasz ojciec mnie kochał, słuchałam nocnych rozmów, widziałam, jak cierpi. Zapomniałeś o nim.

- Zapomniałem? Nie wiesz, o czym mówisz. Byłaś jeszcze dzieckiem. Kiedy wyjeżdżałem, nie było cię na świecie.

- Wiem wszystko, Rhysie.

Ciche słowa zabrzmiały szyderczo, wyzywająco.

- Nie kpij ze mnie. Nie wiesz nic. Uważasz, że opuściłem dom z własnej woli? Miałem osiem lat, gdy oddano mnie angielskiemu królowi. Osiem lat, kiedy po raz ostatni widziałem ojca i matkę. - Był zirytowany, że sprowokowała go do bolesnych wynurzeń, ale nie panował już nad sobą. Odwrócił głowę w stronę ognia. - Nic nie wiesz.

- Wiem, jak bardzo ojciec martwił się o ciebie. Słał jeden po drugim listy, na które nigdy nie odpisywałeś. Łaknął wieści od ciebie, a musiał zadowolić się tym, co donosił mu twój giermek. Zapytaj Morgana. Został wysłany z tobą, żeby troszczyć się o twoje bezpieczeństwo, przypominać ci o twoim dziedzictwie i o rodzinie. Wydaje ci się, że ojcu rozstanie z tobą łatwo przyszło? - Mówiła porywczo, drżącym głosem. - Niełatwo, mo-

żesz mi wierzyć. Pragnęłam, żeby choć raz powiedział o mnie tak, jak mówił o tobie. Och, nie powinnam się skarżyć, był dla mnie dobry. Opiekował się mną, ale nie kochał nadto, nie byłam przecież synem. Za tobą tęsknił, bolał, że cię utracił, nikt mu nie mógł ciębie zastąpić. Ponoć kiedy się urodziłam, lamentował, że matka powiła dziewczynkę.

Wstała z gracją, wygładziła suknię, tylko drżenie dłoni zdradzało, jak bardzo jest wzburzona.

- Nienawidziłam cię przez całe lata. Teraz, kiedy wróciłeś, moja nienawiść do ciebie jest równie silna jak niegdyś.

Gdy się odwróciła, by odejść, zatrzymał ją jednym słowem.

- Zaczekaj - powiedział z trudem.

Spojrzała na niego, dumna, nieufna, zupełnie jak Sasha. Uprzytomnił sobie, jaka jeszcze jest młoda, jak bezbronna musi się czuć w nieprzyjaznym jej świecie, tak samo jak on niegdyś. Wyciągnął do niej rękę na zgodę, niepewny, czy ją przyjmie. Po długiej chwili podała mu dłoń. Na jej ustach pojawił się uśmiech.

- Witaj w domu, Rhysie.

Owe proste słowa zdawały się mieć oczyszczającą moc. Odwzajemnił uśmiech.

- Dobrze wrócić do własnych kątów.

Ból pozostał, nie wszystkie przeniewierstwa poszły w niepamięć, ale gest przyrodniej siostry, o istnieniu której wcześniej nawet nie wiedział, ukoił udręczone serce.

W Cwnllew ustawiono świętojański słupek z brzozowego pnia - *y fedwen haf*- ozdobiony wieńcami ze wstążek. Na czubku umieszczono blaszanego kogucika ze złożonym ogonem, wskazującego kierunek wiatru. Pod kogucikiem łopotał proporzyczyk. Kilku silnych chłopów pilnowało słupa, żeby nie wykradła go sąsiednia wieś.

- Wszystko to jeno zabawa - tłumaczyła Cailin Sashy. Prawda, zabawa, ale wieś, która pozwoliła wykraść sobie słupek, okrywała się hańbą na długie lata. - Jeżeli nam uda się ukraść *y fedwen haf* innej wsi, zyskamy respekt...

- I oni mnie nazywają poganką - mruknęła Sasha i pokręciła głową, przyprawiając Cailin o wybuch śmiechu. - Nadal mają mnie za wiedźmę?

- Nie, za wróżkę - śmiała się Cailin. - To przez te twoje oczy.

- Dość już mam wysłuchiwanie, żem wróżką albo wiedźmą.

Znowu, po raz chyba setny, spoglądała na dziedziniec. Rhys nadal rozmawiał z obcymi ludźmi. Nie znała ich, wiedziała tylko, że jest wśród nich sir Niclas, co miał ponoć stawać przeciw Glenlyonowi. Jeżeli nawet był kiedyś wrogiem Rhysa, teraz najwidoczniej postanowił połączyć z nim siły. Pomysł sir Roberta, by święto przesilenia letniego przywitać turniejem, spotkał się z gromadnym odzewem i do warowni ściągały zewsząd tłumy gości.

Sasha od niechcenia spoglądała na rycerzy i żołnierzy; tylko nieliczni byli przy broni. Rhys, sir Robert, sir Clyde. Inni mieli jedynie małe sztylety do krojenia mięsa: żaden nie przypasał śmiertelnościowego miecza. Raptem zdjęła ją dziwna niepewność, ledwo pochwytne, a przecież dojmujące przeczucie nadchodzącego zła. Podniosła się z drżeniem, jakby przeszył ją powiew lodowatego wiatru, który pozostawił na zamkowym dziedzińcu odrażający fetor zgnilizny i śmierci. Stała porażona lękiem, znieruchomiła i milcząca.

- Przyjdiesz dziś wieczorem na *ffatio*? - zapytała Cailin.

Sasha spojrzała na nią, otrząsając się z letargu.

- Co to takiego? - zapytała nieswoim, ochrypłym głosem.

- O północy wszystkie panny idą do źródła, tam robią pranie. Stary obyczaj każe, by z każdym uderzeniem kijanki powtarzać *Sawl ddaw igyd-fydio, doed i gyd-ffatio*, a wtedy...

- Zaczekaj. Co to znaczy?

- Kto za żonę mnie bierze, niechaj tutaj ze mną pierze. Legenda powiada, że kiedyś wielki pan spotkał przy źródle dziewczkę czeladną i takim zapałał do niej afektem, że uczynił z niej swoją prawowitą żonę i odtąd zasiadała do *cyd-fydio* u jego boku przy wysokim stole. - Cailin uśmiechnęła się figlarnie. - Spróbuj, może wypowiadane o północy słowa rzucą czar na mojego brata.

Sasha wpatrywała się w kwiaty, które wplatała w świętojański wieniec. Zgniotła płatki w palcach i niedbale wzruszyła ramionami.

- Dlaczego sądzisz, że chcę zostać żoną Rhysa?

- Nie trzeba daru jasnowidzenia, żeby to wiedzieć. Ale nie obawiaj się, nikomu nie powiem.

Sasha poderwała głowę i spojrzała Cailin prosto w oczy. Ta nie odwróciła wzroku, nie drgnęła nawet, spokojnie wytrzymała spojrzenie. Nikt, wyjąwszy Rhysa, nie miał tyle hartu, takiej śmiałości. Może jeszcze Elspeth i Biagio, ale i to tylko wówczas, gdy było im za jedno, co wyczyta w ich głowach. Cailin myślała po walijsku. Czyżby wiedziała o Darze? Skąd? Sasha zasepiła się.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Cailin zmieniła temat. Zaczęła mówić o świątecznych obchodach i zabawach.

- Sir Brian powiada, że będzie ciągnął losy, kto przeciwko komu stanie jutro w szranki. Pozwoliłam, żeby nosił moje barwy, jeśli taka ochota.

Sasha wolała pominąć milczeniem osobę Briana - bez wątpienia nakładł Cailin do głowy rozmaitych opowieści o elfach i wróżkach.

- Moja niespodzianka już gotowa. Mówił ci Biagio? - zagadnęła.

- Tyle aby, że napytasz sobie kłopotów i tak cała rzecz się skończy. Powiada, że wszystkie twoje przednie pomysły taki mają skutek, że on broczy krwią, a ty zmykasz ile sił dla ratowania życia.

- Zdarzyło się kilka razy, prawda, ale nie zawsze tak było. - Pokręciła głową, otrząsając się z niemiłych wspomnień. - A bo też on nigdy nie potrafi wysłuchać do końca moich poleceń. Wydaje mu się, że wszystko wie i bieda gotowa, gubi nas jego zadufanie i pewność siebie. Tym razem wszystko się uda i będzie wielkie zadziwienie, byle Biagio robił, co mu przykazałam.

- Hmm. Nie mogę pojąć, dlaczego tak się uparłaś, żeby to zrobić. Podług mnie ważysz się na duże niebezpieczeństwo, a przecież nie znam wszystkich szczegółów.

- Nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Widziałam taką sztukę raz na Cyprze. Zapierało dech w piersiach. - Przerwała. Choćby ją torturowali najwymyślniejszymi sposobami, nie wyznałaby, dlaczego tak bardzo chce wprowadzić w czym swój sekretny plan. Jakżeby miała wyjawić, że pragnie, by Rhys ukorzył się w uwielbieniu dla jej mądrości i sprytu. Być może powiedziała by jej w końcu, że jego serce do niej należy i że żadna inna kobieta nie

może się z nią równać. Niechby żar jego słów wypełnił trawiącą duszę pustkę.

Cailin z westchnieniem przysiadła na ławie. Jej włosy połyskiwały złotym blaskiem w promieniach słońca.

- Cypr. Ja nigdy nie wyjeżdżałam z Walii. I nie tęskniłam za obcymi stronami. Lubię mój kraj.

Sasha popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

- Trudno mi sobie wyobrazić, że człowiek może tu wieść życie w zadowoleniu.

- Trudno?- powtórzyła Cailin.- Nie ma takiego miejsca, w którym chciałabyś się znaleźć i na zawsze już w nim pozostać?

Sasha pomyślała przez chwilę o swoim domu, o białych kopułach pałaców i smukłych minaretach, o złożonych hełmach wież, połyskujących purpurą w promieniach zachodzącego słońca, o ożywczej bryzie przesyconej słodką wonią drzewek pomarańczy, o zapachu orientalnych trociczek. Stanął jej przed oczami wyłożony misterną mozaiką dziedziniec z wielką fontanną pośrodku, rzeźbioną w kształt ryby; z pyska kamiennej rzeźby tryskała woda, a w basenie na dole wesoło śmigały złote rybki. Mnóstwo zieleni, bogate ornamenty, jedwabne kotary łagodnie poruszające się za każdym powiewem wiatru, ciche dźwięki muzyki. Tak, ciągle wracała myślami do tamtych obrazów, ale ostatnio jakby rzadziej. Były i inne wspomnienia, które nachodziły ją nieproszone: błyski bułatów, splamione krwią burnusy, krzyki umierających i głowa na srebrnej tacy. I ojciec, pełen czułości, przystępny i beztroski. Nazywał ją *zaharat*.

W miejsce owych wyrazistych *scen* z odległej przeszłości nagle wdarły się inne, bliższe w czasie. Rhys, jakim ujrzała go po raz pierwszy, bóg słońca na czarnym koniu, w samym środku angielskiego lasu, z aureolą złocistych włosów wokół głowy, wyniosły i tak piękny, że jego widok zapierał dech w piersiach i mącił myśli. Potem łąka, głogi, błękitne niebo i szare jak dym oczy, dłonie, których pieczyta zdawała się mieć czarodziejską moc, dłonie, za których dotknięciem znikał realny świat; wokół nic, tylko oni dwoje.

Kiedy oddawała się marzeniom o Rhysie, zamiast myśleć o swoim dziedzictwie, sprzeniewierzała się przepowiedni. Co

gorsza, coraz częściej zastanawiała się, jakby to było... zostać z nim na zawsze, do końca życia trwać przy jego boku...

- Sasha?

Głos Cailin wyrwał ją z zadumy. Drgnęła.

- Rozmyślałam nad twoim pytaniem. Jedyнным miejscem, którego nie chciałabym nigdy opuszczać, jest mój dom. Urodziłam się, żeby w nim żyć i chcę tam powrócić.

Cailin uśmiechnęła się.

- Życzę ci zatem, żeby twoje pragnienia się spełniły. Czy mam odprawić czary na tę intencję?

- Dobrze, że sir Brian nie słyszy, co mówisz. Spaliliby mnie na stosie. Nie dość, że sama czarownica, to jeszcze ciebie pociągnęłam za sobą.

Wpięła w wieniec z winorośli ostatni kwiat i podała go Cailin.

- Proszę. Udekoruj nim ten wasz kij we wsi, coście go zatknęli w ziemię.

- *Y fedwen haf* ~ poprawiła ją Cailin ze śmiechem. - Jeżeli masz zamiar zostać w Walii, powinnaś zacząć uczyć się naszego języka.

- Dziwnie brzmi mi wasza mowa, jakby kto pluł, zamiast wymawiać słowa. - Przysłoniła oczy dłonią, widząc nadchodzącego pewnym krokiem Biagia. - Aha, ten już chyba skończył przygotowania.

Biagio stanął przed nią z kwaśną miną.

- Mam złe przeczucia, bella. A kiedy mam złe przeczucia...

- Za dużo zjadłeś, toś źle usposobiony, z pełnego brzucha biorą się humory. Nie desperuj, wszystko pójdzie gładko. Czy Elspeth gotowa z kostiumem?

Skinął głową bez szczególnego entuzjazmu. Popatrzył z nikłym uśmiechem na Cailin, potem znowu na Saszę.

- Jeżeli jego lordowska mość będzie miał za złe, powiem mu, że to był twój pomysł. Lojalnie ostrzegam, nie zamierzam cię osłaniać.

- Wielka mi niespodzianka. Jeszcze słyszę, jakie się mnie zażarcie wypierał ostatnim razem.

- Jesteś zupełnie, ale to zupełnie szalona. Mam nadzieję, że wróci ci rozum, zanim będzie za późno. A nie wróci, trudno, i tak będę w pobliżu.

- Wiem, że będziesz. Nigdy mnie nie zawiodłeś.

Biagio stał bez ruchu. Zapatrzył się w przestrzeń, wiatr targał jego ciemne włosy. Sasha dopiero teraz zauważyła, zaskoczona, jak bardzo on ostatnio wydorósł. Już nie był tym samym, co jeszcze niedawno, niedorostkiem. Głos mu zmężniał, na policzkach pojawił się pierwszy zarost. Stał się jeszcze bardziej, o ile to możliwe, butny. Już nie będzie jej towarzyszył w karkołomnych eskapadach. Zacznie napominać, udzielać przestróg, będzie wypróbowywał na niej swój męski autorytet, będzie robił wszystko, by odebrać przygodzie smak ryzyka.

Już miała popaść w melancholię, że tak się oboje zmienili ostatnimi *czasami*, kiedy na twarzy Biagia *znowu* pojawił się kwaśny grymas.

- Nadchodzi pan i władca. Zmykajmy, póki jeszcze czas.

Cailin parsknęła cichym śmiechem i szybko zakryła usta dłonią. Biagio popatrzył na nią z wielo mówiącym błyskiem zainteresowania w oku. Sasha uniosła brew, ale zaraz zapomniała o swoim przyjacielu.

Na widok wysokiej sylwetki Rhysa serce zabiło jej mocniej, przepełnione nadzieją, której nie śmiała zgłębiać. Przywołała na twarz swój najbardziej promienny uśmiech i zagadnęła:

- Widzi mi się, że wszystko idzie po twojej myśli, panie.

- A i owszem - przytaknął Rhys, odpowiadając uśmiechem na jej uśmiech. Ujął ją za łokieć, popatrzył na siostrę, na Biagia. - Siadziecie dziś wieczorem przy ognisku, kochana dziatwo?

- Gdzieżbym miała przepuścić ognie świętojańskie - odrzekła Cailin. - Obiecałam sir Brianowi, że pójde z nim o północy szukać świętojańskiego ziela. Powiada, że odstrasza ono wiedźmy i złe duchy.

- Obawiam się, że ma na ciebie za duży wpływ - powiedział Rhys niby to surowo, ale uśmiechał się przy tym. - Dał ci już jakieś amulety?

- Trzy.

- Wcale mnie to nie dziwi.

Objął Saszę w talii i zwrócił się do niej:

- *Idę teraz* spotkać się z baronami, zobaczymy się dopiero przy ognisku. Do wieczora zatem.

- Do wieczora. Biagio i ja spędzimy popołudnie z Elspeth. - Nie mogło być lepiej. Zastanawiała się wcześniej, jak zdoła przez cały dzień unikać Rhysa. - Bywaj tymczasem.

Kiedy odszedł, Biagio popatrzył na nią uważnie. *Magia, bella? Jak to jest, że zawsze wszystko układa się po twojej myśli?*

Uśmiechnęła się nieznacznie. Rzeczywiście, wszystko układało się po jej myśli.

Ogromne ognisko oświetlało dziedziniec. Płomienie buchały wysoko, prósząc wokół deszcz iskier. Mieszkańcy warowni pospołu z wieśniakami tańczyli skocznie wokół ognia. Tańce rozpoczęły się już wczesnym popołudniem. Teraz nad kasztelem i wsią u podnóża skały zapadał zmrok. Dzieci piszczały, psy szczekały, w wieczornym powietrzu niosły się wesołe głosy i śmiechy.

Rhys zajął miejsce na niewielkim podwyższeniu ustawionym pod drzewem na dziedzińcu. Postanowiono, że przybywający pozostawią broń za bramami warowni, zatrzymując co najwyżej noże do krajania mięsa. Nieliczni protestowali, ale większość baronów uznała decyzję za rozsądną. Dzięki niej wszyscy mogli oddać się beztroskiej zabawie, nie lękając się krwawych sporów. Tylko ludzie Rhysa byli uzbrojeni: ktoś musiał strzec porządku. Już ściągnęli do lochów kilku takich, co im wino za mocno uderzyło do głowy - niech się tam prześpią.

Poza tym nie doszło do żadnych ekscesów. Wszystko toczyło się przewidzianym trybem. Rhys odebrał przysięgę wasali, potem spotkał się sam na sam z sir Niclasem z Raglan. Uwierzył, gdy ten rzekł, iż nigdy nie myślał łączyć sił z Gavinem. To Jan i Gavin rozpuścili wieść o przymierzu, by osłabić tym podstępny sposobem siły baronów podlegających księciu na Deheubarth i utrwalić władzę Jana nad walijskimi marcherami. Pokrętny plan się nie powiódł. Rhys, wspierany siłą sąsiadów, umocnił swą pozycję, a przybycie do kasztelu księcia Deheubarth było jeszcze jedną

oznaka poparcia. Bo też księżę przybył kilka godzin wcześniej wraz ze swą świtą, uznając tym samym Rhysa prawym panem Glenlyonu.

Sprawy miały się dobrze.

Rad z tego, co dotąd uzyskał, Rhys spoglądał na tłum czujnym okiem. Jedno nieopatrzone słowo, kłótnia między baronami, rzucona w gniewie obelga, mogły doprowadzić do katastrofy. Ale nie, trwała beztraska zabawa, nic nie zapowiadało kłopotów.

- Zamiast cieszyć się, że wszyscy ci sprzyjają, ty wolisz szukać dziury w całym - burknął Brian, gdy po raz kolejny musiał odpowiedzieć, czy aby strażę czuwają. - Nic nam nie grozi, Rhysie. Nawet twoja dama zachowuje się jak przystoi.

Rhys rzucił przyjacielowi rozbawione spojrzenie.

- Wydajesz się tym bardzo zdziwiony.

- Tak. Nie myślę, by zamierzała jakaś niecnotę, co najwyżej rzuci kilka zakłęb, to wszystko.

- Tyle razy ci powtarzałem, lubi się z tobą drażnić. A że dajesz się jej prowokować, to mi cię wcale nie żal. - Przerwał, pochylił się i powiódł wzrokiem wzdłuż podwyższenia, w stronę, gdzie siedział księżę w całym majestacie władzy. Jak się godziło tak potężnemu panu, księżę Deheubarth zajmował honorowe miejsce, wyniesiony ponad innych i otoczony swą świtą. Choć już w latach, księżę bawił się serdecznie, ujęty niezmiernie gościnnością Glenlyonu.

- Gdzie ona jest? - zaniepokoił się Brian, przepatrując tłum. - Od dłuższej chwili nie widzę ani jej, ani twojej siostry.

Rhys wzruszył ramionami.

- Była tu dopiero co. Powiedziała, że idzie zmienić szaty. Wiesz, jakie są niewiasty, tylko im stroje i klejnoty w głowie.

Brian zachmurzył się.

- Nigdy nie widziałem, żeby specjalnie troszczyła się o podobne sprawy. Równie dobrze mogłaby nic nie mieć na sobie, jak... wybacz, mój panie. Nie powinienem był ci o tym przypominać.

- Prawda - mruknął Rhys. - Nie powinienes.

Do diabła z nią. Brian miał rację. Nigdy nie dbała o stosowny strój. Gdzie zatem się podziała?

- Zaraz zaczną się występy. - Rozmowę przyjaciół przerwał

sir Robert. Na jego ogorzałej, pomarszczonej twarzy malowało się zadowolenie. - Będą kuglarze, akrobaci i inne uciechy, panie. Dać sygnał, żeby zaczęli?

Zaczął się już na dobre zmierzchać, mrok szybko gęstniał. Rhys, nie chcąc dłużej zwłóczyć, skinął głową.

- Tak, sir Robercie, daj sygnał, żebyśmy co zobaczyli, zanim zapadną ciemności.

W głębi dziedzińca, naprzeciw podwyższenia dla najzaciej-szych gości, wzniesiono platformę z desek, dość wysoką, by kuglarzy mogli dojrzeć także ci, co stali z tyłu. Gdy muzykanci zaczęli grać, wokół platformy poczęli cisnąć się ciekawi przedstawienia. W blasku pochodni pojawili się akrobaci, wywijając koziołki i szalone salta, a tak zwinnie dokazywali, jakby mieli ciała z gumy. Małe psy z jazgotem przeskakiwały przez obręcze, kręciły się w kółko przy głośnym akompaniamencie bębnów niczym najlepsi tancerze. Dźwięczały dzwoneczki, przygrywały lutnie i gęśliki, a każdą kolejną sztuczkę witały gromkie śmiechy.

Rhys rozglądał się po rozbawionym tłumie, ale nadal nie mógł nigdzie dostrzec Sashy. Pomyślał, że pewnie stoi z przodu: lubowała się wszak w kuglarskich popisach, cały wieczór wyczekiwała ich z niecierpliwością. Niech się cieszy, skoro on zajęty jest gośćmi. Ostatnie dni upłynęły mu na spotkaniach, naradach, rozmowach: musiał dopatrzeć setnych szczegółów, nie mógł wszak całości przygotowań zdać na Owaina. Dopiero późną nocą wracał do komnaty, wślizgiwał się do szerokiego łóża, przygarniał Saszę do siebie, budził ją pieszczotami i dopotąd obsypywał pocałunkami, aż się rozbudziła. Nie całkiem więc o niej zapomniał pośród gorączki ostatnich dni.

Słyszac dziwny, nieartykułowany dźwięk, który wydarł się z piersi Briana, Rhys odwrócił głowę. Przyjaciel wpatrywał się w scenę jak zahipnotyzowany, oczy o mało nie wyszły mu z orbit. Rhys podążył wzrokiem za jego spojrzeniem i skrzywił się. Na podwyższeniu, owinięta obszerną peleryną, z rozpuszczonymi włosami, stała Sasha. Obok niej Biagio, w pstrokatym kostiumie. Znał ten strój: niebieska oponcza, szkarłatny kaftan, wielobarwne, obcisłe rajtuzy i czapka z dzwoneczkami - ta była nowa. Niech

ich piekło pochłonie. Nie zezwoliłby nigdy szalonej dziewczynie na występy, ale ona, jak zawsze samowolna, nawet nie próbowała go prosić o zgodę. Nikt mu nie powiedział o zamiarach Sashy. Mimowolnym gestem zacisnął dłonie na oparciach krzesła, powściągając gniew. Nie chciał, by kto widział, że on, potężny pan na Glenlyonie, nie ma żadnego posłuchu u jednej płoczej panny.

Sasha wzniosła w górę ręce, prosząc o ciszę. Dziw prawdziwy - ten gest wystarczył, by gwar ucichł w jednej chwili. Uśmiechnęła się tajemniczo i omiotła tłum spojrzeniem ciemnych, budzących przestрах oczu. Jedni wstrzymali oddech, inni zaszemrali, ale wszyscy znieruchomieli, kiedy rozkołysanym krokiem przeszła przez scenę i wskazała wysokie, udrapowane jedwabiem pudło.

- Oto cud ku waszej rozrywce - oznajmiła pośród ciszy. - Sztuka magiczna, olśniewająca i zadziwiająca. Mój towarzysz zademonstruje wam teraz, że owo pudło zasłonięte jedwabiem niczego w sobie nie kryje, poza powietrzem i... magią...

Magia. Czy ona oszalała? Nie dość jej podejrzliwych, rzucanych z ukosa spojrzeń, poszeptywań po kątach, lęków przed jej czarami? Nie, postanowiła zagrać wszystkim na nosie jawnym, wyzywającym pokazem magii podczas nocy świętojańskiej. Toż spała ją na stosie, zanim świt nastanie. Rhys nie mógł nic uczynić, pewny, że już jej nie powstrzyma. Tkwił bezradnie na swoim miejscu i obserwował, jak Sasha pośród martwej ciszy przemierza scenę pewnie i beztrąsko, niby księżniczka na własnym dworze.

Biagio teatralnym gestem zerwał jedwab ze skrzyni, uniósł materię z furkotem, zadźwięczały dzwoneczki przymocowane do czapki. Ze swoimi czarnymi włosami, białymi zębami, w mieniącym się wszystkimi kolorami kostiumie, zwinny i skoczny, zdawał się migotliwą feerią barw. Gdy pokazał, że skrzynia jest pusta, znieruchomiał i omiół tłum przeciągłym spojrzeniem, stale się uśmiechając.

Sasha wystąpiła naprzód i spoglądając na widzów, powiedziała:

- Przy tej sztuce potrzebuję waszej pomocy, mianowicie świadków potwierdzających niezwykłą siłę magii. Zatem ty, panie rycerzu, chodź do mnie na scenę, jeśli łaska. Czyż nie jest on mocny i śmiały? Czyż nie jest w stanie oprzeć się magii?

Rozległy się wybuchy śmiechu, czasami nieśmiałe, ale wszystkie

świadczyły o zafascynowaniu widowiskiem. Rhys zmrużył oczy, widząc, że sir Bowen wspina się na scenę. Co ona sobie myśli? Zacisnął dłonie i w napięciu pochylił się do przodu.

- Panie mój - wyszeptał siedzący obok Brian. Jego głos zdradzał, jak bardzo obawia się grożącego niebezpieczeństwa. - Wszyscy patrzą na ciebie.

To była prawda. Widzowie spoglądali to na niego, to na scenę. Wiedział, że żadna jego reakcja nie ujdzie ich uwagi. Oparł się więc wygodniej, na siłę rozluźnił i z wymuszonym uśmiechem na ustach zastanawiał się, jak ma ją ukarać za jej czelność i głupotę.

Tymczasem ona wezwała na scenę jeszcze jedną osobę z publiczności. Na scenę weszła teraz Cailin. Brian aż sapnął z przerażenia. Uniósł się nieco z miejsca, ale Rhys położył mu dłoń na ramieniu.

- Sir Brian, wszyscy patrzą na ciebie.

Żartobliwa uwaga nie wystarczyła, aby powstrzymać Briana, który rzucił mu przerażone spojrzenie i zaczął schodzić z podwyższenia dla lordów. Rhys nie mógł na to patrzeć spokojnie. Odwrócił się w stronę sceny, na której Sasha pakowała Biagia do środka jedwabnego pudła. Jej poczynania uważnie śledzili Cailin i sir Bowen, widzieli więc, że pudło jest istotnie budką o cienkich, jedwabnych ścianach. Okrążali ją, unosili do góry materiał i potrząsali nim.

Kiedy się odsunęli, tłum ucichł. Powoli, posuwistymi, pełnymi gracji ruchami, Sasha uniosła kaptur swojej opończy i zakryła głowę. Opończa skrywała ją całkowicie, od stóp do głów, opływając ją niby ciemna rzeka czerni. Jediną widoczną częścią jej ciała były dłonie, wystające zza fałd. Naraz w powietrzu świsnęła cienka gałąź orzecha laskowego i zahaczyła o jedwabne zasłony, owijając je wokół Biagia, który stał pośrodku pudła. Cisza okryła tłum całunem. Sasha sunęła przez scenę, zawodząc melodię, rytmicznie, wysokim głosem, powtarzając magiczne, tajemnicze słowa, jakby przywoływała duchy. W powietrze wzbiła się fontanna białych płatków, niektóre z nich porwał nagły powiew wiatru, inne opadły niby śnieg na scenę i tych, co stali najbliżej. Tłum westchnął, po czym znowu zamarł. Napięcie rosło. Sasha utrzymywała wszystkich swoją pieśnią w pełnym oczekiwania napięciu.

Cailin i sir Bowen stali z boku oniemiałi. Nagle zadźwięczały metalowe pierścienie przy tamburynach i dzwonki. Po chwili dłonie, uderzające w napiętą owczą skórę, odnalazły kadencję i tempo, i popłynęła tajemnicza muzyka w stałym rytmie bijącego serca, niosąc w sobie coraz więcej i więcej napięcia. Czarna opończa wirowała, omiatając scenę, znikła na chwilę na jej krawędzi i pojawiła się ponownie nieco poniżej, poruszając się szybciej i powracała z drugiej strony jedwabnego namiotu. Wirowanie nie ustawało, podobnie jak pieśń o tajemniczych dźwiękach, przypominających egzotyczne wyrazy.

Nagle wleciał do góry biały gołąb i bijąc skrzydłami wznosił się coraz wyżej. Patrzący westchnęli głośno, dzwonki i bębunki zamilkły. Jeszcze jeden szybki ruch, smagnięcie gałęzi i nagłe zaskoczenie. Rozległ się wybuch i scenę pokryła biała mgła. Ludzie zaczęli krzyżeć, przewracać się w panice do tyłu, ale skoro nic nowego się nie wydarzyło, ciekawość pokonała strach.

Na skinienie postaci w opończy Cailin i sir Bowen podeszli i zerwali z pudła jedwab; okazało się puste.

Zanim ktokolwiek zdążył się poruszyć, z góry rozległ się krzyk. Głowy podniosły się i ludzie gapili się tam z otwartymi ustami. Na szczycie otaczającego dziedzińca muru, przycupnięty na kamieniu nad bramą, siedział Biagio, pozdrawiając patrzących wymachiwaniem ręką. Na jego czapce zadźwięczały dzwonki, jego niebieska peleryna wirowała, gdy tańczył na swych kształtnych nogach w kolorowych, obcisłych spodniach. Błysk białych zębów, czarne włosy, szkarłatny kaftan - triumfujący po natychmiastowym przeniesieniu się z miejsca na miejsce, na oczach wszystkich. Kroczył dumnie jak paw, skacząc zwinnie przez parapet, by zniknąć nagle w kłębie dymu.

Zanim ktokolwiek otrząsnął się z szoku, rozległ się jeszcze jeden wybuch i wir dymu na scenie, i wszyscy ujrzeli Biagia, który zginał się w niskich ukłonach. Wyprostował się i omiółt wzrokiem oszołomione twarze patrzących.

- Dla waszej przyjemności i zabawy, panie i panowie, zajmująca iluzja. Mamy nadzieję, że przedstawienie wam się spodoba.

Kiedy uniósł ramię we wskazującym geście, wszystkie głowy zwróciły się w kierunku muru wieży, a tam stał jeszcze jeden

Biagio. Szczupła sylwetka wymachiwała wesoło ręką. Sasha. Spowita w opończę figura na scenie zdjęła kaptur i do tłumu ukłoniła się Elspeth. Żart. Iluzja, tak jak powiedział. Poza wszystkim, trik. Zręczna podmiana aktorów. Żadna magia, po prostu zaskakujące złudzenie i nieoczekiwany podstęp.

Bijący brawo ludzie odetchnęli.

Rhys, który nie był w najmniejszym stopniu przesądny, także poczuł ulgę, a wraz z nią dostał nieomal białej gorączki. Jeden błąd wystarczył, by wszystko zakończyło się dzikim zamętem. Panika motłochu jest nie mniej niebezpieczna, ponieważ wszystko odbywało się w obrębie murów twierdzy. Nawet żołnierze, po których oczekuje się logicznego i trzeźwego myślenia, wpadali nieraz w panikę, gdy zdawało im się, że stoją wobec sił nadprzyrodzonych i magii. Miał jeszcze w pamięci ich reakcję, wtedy, w puszczy, gdy malutka, zakapturzona figurka w purpurowej opończy zagroziła im drogę i wystraszyła konie.

- Niezwykłe przedstawienie, milordzie - stwierdził książe Deheubarth, pochylając się w stronę Rhysa. - Nader niezwykle.

- Tak - odpowiedział nie bez trudu. - Muszę do nich pójść i wydać im polecenia. Za pozwoleniem, wasza wysokość...

Schodził z podwyższenia, przeciskając się przez tłum. Ludzie, z których opadło już napięcie, śmiali się teraz i rozmawiali o zabawnym pokazie, a także o tym, że wcale się nie bali. Rozstępowali się, dając mu przejść. Ktoś westchnął głośno, a on dziwił się, co takiego było w jego twarzy, że powodowało taką reakcję, skoro magia przesilenia letniego okazała się tylko...

Śmiejąc się, Sasha biegła przez posępne cienie. Nikt jeszcze nie zapalił tutaj pochodni i na wąskich schodach wieży panował mrok. Ach, widok tych twarzy, no i Rhysa. Nigdy nie zapomni wyrazu ich twarzy. Nawet z daleka widziała, jak bardzo Rhys był oszołomiony. Lecz czego wszyscy oczekiwali? Była księżniczką elfów, wróżką, podczas święta Tylwyth Teg. W końcu nie tańczyła gdzieś na zewnątrz, w świetle księżyca pośrodku koła z grzybów i pierwiosnków.

Dzwonki przy czapce dźwięczały głośno, gdy zbiegała, skacząc

po schodach, jedną ręką trzymając się kamiennej ściany dla równowagi, skupiając uwagę na stopniach, żeby się nie potknąć. Nie byłoby najlepiej dla księżniczki elfów, gdyby znaleziono ją na dole schodów ze złamaną nogą, po tym, jak zdumiała całą okolicę swoim przedstawieniem.

Dotarła na dół i znalazła się w nikłym świetle rzucanym przez kaganki z knotem z sitowia, które skwierczały w uchwytach nad jej głową, rzucając iskry. Przystanęła. Którędy teraz? Tyle razy ćwiczyła tę drogę, wiedząc, że na zamianę miejsc z Elspeth i magiczne „pojawienie się” na murze wieży mają bardzo mało czasu. Teraz już było po wszystkim i mogła zacząć przyjmować wyrazy uznania. Och, wszyscy powinni ją uwielbiać, nie szczędząc pochwał, a co powie wtedy Rhys? Przyłączy się do nich? Zrozumie w końcu, że ona jest czymś znacznie więcej niż tylko kobietą do łóżka?

Jeden zakręt, drugi zakręt, ciemne ściany, na korytarzach żadnego strażnika ani żołnierza. Znalazła się w nieznanym sobie, ciemnej komnacie. W żelaznym uchwycie syczała tylko jedna pochodnia. Dobiało tu ciche echo, jakby trzasnęły żelazne drzwi, i znowu cisza. Naraz przypomniały jej się lochy i dziwne, tajemnicze hałasy, które prześladowały ją tam dzień i noc, zewsząd ją otaczając.

Kiedy przyzwyczała się do rosnącego w mroku napięcia, posłyszała pierwsze strzępy myśli, a czaiło się w nich zło. Cofnęła się odruchowo. Serce zaczęło jej łomotać. Zbliżało się coś nikczemnego. Mroczna, silna, nadsycająca energia.

Przesilenie letnie... Ostrzegał śmiech Cailin, jej drażniące przepowiadanie złych duchów i demonów naraz zaczęło się spełniać. A była to godzina duchów, pora między dniem a nocą, nie dzień i nie noc, ale czas, kiedy duchy wążają się bez przeszkód. Głuche odgłosy dzwonów i stłumione kroki, wszystkie te szeptane bajania i zapamiętane podania o udręczonych duszach i potępieńczych jękach. Lecz ona w to nie wierzyła. Wiedziała lepiej niż inni, że wewnętrzny chaos i ludzkie zło ma nad tym światem znacznie większą władzę niż jakiegokolwiek inne siły tego świata.

Tymczasem, tymczasem... nadsycające zło było mroczne i potężne, wrogie i pełne nienawiści zarazem. Zaparło jej dech w pier-

siach, zmiękły kolana i nie miała siły o nic się oprzeć. Drapała kamienną ścianę, wilgotną i szorstką, która raniła jej palce, podczas gdy ona próbowała pospiesznie wznieść swe bariery mentalne przeciw nadciągającej potworności.

Kłęzała, cała drżąca i oszołomiona, koncentrując się na oporze, kiedy dokoła niej plama światła i cieni wirowała coraz szybciej i tak gwałtownie, że Sasha omdlała. Z największym wysiłkiem, ostatkiem sił, opanowała się i zdołała na tyle zablokować, że mogła wstać.

- Co my tu mamy? - zakpił szorstki głos. Czarna siła z ciemności otoczyła ją, zarzucając sieć zła i uroku.- Czy to nie księżniczka elfów?

Podniosła głowę i nie zdziwiła się, widząc, że z ciemności, dźwięcząc mieczem, wyłania się sir Clyde. Szeroka, płaska twarz bez wyrazu w plamie światła i cienia. Podszedł bliżej, ale za nim, ukryty w ciemnościach, był jeszcze ktoś.

Ona jednak widziała, za pomocą swojego wewnętrznego wglądu. Nie za pomocą tej percepcji, która *wiedziała*, wiedziała zawsze. I teraz jej Dar trafił szybko i precyzyjnie w ukrytą z tyłu postać.

Zaśmiała się cicho, chcąc go wywabić z ciemności, skąd patrzył łajdacko, myśląc, że jest niewidoczny.

- Wyjdź do światła, sir Gavinie. Nie wstydź się. Za dobrze cię znam...

Wyszedł, uśmiechając się szyderczo. Wolny, bez łańcuchów, na swobodzie.

- Trzeba cię było od razu powiesić - zauważył, sycząc w mroku. - Ale w końcu można będzie zrobić z ciebie użytek. Trzymaj ją, sir Clyde, pójdzie z nami. Użyjemy jej jako tarczy, a kiedy już uciekniemy, zostawimy jej ciało kuzynowi, niech sobie ją znajdzie.

Sir Clyde spojrział na nią niepewnie i nieufnie.

- Myślę, że najlepiej będzie, jak zabijemy ją teraz.

- Myślenie nie należy do twoich cnót- warknął Gavin. - Gdyby tak było, mój kuzyn nie zdobyłby twierdzy.

Ten odrzekł ponuro:

- Mówiłem ci, że on nie wyjawia swoich planów aż do ostatniej

chwili. Nie było czasu, żeby ciebie ostrzec. Chyba żebym miał dać się za to zabić.

- Prawdziwie. - Gavin wzruszył odruchowo ramionami i nagle błyskawicznie, jak atakujący wąż, schwycił Sashę za przegub, mocno zaciskając na nim palce.

- Nawet nie myśl o locie, gołębeczko. Jeszcze z tobą nie skończyliśmy. Przynies pochodnię - zwrócił się do sir Clyde'a.

Skreśliła, wiedząc, że to na nic, ale musiała spróbować. Oczekiwała tego. I musiała zrobić to, co było oczekiwane, cały czas zastanawiając się nad tym, jakie są jego intencje, szukając sposobności do ucieczki, do wyrwania się z tej niebezpiecznej pułapki.

Nie było jej łatwo penetrować jego zamglone myśli, biegnące krętymi kanałami, niby szczurzymi korytarzami, labiryntem strachu, nienawiści i zła. Krążyła tymi tunelami jakby w odrętwieniu.

Niżej i niżej, lodowatymi, cuchnącymi przejściami, gdzie nie miała śmiałości patrzeć na kamienie pod nogami, oślizgłe, śmierdzące szlamem i mułem, nie chciała słuchać stłumionych pisków... Wzdrygnęła się, a Gavin roześmiał się niegłośnie. Pojawiło się blade światło, rzucające demoniczne cienie na ściany, które w jej rozgorączkowanych przestkach oczach wyglądały jak diabliski Szatana. I kiedy zdawało się, że zaprowadził ją głęboko pod powierzchnię ziemi, aż do wrót piekielnych, sir Clyde otworzył jakieś drzwi. Świeże powietrze zapachniało dębem i winem.

Zamrugnęła. Było tu jaśniej, chociaż nadal mroczno. Wzdłuż ścian piwnicy leżały beczki z winem, było chłodno, pachniało dębiną. Piwnica - magazyn. Ale jak się tu dostali od murów twierdzy? Pod spodem musiał znajdować się istny labirynt, jak pod królikarnią.

Gavin popchnął ją i potknęła się, uderzając głową w kant kamienia tak mocno, że aż ujrzała wszystkie gwiazdy. Oszołomiona, ledwie orientowała się, że jest wleczona po nierównych kamieniach. Gavin szedł szybko, z ponurą determinacją.

Uderzenie w głowę zmieniło tok jej rozumowania i zamiast skupiać się na własnym ślepych strachu, nagle z całą ostrością uprzytomniła sobie myśli sir Clyde'a. Prawie je widziała. Bał się Rhysa. Bał się go przeraźliwie. Nie było żadnego określonego powodu dla tak irracjonalnego lęku, tylko przedsmak tego, co

mogłoby się stać, gdyby Rhys wykrył, że Clyde jest zdrajcą. Mignęło też kilka niewyraźnych obrazów innego człowieka, który również zdradził Rhysa ap Griffyna. Umysł Clyde'a zajął się teraz innym tematem, ale Sashy to wystarczyło.

Uniosła głowę, skupiając wzrok na sir Clydzie.

- Nie pomyślałeś o tym, co zrobi lord Rhys, kiedy odkryje, że go zdradziłeś, sir Clyde? - Przyglądała mu się kpiąco i lekceważąco; intensywnie. - Powiadają, że taka śmierć jest bolesna, a koniec nie nadchodzi zbyt szybko.

- Zamknij się - warknął Gavin, szarpiąc ją za ramię. Przyciągnął ją bliżej i dłonią zatkał jej usta. - Sir Clyde, otwórz to przejście, które mój kuzyn tak przemyślnie dla nas oczyścił. I pospiesz się. Kiedy straż zorientują się, że uciekłem, podniosą alarm.

- Żeby otworzyć te drzwi, potrzeba przynajmniej dwóch *ludzi* - odpowiedział sir Clyde niezbyt wyraźnie, bowiem sparaliżował go strach. - Nawet lord Rhys nie mógłby tego zrobić sam.

Gavin przeklął chrapliwie.

- Mówisz o nim, jakby mógł przenosić góry. Jest tylko człowiekiem, jak inni. Krew ma czerwoną i nietrudno ją przelać. Dawaj. Przyłożę się swoją wagą i otworzymy je.

Popchnął ją za siebie i zapierając się tyłem, wciskał ją w beczkę. Zdażyła tylko podnieść ręce, żeby znowu nie uderzyć głową o mur. Poczwała w dłoniach drzazgi. Ścisnięta, ledwie dychała, słyszała tylko słabe trzeszczenie drewna i przerdzewiających zawiasów. Bliska utraty przytomności z trudem łapała oddech i nagle dotarły do niej strzępy wizji.

Z początku niejasna i słaba, wyostrzała się, aż usłyszała: *Niewierna daoine sidhe... zdradzi Rhysa, jeżeli tylko będzie mogła... Mówiłem mu, mówiłem, ale on mnie nigdy nie słucha... Kiedy ją dopadną, wtedy zrozumie, że miałem rację, że nigdy nie zamierzała tu zostać...*

Brian. Tak bardzo chciał udowodnić jej zdradę, że pakował się prosto w pułapkę. Musi go ostrzec. Jest jej jedyną nadzieją. Ale jak, jak go ostrzec, żeby Gavin nie zorientował się, że on jest blisko?

Odkręciła się gwałtownie, uwalniając się, i prześlizgnęła się pod wspartą w drzwiach ręką Gavina. Nie uczyniła dwu kroków, gdy ją schwycił ręką za włosy i szarpnął brutalnie do tyłu. Zaczęła

krzyczeń, a jej przesywający wrzask odbił się wielokrotnym echem od kamiennych ścian i sufitu. Gavin uderzył ją z całej siły w twarz. Padła na podłogę.

- Głupia dziwka. Gdzie chciałaś stąd uciec? Sir Clyde, pchnij jeszcze raz i otworzą się szerzej. Musimy się spieszyć... szybko. Do diabła z tobą.

Sapiąc i dysząc, masywny sir Clyde otworzył w końcu ukryte drzwi. Za beczkami rozwarła się czarna jama, zimna i wilgotna. Gavin powłókł ją za sobą. Walczyła, żeby zyskać na czasie, mimo jego ciosów i kopniaków, wściekłych przekleństw i warkliwych grózb. Przestraszył sir Clyde'a i świadomość, że Brian jest gdzieś niedaleko, mieszały się ze sobą.

Lecz Gavin... ach, był zawzięty i miał jednoznaczne zamiary, czarne jak najbardziej mroczny grzech. Nie wypuści żywej ani jej, ani sir Clyde'a. Tylko on jeden ma uciec z Glenlyonu i Walii i dostać się do księcia Jana.

Bolała ją twarz, puchły wargi, ale udało jej się schwycić za krawędź jakiegoś kamienia, gdy Gavin włókł ją do tunelu. Rzuciła wzrokiem na Clyde'a, stojącego zaraz za nią. Był przerażony i niespokojny.

- On ciebie też zabije, nie wiesz o tym? - powiedziała chrapliwym głosem. - Myślisz, że pozwoli ci żyć? Za dużo wiesz.

Gavin odwrócił się i wymierzył jej kopniaka, przeklinając mrukliwie i cicho uspokajając sir Clyde'a. Odrywał jej palce od kamienia.

- Ona bredzi. Dalej. Potrzebuję ciebie, sir Clyde. Wiesz o tym.

Ale sir Clyde zatrzymał się z namysłem i to wahanie kosztowało go cenę najwyższą. Usłyszała to, zanim miecz ciął w dół, przez plecy sir Clyde'a. Zachwiał się, próbował odwrócić i dobyć miecza, ale już nie mógł. Krew trysnęła mu z ust. Na twarzy pojawiło się zdumienie i padł bezwładnie w otwarte drzwi tunelu. Strach i desperacja, i świtająca mu bolesna myśl, pomieszanie błysku światła, potem zapadających ciemności - wydał z siebie bełkotliwy krzyk i Sasha zamknęła przed nim swój umysł.

Z ciałem pojawił się Brian, z zakrwawionym mieczem w rękę, z ogniem w oczach. Dziwne, dzikie podniecenie wykrzywiało mu twarz, a oczy płonęły zielono jak u kota.

- Gavin. Złe duchy grasują podczas wiosennego przesilenia. Gavin zaśmiał się cicho.

- Tak, widzę, że to ty. I co, Irlandczyku, jeszcze cię nie odstawił od cycka? A może mój kuzyn dał ci coś poza dobrymi życzeniami?

Brian szybko i pewnie przerzucił miecz z jednej ręki do drugiej. Jego umysł rozważał różne możliwości, aż nagle przypomniał sobie, że za Gavinem jest tunel. Przeszył go dreszcz strachu przed ciemnością, ale nie przed tym, kogo miał przed sobą. Brian bardziej obawiał się ciemności niż miecza Gavina. Zdecydowany przyjął otwartą walkę, uragał przeciwnikowi.

- Lepszy cycek niż nic. A ty masz właśnie tyle. Albo miałeś. Nie zachowasz nawet życia, żeby martwić się tym, co cię zaraz spotka. - Pokiwał na niego ręką. - Podejdź bliżej i gotuj się na śmierć.

Gavin złapał ją za szkarłatny kaftan, który miała na sobie pod niebieską peleryną, przyciągnął do siebie i stanął za nią.

- Zabijesz tę damę - zauważył kpiąco.

Brian wzruszył ramionami.

- Żadna to tajemnica, że nigdy jej nie lubiłem. *Jeżeli* będzie musiała umrzeć, to się nie zmartwię. Od dnia, kiedy przywiął ją wiatr, zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby lord się jej pozbył.

Najgorsze było to, że niemal tak myślała. Inna rzecz, jak wytłumaczyć to Rhysowi, ale nie szkodzi. Popatrzyła na Briana, lecz na szczegółowe rozważania nie było czasu.

- Nie byłbyś przeciwny, żebym zginęła - odcięła się. Odwróciła się nieco. - Nie słuchaj go, lordzie Gavin. On się wcale nie pali do tego, żeby mnie zabić.

Gavin zawahał się, odrzucając jeden pomysł za drugim, jako zbyt niebezpieczne. Cofnął się o krok i popatrzył na Briana - ujrzał tę samą konsternację, którą widziała Sasha. Widząc to, Gavin cofnął się na skraj czekających ciemności tunelu. Brian stał bez ruchu, wyraźnie zaniepokojony.

Gavin zaśmiał się.

- Bardzo dobrze. Teraz twoja kolej, Irlandczyku. Podejdź bliżej i szykuj się na śmierć.

Mówiąc to, cofał się, ciągnąc Sashę za sobą po ostrych kamieniach, w stronę wąskiej, krętej otchłani tunelu, głębiej i głębiej,

w gęste i czarne jak atrament ciemności, które zaciskały się wokół nich niczym pięść.

W zamkniętej przestrzeni odgłosy potężniały. Odbijały się od wsporników tajemniczymi echem: ich kroki i sapiące oddechy, stłumione kwiknięcia i bulgotania. Dźwięk miecza stukającego o kamienie, kroki. Pochodnia została daleko. Gavin, wyczuwając drogę po omacku, ciągnął ją, bezradną, za sobą. Brian cierpiał coraz większe rozterki, lecz po chwili podjął gwałtowną decyzję i poszedł za nimi.

Czuła teraz za sobą jego strach, przed sobą okrutną determinację Gavina, a między tym sama walczyła z własnymi, rozdzierającymi lękami. Bezsilna jak liść na wietrze, miotana burzami, mogła tylko dać się ciągnąć. Świadoma, że jedynym celem Briana było zmieść ze świata wszystko, co zagrażało Rhysowi, wiedziała, że w tych ciemnościach przypadkowo może ją zabić.

Szacując odległość między dwoma mężczyznami, wyczuwając, że Brian jest już tak blisko, że zamierza uderzyć w plecy Gavina, zaparła się stopami w ścianę i odepchnęła. Nie uwolniła się w ten sposób, ale mimo to Gavin stracił równowagę. Zaklął, słysząc Briana za sobą i odwrócił się, puszczając ją, żeby sięgnąć po miecz i odparować grozący cios.

Kiedy Brian ruszył do przodu, krzyknęła, żeby dać mu znak, że zagradza mu drogę. W jakiś sposób przesunął ją w bok i uderzył na Gavina. Stal zadźwięczała o kamień tuż nad jej głową. W ciemności posypały się iskry. Gavin uderzył tam, gdzie widział te iskry, sądząc, że trafi w miecz Briana, ale tam go nie było. Oddechy mężczyzn odbijały się echem od ścian. W powietrzu wisiała gęsta i ciężka desperacja. Miecz uderzał o miecz, tryskały iskry. Zwarli się, naprężając mięśnie, stękając i klnąc, spleceni w jedną dziką masę.

Nagle z ciemności dobiegł wysoki, przenikliwy skowyt, po którym włos się jeżył. Poczuli, że uwaga Briana słabnie. Po chwili skupił się na obojętniającym go lęku przed demonami i wiedźmami. Właśnie wtedy cienkie ostrze wślizgnęło się między jego żebra. Zdziwił się, zaszokowany, przestraszony, myśląc o Rhysie i o tym, że go zawiódł, jęknął, po czym osunął się powoli na podłogę.

Krzyknęła; rozległ się udręczony krzyk, który odbijał się echem od ścian, sufitu i kamieni, otaczając ich, jakby to setki gardeł go z siebie wydały. Zdziwiona, że tak bardzo jest jej go żal, poczuła, że on jeszcze oddycha, chociaż bardzo słabo. Dotknęła go i wyczuła ciepłą wilgoć na dłoniach; wiedziała, że to krew.

Wtedy Gavin sięgnął po nią i znalazł ją, choć jej nie widział - może dlatego, że łkała - i powłókł ją za sobą po ostrych kamieniach, sapiąc głośno i ciężko.

Daleko przed nimi nikłe światło księżycy to pojawiało się, to znikało. Gavin wydawał się ciemnym cieniem na tle ciemnych cieni; myślał tylko o ucieczce.

Pobita, posiniaczona, podrapana, nie mogła mu się zbyt silnie opierać, gdy ciągnął ją w stronę światła. Napływało świeże powietrze, chłodne i pachnące wiatrem i drzewami. Wkrótce znaleźli się na zewnątrz. Było ciemno, choć nie tak grobowo czarno jak w tunelu. Przez drzewa prześwitywał blask księżycy i połyskiwał na nagim stosie kamieni, tworzącym bardzo dziwny kształt. Widziała je wcześniej; był to kopiec usypany przez protoplastów tej ziemi. Na czworakach, tak, jak ją zostawił Gavin, Sasha rozglądała się przez opadającą jej na oczy zasłonę włosów i głośno sapała.

Przywitało ją znajome rzenie. Popatrzyła w stronę ciemnego kształtu ledwie widocznego na tle kopca. Bayosha. Jej klacz. Rozległo się jeszcze jedno ciche rzenie i Gavin zaklął, uważnie rozglądając się wokół. Nic, tylko szumiący w drzewach wiatr i dwa konie. Dzielne zwierzęta czekały cierpliwie; były osiodłane i uwiązane do grubej gałęzi.

Gavin oparł się na chwilę o skałę, ciężko dysząc z wyczerpania. Popatrzył na Saszę; uśmiechnęła się. Ujrzała siebie tak, jak widział ją on, dziko wykrzywione usta odsłaniały białe zęby, włosy rozpuszczone, opadające na twarz - uosobienie pogardy i nienawiści. Uwielbiał budzić strach. Dawało mu to poczucie siły, a tego pragnął.

Wyprostował się - chudy, groźny mężczyzna, ciemnowłosy, szczupła twarz, okrutny uśmiech i płonące oczy. Powoli zbliżał się do niej. Uniósł miecz i przyłożył ostrze do jej policzka, odchylając w tył jej głowę. Musiała na niego patrzeć. Był zimny

jak stal, ale nie chciała się skulić i drżeć ze strachu. Nie dała mu tego, czego pragnął. Spojrzała mu w oczy i zaśmiała się.

- Mały człowieczku, boisz się ciemności? Boisz się drugiej strony? Powinieneś. Ona czeka na ciebie. Miałam widzenie, że ty o tym wiesz. Dar. Ja ich widzę, a ty? Skrzydlate czarty, pełzające, oślizłe larwy, głodne jak smoki - czekają na ciebie, Gavinie z Glamorgan...

Mimo furii, zeszywniał ze strachu, zadrżał; chłodny dreszcz przeszył mu ciało. Rozejrzał się trwożliwie dookoła, a potem znowu popatrzył na nią.

- Diabelska dziwka. Dobrze znasz się na demonach i larwach, bo jesteś jedną z nich.

Parsknęła.

- Tak. Jestem. Sir Clyde ci powiedział, tak? Ach, słyszałam, że ci powiedział... Co to jest? Zgadywanka? Nie, to nie przypadek, że słyszę twoje myśli, Gavinie, lordzie ciemności i śmierci. Chcesz, żebym ci powiedziała, o czym teraz myślisz? Zastanawiasz się, czy sir Clyde miał rację, czy plotki, które słyszałeś, są prawdziwe. Tak, zastanawiasz się, czy jestem księżniczką elfów i czy naprawdę potrafię rzucać magiczne zaklęcia. Już się nie musisz zastanawiać.

Podciągając powoli nogi pod siebie, tak że przysiadła, gotowa do skoku, znowu zobaczyła siebie jego oczami: dziką postać, patrzącą na niego, hipnotyzującą go spojrzeniem. Potem skupiła się na koniach. Z Bayoszą poszło jej łatwo - wystarczył transfer pieśni o niskich tonach i klacz zaczęła parskać i szarpać wędzidło. Uwaga Gavina przeniosła się z Sashy na konia. Podszedł do niego, wziął lejce w rękę, a wtedy drugi koń zaczął się niepokoić, parskając, wybałuszając oczy, wreszcie stając dęba. Gavin zaklął i uskoczył w bok.

Kiedy ponownie spojrzął na Sashę, ta uśmiechała się.

- Mogę przywołać teraz siły ciemności? Jesteś na nie przygotowany? Mogę przywołać wiatr, deszcz i grzmot, a także, jeśli zechcę, błyskawice.

Podniosła się powoli na obie nogi, przyciągając jego uwagę cichymi, syczącymi słowami, odgadywała jego intencje, zanim ruszył; odskoczyła w bok, w porę unikając ciosu. Wszystkie jej zmysły skupione były na tym jednym człowieku, na różnicy

między życiem a śmiercią. Czekał na najmniejszą okazję, żeby użyć miecza lub sztyletu.

Ponieważ nie chciała się rozpraszać, nic nie słyszała, zanim tuż za nią nie rozległ się głos. Cichy, groźny, wślizgujący się w nocną ciszę niczym najostrzejszy miecz.

- Gavin, tknij ją tylko, a zginiesz.

Rhys. Jego pojawienie się odwróciło jej uwagę. To wystarczyło. Gavin ruszył, zanim zdołała zrobić unik. Błyskawicznie, jak kobra, odwrócił ją tyłem do siebie, trzymając w pół jedną ręką, i mocno do siebie przycisnął. Zaśmiał się.

- Jestem twoim dłużnikiem, kuzynie. Dziewka wymyka się bardzo zrzęcznie.

Kiedy Rhys postąpił krok do przodu, Gavin wyjął sztylet.

- Jeśli zginę, wezmę ją ze sobą. - Przesunął lekko ostrzem od jej ucha do szyi. Poczwała piekące ciepło tam, gdzie ją dotknął. - Tej krwi nie jest teraz dużo, ale obaj wiemy, ile jej pocieknie, kiedy wbiję ostrze trochę głębiej.

Rhys natychmiast się zatrzymał. Stał teraz, posrebrzony księżycem i napięty, wibrująca obietnica na tle ziejących ciemności tunelu za jego plecami. Nawet mając głowę przyciśniętą do piersi Gavina, widziała jasny blask furii w oczach Rhysa, gorący blask z samej głębi jego duszy.

- Puść ją, Gavin. To ze mną masz sprawę, nie z nią.

- A jakże. Jeżeli ją puszczę, nadziejesz mnie na swój miecz, jak odyńca. Takim głupcem nie jestem, kuzynku.

Zapadła cisza. Gavin sapał i chrypiał do jej ucha, gorączkowo szukając wyjścia z sytuacji. Naraz znalazł. Pomysł rozjaśnił mroki jego myśli. Finał, ostatnia szansa, której chwycił się jak tonący brzytwy.

- Grywasz w szachy, kuzynie? Tak, wiem, że grywałeś. Teraz jesteś pionkiem. - Gavin znowu się zaśmiał, dudniąc jej do ucha. Rękojeść jego miecza naciskała boleśnie na jej żebra. - Zobacz, mam twoją królową. Co zechcesz stracić, żeby ją uratować? Co poddasz w zamian za jej życie?

Znowu cisza, pełna napięcia, przeciągająca się. Zakrzyczał nocny ptak, wiatr zaszeleścił gałęziami, z dali dobiegł krzyk.

- Wszystko - padło w odpowiedzi.

Nawet Gavin był zaskoczony.

- Wszystko? Co wszystko? Wieżę, laufra, konia i króla? Wszystko, kuzynie?

- Wszystko. Jeżeli traci się królową, traci się wszystko. Wie o tym nawet początkujący gracz. - Rhys opuścił lekko miecz, ostrzem do ziemi. - Uwolnij ją, a oddam wszystko.

Sasha wlepiła w niego wzrok. W oczach zakręciły jej się gorące łzy. W tym momencie, w ułamku sekundy krótszym niż mgnienie oka, ujrzała w jego twarzy prawdę. Tak mówił, jak myślał. Oddałby za nią wszystko.

Gavin, oszołomiony, nie wierzył.

- Oddałbyś wszystko za kobietę?

- Nie, nie za kobietę. Za tę kobietę. Za królową. - Rhys podniósł wyżej głowę. - Weź Glenlyon. To zimna sterta kamieni. Zbuduję inną twierdzę. Albo zdobędę inną, może w odległych krajach, gdzie wieje lekki wietrzyk, słońce świeci na fontanny i jedwabie. Każdy gracz w szachy wie: królowa jest tylko jedna.

- Przysięgnij - zażądał ochryple Gavin. - Przysięgnij na swój miecz i na swój rycerski honor, Rhysie ap Griffyn, przysięgnij mi, że za życie tej kobiety oddasz Glenlyon.

Unosząc w górę miecz, Rhys uderzył dłonią w rękojeść i spojrzał Gavinowi w oczy.

- Przysięgam na mój rycerski honor, że jeżeli puścisz tę kobietę, oddam ci Glenlyon.

Przez długą chwilę panowała pełna napięcia cisza. Gavin wpatrywał się w swojego kuzyna, nie mogąc mu uwierzyć, choć znał wagę słowa Rhysa. Po chwili zaśmiał się cicho.

- Jan da mi to tak czy owak.

- Jan nie jest królem.

Gavin wzruszył ramionami.

- Ale będzie.

- Nawet gdyby był, ja wiem, jak z nim postępować. Czy król, czy książę, to ten sam człowiek. - Wykonał mieczem krótki ruch. - Puść ją.

- Oszalałeś, Rhysie ap Griffyn. Jeżeli ją puszczę, będę martwy.

- Sprawdź - powiedział z groźną pewnością siebie. - Dałem ci moje słowo. Słowo rycerskie.

Gavin niepewnie nabrał powietrza. Chciał mu wierzyć. Sasha czuła to, słyszała to raz po raz, jak w błędnym kole, ale nie ufał. Mierzył Rhysa swoją własną miarą, wiedząc, że on sam, dla ocalenia życia, byłby skłamał. Dlatego nie wierzył kuzynowi. Miał nad nim tylko jedną przewagę: tę dziewczynę. I póki ona żyła, póty żył i on. Tego był całkowicie pewien.

Cofając się w stronę koni, pokręcił głową.

- Wezmę ją ze sobą, kuzynie. Jeżeli masz zamiar dotrzymać słowa, nie będziesz mnie ścigał. Kiedy dotrę do Anglii, puszcze ją. Przysięgam.

- Nie. - Rhys ruszył krok do przodu, gotując miecz. - Nie pozwolę, żebyś z nią odjechał. Ona zostaje.

Gavin potrząsnął przecząco głową i zaczął się cofać, wlokąc za sobą Sashę. Jego miecz uciskał ją w żebra, sztylet nadal kłuł gardło.

- Tak dalece ci nie ufam. I wiem, co robię.

Musiała coś zrobić, żeby nie znajdować się pomiędzy nimi, gdy będą walczyć. Skupiła więc swoje zdolności i energię na koniach, na i tak zdenerwowanej klaczy stojącej tuż za plecami Gavina. Wczuwała się w strach konia, uważnie obserwującego zbliżającego się człowieka, czuła zapach jego potu, smak metalu w końskim pysku, słodki zapach trawy, a ponad to wszystko przebijał się zapach ludzkiej krwi... Coraz bliżej i bliżej, groźba, wspomnienie straszliwych razów i bólu...

Kwicząc i rżąc, klacz zerwała się i stanęła dęba. Walać kopytem w ramię Gavina, okręciła go tak, że rozluźnił uścisk.

Sasha była na to przygotowana i wyrwała się z jego uchwytu. Ostrze miecza świsnęło z boku. Była wolna. Rozległ się krzyk, chrapliwy ryk. Odwróciła się.

Rhys natarł na Gavina, tnąc z góry na dół, jak lew. Na jednym kolanie, Gavin uniósł miecz, żeby odparować cios, ale siła uderzenia odrzuciła go do tyłu. Stał cięta o stal, aż przekręcił się na bok. Zwinnie, mając tylko jedną szansę, Gavin zakręcił potężnie ramieniem, żeby odepchnąć zablokowane miecze na jedną stronę, podnosząc sztylet, który nadal trzymał w drugim ręku.

Światło księżycy zabłysło na wąskim ostrzu, skierowanym prosto w odsłonięty brzuch Rhysa. Sasha zachwiała się do przodu, niewiele myśląc, wiedząc tylko, że jakoś musi to ostrze zatrzymać,

że nie może pozwolić, by Rhys zginął jak Brian, a wtedy Rhys błyskawicznie uwolnił swój miecz z kleszczy, wywinął nim młyńca i czystym ciosem ciął sztylet i trzymającą go rękę. Gavin wrzasnął. Nadal trzymając miecz w prawej ręce, uczynił daremny wysiłek, aby go unieść, ale Rhys był szybszy. Okrutny cios sięgnął Gavina. Sasha odwróciła się szybko, niezdolna patrzeć do końca, niezdolna oglądać jeszcze jedną śmierć.

Było po wszystkim. Tylko słaby jęk, westchnienie, a potem czarny kir. Koniec. Coś cicho upadło między liście. Sasha zorientowała się, że to ona sama opadła na czworaki i łka. Czarna cisza. Żadnych ścierających się myśli, żadnych rozdzierających emocji. Tylko tyle, dreszcz ulgi.

Usłyszała za sobą, że pojawił się Owain, sir Bowen i sir Robert, szybkie szepty w ciemnościach, zapewnienia, że wszystko jest w porządku. Nadeszli także inni. Zorientowała się, że wzięto Gavina, słyszała pytania Biagia o nią, słyszała cichą, uprzejmą odpowiedź i zapewnienie, że wszystko jest dobrze. Ale nie mogła się poruszać, nie mogła reagować, nie mogła się podnieść, żeby popatrzeć na kogokolwiek. Nie teraz, a może już nigdy.

Nie wiedziała, jak długo tak klęczała. Kolana zagłębiły się w wilgotnej ziemi i liściach, włosy opadły na twarz pasmami. Jej oddech spowolnił, a świat powoli odzyskiwał sens. Wtedy pojawił się Rhys. Czuła jego obecność. Był cichy, silny i mocny. Czekał na nią. Popatrzyła na niego i uśmiechnęła się lekko.

Uniósł dłoń, odgarnął włosy z jej czoła, kciukiem ścierał ślady łez.

- Jesteś ranna, kwiatuszku?

Nie. Nie była ranna. Była wyczerpana, osłabiona, niepewna, ale nic poza tym. Zdołała blade się uśmiechnąć i pokręciła przecząco głową. Włosy znowu opadły jej na policzki, a on cierpliwie odgarniał je na bok.

- Dobrze - powiedział i umilkł, a po chwili dodał. - Powinnaś podziękować Biagio, że po mnie przyszedł. Mógłbym nie zdążyć, gdyby on ciebie nie odnalazł.

- Och... Rhys... Brian jest...

- Brian kłóci się właśnie z Biagiem, czy wino lub wołowy rosół nadają się dla rannego w brzuch. - Wzruszył ramionami. -

Jest tylko ranny. Najwidoczniej jedno z jego zakłęb ochroniło go przed ostrzem Gavina. I jest na tyle żywy, że może kłócić się z Biagiem. Zostawiłem ich samych, nie mam czasu na czeze rozmowy. - Znowu umilkł. Po chwili powiedział zadumany głosem, jak ktoś, kto odkrył prawdę o sobie samym: - Zrobiłbym to, wiesz o tym.

Nie musiała pytać, o co mu chodzi. Nikła nadzieja rozkwitła znowu, jedna z tych, którą ostrożnie pielęgnowała w ciągu ostatnich tygodni.

- Zrobiłbyś to? Oddałbyś Glenlyon Gavinowi w zamian za mnie?

- Tak. Zanim zdążyłby mrugnąć.

Badał kciukiem zagłębienie w kąciuku jej ust, dotykał delikatnie, pieścił. Jej serce było tak pełne wzruszenia, że łyzy groziły wylaniem. Nie mogła mówić. Spojrzała na niego, na jego twarz w świetle księżyca, na zacienione rysy. Blask jego oczu był niemal niewidoczny w mroku. Położyła dłoń na jego rękę. Uśmiechnął się.

- Nigdy nie przypuszczałem, że będę rozważał podobny wybór. Ale nie mogłem pozwolić, żeby cię skrzywdził, kwiatuszku.

- To dla mnie cudowne, wiedzieć, że zostawiłbyś Glenlyon i Walię dla mnie.

Rhys wydawał się lekko zdziwiony.

- Kwiatuszku, oddałbym to za ciebie natychmiast, ale nigdy nie zostawiłbym tego jemu. Oddać twierdzę to jedna rzecz, a opuścić ją, to rzecz całkiem inna. Odzyskałbym ją natychmiast, kiedy tylko byłabyś bezpieczna.

- Ale powiedziałeś...

- I tak też myślałem. Co do słowa. Oddałbym klucze i twierdzę za ciebie. Ale nigdy nie zostawię tego, co jest moje. Nigdy. Pamiętaj o tym.

Patrzyła na niego, zagniewana. Nie wiedziała, czy ma się gniewać, czy pogodzić. Nie należało w tej chwili szukać dziury w całym. Poza tym, gdyby to zależało od niej, kłamałaby jak Trojanie, powiedziałyby Gavinowi wszystko, co by chciał usłyszeć. Nie miało sensu gniewać się o coś takiego. Ona także nie powiedziała mu wszystkiego. Jeszcze nie. W jakiś sposób wiedziała, że on ją zrozumie. Było jeszcze jedno dziedzictwo, dziedzictwo

szczególne, Dar, który przekazała jej matka. Tak, powinna mu o tym powiedzieć...

Spojrzała na niego i wzięła głęboki oddech. Wzrok padł naraz na zielono-purpurową wstążkę, zatkniętą za skórzany pas, *na* którym przymocowany był jego miecz. Wyciągnęła rękę i dotknęła swojej odrzuconej chustki.

- Nosisz moje barwy.

Uśmiechnął się.

- Tak, noszę. W końcu. I w samą porę, aby walczyć za ciebie w najważniejszym turnieju. Za nas.

Zaskoczona, popatrzyła na niego i wyczytała w jego oczach znacznie więcej uczucia, niż kiedykolwiek wcześniej. Och, gdyby tylko jej Dar mógł nią teraz pokierować, gdyby pozwolił jej zajrzeć w jego najtajniejsze myśli i dał jej poznać, czy jego uczucia są prawdziwe. Drżąc, odwróciła wzrok, a po chwili spojrzała na niego znowu.

- Muszę powiedzieć coś, w co możesz nie uwierzyć, milordzie.

Na jego twarzy pojawił się krzywy uśmiech.

- Nie jestem pewien, czy zdzierzę dziś jeszcze jakieś prawdy, kwiatuśku.

- To jest bardzo ważne. Dotyczy wszystkiego. Przeszłości. Teraźniejszości. Przyszłości. Zechcesz posłuchać?

Rhys westchnął i skinał głową.

- Tak, wysłucham, chociaż mogę tego żałować.

- Mam nadzieję, mam nadzieję, że nie pożałujesz. - Dla nabrania odwagi wciągnęła głęboko powietrze w płuca i wypaliła. - Mam niezwykły Dar, panie mój. Odziedziczyłam go po mojej matce, lady Elfredzie z Mersey. To jest moje dziedzictwo po niej, takie, które wielokrotnie służyło mi w potrzebie.

Uniósł brew.

- Dar, o którym mówisz, masz teraz ze sobą?

- To nie jest Dar, który można wziąć do ręki, by tak rzec, a raczej talent. Mówiono mi, że w naszej rodzinie Darów dziedziczyły wyłącznie kobiety, a te, które używały go niemądrze, często były oskarżane o to, że są... wiedźmami. Demonami. A nawet... księżniczkami elfów.

Rhys przyglądał się jej spod przymkniętych powiek.

- Czy ty zajmujesz się magią?

Pokręciła głową, zmęczona i osłabiona, ale wypełniona potrzebą wyznania mu całej prawdy, aby dowiedzieć się, właśnie teraz, czy odrzuci ją od siebie, czy zatrzyma.

- Nie tak, jak myślisz. Posiadam jednak zdolność słyszenia czyichś myśli, panie mój. Często jest to tyleż przekleństwo, co Dar. Zwłaszcza gdy posługuję się nim głupio.

Kiedy wzdygnął się lekko, dodała podenerwowana:

- Jednak twoich myśli usłyszeć nie potrafię. Ty jeden jesteś dla mnie tajemnicą. Nawet kiedy nie mogę zrozumieć obcych mi języków, to nadal potrafię wejrzeć w serca i umysły innych ludzi. Ale *nie* w twoje. Kiedy *tego* próbowałam, a możesz mi *wierzyć*, że naprawdę próbowałam, napotkałam tylko krystalicznie czystą ścianę ciszy. Jesteś dla mnie zbyt silny. To dlatego od razu wiedziałam, że to ty zostałeś mi przepowiedziany.

Rhys dłuższy czas milczał. W wierzchołkach drzew pohukiwały sowy. Konie parskały, stawiając kopyta na miękkiej ziemi z głuchym odgłosem. Z oddali dochodziły dudniące hałasy twierdzy i wsi. W końcu popatrzył na nią, kręcąc głową.

- Brian miał rację. On czuł, że jesteś inna.

Zamarło w niej serce. A więc jej nie chciał. Uwierzył jej, ale teraz już jej nie chciał. Nigdy jej nie zechce. Jak oślepią, czując, że cały świat wokół niej wali się, próbowała wstać, ale zachwiała się. Rhys pochwycił ją, zanim upadła.

- Kwiatuszku słodki, cudowny kwiatuszku, dzielny kwiatuszku. Czy tobie się zdaje, że kocham cię mniej dlatego, że masz swój szczególny dar?

Otoczył ją ramionami i przybliżył twarz do jej twarzy.

- Jesteś moja, kwiatuszku. Tylko moja - wyszeptał.

Uśmiechnęła się drżącym uśmiechem pełnym nadziei.

- Tak, milordzie. Tylko twoja.

- Moja pani.

- Twoja pani.

- Moja miłość.

Westchnęła i oczy jej wypełniły się łzami. Kiedy spłynęły po policzkach, przytaknęła.

- Twoja miłość. Twoja jedyna miłość, tak jak ty jesteś mój.
- A co z tą przeklętą przepowiednią? Wyrzekniesz się jej dla mnie?

Jak każdy mężczyzna, kiedy oddaje mu się wszystko, czego pragnie, zaczynał żądać.

Popatrzyła na niego.

- Nie mogę.

Coś z błyskiem eksplodowało w jego oczach. Zacisnął usta w wąską linię.

Dodała czym prędzej:

- Nie mogę jej zostawić, ponieważ to ty zostałeś mi przepowiedziany. Elspeth kazała mi powtarzać ją i jeszcze raz powtarzać, i tak w kółko, i zastanawiać się, co znaczy, więc tak robiłam. Przepowiednia obiecywała mi, że odzyskam to, co utraciłam. A teraz myślę, że właśnie to mam. Stracony spokój i szczęście. I tak, jak zostało mi to przepowiedziane, odzyskałam wszystko za sprawą gryfa, a to właśnie ty.

Po chwili roześmiał się serdecznie, objął ją i przytulił do piersi. Głaskał po włosach i delikatnie odchylił jej głowę do tyłu, aby spojrzeć jej w oczy.

- Zostaniesz moją panią? W miłości i małżeństwie?
- Tak, milordzie, będą twoją panią i nigdy cię nie zdradzę.

Dotknęła palcami blizny na jego policzku, słodkiej linii jego ust, strząsnęła z ucha jasne włosy.

- Powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć. Całą prawdę. Czy wiesz, że moje prawdziwe imię oznacza nadzieję?

Ujął w dłonie jej palce i ucałował czubki.

- Nie znam twojego prawdziwego imienia. Powiesz mi?
- Farah. To arabskie imię. Nadała mi je moja matka.

Wstał i podniósł ją.

- Farah. Muszę się do niego przyzwyczaić, ale dla mnie na zawsze pozostaniesz „pięknym kwiatem”.

Wziął ją na ręce i podszedł do koni. Posadził ją na Bayoshy, ale nie puścił, tylko trzymał za rękę. Na jego twarz i włosy padało światło księżyca, przenikające przez gałęzie. Pochyliła się i pocałowała go, a kiedy się wyprostowała, wyszeptał:

- Kocham cię, mój kwiecie.

- I ja cię kocham.

W głębi nocy cicho pokrzykiwał jakiś ptak. Noc świętojańska. Pora magii. Pora, kiedy księżniczki elfów i wróżki nęca pięknych rycerzy do krainy nieustającego spokoju i szczęśliwości, gdzie nie istnieją zmartwienia i gdzie świętowanie trwa całą wieczność. Mimo wszystko w baśniach coś jest...

PRZERABIŁA POLGARA68